PAN TADEUSZ MICKIEWICZA.

Znany francuski pisarz St. Beuve powiedział, iż „zaletą krytyki jest, że umié czytać i uczy czytać.“ W następnym artykule o Panu Tadeuszu pragnąłbym skierować i ograniczyć tę „krytykę“ głównie na wniknięcie w myśli, wzory i motywa poetyczne, któremi powodował się Mickiewicz wtedy, kiedy układał *Pana Tadeusza.* Nader prosty układ tego poematu uprości też wytłómaczenie jego.

Krwawa nienawiść Sopliców i Horeszków, długo uśpiona pod grozą ogólnéj niedoli, obudza się w chwili, kiedy ma być wieczną przejednana zgodą, i wybucha w zajeździe partyi Horeszków na dobra Sopliców, ale w téj chwili milknie, kiedy wojsko rosyjskie, w imię porządku, nachodzi Soplicowo, wtedy zwaśnione rody jednają się w przededniu wielkich wypadków i u progu wielkich oczekiwań, bo niebawem ma się zjawić na Litwie Napoleon. Wypadki, zamknięte w ramy kilku dni tylko, coraz to szersze odsłaniają widoki. Rzecz dzieje się w r. 1811. Dwadzieścia lat przedtém zaszedł prolog do tego wydarzenia, a w $^3/_4$ roku późniéj nastąpił epilog wyśpiewany w pieśni XI i XII. To, co stanowi prolog i co tylko jest tu i owdzie napomknięte w pierwszych dziewięciu pieśniach, a w X-téj przez głównego bohatéra in articulo mortis opowiedziane, przypadło na burzliwe czasy konfederacyi Targowickiéj. Wtedy, ów główny powieści bohatér, Jacek Soplica, był młody, butny i rezolutny sejmikowy siłacz, który miał Dobrzyń i cztery zaścianki na zawołanie, i o którym śpiewano, że „komu na swym wąsie węzełek zawiąże—ten zadrży, choćby to był sam Radziwiłł książę.“ Bał się jego wpływu i stolnik Horeszko, ciągnął do siebie, schlebiał, udawał przyjaciela i wyzyskiwał. Jacek, zaślepiony wyrachowaną uprzejmością magna-

ta, pokochał się w córce jego, pięknéj Ewie.—szlachcic na kilku zagonach zapragnął córki wielkiego pana. Stolnik udawał, że się nawet nie domyślał niczego i sercowe aspiracye Jacka chłodził upokarzającą dumą, a kiedy Ewa jak baranek ofiarny uległa woli ojca i oddała rękę innemu, któremu serca oddać nie mogła, wtedy Jacek zrozpaczony, poślubiwszy inną bez miłości, uniesiony zemstą, spodlony nałogiem pijaństwa, zabił stolnika w téj chwili, kiedy ten zwycięsko odpiérał atak wojska rosyjskiego na swój zamek, zabił z karabina, który wyrwał z rąk pierwszego lepszego żołnierza. Gerwazy, wierny sługa stolnika, zmaczał miecz swój w krwi pana swego i zaprzysiągł zemstę Soplicom. Zwycięska Targowica dobra Horeszków zabrała, oddała znaczną część Soplicom, biedna Ewa umarła na wygnaniu przy mężu, zostawiwszy córeczkę Zosię; Jacek Soplica, wzgardzony od wszystkich, przepadł gdzieś bez wieści, nad synem jego Tadeuszem brat przyjął opiekę.

Od owych czasów i wydarzeń ubiegło lat wiele, wypadki wspomniane zatarły się w pamięci ludzi, bo brat Jacka, sędzia Soplica, miał powszechny w powiecie szacunek, tylko stary Gerwazy, zamieszkawszy w zrujnowanym zamku Horeszkowskim, żywił uczucie zemsty dla Sopliców. Taki jest prolog wpleciony w powieść, w 20 lat po owém zabójstwie odgrywa się sprawa, która jest właściwą osnową Pana Tadeusza. Było to w r. 1811. W Soplicowie wielki zjazd gości na zakończenie sporu pomiędzy Soplicami a Horeszkami o zamek; najpóźniéj z gości przybył Tadeusz, wracał ze szkół Wileńskich, po dziesięcioletniém nad książką ślęczeniu powiedział sobie, że na wolności pohula, i oto zaraz na wstępie przytrafia się zajmująca przygoda, bo przebiegając po pokojach dawno nieoglądanych, zdybał młodziutką jasnowłosą dziewczynkę, co w bieli lekko ubrana, jak niebaczny gołąb przez okno do pokoju wbiegła; spostrzegłszy Tadeusza krzykła, a Tadeusz oczy spuścił i nieśmiało wyszedł; teraz powitany od starego wojskiego, dawnego w Soplicowie rezydenta, dowiedział się, że go stryj sędzia chce ożenić, otóż druga niespodzianka równie może przyjemna, jak pierwsza, bo Tadeusz w myśli jedno z drugiém sobie skombinował; ale na tém szereg niespodzianek skończyć się nie miał! Dzień przybycia Tadeusza do Soplicowa dość dokładnie oznaczyć można: przybył w piątek, w czasie żniwa, zapewne 28 Lipca wedle starego stylu (9 Sierpnia wedle rzymskiego kalendarza), tę datę miał pewnie poeta na myśli, bo przypada ona krótko po skończeniu szkół (wedle oddawnego zwyczaju na ś. Jakóba 25 lipca), i zgadzają się z nią wzmianki o „owsa dojrzałego wonności“ i t. d. Kiedy wojski prowadzi Tadeusza do reszty towarzystwa pod lasem, drugi stary rezydent So-

plicowski, woźny Protazy, kazał wieczerzę zastawić w wielkiéj sieni opuszczonego spornego Horeszkowskiego zamku nie bez woźnieńskiéj w tém polityki, bo rozumiał, że takim fortelem sędziego do zamku „zaintromittuje.“ Tu więc pod wysokiém sklepieniem starożytnego zamku, w którym na wyższym balkonie przed 20 laty padł trupem od kuli Jacka stolnik Horeszko, możemy przypatrzéć się całemu świetnemu towarzystwu. Na najwyższém miejscu zasiadł podkomorzy sędzia graniczny, główna w sprawie o zamek osoba, z nim dorodne i posażne córki, obok sędzia i Bernardyn, jako duchowna osoba posadzony u góry, szanują go i lubią, bo pod tym kapturem kryje się polityk; daléj przy drugim końcu stołu siedzą asesor i rejent i wojski: rejent dawny adwokat, pokaźny i ruchliwy szlachcic ustawicznie giestykulujący w rozmowie, zapalony myśliwy; asesor szczupły i mały z postawy, groźnego wejrzenia, ostrego języka, zacięty w myślistwie antagonista rejenta; stary Wojski, daleki krewny sędziego, wielbiciel minionych czasów, gaduła i facecyonista, wzrósł na dworze Tadeusza Rejtena, znał stare powieści i lubił je powtarzać. Obok Tadeusza było próżne miejsce: nikogo to nie kłopotało kto tam na niém usiądzie, jeden Tadeusz, w domysłach zatopiony, usadził on tam w myśli panienkę dziś przed wieczorem widzianą w bieli i w papilotach. Zostawmy go w tém złudzeniu, które mu jeszcze niejednę zgotuje niespodziankę: my wiémy, że tam usiądzie wielka strojnica, emancypantka a „ciocia“ Tadeusza, Telimena, która podobnie jak Niemcewicza Panna Guzdralska zwykle z zegarami jest w niezgodzie. Wreszcie wtoczyła się lekko jak „kula bilardowa,“ szybko dostała się na swoje miejsce, a zmierzywszy jednym rzutem oka rumianego i szerokobarczystego Tadeusza, zaczęła doświadczać sztuki podobania się z niemałym skutkiem, doznał tego Tadeusz, bo długo potém usnąć nie mógł, myśląc o spotkaniu w pokoiku i o wdziękach sąsiadki. Jeszcze jedna ciekawa osoba siedziała przy stole, t. j. kapitan Rykow, człowiek służbisty, który lubił Polaków i lubił z nimi zjeść i pobawić się, sędzia zaprosił go przez grzeczność, bo stał kwaterą we wsi pobliskiéj. Nie było pomiędzy gośćmi hrabiego, krewnego Horeszków, jednakże jest w pierwszéj pieśni wzmianka o nim: młodość przebył zagranicą, niedawno do kraju wrócił, Anglik z obyczajów, egzaltowany i z romansową, jak mówił, głową, jutro zjedzie na polowanie. Dziś dobrze, że go przy stole nie było, bo byłby się skrzywił, słuchając przycinków podkomorzego o fircykach, co obce do kraju obyczaje wnoszą i zagranicznemi głowy zaprzątają wymysłami. Ale dziś, dodawał, ludzie czém inném zajęci, bo oczy wszystkich na Napoleona są zwrócone. Już się zanosiło na polityczną rozmowę, ale Robak krótko zbył ciekawość

podkomorzego, że go polityczne sprawy niby nie obchodzą. Kiedy tak przy jednym końcu stołu Telimena sidła rzuciła na Tadeusza, a starsi o poważnych rozprawiali rzeczach, toczyła się na drugim końcu między asesorem i rejentem ostra na słowa walka o zalety dwóch chartów (Kusego i Sokoła), aż podkomorzy musiał wdać się i do jutrzejszego polowania sprawę zawiesił, tylko że wojski odmówił dowództwa na jutrzejszych łowach, bo wojski jest z rodu Hreczechów, a „od króla Lecha—żaden za zającami nie jeździł Hreczecha"! W pół godziny po wieczerzy cicho było w Soplicowie, tylko Tadeusz zasnąć nie może i tylko woźny nie śpi, wspominając z wokandy po tysiączny raz dawne sprawy trybunalskie.

Tak w I pieśni dał poeta *expozycyą rzeczy*: zapoznał nas ze wszystkiemi osobami poematu, zapoznał z przedmiotem sprawy, która pójdzie pod sąd podkomorzego, t. j. z zamkiem Horeszków, nawet zmyślnie nas do niego wprowadził, i chcąc uwagę zwrócić na to, że pierwsza pieśń ma być podstawą poematu, czyni przy końcu przedziwnie piękny zwrot o stanie politycznym Europy:

Takie były zabawy, spory w owe lata
Śród cichéj wsi litewskiéj, kiedy reszta świata
We łzach i krwi tonęła i t. d.

opisuje, jak Litwa żyła w oczekiwaniu przyjścia Napoleona, jakie były o legionach wieści, i jak z za Niemna raz po raz przyszedł stary legionista w sukniach żebraczych, lub kwestarz z obcego klasztoru

Takim kwestarzem tajnym był Robak podobno
Często on z panem Sędzią rozmawiał osobno.

Tak więc, poeta w I pieśni dał tło miejsca i czasu, zapoznał z osobami i w lekkich napomknieniach ukazał temat powieści: kłopoty sercowe Tadeusza; intrygi Telimeny; spory graniczne, przyczynę zajazdu; bliskie przyjście Napoleona, a w ostatnich słowach szczególniéj zwrócił uwagę na X. Robaka, widocznie zagadkową, prawdziwie zakapturzoną figurę. Nie wiadomo jednak, co z tego wszystkiego będzie główną w powieści rzeczą. Może pieśni następne nas objaśnią. Obaczmy! Pieśń II i III, poświęcone głównie hrabiemu i uportretowaniu Telimeny, obie pieśni ściśle do siebie należą, rzecz dzieje się w sobotę, zawiera szereg przedziwnych sielankowych obrazków, ale nie posuwa powieści ani krokiem naprzód. Rano zapowiedziane już wczoraj polowanie; wszyscy wyjechali z myśliwymi, ale skończyło się tylko na rannéj przejażdce, spór myśliwców nie rozstrzygnięty. Hrabia choć polowanie lubił, lubił jednakże więcéj wywczasy, spóźnił się i na polowaniu nie był: po drodze uderzył go niezwykły widok ruin zamku otulonego od dołu mgłą poranną z wieżą oblaną światłem słonecznem, był to obraz jakby z Walter-Scota,

hrabia się zachwycił i, kiedy od klucznika usłyszał powieść o zabiciu w tym zamku stolnika i o nieprzyjaźni Sopliców i Horeszków, upodobał sobie zamek i żałował tylko, że Soplica nie ma pięknéj córki, bo romantyczna ztąd wywiązałaby się zawiłość, gdyby serce dzielić musiał między obowiązek zemsty a uroki miłości.) Po polowaniu w Soplicowie śniadanie, na niém znowu Telimena Tadeuszowi głowę zawraca, a asesor z rejentem daléj kłótnie wywodzą, dopóki interwencya Robaka, Wojskiego i Telimeny nie rozjęły stron zapalczywych: Robak najniegrzeczniéj zainterweniował, a najdowcipniéj i uprzejmie wdała się Telimena, bo zaprosiła do lasu na grzybobranie; tu w lesie „w świątyni dumania“ doświadczona ta pani równocześnie dwa serca w sidła pochwytuje, hrabiemu dostał się kwiatek niezabudki, Tadeuszowi tajemnie podsunięta karteczka, obydwaj rozmarzeni i uszczęśliwieni zasiedli do obiadu, tylko, że wnet ważna wiadomość słodkie marzenia spędza z myśli, bo niedźwiedź się pojawił mospanie! i natychmiast zapowiedziane na niego polowanie jutro w niedzielę rano, po mszy w kaplicy; tym razem wziął wojski dowództwo na się, bo jest na co! Odtąd niezwykły ruch i życie poczyna się w powieści, w któréj widocznie zanosiło się na spokojną epiczną sielankę. Dopiéro więc prześliczna, z pewnością najpiękniejsza w całym poemacie pieśń IV stanowi jądro powieści, rozszerza widownią i ukazuje rychłe powikłania i ważne wypadki. Po mszy rannéj, u żyda Jankiela w karczmie zebrani chłopi i drobna szlachta, pomiędzy nimi Robak odgrywa tę rolę, na którą nas poeta przygotował w I pieśni, dyplomatycznie zaczyna od częstowania tabaką, a kiedy szlachta od wybornego proszku kicha jak z moździerza, opowiada, że tabaka z Częstochowy, że z téj tabakierki zażywał Napoleon, że obiecał być w Litwie, a kiedy szlachta coraz więcéj rozciekawiona, napomknął, że na przyjście Napoleona trzeba się przygotować, trzeba dom z śmieci oczyścić. Słowa te niejasne i fatalném zrządzeniem rzucone przez Robaka w téj chwili, kiedy musiał popędzić na ratunek Tadeusza, zostały jak złe nasienie w sercach szlachty; z tego nasienia wyrósł zajazd na Sopliców, do czego dziś jeszcze wieczorem miała przez inną fatalność nadarzyć się jeszcze bliższa przyczyna. Na polowanie przybiegł Robak w najniebezpieczniejszéj chwili, bo wtedy, kiedy niedźwiedź uszedłszy wiele gorączkowych strzałów rozjuszony rzucał się wprost na hrabiego i Tadeusza, w téj strasznéj chwili powalił go Robak o ziemię z jednorurki, którą wyrwał z drżących rąk Gerwazego. Po tak szczęśliwym wypadku nastąpił obiad jakoś niewesoły, towarzystwo było milczące i zamyślone, napróżno wojski prosił o rozgowór, mówiąc że „Polskę oniemić to Polskę zniemczyć.“

Były różne powody do tego, a niemało przyczyniła się choć niewinnie Zosia, po pierwszy raz przez ciocię Telimenę do towarzystwa wprowadzona; jej pojawienie się Tadeuszowi otworzyło oczy, że się w osobie pomylił, że Telimenę wziął był za Zosię; i hrabia po troszę był nie kontent, że wczoraj Telimenie komplementa gadał; myśliwi byli także źli i pomroczni, że ich mnich strzałem swym zawstydził. Na tę złą chwilę wybrał się podkomorzy z swoją mową (a obiad był w zamku), w której ofiarował hrabiemu skórę niedźwiedzia, okupioną niebezpieczeństwem życia, na co hrabia miarkując zapewne, do czego te preludya zmierzają, niegrzecznie odpowiedział, że skórę chyba z zamkiem przyjmie, i w tę złą chwilę, kiedy fatalny niedźwiedź, dziś rano sięgający po życie obydwóch dziedziców Horeszków i Sopliców, teraz miał stać się znowu powodem wznowionej nieprzyjaźni, wchodzi Gerwazy i, widocznie urągając niemiłym sobie gościom, spełnia obowiązek klucznika, nakręca z wielkim łoskotem stary gruchot, oddawna zepsuty zégar i głuszy mowę podkomorzego: podkomorzy zniecierpliwiony nazwał go puszczykiem, klucznik się odciął obelżywie, hrabia się ujął za sługą, powstała wrzawa i bitwa, na szczęście bezkrwawa. Teraz dojrzały plany Gerwazego, hrabia zgodził się na nie, dać pokój sądom i po dawnemu zbrojnie najechawszy wziąć co swego. Nagle więc prawie wszystko się zmienia! całe towarzystwo staje na stopie wojennéj, nie wiadomo czy inspiracya Gerwazego, czy podochocenie przy śniadaniu i przy obiedzie więcéj przyczyniło się do wojennego animuszu. Tadeusz, który aż do polowania głównie zwracał na siebie uwagę czytelnika, usuwa się teraz więcéj w cień, inne osoby podejmują główną rolę, widownia coraz więcéj się rozszerza. W poniedziałek rano, skoro świt, klucznik stanął w Dobrzyniu, zebrał zaściankową szlachtę i tam na improwizowanym i po mistrzowsku skréślonym sejmiku wmówił w nią, że trzeba iść za radą Robaka: „dom oczyścić z śmieci,“ że kiedy Napoleon pójdzie na cara „wielki na wielkiego,“ to mały powinien iść na małego, że śmiecią w powiecie jest Soplica. Wymowę Gerwazego poparły beczki miodu, piwa i wódki: szlachta rozgorączkowana trunkami najechała pod wieczór Soplicowo. Tu poeta w pieśni VIII zawikłanie tragiczne przedziwnie łagodzi słabościami ludzkiemi: dwie rzeczy zapobiegły rozlewowi krwi bratniéj, najprzód ta, że hrabia pierwszy zajechał do Soplicowa i, widząc zemdloną Telimenę, zaklął się na rycerskie słowo, że krwi bezbronnych przelewać nie dozwoli, dość mu Sopliców wziąć w niewolę, jak ongi pod Birbante rocca..., a druga szczęśliwa okoliczność była ta, że szlachta przyjechała do Soplicowa podochocona, ale głodna, więc daléj na łup zapasów, i tak zmę-

czeni ucztą i pokonani od Bachusa zasnęli w zamku, który na znak zwycięstwa wzięli w okupacyą. Ale przebudzenie było nie miłe! Bo tymczasem nadeszło wojsko, nie wiadomo przez kogo sprowadzone ze wsi sąsiedniéj. Tu w pieśni IX, są prześliczne miejsca, major Płut kazał Dobrzyńskich powiązać i w dyby pozakuwać: Sybir, konfiskaty i tym podobne rzeczy były nieuniknione! Wszyscy w głębokiém zadumaniu i smutku! Wtém nadjechał Robak, niby po kweście, ale w rzeczy saméj na odsiecz, na cztérech wozach przywiózł broń z sobą. Czuł on, że szlachtę mowami swemi rozgorączkował, że go po swojemu i źle zrozumiano, chciał złemu jeszcze wczoraj zapobiedz, ale już było zapóźno: teraz stawił się sam na miejsce niebezpieczeństwa, aby największe złe na jak najmniejsze zamienić. Niby przyjaciel majora, w rubasznym humorze śmiał się z powiązanéj szlachty, kazał dać we dworze zrazów i ponczu, jegrom beczkę wódki, ale kiedy poncz czupryny zagrzéwać zaczął, majora Płuta kazał Tadeuszowi znieważyć, a skutek tego wyrachowanego kroku był przewidziany: wrzawa, uwolnienie jeńców i bitwa po homerowsku opisana! Padło wielu dzielnych, sam Robak śmiertelnie ranny. Na łożu śmiertelném wyznał w obec sędziego i Gerwazego, że jest Jackiem Soplicą, że za czyn haniebny dobrowolnie pokutował w mniszym habicie i poświęcał się i cierpiał. Umarł, zyskawszy przebaczenie Gerwazego, w téj chwili, kiedy przyszła wiadomość, że Napoleon Rossyi wypowiedział wojnę. W ten pamiętny dzień wtorkowy zaraz po bitwie zerwała się nad Soplicowem sroga burza: ona, pozrywawszy mosty i drogi, zerwała téż wszelkie ze światem komunikacye, przez 24 godzin nikt dowiedzić się nie mógł co zaszło w Soplicowie. Był więc czas pomyśléć o sobie. Tadeusz, hrabia i najwinniejsi poszli do legionów, majora Płuta, aby milczał, Gerwazy „pro publico bono“ nieszlachetnie zamordował, z kapitanem Rykowem było pół biédy, dał słowo, że poświadczy raportem, że major Płut przypadkiem kazał dać ognia i jakoś pułk jegrów w bitwie zmarnował.

Tu kończy się właściwa powieść. Dwie ostatnie pieśni stanowią domówienie. W r. 1812 weszły wojska Napoleona do Litwy, ciągnąc ku Moskwie, kilkadziesiąt tysięcy wojska polskiego z W. X. Warszawskiego szło pod komendą X. Józefa Poniatowskiego. Hrabia szedł jako półkownik, Tadeusz jako porucznik. W Soplicowie nastąpiła wielka uczta na przyjęcie wojska, uświetniona weselem Tadeusza z Zosią, Rejenta z Telimeną i Asesora z Teklą Hreczeczanką, uświetniona usamowolnieniem chłopów i piękną grą cymbalisty Jankiela. Stare waśni rodowe są zakończone ślubem Tadeusza

Soplicy z Zosią wnuczką stolnika; Protazy z Gerwazym zasiedli obok siebie w przyjaźni.

Taka jest treść *Pana Tadeusza*; o piękności tego poematu nie daje ona żadnego wyobrażenia, tak jak żaden opis nie zdołałby dać wyobrażenia o zapachu róży. Trudne to jest zawsze zadanie, w niewielu słowach streszczać utwory poetyczne, bo przy téj procedurze, choćby najwierniejszéj, ulotni się zawsze to, co stanowi woń poetyczną. Ale tu mniéj téż o to chodzi, tu nas ma zająć układ *Pana Tadeusza* i wyszukanie tych poetycznych motywów, z których poeta wysnuł najpiękniejszy z swych poematów. Kiedy tu więc przyjdzie na samém czele stawić pytanie: czy *Pan Tadeusz* jest epopeą, czy powieścią epiczną, czy téż romansem wierszowanym? to na tak *ogólnie* wypowiedziane zagadnienie, teoretyk po należytém zgłębieniu rzeczy nie wahałby się odpowiedzieć, że *Pan Tadeusz* jest piękną i wzorową epopeą, tylko niechby się strzegł tego, aby gwałtem wsuwając ten poemat w gotową formułę, nie przygniótł go i nie uchybił jego charakterowi, nie uwzględniając właściwości, które się w teoretyczną szufladkę pomieścić nie dadzą. Takim kreacyom poetycznym, jak *Pan Tadeusz*, teorya wartości nie przyczyni, one owszem wytykają jéj nowe widoki. Dla nas tu więcéj ciekawém jest *specyalne* pytanie takie: jaki plan i jakie estetyczne zasady co do epicznego poematu miał poeta na myśli, kiedy *Pana Tadeusza* układał? zkąd płynęła jego teorya? zkąd czerpał wiadomość o tém, czém jest epopea, jakie jéj formy? jaki sposób jéj tworzenia? Na takie pytanie możemy dać dość stanowczą odpowiedź. Mickiewicz często odwołuje się do A. W. Schlegla; odwiedzając go w czasie podróży po Europie z Odyńcem r. 1829 w Bonn, powiedział mu pochlebne, choć szczere słowa, że *na polu krytyki on jedyny bez współzawodnika króluje*; pisma jego czytywał tak pilnie, że nawet i drobne jego recenzye nie uszły jego baczności, tak że w jednym liście z r. 1829 (z Petersburga) radzi Mickiewicz Odyńcowi, odczytać krytykę Schlegla na balladę Bürgera; dość że Schlegla uważał za jedynego w rzeczach smaku i estetyki sędziego. Więc niezawodnie z dzieł Schlegla czerpał naukę o epopei, a że jak później obaczymy, wziął sobie pierwotnie za wzór Göthego *Hermann und Dorothea*, więc przedewszystkiém wskazówki podała krytyka Schlegla na Göthego Hermana i Dorotę. Krytyka ta obszerna umieszczona była w *Jenaer* Allgemeine Litteratur-Zeitung 1797 Nr. 393—396. Kto po odczytaniu *Pana Tadeusza* weźmie do ręki tę recenzyą, nie będzie wątpił o tém, że Mickiewicz ją czytał i że pewne zasady co do istoty poezyi epicznéj ztamtąd zaczerpnął. Szczególnéj uderzającém jest to miejsce: „Zdaje się jakoby Goethe zgłębiwszy istotę homerowskiego eposu bez

względu na drobne przypadłości, boskiego poetę całkiem od siebie odsunął i niejako zapomniał. Jak w ogóle bierne przejmowanie jest łatwą rzeczą, wolne wzorowanie i naśladownictwo jest próbą samodzielności; nie byłoćby to trudném zadaniem przybrać nowoczesny przedmiot w homerowskie maniery, tylko pytanie, jakby duch wyszedł na takiém przywiązaniu do litery.“ (Es scheint als hätte Göthe, nachdem er das Wesen des Homerischen Epos, abgesondert von allen Zufälligkeiten, erforscht, den göttlichen Alten ganz von sich entfernt und gleichsam vergessen. Wie überhaupt leidende Annahme leicht, freie Aneiguung und Nachfolge aber eine Prüfung der selbständigkeit ist; so wäre es auch keine so schwierige aufgabe, einen modernen Gegenstand ganz in Homerische Manieren zu kleiden. Allein es fragt sich, wie es bei dieser Anhänglichkeit an den Buchstaben um den Geist stehen würde). Te słowa odsłaniają nam ten świat epiczny, w którym żył duch Mickiewicza. Że znał dokładnie Homera, mianowicie Iliadę, to nietylko z jego filologicznych studyów wynika, ale i z następnéj notatki, którą umieścił w uwadze o Dmochowskiego tłómaczeniu Iliady: „Dmochowski ani historycznie, ani krytycznie poezyj Homerycznych nie rozumiał,“ powiada w rozprawie o krytykach i recenzentach warszawskich. Więc jest tu zadokumentowana bliższa znajomość studyów nad Homerem zainicyowanych przez Fr. A. Wolfa r. 1795. Do czegóżby innego odnosiły się słowa o krytycznych i historycznych studyach nad Homerem? Ale Mickiewicz, choć pojął gruntownie ducha Homerycznéj poezyi, nie kopiował go, duch tylko Homera wcielił się w niego, poetę XIX wieku. W podobnym téż *Pan Tadeusz* jest stosunku do Göthego *Hermann und Dorothea*: tu jest wprawdzie trochę bezpośredniéj reminiscencyi, szczególniéj myśl wprowadzenia księdza jako jednéj z głównych osób powieści mogła się zrodzić przy czytaniu Göthego, ale jakże różne są *Pan Tadeusz* i idylla Göthego! Jeżeli Brodzińskiego *Wiesław* widocznie jest naśladowaniem Göthego *Hermana i Doroty*, to o *Panu Tadeuszu* tylko tyle powiedzieć można, co Mickiewicz sam wspomina, że Göthego idyllę wziął sobie za wzór (list z 8 Grudnia 1832). Z początku téż *Pan Tadeusz* zakrawa na coś podobnego jak *Hermann und Dorothea*, ale powoli odsłaniają się coraz szersze widoki i życie w poemacie płynie coraz szerszym prądem, inaczéj jak w *Hermann und Dorothea*, potém ku końcowi wraca znów podobieństwo, bo powieść ujęta na wstępie w ciasne ramy cichego życia znajduje się przy końcu na tle wielkich europejskich wypadków, przez co wedle słów Schlegla „rzecz cała na wyższy poziom jest wzniesiona i dalekim przedziałem od codziennych spraw ludzkich odsunięta.“ „Durch die zugleich erschütternde

und erhebende Aussicht auf die grossen Weltbegebenheiten im Hintergrunde ist alles um eine Stufe höher gehoben und durch eine grosse Kluft vom Alltäglichen geschieden. Die individuellen Vorfälle knüpfen sich dadurch an das Allgemeine und Wichtigste an, und tragen das Gepräge des ewig denkwürdigen Jahrhunderts.“ Tłem historyczném w Göthego *Hermann und Dorothea* jest rewolucya francuska w chwili największego zawichrzenia, w *Panu Tadeuszu* olbrzymia Napoleona wyprawa na Moskwę r. 1812. Nie zmienia się przeto tempo i rytm opowiadania epicznego, że na widowni coraz ruchliwsze i głośniejsze życie: owszém charakter epopei spokojny, opowiadający bez pośpiechu, obracający się w ustawicznych rozmowach, zachowany jest aż do ostatka, z wyjątkiem niektórych ustępów, o których później. I w tym punkcie znowu widać, jak charakter opowiadania w *Panu Tadeuszu* stosuje się do definicyi A. W. Schlegla: istota eposu polega wedle niego na niezmąconym spokoju, bezstronném przedstawieniu rzeczy, dalej na żywém rozwinięciu przedmiotu za pomocą spokojnego dyalogu i na jednostajném rytmie, który jakby ociągając się posuwa. „Wesentliche Merkmale des Epos: *die überlegene Ruhe* und Parteilosigkeit der Darstellung: die volle lebendige Entfaltung hauptsächlich *durch Reden*, die mit Ausschliessung dialogischer Unruhe und Unordnung der epischen Harmonie gemäss gebildet werden: unwandelbarer, *verweilend fortschreitender* Rhytmus,“ a na inném miejscu jeszcze przycisk kładzie na to, że poeta epiczny nie przedstawia tego, co jest w stanie spoczynku, ale życie i ruch, nie opisuje, ale opowiada: „das Homerische Epos ist ruhige Darstellung des Fortschreitenden. Es ist niemals Darstellung der Ruhenden, oder sogenanntes poetisches Gemälde. Dieses ist Homer so fremd, dass wo er beschreibt, er es auf eine Art thut, die das Ruhende in Fortschreitendes verwandelt, z. B. die Figuren auf dem Schilde des Achill.“ Możnaby pełną ręką czerpać dowody na to, jak Mickiewicz w *Panu Tadeuszu* szedł za teoryą dopiéro co przytoczoną, szczególniéj zaś uderza, jak wszystko w Panu Tadeuszu przystaje do owego „niezmąconego spokoju“ i do „bezstronnego przedstawienia rzeczy,“ jak poeta, opowiadając przebieg sporu, który wprawdzie wiele ciekawych przedstawia momentów psychologicznych, ale téż ma w sobie wiele gorszącego, nigdzie nie wyrzekł słowa nagany lub pochwały dla téj lub owéj partyi (choć Mickiewicze, dodajmy, byli od dawna Sopliców nieprzyjaciele!), opowiada spokojnie co się stało, a choć tu i owdzie prześlicznemi ustępami lirycznemi dzierżga epiczne pieśni swéj tło, to jednakże liryzmu osobistéj, lub narodowéj stronności, osobistych sympatyj i antypatyj nie pozwala sobie: w *Panu Tadeuszu* występuje i Niemiec

i Rossyanin, Buchmann i Rykow, obydwom oddaje sprawiedliwość i ukazuje ich w takiém świetle, że wprawdzie uśmiech dobrego humoru przebiegnie nam przez usta, ale narodowych uprzedzeń w tych portretach nie widzimy, — i tu znowu widać Schleglowską zasadę o pogodnym i swobodnym na świat i ludzi poglądzie, w którym nie ma stronniczości narodowéj i politycznéj: „von einer milden, freien, von nationaler und politischer Parteilichkeit gereinigten Ausicht der menschlichen Angelegenheiten.“ Może tylko Jankiela za pochlebnie skréślił i na Jacka, jak Rembrandt w swoich obrazach, nagromadził może zbyt wiele światła i zbyt mocne cienie, choć tego idea poematu wymagała — ale zresztą cała galerya osób występujących w *Panu Tadeuszu* odmalowana jest bez uprzedzeń, bez krytyki, z plastyczną prawdą i z prawdziwie epicznym humorem. Oprócz bowiem Tadeusza, dość blado narysowanego, który głównie tém zwraca na siebie uwagę, że pomylił się w osobie, bo Telimenę wziął za swą dziewczynę w papilotach, którą na wstępie w Soplicowie spotkał, a kiedy spostrzegł pomyłkę, napróżno silił się od kokietki odczepić, i oprócz Zosi, która jest jakby żywcem wzięta z jakiejś sielanki pastérskiéj i która dopiéro w przedostatniéj pieśni czuje, że to jest pewnie kochanie, co ją ciągnie do Tadeusza, — to nie ma w całym poemacie osoby, któraby nie miała w sobie coś śmiesznego, lub naiwnego: nasamprzód X. Robak, który z najhałaśliwszego paliwody przedzierzgnął się w potulnego Bernardyna, ale nawet przy ołtarzu nie może ukryć swego dawnego charakteru, bo jak żołnierz robi zwroty; — pan sędzia, który przez długie lata ani nie domyślał się stosunku Robaka do Tadeusza i do siebie; — podkomorzy, który ile razy przyjdzie do czynu, nie może się dowołać karabeli na Tomasza; — wojski Hreczecha, który poluje na muchy, a strasznie się obraził, kiedy go na polowanie za zającem zapraszano; woźny Protazy i klucznik Gerwazy, którzy wrażając swoje trzy grosze do spraw Panów swoich głównie nawarzyli tyle złego; — pan hrabia, który widać naturalny rozum wywiózł zagranicę i z „romansową“ powrócił głową; — pani Telimena, która swoje wdzięki od Petersburskich panów począwszy ofiarowała kolejno asesorowi, Tadeuszowi, hrabiemu, aż nareszcie zeszła na gust Rejenta; — daléj gestykulujący rejent, cięty asesor, każdy jest figurą oryginalną i prawdziwie epiczną, a nad temi wszystkiemi słabościami i śmiesznościami ludzkiemi, nad temi wszystkiemi sprawami często naiwnemi, a częściéj nierozważnemi i niedorzecznemi, unosi się uśmiechnięty duch poety, pełen wyrozumienia, nigdy nie przymówi, ale w naiwnym tonie spokojnie opowiada, i w tym punkcie znowu znajduje się w zgodzie z Schleglem, którego słowa powiedziane o aptekarzu w *Hermanie i Dorocie*

tu jeszcze przytaczam: „Dergleichen naiv lustige Züge sind ganz im Geiste der epischen Gattung: denn ihr ist jene ideale Absonderung der ursprünglich gemischten Bestandtheile der menschlichen Natur fremd, woraus erst das rein Komische und Tragische entsteht.“ Z wyjątkiem Jacka Soplicy, wszystkie główniejsze charaktery w Panu Tadeuszu są jakby zastósowaniem tych słów ostatnich.

I w ogólnym charakterze, w układzie i w duchu, *Pan Tadeusz* wypadł wedle zasad A. W. Schlegla. Niech mi tu wolno będzie, ponieważ na ten ogólny wzgląd nie zwracam tu głównéj uwagi, przytoczyć sąd o Panu Tadeuszu znanego i głośnego w swoim czasie niemieckiego powieściopisarza Häringa (pseudonim Willibalda Alexis): „Ich kenne die lithauische Nationalität nur wenig, aber nach seinem (Mick.) Gedicht ist sie mir lebendig geworden.“ (Nie znam Litwy, ale po odczytaniu Pana Tadeusza żywy jéj obraz mam w sobie). Większéj pochwały powiedzićć nie można i dość by było tych słów, gdyby ze stanowiska teoryi nie zasługiwał ogólny sąd Willibalda Alexis na uwagę, tém bardziéj, że stwierdza zupełnie i o kilka lat wyprzedza znany sąd Krasińskiego o *Panu Tadeuszu.* Krasiński pisze w liście z r. 1840 do R. Ż. „Żaden europejski lud dziś nie ma takiéj epopei, jak *Pan Tadeusz.* Odczytałem go niedawno. Donkiszot tam zlał się z Iliadą. Poeta stał na przesmyku między znikającém pokoleniem ludzi, a między nami. Nim umarli widział ich, a teraz już ich nie ma. Właśnie to jest stanowisko epopeiczne. Dokonał tego Adam po mistrzowsku. To plemię umarłe uwiecznił. Ono już nie zaginie. Temu lat sześć, czytając Pana Tadeusza nie pojmowałem całéj wielkości, dziś biję czołem i mówię, że to jest *epopea.* Więcéj powiedzićć nie można, ani potrzeba.“ (Dodatek do Czasu 1859, miesiąc Marzec). Taka opinia poety, zawiérająca największą pochwałę, wypowiedziana po długim namyśle i po dawniejszém niedowierzaniu, nabiéra niezwykłéj wartości, kiedy się obok niéj postawi opinią cudzoziemca literata, krytyka prawie równéj osnowy. Willibald Alexis, wymieniwszy ze stanowiska Schleglowskiego zalety *Pana Tadeusza,*—bogatą i wybitną charakterystykę, pogląd na świat pełen humoru, bystry dar spostrzegawczy, bogaty zmysł natury i t. d. dodaje: nie braknie temu bohatérskiemu poematowi pięknych idylicznych rysów, a narodowéj téj epopei, w któréj poeta spełnił piękne zadanie pochwycenia w poetycznych obrazach społeczeństwa, które politycznie niknie, nie braknie miary, bez któréj najbujniejszy duch twórczy nie będzie poetą. Znajduję tu formę nową, osobną, która jednoczy stare epos z romansem, i widzę, że epopee tworzyć jest jeszcze rzeczą możliwą („Dem Heldengedicht, denn das ist es, fehlt es nicht an schönen idyllischen Zügen, und dem *Na-*

tionalepos, das sich das edle Ziel gesteckt, *eine Volksthümlichkeit poetisch festzuhalten, wo sie politisch im Erlöschen ist*, nicht an dem Masshalten, ohne das der flammendste Dichtergeist nicht zum Poeten wird. Ich finde eine ganz eigenthümliche, selbstgeschaffene Form, die das alte Epos mit dem Romane verknüpft, und in der Existenz dieses Gedichtes *den Beweis, dass Epopöen schaffen noch möglich ist.*“ Jeszcze te kilka słów przytaczam w oryginalnym texcie: ....„es ist ein vollendetes episches Gedicht, das den strengsten Anforderungen entspricht, die unsere ästhetische Kritik an ein Epos und zwar an die *höchste*, nach Anderen die *einzige Gattung* desselben macht. Es liefert nämlich das vollständige, abgeschlossene Bild eines Volkes und seiner Eigenthümlichkeit zu einer bestimmten Epoche; eine durchgehende Handlung voll Interesse, mit reichen Episoden, ebenso interessanten als belehrenden Rückblicken in eine historische Vergangenheit; meisterhaft saftige und volle Schilderungen von Oertlichkeiten, Zuständen, Sitten“ i t. d. zob. Blätter für litterarische Unterhaltung na r. 1836. Nr. 289 i 290).

Ale Pan Tadeusz obok wysokich zalet ma téż swoje słabe strony, zwyczajnie jak dzieło ludzkie! Jednę drobniejszą z góry wymienić muszę, ponieważ nam później będzie potrzeba przypomnieć ją sobie. W pieśni IV-téj jest takie miejsce:

Po rannéj mszy w kaplicy, że była *niedziela*
Zabawić się i wypić przyszli do Jankiela.

Jest to jedyne miejsce, z którego dokładnie oznaczyć można, że Tadeusz przyjechał do Soplicowa w piątek, i że w sobotę zrana było polowanie, po którém było śniadanie, a potém przechadzka do lasu na grzyby. Z obowiązku epika, opisuje poeta śniadanie: „była tam kawa, piwo grzane.....

Zaś dla mężczyzn wędliny leżą do wyboru,
Półgęski tłuste, kumpia, skrzydliki ozoru,
Wszystkie wyborne, wszystkie sposobem domowym
Urządzone w kominie dymem jałowcowym;
W końcu wniesiono zrazy na ostatnie danie
Takie bywało w domu Sędziego śniadanie.

Jakto? w sobotę? w litewskim domu? i to w obecności takiego rygorysty, jak X. Robak? i jedli mięso w sobotę ci, którzy jeszcze wczoraj wyrzekali na nowoczesne obyczaje? Widocznie nie spostrzegł się poeta, zobaczymy późniéj, zkąd i jak ta pomyłka powstać mogła. Ale są w *Panu Tadeuszu* i inne, ważniejsze uchybienia, takie, które czynią krzywdę prawdzie. Nasamprzód w obrazie Litwy szlacheckiéj z téj epoki, kiedy stara generacya wymierała a nowa nastawała, jest nie jedno fałszywém, i tak portret Telimeny razi psy-

chiczną brzydotą. Kto jest Telimena? Poeta postawił ją w takiém świetle, że ani nie wiemy, kto ją rodzi i co jéj daje prawo do tytułu cioci Tadeusza. Jeżeli ona sama mówi Tadeuszowi, że „nie są kanonicznie z sobą powiązani zbyt bliskiém pokrewieństwem,“ „że nawet niepewno czy ciocia Telimena jest synowca krewną,“ to możemy się na to uśmiechnąć, bo to mogły być bańki mydlane, które się właśnie podobały zakochanemu Tadeuszowi; ale cóż tu pomyśléć, kiedy w cztery oczy mówiąc na seryo z sędzią i to w rozdrażnieniu powiada o sobie, że była „*Zosi* piastunką, jest jéj krewną i jedyną opiekunką.“ Skoro tak, to pewnie nie jest siostrą Soplicy, bo pomiędzy Soplicami a Horeszkami nie było pokrewieństwa, i w takim razie Tadeuszowi szczerze mówiła, że ją sędzia siostrą nazywa tak sobie, z przyjaźni, może „z próżności,“ jak dodaje, czego ona mu nie zabrania. Zresztą, jak już napomknięto, tego tytułu cioci na seryo brać nie można, bo jest ona znów ciocią *Zosi*. To już chyba wszystko z dobrego serca, bo tę jednę pochlebną cenzurę poeta jéj wystawił, że „dobre serce miała,“ widocznie dlatego, że nie mogła odmówić wzajemności, kiedy kto afekt ku niéj zwrócił, ale że wedle poety „i rozum i wielkie doświadczenie miała,“ więc też wiedziała, gdzie swoje uczucia lokować. Zjawił się Tadeusz, więc ku niemu się zwróciła, bo jéj rozum i doświadczenie mówiło, że

Mężczyzni póki młodzi, chociaż w myślach zmienni
W uczuciach są od *dziadów* stalsi, bo sumienni.

Zjawił się hrabia, i dla niego znalazło się gościnne w sercu Telimeny miejsce, a w odwodzie został choćby rejent, którego też w końcu swą ręką uszczęśliwiła, choć w dzień ślubu jeszcze gotowa dać pierwszeństwo hrabiemu, gdyby zechciał, *jeżeli nie*, to *niech nie przeszkadza*, i wtedy mu mówi:

jeśli piśniesz słowo
Ażeby mój ślub zerwać, to jak Bóg na niebie
Że z temi paznokciami przyskoczę do Ciebie.

Z jakich to sekretów wydał ją poeta! a ileż to ciekawych pamiątek znalazłoby się w biurku Telimeny!? Ale nie zaglądajmy zbyt głęboko ani w metrykę, ani w serce téj pani, dość nam wiedzieć, że poeta nie chciał tu wzorowego odmalować portretu. A przecięż Telimena jest w poemacie typowym tylko charakterem: czy podobna, przypuściwszy bez ogródki, że Telimena jest żywcem z natury wzięta, aby jéj podobnych było w Litwie na początku naszego wieku tak wiele, że może uchodzić za typ Litwinki? Ależ może zbyt porywczo to pytanie stawiamy: wszakże obok Telimeny są jeszcze inne kobiety w poemacie, Telimena może reprezentuje

tylko typ zfrancuziałéj i demoralizacyą przeszłego wieku zepsutéj Litwinki, która to wszystko może zawdzięcza emigrantom i emigrantkom francuskim, jakich pełno było na Litwie przy końcu przeszłego i na początku tego wieku? Otóż prawda, że są jeszcze inne figury żeńskie w *Panu Tadeuszu*, ale doprawdy nie więcéj, jak figury, o których chybaby tylko powtórzyć słowa George Sand: c' est un être qui babille, qui s'habille et deshabille. Jedyna Zosia jest tylko trochę wyraźniéj skréślona. Więc zobaczmy! Ale w tém właśnie kłopot, gdzie ją zobaczyć, bo się gościom nie pokazuje, jeno z kurami przestaje i po ogrodzie się zapędza; Tadeusz ją raz zdybał w lekkiéj spodniczce i w papilotach, ale jéj się dobrze przypatrzéć nie mógł, bo się zażenował i oddalił, i hrabia ją podpatrzył raz w ogrodzie. Dopiéro w niedzielę pokazała ją gościom Telimena, ale choć tam Zosieńka Tadeuszowi i hrabiemu głowę zawróciła, to nam czytelnikom niczém się nie zaprezentowała, jak swoją figurą. Dopiéro w owéj strasznéj nocy, kiedy Jacek umierał, poznajemy bliżéj „tę Zosię,“ jak ją sędzia raz nazwał, wzruszona wyznaniem miłości Tadeusza, daje mu obrazek na pamiątkę i prosi o wspomnienie dla siebie, i wtedy następuje rozłączenie „pastérki z wojownikiem,” jak powiedział hrabia, Zosia poszła do Wilna i była tam pod opieką podkomorzyny; mówiono jéj, że zakochana, nie zaprzeczała temu, a kiedy Tadeusz wrócił jako porucznik, oddała mu ręke, bo „Zosia zawsze zgadza się z wolą nieba i z wolą starszych,“ jak sama w dzień ślubu Tadeuszowi powiedziała. Otóż idyliczna figura: ładna twarzyczka i dusza niezapisana żadnemi wrażeniami! Perikles w jednéj z swych mów publicznych do niewiast ateńskich powiedział te słowa, aby się tak sprawowały, iżby ani w złym, ani w dobrym sensie o nich nie było mowy pomiędzy mężczyznami. Otóż Zosia zapewne będzie wedle téj reguły! Osoba taka w epopei nie jest błędem, owszem bez Zosi *Pan Tadeusz* straciłby bardzo wiele uroku, ale jeżeli oprócz Telimeny i Zosi nie ma w *Panu Tadeuszu* żadnéj kobiety, którąby udział brała w głównych wypadkach, to spytać się godzi: czy w Litwie w r. 1811 nie było żadnych innych kobiét, oprócz kokietek i cichych niedorosłych parafianek? Czy to panienka na Litwie, wyszedłszy z lat Zosi, stawała się zaraz podobną Telimenie? To być nie mogło! przecięż żona, matka, gospodyni, matrona! Wprawdzieć jest jeszcze jedna kobiéta w *Panu Tadeuszu*, tj. piękna i nieszczęśliwa matka Zosi, Ewa, ale ta żyje już tylko w wspomnieniu, nie występuje w epopei, a zresztą i ona jest tylko bierną figurą, bez woli i energii, można ją kochać, ale trudno się po niéj czegoś spodziewać. Tak więc, Mickiewicz, który w ogóle tylko w Grażynie stworzył ideał kobiéty bohatérki, w *Panu Tadeuszu* ko-

biéty przedstawił w niekorzystném świetle i uchybił prawdzie, bo jéj w całości nie przedstawił. Może to tak tylko przypadkowo? bez intencyi? Na to trudnoby się zgodzić; Mickiewicz od czasów Wileńskich, a mianowicie od pierwszéj miłości swojéj, po napisaniu już Grażyny, która poczęciem swojém wyprzedza cały romantyczny zawód Mickiewicza, miał o kobiétach dość niepochlebne zdanie. Gustaw szukał niebianki, znalazł ziemiankę, i odtąd Mickiewicz przez wiele lat zdaje się więcéj w kobiécie nie szukał i nie znajdował nad to, co Lamartine o kobiécie powiada: Aimer, prier, chanter, voilà toute une vie! Być może, że i wpływ Byrona miał w takiéj opinii udział, bo u Byrona również kobiéty, z małemi wyjątkami, jak Gulnara w *Korsarzu*, są bez inicyatywy, bez wyższych aspiracyj, miłe istoty, ale próżne czynu.

Świat męski jest w *Panu Tadeuszu* bogato reprezentowany, szczególniéj generacya starsza, z młodszéj generacyi jest tylko hrabia i Tadeusz, ale mogą oni wystarczyć na to, aby uwydatnić czas przejściowy pomiędzy starém a nowém społeczeństwem, szczególniéj Tadeusz nie mógł jeszcze dosięgnąć doskonałości młodéj generacyi współczesnéj poecie, bo od niéj o lat 10 starszy. Główną osobą, *pomimo tytułu*, jest X. Robak, nie jest on typową figurą, jest to charakter wybitny i bardzo oryginalny, pytanie tylko, czy jest w nim prawda życia? On, który był postrachem panów kiedy się gniewem uniósł, on, który z obrażonéj dumy i nienawiści zabił ojca swéj kochanki, który w opinii swoich ziomków uchodził za spanoszonego przez Targowicę renegata, on spodlony nałogiem pijaństwa i pogardą ludzi naraz się przemienia: z dumnego staje się pokornym mnichem, poświęca się jedynie służbie kraju, idzie na grad kul, na wygnanie, do lochów więziennych,—i nie szuka ztąd zasługi i chwały, wypiéra się wszystkich pociech, nawet szczęścia ojcowskiego, bo własnego syna swego nigdy już od czasu pokuty nie uścisnął, byleby dokonać expiacyi swego czynu. Ten charakter jest w *Panu Tadeuszu* przeprowadzony z wielką znajomością serca ludzkiego i z konsekwencyą, jednakże—jest w nim pewien dualizm! jest coś niewytłómaczonego, coś zagadkowego w tém, że chyba nadludzka siła zdolna jest do takiego zaprzania się, i ztąd w charakterze Jacka jest coś jakby nadludzkiego. My tylko widzimy fakt, a ten fakt trudno nam po ludzku sobie wytłómaczyć, że dawny Jacek zupełnie przepadł, a z jego duszy pokutniczéj urodził się Robak! *Jest tu w tém coś nie-epicznego* a jeszcze wyraźniéj powiedzieć trzeba to, co nam późniéj więcéj się rozjaśni, że w charakterze Jacka Robaka w rzeczywistości są dwa żywioły: jeden jest romantyczny, drugi klasyczno-epiczny. Dwie te połowy nie zlały się w jedno! Na łożu śmiertelném o swo-

jéj młodości i o swojéj pokucie mówi w zwrotach romantycznéj szkoły, w urywanych obrazach, które w półświetle zostawia gdzie niejednego tylko domyśléć się można. W epopei zaś tego rodzaju zagadkowe opowiadania są dysonansem: dla nas są one na pierwszą chwilę niejasne, a z obecnych przy łożu śmiertelném to tylko klucznik Gerwazy

dzieje Horeszków znający dokładnie
Całą tę powieść chociaż splątaną bezładnie
Porządkował w pamięci i dopełniać umiał,
Lecz sędzia wielu rzeczy zgoła nie rozumiał.

Ten ostatni wiersz jest wymowną skargą przeciw nieepicznemu charakterowi Jacka umiérającego. W ogóle i cała pieśń, w któréj jest mowa o śmierci Jacka, bardzo *mocno odstępuje od charakteru całego poematu*: jest to pieśń, pełna lirycznych i romantycznych zwrotów, wsunięta w epopeę, widać tu jakiś gorączkowy niepokój, który poetę wyrzucił z kolei epicznego opowiadania, — i widać wiele wewnętrznych walk duszy, które są obce epice. I to nas prowadzi do zagadnienia najgłówniejszego: jak się zrodziła myśl napisania *Pana Tadeusza*? zkąd poeta wziął rzecz, którą tak pięknie skréślił?

Wiadomo, że Göthego do napisania Hermana i Doroty (wzmianka samego Mickiewicza zniewala nas do odwoływania się znowu do tego utworu Göthego) natchnęła mała książeczka: „Das liebthätige Gera gegen die Salzburgischen Emigranten, das ist kurze und wahrhafftige Erzählung wie dieselben in der Gräflich—Reuss—Plauenschen Residenzstadt angekommen, aufgenommen und versorgt“ i t. d. Leipzig 1732. Wiadomo także, że Göthe w téj krótkiéj i prostéj powieści bardzo mało zmienił, bo głównie tło historyczne i lokalne. Gdyby coś podobnego zaszło z Mickiewicza *Panem Tadeuszem* byłaby odpowiedź na powyższe pytania bardzo prosta i chodziłoby tylko o porównanie historyi prawdziwéj z treścią poematu. Ale tu rzecz się ma inaczéj. Mickiewicz czerpał z życia, z własnych wspomnień i wrażeń, z zasłyszenia! Należy tego dochodzić. Zacznijmy od tego, kiedy Mickiewicz pisał *Pana Tadeusza* i wśród jakich okoliczności? O czasie napisania *Pana Tadeusza* różne są powieści w obiegu. Mówią jedni, że go Mickiewicz układał w Rzymie, jest wiadomość, że zaczął układać w Łukowie (1), inna że w Szyptowie w Poznańskiém.

(1) W listach Mickiewicza do listu z Drezna r. 1832 pisanego do hr. Józefa Grabowskiego w Łukowie do słów poety: „Stałem się *Schreibmaschine* i przez całe te kilka

Jest w tém wszystkiém trochę prawdy, ale faktycznie ma się rzecz nieco inaczéj. O tém, kiedy Pan Tadeusz był pisany, mamy właśnie w listach Mickiewicza tak dokładne wiadomości, że co do pięciu pierwszych pieśni niemal powiedzieć byśmy mogli którego dnia ten, lub ów ustęp był pisany. Najdawniejszy ślad (1) jest z 8 Grudnia r. 1832 (zatém po wyjściu 3-éj części *Dziadów*), pisze Mickiewicz z Paryża do Odyńca do Drezna: „Piszę teraz poemat szlachecki *w rodzaju Hermann i Dorothea Goethego*, już ukropiłem 1000 wierszy“ (pieśń I zawiera 970 w.) „Podoba się szlachcie tutejszéj.“ Ale w niezbyt pomyślnym czasie zaczął pisać poemat, bo w ciągłych prawie zgryzotach. „Duch poetycki czuję w sobie, ale tyle miałem zgryzot z wiadoméj tobie przyczyny, tyle kłopotów, korekty i prócz tego różnych bazgrań, rozprawek, artykułów, projektów, że sam nie wiém, jak czasem mogę kilkanaście wierszy skleić.“ W pięć blisko tygodni póżniéj pisze 12 Stycznia 1833 do Stefana Garczyńskiego: „Piszę powoli poema sielskie: mam już prawie całe *dwie wielkie pieśni*.“—28 Stycznia 1833 pisze do Odyńca: „Przepisuję Giaura i z wielkim żalem musiałem zawiesić szlacheckie poema.“ W Kwietniu 1833 pisze do Garczyńskiego: „Wróciłem teraz do wiejskiego poematu (zatém 3 miesiące przerwy!), który jest na dzisiaj mojém pieszczoném dzieckiem i który pisząc zdaje mi się, że siedzę w Litwie. Gdyby nie Giaur, jużbym go był skończył.“ — 6 Maja pisze do St. Garczyńskiego: „Skończyłem *trzecią pieśń* Pana Tadeusza: zanosi się na długą chryję, dotąd dosyć dobrze się udaje. Gdyby nie tyle przeszkód! gdyby choć jeden tydzień przeszłoroczněj ciszy“ (mówi o czasach Drezdeńskich). Po pieśni III *szybko* napisał prześliczną pieśń IV; już 23 Maja pisze do Odyńca: „oprócz postronnych mimojazdowych pisań kropię moje poema, którego pieśń IV *dziś kończę*. Żyję tedy w Litwie, w lasach, w karczmach ze szlachtą, żydami...“ Po napisaniu pieśni IV znów nastąpiła (jak się zdaje) przerwa, kłopot o Garczyńskiego odbiérał poecie chęć do pisania. 9 Lipca pisze do Odyńca z Bex w Szwajcaryi: „Tadeusza dotąd nie dośpiewałem. Na nieszczęście nie wiém, czy tu będę miał humor pisać daléj. Wszakże mam już ³/₄ poematu najdłuższego, jakim napisał.“ Nie miał wtedy jak 4 pieśni i może pieśni V-éj początek, więc pierwotnie *Pan Ta-*

---

tygodni pióra z ręki nie wypuszczam“ znajduje się przypisek tegoż hr. Grabowskiego: „Właśnie pisał Adam w Dreźnie *Pana Tadeusza*, którego myśli i *początek* powziął w Łukowie.“

(1) Mowa tu o listach Mickiewicza. Wedle powieści J. B. Zaleskiego, poeta zaczął pisać *Pana Tadeusza* we Wrześniu 1832 (Czas 1874. Nr. 285).

deusz, jak się zdaje, był na 6 pieśni obliczony. Dalsza wiadomość jest dopiéro z Listopada r. 1833 (zatém 5 miesięcy przerwy!); pisze do Odyńca już po śmierci Stef. Garczyńskiego: „Piątą pieśń Tadeusza skończyłem, trzy jeszcze pozostają,“ więc w Listopadzie obliczał poemat na 8 pieśni! Odtąd praca szybko postępowała: już w Lutym 1834, zatém w 3 miesiące po napisaniu 5-éj pieśni, donosi poeta Odyńcowi o skończonym poemacie: „Ja tu żyję prawie samotny z ludźmi, coraz mi trudniéj, a im mniéj ich widzę, tém lepiéj mnie. Przekonywam się, że się nadto żyło i pracowało dla świata, tylko dla pustych pochwał i celów drobnych. Zdaje mi się, że nigdy już pióra nie użyję na fraszki. To tylko dzieło warte czegoś, z którego człowiek może się poprawić i mądrości nauczyć. Możebym i Tadeusza zaniechał, ale już był bliski końca. Więc skończyłem wczoraj.“ (Szkoda że w dacie dnia nie wymieniono!; wedle B. Zaleskiego, w odcinku do Czasu 1874 Nr. 287, było to „w połowie Lutego.“) „Pieśni ogromnych dwanaście. Wiele miernego, wiele téż dobrego. Co najlepsze, to obrazki z natury kréślone, naszego kraju i naszych obyczajów domowych.“ Jeżeli się odliczy 7 lub 8 miesięcy przerwy, to wypadnie, że Mickiewicz napisał *Pana Tadeusza* w przeciągu 7 miesięcy, zatém w mało co dłuższym czasie, jak Göthe Hermana i Dorotę, bo ten pisał 6 miesięcy.

Z przytoczonych powyżéj miejsc widać, że Mickiewicz miał pierwotnie na myśli napisać małą epiczną powieść „w rodzaju Hermann und Dorothea,“ ale że mu pod ręką plan powieści powoli rósł do coraz większych rozmiarów. Być może, że z *Hermana i Doroty* Göthego powziął (jak to było już wspomniano) myśl wprowadzenia księdza jako jednéj głównéj osoby do swego poematu; aby zaś zrozumiéć, dla czego w osobę tę duchowną tchnął tak silną, namiętną, ale i wielką duszę, aby zrozumiéć, dla czego wzniósł ją do téj wysokości, gdzie przebywa zaparcie siebie samego i bezinteresowna miłość innych, na to potrzeba obejrzéć się w życiu poety i w wypadkach, które napisanie *Pana Tadeusza* wyprzedziły: Mickiewicz, jak inni wielcy poeci, wcielał w poezye swoje samego siebie i ducha czasu, w którym żył, i tu w *Panu Tadeuszu* zapewne cząstkę swéj duszy zostawił i pomnik tych myśli, które zaczerpnął z osobistych wspomnień i ogólnych wypadków. Trzeba nam tu, aby myśl naszę wyłuszczyć, cofnąć się w rychlejszy zawód poetycki Mickiewicza.

Mickiewicz jest wybitnie epicznym poetą, pieśni mało napisał, i choć do dramatu miał wiele talentu, to jednakże on sam o swoich zdolnościach w tym punkcie inaczéj sądził. Odyniec w listach swoich z podróży pisze do Juliana Korsaka, że w Darmsztacie Adam

mówił mu, z powodu przedstawionéj w teatrze *Braut von Messina*, bardzo obszernie o dramatyczności historyi polskiéj i wyliczał wiele tematów dramatycznych i po Szekspirowsku je szkicował, a kiedy go Odyniec zagadnął, czemu dramatów nie pisze, odpowiedział, *że sił w sobie na to nie czuje.* Widoczna to zresztą jest rzecz, jak w poezyach Mickiewicza epiczny żywioł góruje. Napisał trzy większe poemata epiczne: *Grażynę*, *Konrada Wallenroda* i *Pana Tadeusza*. *Grażyna* poczęta jest w duchu szkoły klasycznéj, wyprzedziła ona tę chwilę, kiedy poeta stanowczo począł szukać wzorów i natchnienia w poezyi angielskiéj, a przedewszystkiém w mistrzu swoim Byronie. Na dowód tego, chciałbym na jedno miejsce w jednym z jego listów zwrócić uwagę. List ten, z Wilna pisany do Franc. Malewskiego w Berlinie, jest wprawdzie bez daty, ale że jest w nim mowa o drukowanych już balladach, tj. pierwszym tomiku poezyi, i że tam Mickiewicz projektuje sobie podróż do Warszawy, bo „tu (dodaje) zwłaszcza *nowych Dziadów* drukować niepodobna,“ więc wnoszę, że pisany był już po wydrukowaniu 2-go tomiku poezyi, w którym była *Grażyna* i IV-ta część *Dziadów*, a właśnie o to tu chodzi. Wyjątek ten brzmi tak: „Zresztą żyję prawdziwie po literacku, dyszę tylko rymami, tj. czytam i karmię się... Po Germanomanii nastąpiła Brytanomania, cisnąłem się z dykcyonarzem w ręku przez Szekspira jak bogacz ewangieliczny do nieba przez uszko od igiełki, za to teraz *Byron idzie daleko łatwiéj i już bardzo znacznie postąpiłem.*“ Więc angielska poezya nie wpływała na dwa pierwsze tomiki, a zatém téż i na *Grażynę*, i dlatego tu Grażynę pomijam. Co się zaś tyczé *Konrada Wallenroda*, to nietrudno w tym gorączkowym poemacie dopatrzéć się silnego, pierwszego wpływu Byrona. Sam charakter Konrada Wallenroda jest Byronowski, złożony z pogardy wszystkiego, co w życiu ludzkiém jest normą i z miłości dla wybranéj istoty,—i ztąd w nim ta sama dwoistość, która jest w charakterach Byrona: dzikość i czułość. Być może, że *Korsarz* Byrona natchnął Mickiewicza, bo ów tytułowy bohatér ma także imię Konrada i także podstępem uśpił czujność swego najzaciętszego wroga a następnie go zdradził, może i z innych Byronowskich utworów płynęły do Konrada Wallenroda efektowe motywa, np. krzyk Aldony w chwili śmierci Konrada Wallenroda przypomina krzyk Paryzyny na widok ścięcia występnego kochanka, pasierba Hugona. W każdym razie charakter Konrada Wallenroda przypada o wiele więcéj do pesymistycznego Byrona na świat poglądu, aniżeli do zasad odwiecznéj prawdy. Że polityczna myśl przyświecała poecie, kiedy pisał *Konrada Wallenroda*, to nie ulega wątpieniu, ale ideał bohatéra patryoty nie wzniósł się wyżéj nad dumne pogwałcenie praw ludzkich i boskich, bo mał-

żonek składa tu śluby zakonne, patryota staje się dobrowolnym renegatem, przez podstęp chce dojść do spełnienia wyniosłego zadania. Taki poemat mógł tylko powstać pod wpływem Byrona. Zobaczymy niebawem, że Robak w myśli poety miał stanąć o wiele wyżéj jako bohatér epopei, bo przez zaparcie się, cierpienie i poświęcenie służy ogółowi. Ale zanim Konrad Wallenrod mógł przemienić się w Jacka-Robaka, poeta sam przez wielkie przechodził wewnętrzne przesilenia.

Od *Konrada Wallenroda* Mickiewicz przez długi czas nic nie pisał („zleniwiała Muza,“ jak mówił). Wesołe życie petersburskie, wrażenia, których doznawał, wpływy St. Martinizmu, którym ulegał, wyziębiały w nim ciepło wiary i poezyi, stawał się mistykiem. Wrażenia podróży po Niemczech i Włoszech nie natchnęły go jak Byrona w Child-Haroldzie, nie lubił się z wrażeń swoich przed ludźmi spowiadać, ale przyjmował w się wszystko i składał w duszy. Rzym go owionął wspomnieniami przeszłości, ale Mickiewicz nie sięgał nigdy w zawodzie poetyckim po internacyonalne temata, wszystkie myśli i aspiracye poetyczne zawsze zwracał ku Litwie. Przyszła wiadomość o wybuchu powstania w kraju, niepokój go ogarnął, po długiéj przewłoce wybrał się do X. Poznańskiego. W Dreźnie spotkał się r. 1832 z emigracyą: tu go owiała atmosfera lamentów, krzyków, rekryminacyi, wszyscy wszystkich oskarżali o nieszczęście, jakie na kraj sprowadziło powstanie. Tu w Dreznie, wśród tak niezwykłych okoliczności, poczuł w sobie znowu natchnienie poetyczne: zaczął znów tłomaczyć *Giaura* przypadkowo, czekając u Odyńca na powrót przyjaciół z teatru; w czasie tego zajęcia, raz w kościele modląc się „poczuł jakby się nad nim bania poezyi rozbiła,“ jak mówił do Odyńca, który o tém pisze do Luc. Siemieńskiego. Porzucił *Giaura* i wziął się do *Dziadów*, napisał Improwizacyą. Ta „Improwizacya Konrada,“ napisana przez jednę noc, wedle opowiadania Odyńca, a napisana w stanie jakiegoś niezwykłego zachwytu, po którym, jak nieżywy rzucił się do snu na ziemię,—to była rozmowa z Bogiem prawdziwie Byronowska. Ale była to *ostatnia emanacya Byronowskiego ducha w Mickiewiczu!* Odyniec pisze w liście do Siemieńskiego: „Mickiewicz sam mi mówił, że sam uważa tę scenę jako punkt zwrotnikowy Byronowskiego kierunku w poezyi, to jest w którym szał pychy rozumu dosięga ostatecznych swych granic, i tylko pokorna wiara i chrześcijańska miłość brata Piotra broni go od ostatecznego upadku i zguby“ (L. Siemieński Religijność i mistyka w życiu i poezyach Adama Mickiewicza Krak. 1871 str. 148). Wyznanie to jest ważne, bo pokazuje koniec epoki Byronowskiej w zawodzie poetycznym Mickiewicza.

Skoro przesilenie minęło, nastąpić musiała reakcya przeciw „Brytanomanii,“—więc pytanie zachodzi, jaki ideał stworzył Mickiewicz, któryby był wyższy od ideałów Byronowskich? Jakaż mogła być expiacya dawnéj dążności? Jacek Soplica jest tą expiacyą! Bajronowska figura, wiarołomca jak Alp w *Oblężeniu Koryntu*, przemienia się w nową postać, w postać pokutnika. Ideał bohatéra, który w młodszych latach tylko po bajronowsku grzeszył, *w negacyi* był wielki, poświęca się teraz wielką miłością, wyrzeka się wszystkiego: znaczenia, ojcowskich uczuć, siebie samego. Ale czemuż nie poświęcił się dla całéj ludzkości? czemuż nie zapragnął iść w ślady św. Franciszka z Assyżu, św. Brunona, lub podobną nie poszedł drogą zaparcia się i poświęcenia? Mickiewicz zawsze zwracał myśl swoję do rodzinnego kraju, jego przemieniony bohatér mógł tylko być patryotą. Warto teraz, abyśmy od téj ścieżki, po któréj śledziliśmy dotąd za przeobrażeniami, przez które duch Mickiewicza przechodził, zwrócili oczy na świat szeroki. Jeżeli zwrócimy uwagę na czas i społeczeństwo, w którém żył poeta, to zrozumimy, że taki bohatér, jak Jacek Soplica, nigdy tak bardzo nie był na czasie, jak po katastrofie r. 1831; w Jacku-Robaku była odpowiedź na to zagadnienie, jak służyć ziomkom i krajowi: z zaparciem się siebie samego, z zupełnem wyrzeczeniem się pychy i miłości własnéj! Poeta chciał może w swoim sposobie spełnić obowiązek, pisząc *Pana Tadeusza*. Jakkolwiekbądź, tkwi w wystawieniu Jacka Soplicy w *Panu Tadeuszu* myśl polityczna, a poeta, idąc za taką myślą, zadał sobie pytanie, w jakich ramach historycznych umieścić swego bohatéra? Otóż tu widać trafne poczucie, że umieścił go w epoce Napoleońskiéj, która już zasunęła się w dość odległą perspektywę, aby o jéj wypadkach powiedzieć można z Schillerem: *Was im Gedicht soll leben, muss im Leben untergehen*. Pan Tadeusz w tym punkcie wyżéj stoi od Hermana i Doroty! Do epoki zaś Napoleońskiéj ciągnęły Mickiewicza dawne sympatye, czego niejednokrotne dawał w życiu dowody, pomiędzy innemi w Rzymie na pierwszéj wizycie u ex-królowéj, wdowy po Ludwiku Bonapartym, wynurzył swoje sympatye dla dynastyi Napoleońskiéj i wiarę swą w jéj historyczne posłannictwo! Być może, że drobna jedna okoliczność przyczyniła się także do tego, iż powieść swoję o Panu Tadeuszu osnuł na tle Napoleońskich wojen, to że, wedle opowiadania W. Cybulskiego, prof. Gauss w Berlinie na publicznéj prelekcyi, w obecności Mickiewicza, wymienił go jako jedynego z żyjących poetów, któryby był zdolny do poetycznego wystawienia Napoleońskich dziejów. Zresztą czytanie Göthego *Hermann und Dorothea*, które obudziło może w Mickiewiczu pierwszą myśl napisania epopei w sielskie ujętéj ra-

my, także obudzało wspomnienie Napoleona. Jednakże z prawdziwym taktem artysty Napoleona samego nie wprowadził na scenę.

Tak więc ogólne i osobiste względy kierowały myśl poety do téj Litwy, jaką zastał Napoleon, człowiek nowéj epoki. Przedstawił więc Litwę starą, schwycił jéj wizerunek zanim skonała. Mickiewicz pewnego razu na obiedzie u ambasadora rosyjskiego w Rzymie, X. Gagarina, mówiąc o starym i nowym Rzymie, uczynił porównanie, że władzcy starego Rzymu toporami liktorów trzebili świat i rum czynili dla rzymskiéj cywilizacyi. To samo rozumiał Mickiewicz o orłach Napoleońskich, że roznosiły nowoczesne idee wywalczone rewolucyą francuską, że przed niemi pierzchały cienie starych społeczeństw i że przed niemi szło światło, choć i w krwawéj łunie. Do Litwy cywilizacya francuska i duch francuski zaglądał już dawniéj, Podkomorzy to pamiętał; ale to był duch przeszłego wieku, co już tylko na rozumie się opiérał i nic więcéj nie wywołał, jak naśladowanie. Teraz, wedle zwolenników kultu Napoleońskiego, przynosiły wojska Napoleońskie idee uniwersalne, idee przyszłości: po niedługim czasie idee te miały świat przekształcić.

Wszystkie dotąd wyliczane momenta *napomykają tylko ogólnie*, jaki mógł mieć plan Mickiewicz, kiedy zabiérał się napisać powieść epiczną, osnutą na tle wypadków epoki Napoleońskiéj, zawsze jeszcze nie mamy odpowiedzi na to pytanie, zkąd poeta wziął rzecz samę i rysy do skréślenia takiego bohatéra jak X. Robak, co w ogóle podało wątek do powieści o *Panu Tadeuszu*? Postać tak wyjątkowa i rzecz tak osobliwa nie mogła być u żadnego poety płodem fantazyi, a tém mniéj u Mickiewicza. Tu znowu muszę wprowadzić samego poetę, mówiącego o źródłach swego natchnienia i o sposobie poetycznego tworzenia. W drodze z Moguncyi do Darmsztadu Mickiewicz z Odyńcem jadąc jednokonnym otwartym powozikiem, uderzeni podobieństwem kraju do Litewskich okolic, zawiązali rozmowę osnutą na dawnych wspomnieniach i zaczęli mówić o poezyi. Wtedy Mickiewicz powiedział, że źródłem poezyi jest tylko *rzeczywistość i prawda*, że z tego źródła czerpie natchnienie najprawdziwsza poezya, to jest ludowa, i t. d. A w innéj rozmowie jeszcze dobitniéj powiedział myśl swoję Odyńcowi, że „nigdy poeta nie powinien pisać, czego wprzód szczerze i mocno nie poczuje, że cała godność i potęga poezyi zależy na tém, aby poeta pisał to, co czuł i co doznał rzeczywiście w życiu, a *nie w myśli tylko wymarzył.*“ Więc czyby właśnie w *Panu Tadeuszu* miała tylko fantazya mieć udział w osnowie powieści i kréśleniu charaterów? Otóż nie! czerpał tu poeta z dwóch źródeł: z powieści głównie Henryka Rzewuskiego i z własnych wspomnień.

Henryk Rzewuski był dawnym Mickiewicza znajomym: odbywali razem podróż po Krymie, spotykali się bardzo często w Petersburgu, gdzie Rzewuski wydał dla Mickiewicza ucztę, i spędzili całą zimę z sobą w Rzymie r. 1830/31; wtedy to bowiem, na jesień r. 1830 spotkali się w Loretto, Rzewuski jadąc do Rzymu, a Mickiewicz w zamiarze puszczenia się na wschód; Rzewuski wybił mu z głowy tę myśl i zabrał z sobą do Rzymu. Był to niezwykły człowiek: arystokrata w duszy a liberał w słowie, filozof z teoryi a katolik z praktyki, lgnął całą duszą do idei zagranicznych, do nowoczesnych progresów, a nikt nie znał dokładniéj tradycyi i powieści z epoki saskiéj; pomimo różnych sprzeczności w swoim charakterze miał wielki dar towarzyski, i kogo nie raziły sarkazmy, złośliwość i przecherstwo, jakich się dopuszczał nawet względem najbliższych sobie, ten nietylko polubił jego towarzystwo, ale i wiele z niego korzystał. Opowiadał z wielkim talentem i z wielkim humorem, Mickiewicz lubił go słuchać i mawiał do niego, pisz jak opowiadasz, a będziesz niepospolitym pisarzem. Z tych opowiadań ogłosił Henryk Rzewuski późniéj (r. 1839) znaczną część, p. t. *Pamiątki pana Seweryna Soplicy*—i z tych opowiadań płynęła także treść do *Pana Tadeusza*, boć Jacek, Sędzia i Tadeusz, są także Soplicami. Czy pomiędzy powieściami, które opowiadał Rzewuski, była powieść podobna do biografii Robaka? Być może, choć nie potrzeba takiego przypuszczenia robić, bo i tak z wiadomych danych rzecz się dostatecznie objaśnia. Pomiędzy *Pamiątkami Pana Seweryna Soplicy* a *Panem Tadeuszem*, nie ma wprawdzie takiego związku, żeby powiedzieć można, że opowiadania Soplicy dostarczyły treści Mickiewiczowi, ale jest ten sam duch, są ci sami ludzie, tylko że pomiędzy poetą a jego wzorem taki stosunek zachodzi, jaki powinien zachodzić wedle Schlegla: tj. że poeta powinien w szczegółach swój wzór zapomnieć. Więc tylko lekkie wspomnienia spotkać się dadzą, np. charakterystyka Rykowa jest podobna do charakterystyki Wojejkowa w *Pamiątkach*, tu i tam wzmianka o żółtéj księdze, tu i tam ten sam obyczaj w domu i w towarzystwie, tu i tam to samo gadulstwo, ta sama pochopność do korda, do polowania i do pieniactwa, takie same spory graniczne, to samo przekręcanie obcych nazwisk, a nawet nie bez uśmiechu spotka się w *Pamiątkach* wzmianki o tém, że Mickiewicze mają w herbie mitrę książęcą, o czém także w karczmie u Jankiela słyszymy. Co się zaś specyalnie tycze osób *Pana Tadeusza*, to mają one podobieństwo do osób, o których pan Seweryn Soplica opowiada, jak bracia rodzeni; te same figury z palestry, dworków szlacheckich i zaścianków i ci sami rezydenci po dworach wielkich panów, często w Polsce spotykana klasa ludzi; Wojski np. wzrósł od

dzieciństwa w domu Tad. Rejtena i łączy niejako jedno towarzystwo z *Pamiątek* z drugiém w *Panu Tadeuszu*. Co się tycze samego sędziego, to gdyby nie ta drobna okoliczność, że sędziemu niepodobna w r. 1811 liczyć lat 78, toby można przypuszczać, że Mickiewicz miał na myśli samego Seweryna Soplicę (ur. 1733), młodość jego, którą zaraz przy pierwszéj wieczerzy opowiada, przypomina potroszę to, co „pan Seweryn" mówi w rozdz. VI o sobie i o panu Ogińskim, wojewodzie Witebskim, który byłby w myśli poety ojcem podkomorzego.

Ale bez porównania więcéj w treść *Pana Tadeusza* napłynęło osobistych wspomnień poety. Zwykle wielcy poeci składają w swoje poezye swoich marzeń kwiaty, swoich myśli przędzę i swego życia dzieje. Byron w Child-Haroldzie, w Manfredzie, w Don Juanie wyspowiadał się z wszystkiego przed czytelnikiem. Göthe, który każde w życiu doznane wstrząśnienie zrzucał z siebie, składając rzecz w formy poetyczne, opowiadał o sobie w Wertherze, w Clavigo, w Fauście, w Fernando, w Torquato Tasso. Tylko że poeta zawsze jest śmiertelnikiem, i dając folgę naturze ludzkiéj, zawsze coś w sobie zachowa przed światem, więc Byron, który w rzeczywistości nie umiał panować nad sobą, swoich bohatérów obdarza niezwykłą siłą, Göthe, który pomimo całéj wrażliwości charakteru zawsze odzyskiwał równowagę ducha i władzę woli nad polotem żądz i marzeń, dawał swym bohatérom nadmiar imaginacyi i pragnień, a nie dawał woli. Mickiewicz, stale szlachetnym oddany dążeniom i cicho pełniący cnotę, lubił się wcielać w bohatérów gwałtownéj dumy i imaginacyi, tylko że, wyjąwszy *Dziadów*, tak starannie swoję osobę w poezyi ukrywał, iż tylko bliżsi przyjaciele odgadywali, co poezya a co rzeczywistość. W *Konradzie Wallenrodzie* poezya przemaga, w *Dziadach* jest czysta rzeczywistość, w *Panu Tadeuszu* wspomnienia osobiste utonęły w formach poezyi. Jednakże wiemy już *dziś*, *że Jacek Soplica jest samym poetą.* Niedawno temu osoba, która była przedmiotem uwielbienia Mickiewicza i którą Mickiewicz w *Panu Tadeuszu* nazwał Ewą, sama uczyniła wyznanie téj miłości i dała tym sposobem powód do ogłoszenia przez autorkę Kroniki Paryskiéj w Bibl. Warszawskiéj z r. 1871 jednéj z najciekawszych kart z życia Mickiewicza i do niektórych dopełnień Odyńca w téмże czasopiśmie. Wspominając tu rzecz tę, która stanowi jednę z głównych nici w poetycznéj tkaninie *Pana Tadeusza*, nazywamy za przewodem innych interesowaną osobę Ewunią a rodziców jéj państwem Skarbek. W Rzymie r. 1829 na 1830 Mickiewicz poznał dziewicę, któréj drugie imię było Ewa, jedynaczkę, córkę bogatego, światłego, ale dumnego magnata, hr. Skarbka: osobę młodziuchną, na ówczas z ja-

snym włosem, niebieskiem okiem; Mickiewicz porównywał ją do Drezdeńskiéj Magdaleny Correggia; Odyńca uderzyło w niéj „podobieństwo do Maryli (Wereszczakówny, pierwszéj kochanki Mick.) nie z pojedyńczych rysów, ale z ogółu, z wrażenia całéj fizyonomii" (Kron. Rodzinna r. 1873. Nr. 4). W pannie Ewie odezwało się odrazu uczucie żywéj sympatyi dla poety, którego znała z niektórych poezyj. Mickiewicz bywał w domu państwa Skarbków często i widział w sobie i w pannie Ewie wzmagające się uczucie miłości: odbywali częste wycieczki do Tivoli, Subiaco, Frascati, Albano; na tych spacerach Mickiewicz wzrokiem, słowem, nieodstępném towarzystwem, dawał jéj dowody swych uczuć, ona przyjmowała je zapłoniona z rozmarzeniem. Na jednéj z takich wycieczek wpisał jéj w *notes* ów prześliczny wiersz:

Gdybym się zmienił w wstęgę złocistą
Co na Twem czole połyska i t. d.

Mówili dawniéj w Polsce, że cztery rzeczy w domu się nie ukryją: dym, kaszel, gniew i miłość. Nie uszło baczności hrabiego, że córka i Mickiewicz w sobie zakochani, ale w dumie swéj udawał, że się niczego nie domyślał, pozwalał na to, że Mickiewicz dawał córce lekcye języka polskiego, ale rozumiał, że córka i żona nie pomyślą o związku hrabianki z prostym szlachcicem; matka jednakże zanadto córkę kochała, a geniusz Mickiewicza zanadto wielbiła, aby mogła domyślać się takich supozycyj męża. Hrabia spostrzegł, że miłość się wzmaga: na wiosnę, zapowiedział wyjazd z Rzymu, do kraju: „trzeba córkę wydać za mąż," powtarzał z przyciskiem. Panna Ewa po nocach płakała. 4-go Maja 1830 wyjechali państwo Skarbek z Rzymu, kochankowie smutno żegnali się bez nadziei zobaczenia się. Mickiewicz pojechał do Neapolu, gdzie napisał znany wiersz z tęsknoty za panną Ewą, naśladowany z Göthego:

Znasz-li ten kraj, gdzie cytryna dojrzewa,
Tam mi był raj, pókiś Ty ziemną była.

Ciężko mu było myśléć o tém, że jéj nigdy zobaczyć nie ma. Ale losy inaczéj zrządziły! Ojciec hrabiny umarł, hrabia zmienił plany, żonę strapioną zawiózł do Paryża, a po wybuchu rewolucyi Lipcowéj do Genewy. Tu znowu spotkali się kochankowie i spędzili razem dwa miesiące w najdobrańszém towarzystwie, do którego należeli Bonitetten, Sismondi, Z. Krasiński. Hrabia z obowiązku gościnności z uprzejmością przyjmował w domu swoim Mickiewicza. Przy końcu Października hrabia opuścił Genewę i w drodze do Rzymu zatrzymał się w Medyolanie. Tu znowu znalazł się Mickiewicz. Wtedy hrabia wybuchnął długo tajonym gniewem, żądał od żony, aby

mu powiedziała, że jego zabiegi są daremne. Hrabina na to odpowiedziała: „powiedz mu to sam, z moich ust to nie wyjdzie. Godziż się lekceważyć tak potężny geniusz? Pragniemy szczęścia córki, on jedyny ją uszczęśliwić może.“ „Nigdy, odpowiedział hrabia, wolałbym ją widzieć na marach.“ Hrabina się rozchorowała, hrabia zwolniał, Mickiewicz znów bywał i znów odbywały się u państwa Skarbków literackie wieczorki, ale w ojcu nigdy nie zamarło uczucie dumy i uprzedzeń, postanowił koniec położyć wszystkiemu. Wywiózł nagle żonę i córkę na niepotrzebną w zimnéj porze wycieczkę do Como, Mickiewicz zrozumiał położenie rzeczy i wyjechał z Medyolanu, zostawiając list do hrabiny z pożegnaniem i doniesieniem, że z Ankony pojedzie na wschód. W Loretto spotkał się z H. Rzewuskim, który wybił mu z głowy podróż na wschód i zabrał z sobą do Rzymu. Tu znowu spotkał się Mickiewicz z państwem Skarbek i przepędzał z nimi i w ich domu zimę w liczném i dobraném towarzystwie. Wszyscy się tu spotkali w tych samych co dawniéj uczuciach, tylko w większém ich naprężeniu, bo nikt nie czynił kroku stanowczego: było milczące zawieszenie broni. 5 Lutego r. 1831 byli kochankowie razem w kościele ś. Piotra na uroczystości pierwszego błogosławieństwa papieża Grzegorza XVI, trzy dni przedtém obranego i proklamowanego. Stali przy sobie. Kiedy papież zwrócił się w ich stronę, wtedy Mickiewicz pochwycił Ewunię za rękę i rzekł: „najwyższy pasterz kościoła nas pobłogosławił, jesteśmy połączeni.“ Ewunia się przeraziła, ale odtąd uważała się jakby duchowo zaręczona z Adamem. Matka widząc, jak wypadki polityczne wielkie na hrabi czynią wrażenie, chciała mu wspomnieć o Mickiewiczu i córce, sądziła że teraz myśl o ich związku byłaby mniéj wstrętna hrabiemu, ale córka sama błagała o milczenie: „niech ojciec się rozgniéwa (mówiła) i ztąd nas wywiezie, wtedy się wszystko skończy!“ I *tak* się skończyło! Mickiewicz wyjechał do Xięstwa Poznańskiego, dnia 20 Kwietnia 1831, i odtąd nigdy panny Ewy nie widział!

Taka jest relacya o nieszczęśliwéj miłości Mickiewicza, podana przez samę Ewunię autorce Kroniki Paryskiéj w Bibl. Warsz. 1871, I. W skutek tych rewelacyj Odyniec ogłosił dopełnienia, na które nastąpiły jeszcze dodatkowe opowiadania w II zeszycie na r. 1871 str. 309. Z jednéj i drugiéj strony słyszymy zapewnienie, że miłość Mickiewicza do Ewuni *zepsuły względy fałszywéj dumy*. Odyniec pisze: „Jak nigdy cień interesowanéj rachuby nie skaził uczuć, ani myśli Adama, tak pierwszy cień dostrzeżonych przezeń w tym względzie podejrzeń był niestety pierwszą przyczyną owéj zimnéj i hardéj dumy z jego strony, któréj wpływ.... musiał też oddziaływać jątrząco..... i o to wszystko się rozbiło!“ Na to odpowiedź z drugiéj strony brzmi

tak, że zdaje nam się tę samę myśl słyszéć: ...„hrabia nie wierzył w stałą miłość poetów. Sądził i powtarzał często, że w wiecznéj pogoni za ideałem, nie umieją oni zgodzić się z prozą życia, że miłość ich nie wytrzyma próby w małżeństwie.... Gdyby szlachetna, ale *zbyteczna duma Adama* nie stanęła tu w poprzecz, gdyby obawa, by go nie posądzano o kłanianie się magnatowi, nie wstrzymała go od pokłonu, jakiego ojciec miał prawo domagać się, byłby złamał uprzedzenia hrabiego i otrzymał Ewunię.“ To wspomnienie miłości prawdziwie poetycznéj wystawił poeta w *Panu Tadeuszu* w stosunku Jacka do Stolnika, co w wspomnianém miejscu w Bibl. Warsz. wyraźnie jest napomknięte, nam tu na kilka miejsc w *Panu Tadeuszu* wypadnie zwrócić uwagę:

X. Robak opowiada w pieśni X:

„Wszak wiész Gerwazeńku, jak Stolnik zapraszał
„Często mnie na biesiady, zdrowie moje wznaszał“.....

podobnie hrabia przyjmował Mickiewicza u siebie z odznaczeniem, zdawał się szczycić jego przyjaźnią, w wigilią Bożego Narodzenia roku 1829 na wieczerzy wzniósł jego zdrowie. Na innéni miejscu:

Żeby już raz otwarcie był mnie zrekuzował....
Ale on chytrze dumny, wpadł na koncept nowy,
Udawał że mu nawet nie przyszło do głowy
Żeby ja mógł się starać o związek takowy,

taka sama relacya jest w zwierzeniach Ewuni, powtórzonych w Bibl. Warsz. co do postępowania hrabiego względem Mickiewicza. Na innéni znowu miejscu:

Soplicy Horeszkowie odmówili dziéwkę
Że mnie Jackowi czarną podano polewkę.

z tém miejscem jest w ścisłym związku następujące:

Blédna słysząc o moim odjeździe pobladła,
Bez przytomności, ledwie że trupem nie padła,
Nie mogła nic przemówić, aż się jéj rzuciły
Strumieniem łzy — poznałem jak byłem jéj miły,

daléj opowiada Jacek, jak do łez był wzruszony, chciał Stolnikowi upaść do nóg, ale ten

Zimny jak słup soli, grzeczny, obojętny,
Wszczął dyskurs, o czém? o czem? o córki weselu!
.....Stolnik rzekł: Panie Soplica
Właśnie przyjechał do mnie swat Kasztelanica,
Ty jesteś mój przyjaciel! cóż ty mówisz na to?

W rzeczywistości miała się rzecz inaczéj, ale tylko co do formy, wyraźne tu są jednak aluzye do wyrachowanego wyjazdu z Rzy-

mu w Maju r. 1830: hrabia umyślnie Rzym opuścił, aby zerwać stosunek między córką a poetą, zresztą wszystko tak, jak było faktycznie: i łzy córki i wzmianki hrabiego o tém, że czas córkę wydać za mąż w kraju.

Najprawdziwszy, bo wprost z natury wzięty jest portret Ewuni:

> Ach nieraz przy kieliszkach, gdy się tak rozrzewniał,
> Gdy mię tak ściskał i o przyjaźni zapewniał.....
> Gdy musiałem nawzajem ściskać go uprzejmie,
> To tak we mnie złość wrzała i t. d.
> Ale Ewa zważając mój wzrok i mą postać
> Zgadywała, nie wiém jak, co się we mnie działo,
> Patrzyła błagająca, lice jéj bledniało,
> A był to tak piękny gołąbek, łagodny,
> I wzrok miała uprzejmy taki! tak pogodny!
> Taki anielski, że już nie wiém, już nie miałem
> Odwagi zagniewać ją, zatrwożyć, milczałem
> Ja wtenczas....

albo na inném miejscu:

> ......Tak ją rodzice pieścili,
> Słaba, lękliwa! był to robaczek motyli,
> Wiosenna gąsiennica!.....

Podobnie jak w rzeczywistości, tak i w poemacie zerwały związek dwóch serc duma ojca i kochanka. Słyszeliśmy, że zbyteczna duma Adama stanęła w poprzecz, nie chciał się pokłonić magnatowi, a wedle téj samej relacyi chciał swoję równość pokazać hrabiemu, kiedy w Genewie na nowo kupionym zégarku mitrę książęcą Mickiewiczów Porajów wyryć kazał. I Jacek o dumę się oskarża:

> Ileż to razy chciałem serce mu otworzyc
> I już się przed nim do próśb upokorzyć,
> Lecz spojrzawszy mu w oczy, spotkawszy wejrzenia
> Zimne jak lód, wstyd mi było mego wzruszenia,
> Spieszyłem się znowu jak najzimniéj dyskurować
> O sprawach, o sejmikach, a nawet żartować.
> Wszystko to prawda z *pychy*, żeby nie ubliżyć
> Imieniowi Sopliców, żeby się nie zniżyć
> Przed *panem* prośbą próżną, nie dostać odmowy.

Mickiewicz ostatni list do hrabiny Skarbek pisał r. 1834, posyłając dla Ewuni exemplarz *Pana Tadeusza*, wszystkie miejsca w opowiadaniu Jacka, które były alluzyą do miłości Mickiewicza dla Ewuni, były ręką poety ołówkiem naznaczone. Zrozumiał je hrabia. Pewnego razu, jak pisze Odyniec w Bibl. Warsz. wziął go hrabia za rękę (było to w Dreźnie) i rzekł: „No cóż Panie Edwardzie? Pan Adam opisał mię w Stolniku,“ a gdy Odyniec zmięszany chciał coś

odpowiedziéć, dodał: „Daj pokój, stało się. Mogło się stać inaczéj. Każdy ojciec ma przecięż prawo, aby mu się o córkę kłaniano.“ W odpowiedzi niejako na opowiadanie Odyńca pisze znowu autorka Kroniki w Bibl. Warsz. na miesiąc Maj r. 1871 poinformowana z najlepszego źródła: „*Pan Tadeusz* wielkie na nim (hrabi Skarbek) zrobił wrażenie. Czytał go i odczytywał po kilkakroć.... Pięknie mię téż opisał! Co on téż ze mnie zrobił! rzekł jednego razu zasępiony, trzymając książkę w ręku.“ Te przytoczenia dowodzą, że w opowiadaniach Jacka umiérającego była intencya portretowania prawdy, i że ta intencya od osób wtajemniczonych była zrozumiana. Inaczéj niktby tu nie szukał zwierzeń własnych Mickiewicza, boć Jacek tak zupełnie niepodobny do poety! Jest w tém, jak już wyżéj napomknięto, trochę taktyki Byronowskiéj, a raczéj już to jest udziałem poetów, że portretując siebie, zawsze tylko „cząstkę swéj duszy“ dają swym bohatérom.

Jacek dopuścił się zbrodni i zdrady, został *księdzem* i bohatérem patryotą. To jest obcém w życiu poety! Ale objaśnić się da. Nasamprzód sądzę, że X. Robak pierwotnie nie był przeznaczony na głównego bohatéra, a następnie co do charakteru księdza, to myślę, że Mickiewicz i w tym punkcie identyfikował się z Jackiem. Aby to lepiéj zrozumiéć, należy tu uprzytomnić sobie, że na postać Jacka Robaka złożyły się w umyśle poety artystyczne anti-Byronowskie aspiracye, myśli polityczne i własnego serca dzieje. Wszystkie trzy prądy spływają razem. Patryota Robak nie potrzebował być księdzem i mnichem, ale tu chodziło o wrażenie poetyczne i o prawdę poetyczną, bo ów główny bohatér miał zarazem być nie tylko expiacyą byronowskich ideałów, ale zarazem i pokutnikiem, więcéj zaś ma uroku pokutnik w habicie, aniżeli pod świecką suknią; ale oprócz tego i trzeci żywioł wchodzący w charakter Jacka miał tu udział. Mickiewicz miał rzeczywiście w Rzymie zamiar zostania księdzem: w Kajsiewicza II tomie mów przygodnych r. 1870 (str. 416), gdzie w nekrologu hr. Cezarego Platera podany jest akt zawiązania się towarzystwa „Braci Zjednoczonych,“ podpisany także przez Mickiewicza, jest taki dodatek od autora: „Mickiewicz zaręczał mi w kilka miesięcy potém (t. j. po zawiązaniu bractwa), że w Rzymie r. 1829/30 pierwsze miał natchnienie zostania kapłanem.“ Może to było wtedy, kiedy kochał się bez nadziei. Może na to postanowienie wpływało i senne widzenie Ewuni, które ona miała wtedy, kiedy Mickiewicz po wielu latach, nie mówiąc o tém nic nikomu, przystąpił do spowiedzi i komunii: wtedy jéj się śniło, że widziała go piastującego białego baranka. Sen ten, który matka jéj opowiedziała Mickiewiczowi wracającemu od sakramentu komunii z kościoła, zrobił na nim ogromne

wrażenie, wspominał o nim późniéj Odyńcowi w Dreznie i przypomniał go w III Części *Dziadów* w „Śnie Eweliny.“ Kto zna charakter Mickiewicza, złożony z cnoty, poetyczności i mistycyzmu, ten łatwo domyśli się téj asocyacyi myśli, która poetę przemieniła w Jacka. Mickiewicz kochał młodziuchną osobę i był kochany: kochał może tą miłością, w któréj znajdował więcéj zadowolnienia serca, aniżeli nadziei na przyszłość — i był kochany jako poeta tą miłością, która chętnie daje folgę idealnym uczuciom, ale się nie zobowiązuje. Kiedy na seryo pomyślał o sercu i ręce, wtedy ojciec się zachmurzył i dumą uniósł, a córka prosiła, aby zostawić rzeczy jak są. Genus irritabile vatum! wtedy kochanek pomyślał o gorzkim życia zawodzie, a poeta o szyderstwie rzeczywistości z ideału — i pomyślał o sukience kapłańskiéj! Znał przytém X. Parczewskiego, późniéj X. Chołoniewskiego, i przestawał wiele z nimi. Więc Jacek bajronowski, dumny gwałtownik, oczyszczony i uświęcony wyższą ideą expiacyi, wcielony Adam, *musiał być księdzem.* Jacek na łożu śmiertelném opowiadał, mutatis mutandis, to co się działo z samym poetą w Rzymie!

Wszystko to, com powiedział o charakterze Jacka, tłómacząc jego genezę, nie tyczy się właściwéj powieści. Powieść sama zapewne jest z życia wzięta, powieść o Robaku jest, wedle wiadomości udzielonéj z bardzo dobrze poinformowanego źródła, zbiorem rozrzuconych szczegółów, szczególniéj tyczących się księży; być także może, że w téj niezwykłéj powieści tkwi wspomnienie historyi, zasłyszanéj w Płużanach „o jenerale Wołodkowiczu, o przebywaniu jego w wojsku francuskiém pod obcem imieniem“ i t. d. (Czas 1859 Nr. 117 w odcinku), co się jednakże tyczé ostatniego przypuszczenia, to zamało mi są znane szczegóły téj powieści, abym do niego miał wartość przywiązywać.

Tyle co do głównego bohatéra *Pana Tadeusza*. Że w reszcie osób i szczegółów jest pełno wspomnień poety, to widać z słów B. Zaleskiego w liście do syna Adama, umieszczonym w feljetonie do Czasu 1874 Nr. 287, że „w pierwotnym tekście stały imiona własne, rodowe osób i przeróżnych miejscowości na Litwie, które należało koniecznie zastąpić zmyślonemi.“ Więc wzory, zdjęte z rzeczywistego świata, a osadzone w ramach poetycznych. Tak na samym początku poematu spotykamy dwa wspomnienia osobiste Mickiewicza

Panno Święta co jasnéj bronisz Częstochowy....
Jak mnie dziecko do zdrowia powróciłaś cudem
(Gdy od płaczącéj matki pod Twoją opiekę
Ofiarowany, martwą podniosłem powiekę,
I zaraz mogłem pieszo do Twych świątyń progu
Iść za wrócone życie podziękować Bogu).....

To miejsce odnosi się do następującego zdarzenia. Będąc dzieckiem, wypadł przez okno w Nowogródku i był przez chwilę bez życia. Wtedy matka z przestrachem porwawszy go na ręce, klęcząc ofiarowała przyczynie Najśw. Panny Maryi. I natychmiast chłopiec oczy otworzył i wrócił odrazu do zdrowia. „Pozostało mu tylko, pisze Odyniec, lekkie spleczenie, które go nietylko nie szpeci, ale owszem w moich oczach nadaje mu jakiś urok szczególny, odróżniający go wdzięk w ruchach, mianowicie w chodzeniu.“ Inne wspomnienie odnosi się do tego miejsca, kiedy Tadeusz, przyjechawszy do Soplicowa, gdzie od lat 10 nie był, oglądał wszystkie znajome kąty i z wielkiém zadziwieniem znalazł w tym pokoiku, w którym jako dziecko mieszkał, mieszkanie kobiéce: fortepiano, nuty, książki rozrzucone w miłym nieporządku

Tuż i sukienka biała, świéżo z kołka zdjęta
Do ubrania na krzesła poręczu rozpięta i t. d.

W drobnym tym szczególe jest pamiątka wizyty w Płużanach. R. 1818 pojechał Adam z T. Zanem na wakacye do Płużan do państwa Wereszczaków: przyjechali w sobotę po południu pod niebytność gospodarzy w domu. Zan chciał Mickiewiczowi pokazać pokoik, w którym mieszkał przed rokiem w czasie wakacyi. Ale jakież było ich zdziwienie! zastali deskę do prasowania i na zawiasie zawieszoną piękną, białą, świéżo wyprasowaną suknią. Mickiewicz miał, zanim zobaczył Maryllę, już do téj białéj sukienki przywiązać pełno swych myśli. To jest w *Panu Tadeuszu* może jedyne wspomnienie Marylli i Płużan. Chyba w osobie hrabi będziemy także szukali reminiscencyi z pierwszéj miłości poety. Tak sądzą niektórzy, że Mickiewicz portretował w hrabi hrabię Putkamera, męża Marylli. Nie śmiałbym tego na pewno twierdzić. Odyniec w kilka lat po ślubie Marylli z hr. Putkamerem pisał o nim, że „nietylko z powierzchownéj urody i wewnętrznego nastroju ducha jest najpoetyczniejszym typem obywatelskiego młodzieńca, co w niczém nie ubliża w nim wcale dojrzalszemu typowi obywatela-męża.“ Lubił śpiew, poezyą, był entuzyazmowanym wielbicielem poezyi Adama i zadawał sobie wiele pracy, aby córkę Jędrzeja Śniadeckiego, panią Balińską, w sąsiedztwie swojém w Jaszunach, wielką wielbicielkę Rasyna i Delilla o zaletach poezyi romantycznéj i poezyi Mickiewicza przekonać. Charakteryzuje go ten szczegół, że ulubioną piosnkę Mickiewicza białoruską: „Ne dau mne Boh, ne dau mne Boh, Kaho ja chaciela“ śpiéwał często do akompaniamentu swéj żony wedle melodyi saméj Marylli. Jest niezawodnie coś w hrabi, co hr. Putkamera przypomina; piękna postawa, poetyczne usposobienie, pewna egzaltacya, — ale hrabia w *Panu Tadeuszu* jest jednakże pomimo

wszystkich dobrych przymiotów karykaturą, więc niepewna jest rzecz, czy hrabia w poemacie jest wiernym z życia skréślonym portretem. Natomiast prawdopodobném jest przypuszczenie, że w Telimenie odwzorował poeta jednę z piękności Odeskich; i piękna Zosia zdaje się także być portretem, jakby wnosić należało z listu Mickiewicza do Odyńca z Lutego 1834. Jankiel jest także portretem: w Petersburgu był wyborny cymbalista, Jankiel Libermann, którego grę na cymbałach Mickiewicz słyszał i któremu na życzenie wpisał się w książkę. Co do reszty osób, i o nich także domyślać się można, że są kopiowane z natury. Syrokomla w jednym liście do Jana Chęcińskiego, autora „Szlachectwa duszy“ niedawno zmarłego, pisze o stryju Mickiewicza: „Znałem jego (t. j. poety) rodzonego stryja: postać, rzekłbyś, żywcem wyskoczyła z kart *Pana Tadeusza*: sejmikowicz, jurysta, tęgi do kielicha i zasłużony w grzmotni r. 1812. Typ jeden z tych niewielu typów szlachty zaściankowéj starego autoramentu, jakich ja w życiu niewiele widziałem.“ Z resztą zbiérał poeta wzorki wszędzie: muzyka Wojskiego na trąbce myśliwskiéj ma potroszę być wspomnieniem przedziwnéj muzyki, puszczonéj na echo koło skał Lorelej nad Renem a słyszanéj w nadreńskiéj podróży; a ileż to wzorów brał poeta z swéj rodzinnéj ziemi Nowogrodzkiéj, którą tak dobrze znał i tak bardzo kochał!

Z tego, cośmy dotąd mówili, widoczną jest rzeczą, że pomysł do *Pana Tadeusza* takiego, jak go dziś znamy, powstał dopiéro r. 1832, po odegraniu się całéj nieszczęśliwéj historyi miłości i po napisaniu owéj płomieniejącéj Improwizacyi Konrada, która kończy okrés Byronowski w Mickiewicza zawodzie poetycznym. Ale z planem czegoś podobnego, jak *Pan Tadeusz*, nosił się poeta, jak się zdaje, już oddawna, i to jest ostatni punkt przy dochodzeniu tego pytania, kiedy i jak powstał plan do *Pana Tadeusza*? Nie bez powodu jednak to, coby wedle widoków chronologicznych wypadało umieścić na czele, kładę tu na samym końcu.

Mickiewicz już za studenckich czasów i w Kownie pisał poemat opisowo-opowiadający pod niepoetycznym tytułem *Kartofel*. Pierwszą część w sposobie i stylu Miltonowym wykończył, jaka jéj treść była, dowié się łaskawy czytelnik z listu Odyńca do Jul. Korsaka z Darmsztatu r. 1829, umieszczonego w Kronice Rodzinnéj III Nr. 2. Ile z drugiéj części napisał, nie wiadomo, ale nie bez wartości jest tu dla nas wiadomość, że w drugiéj téj części miały być wystawione: „uprawa i użycie kartofli na Litwie, czyli raczéj pod tą niby żartobliwą formą, obraz wiejskiego życia i obyczajów litewskich“ (Odyniec w zacytowaném miejscu). Z téj drugiéj części podaje Odyniec dwa wiersze, które są jakby wzięte z *Pana Tadeusza*:

O ziemio Nowogrodzka, kraju mój rodzinny!
O Trembeckiego godzien uwielbienia rymy!

W późniejszym czasie słychać znowu o innym poemacie, ale tak niepewne są wiadomości o nim, że z nich ani domyśléć się nie można, jakiego rodzaju miał być ten utwór. Zaczął go Mickiewicz pisać zaraz po *Konradzie Wallenrodzie*, ale niedługo przerwać je musiał. Zapytany raz o treść, tyle tylko powiedział, że „jest o wszystkich rzeczach i o wielu innych.“ Do E. Odyńca w r. 1827 tak pisał: „Wallenrod już dawno skończony. Nie bardzo z niego rad jestem: są piękne miejsca, ale niewszystko przypada mi do smaku. Piszę teraz nowe poema, dosyć *dziwaczne*, na *bardzo rozległą skalę* i nie wiém czy kiedy będzie drukowane. Piszę z większą niż cokolwiek rozkoszą, bo piszę dla samego siebie, bez żadnego na nic względu. Niektóre wyjątki moje później Ci przyślę.“ Nieco pewniejsze mamy wieści o *Legioniście*, nad którym Mickiewicz także pracował; już sam tytuł o treści uprzedza, a potém mamy wiadomość, że niektóre ustępy z *Legionisty* weszły do *Pana Tadeusza*. L. Siemieński tak o tém pisze: „Poemat ten, zapewne nieskończony, musiał się przelać w późniejszego *Pana Tadeusza*, osobliwie w ustępach, gdzie sentymentalny hrabia exaltuje się nad widokami Włoch, a Tadeusz domator staje w obronie litewskiego nieba i drzew;—lubo z drugiéj strony, osoby wtenczas bawiące w Rzymie słyszały zeń prześliczne ustępy o Watykanie i Koloseum“ (Wspomnienie pozgonne o Adamie Mickiewiczu str. 29). Nie byłoby w takiém wcieleniu gotowych ustępów do nowego poematu nic nadzwyczajnego. Mickiewicz wcielił téż i do *Konrada Wallenroda* ustępy, które widocznie dawniéj miał gotowe i może do czego innego przeznaczone: Pieśń o Wilii, Alpuhara, a i Pieśń Wajdeloty pod względem epicznym tak bardzo wyróżnia się od całości, że na tę różnicę składały się i odmienne usposobienia i zapewne odległe od siebie czasy.

Które to ustępy weszły z *Legionisty* do *Pana Tadeusza*? Nie przypuszczam, żeby to były liczne *obszerne* ustępy, z takich zaś zapewne scena u Maćka w Dobrzynie, aż do tego miejsca, gdzie sprawa bierze obrót przeciw Soplicom, zapewne także dwie ostatnie pieśni były, z wyjątkiem oczéwiście ślubu Tadeusza z Zosią, już w *Legioniście* naszkicowane, i ustęp z pieśni IV: scena w karczmie. Do tego przypuszczenia prowadzi wzgląd na plan *Pana Tadeusza* i wzgląd na to, w jakich terminach praca pisania postępowała, i w ogóle co Mickiewicz w listach o swojém dziele pisze w tych czasach, kiedy je układał. Widzieliśmy, że się zanosiło z początku na niewielką powieść, zapewne bez tragicznych momentów, na powieść „w rodzaju Hermana i Doroty.“ Powoli rzecz urosła do ogromnych rozmiarów

(od pieśni IV „zaniosło się na wielką chryję!“) zapewne dla tego, że w plan powieści w czasie pisania wniknęły nowe momenta, obce pierwszym trzem pieśniom (jakeśmy wyłuszczyli w podaniu treści) i to takie, które jéj ideą wysoko podnieść miały, czego autor tak bardzo pragnął, a czego w zupełności nie dokonał, (1) i które nie psuły w niczém pierwszych rozdziałów. Pierwotnie, jakbym sądził, Robak nie był przeznaczony na główną osobę poematu; jaśniéj się tłómaczę: Robak nie miał być mordercą, renegatem, pokutnikiem, ojcem Tadeusza, nigdzie bowiem w pierwszych pieśniach nie ma żadnych napomknień o stosunku Robaka do Tadeusza, choćby jaka wzmianka zdaleka, dla czego się interesuje Tadeuszem! Przeciwnie, w poemacie, Tadeusz aż do polowania (w pieśni IV!) bardzo mało go obchodzi, nie ma nawet wzmianki o tém, żeby był chociaż wejrzał na niego z sympatyą przy pierwszém spotkaniu, w ogóle nie ma żadnéj z tych poetycznych sprężyn, które zaciekawiają, także rewelacye Robaka w pamiętną noc śmiertelną są zupełną dla nas niespodzianką! Bardzo łatwo być może, że *Robak był pierwotnie owym Legionistą, i miał też tylko jako taki wejść w skład Pana Tadeusza.* Ztąd przypuszczam, że z dawnego poematu o Legnioniście wszedł do *Pana Tadeusza* ten jeden większy całkowity ustęp z pieśni IV, gdzie Robak w karczmie ma rozmowę ze szlachtą. Kiedy się porówna daty, to mogłoby już uderzyć, że stosunkowo długa pieśń IV, gdzie jest scena w karczmie u Jankiela, napisana była w krótkim czasie trzech tygodni, gdy tymczasem na pierwszą, drugą i trzecią pieśń poeta więcéj czasu potrzebował. Ale tu zachodzi jeszcze jedna rzecz, która więcéj daje do myślenia. W tym ustępie, gdzie Robak sejmikuje ze szlachtą w karczmie, jest wzmianka, że to było w niedzielę konieczna to wzmianka, bo tylko w niedzielę może być w karczmie

---

(1) Autor wspomnienia o Eustachym Januszkiewiczu mówi o tém w tych słowach: „Żalił się późniéj Mickiewicz, że pisząc ten poemat nie był jeszcze dość skupionym.... że... *Trzeba było tego Pana Tadeusza o jakie pół tonu podnieść*“ (Czas 1874 Nr. 211 w feljetonie). W związku z tym ciekawym artykułem jest „List do syna Adama” przez J. B. Zaleskiego w feljetonie Czasu 1874 Nr. 285. 287, 289, gdzie ten przyjaciel Mickiewicza od serca opowiada, że kiedy przy wspólném czytaniu skończonego dopiero co poematu zaproszeni do tego przyjaciele robili na konieczne żądanie poety niektóre uwagi, pomiędzy innemi co do Telimeny i co do swarów szlachty zaściankowéj, że zniżają nieco nastrój poważnéj epopei,—poeta rzekł do jednego z poufnych recenzentów: „wiem ja, mój drogi, czego ty chcesz, ale nietylko w tych tu miejscach, co wskazałeś, ale i w całym poemacie potrzebaby podnieść nastrój o jakie półtonu. To na prędce nie da się zrobić, klamka już zapadła... Poprawię się w innéj da Bóg powieści, bodaj w *synie Pana Tadeusza*, albo w dalszych częściach Dziadów“ (Czas 1874. N. 287).

tak liczne zebranie szlachty okolicznéj zaściankowéj. Kiedy ten *ustęp gotowy wsunął* poeta w *Pana Tadeusza*, wtedy wypadło, że w dzień poprzedzający przypadła sobota, co widać pierwotnie nie było w intencyi poety, bo nie mogło być w jego intencyi, żeby w domu szlacheckim na Litwie post łamano. To tylko się tłómaczy tém, że poeta nie spostrzegł się przy składaniu. Przy jednolitém tworzeniu, bez oglądania się na gotowe ustępy z dawniejszych czasów, nie byłoby to mogło nastąpić.

W. Nehring.

ZAKŁAD NAUKOWY

IMIENIA OSSOLIŃSKICH

do roku 1829.

Pojawiały się różnemi czasy w rozmaitych pismach wzmianki i wspomnienia o początku zakładu narodowego imienia Ossolińskich, zgodne zwykle z prawdą pod ogólnym, zasadniczym względem — niedokładne jednak, a często wprost mylne w szczegółach, cyfrach i datach, co niedziw, rzucane bowiem były pobieżnie i mimochodem, nie roszcząc wcale pretensyi do gruntowności i wyczerpania. Poszło jednak za tém, co się dość często zdarza, że wiadomości nasze o tak świéżych stosunkowo rzeczach, bo niesięgających po za granice lat kilkudziesięciu, są nierównie mniéj obfite i mniéj wystarczające, niż o wypadkach, oddzielonych od nas przedziałem wieków.

Zanim kiedyś bieglejsze pióro, na podstawie starannie przechowywanych akt, protokółów i korespondencyj, opracuje całą historyą Zakładu, wyjmujemy tymczasowo kartkę z jego dziejów, o tyle ciekawszą, że obejmującą właśnie epokę powstawania i początkowego rozwoju téj pięknéj i użytecznéj instytucyi. Materyał do opowiadania czerpiemy głównie z zapisanego zaledwie w czwartéj części manuskryptu, p. t. „Pamiętnik domu i budowy księgozbioru narodowego imienia Ossolińskich od r. 1824“ (1). Źródło to cenne, szkoda

---

(1) Drugi tytuł brzmi: „Pamiętnik założenia i uposażenia biblioteki publicznej imienia hrabiów Ossolińskich we Lwowie ku zachowaniu imion osób dobroczynnych, które darami lub pracami uczonemi do wzrostu lub do zachowania tegoż instytutu przy-

tylko, że tak ułamkowe i szczupłe, zapełnione nadto przeważnie szczegółami administracyjnéj i ekonomicznéj treści, jako to wyszczególnieniem pojedynczych darów, drobnostkowemi opisami budowy i t. p. Artykuł nasz z natury rzeczy, jako oparty jedynie na piśmiennym zabytku, pozbawionym będzie téj pełni i barwności, jaką mógłby się odznaczać, gdyby autor nie z martwéj tylko litery, ale i z życia czerpał doń wątek. Cieszymy się jednak nadzieją, że może który sędziwy świadek owych czasów i zdarzeń z rzeczy niniejszéj poweźmie assumpt do udzielenia ogółowi swych wiadomości i uzupełni to, co tu podajemy zapewne zbyt jednostronnie. Tyle przynajmniéj powiedzieć możemy, że szczegóły poniższe mają wszelką rękojmią autentyczności, zawdzięczamy je bowiem dwóm osobom, związanym nierozdzielnie z historyą tego szanownego zakładu i w wysokim stopniu wiarogodnym: Janowi Wincentemu hr. Bąkowskiemu i księdzu Franciszkowi Siarczyńskiemu.

Drugi z nich, pierwszy z kolei dyrektor Zakładu, zacny kanonik warszawski, pracowity i pełen erudycyi pisarz, zbyt znany i ceniony, abyśmy tu jego biografią pisać potrzebowali, pierwszemu natomiast nie od rzeczy zapewne będzie poświęcić kilka słów wspomnienia. Nakazuje nam to stosunek hrabiego i do instytutu i do jego szlachetnego założyciela; przez dziewięć lat bowiem czuwał troskliwie nad zakładem, a przez trzydzieści z górą był najbliższym przyjacielem i najpierwszym powiernikiem Ossolińskiego we wzniosłych i zawsze dobro kraju na względzie mających zamysłach. „Niżéj podpisany — wspomina on sam o sobie — i urzędowaniem czteroletniém w Wiedniu wraz z hrabią Ossolińskim od roku 1789 do 1793 w deputacyi krajowéj odbytym, gdy rzecz szła o uchylenie systematu urbaryalnego i nadanie konstytucyi krajowi, i ścisłym związkiem przyjaźni od lat trzydziestu z tymże połączony, miał ten zaszczyt, iż przez lat siedmiu (pisane w r. 1824) na czele niniejszego ustanowienia zostając, ufność założyciela pozyskał, miał oraz sposobność widzenia, jak ustanowienie biblioteki od publiczności przyjęte i jak pomimo ciężkości czasów, ku swemu postępowało celowi."

Słów powyższych nie należy poczytywać za pustą chełpliwość, ani za objaw próżności; zamykają one wszystko, co o sobie powiedział hrabia, a figurują tu jedynie w charakterze legitymacyi dla autora, niejako na usprawiedliwienie, dla czego wziął się do pisania

---

czynić się raczyły, zaczęty w r. 1824." Wiadomości zawartych w tym manuskrypcie dopełnia „Dziennik czynności urzędowych księgozbiorów, pisany również przez Siarczyńskiego (nr. 533) (Nr. inwentarza rękopisów 1314).

i na dowód, że lepiéj, niż kto inny, zna przedmiot, o którym pisze. Wielkim jego zasługom i nieskazitelnemu charakterowi składa wymowny hołd kontynuator pamiętnika, ks. Siarczyński. Bąkowski urodził się około r. 1760 w Wiszniowczyku z ojca Mateusza, herbu Jaxa i Anieli z hr. Komorowskich; odebrawszy początki nauk w świéżo podówczas założonym korpusie kadetów, dopełnił wykształcenia usilną własną pracą i częstemi podróżami za granicę. Współcześni podziwiali w nim uczoność i rzetelne znawstwo sztuk pięknych. Jako deputat stanów galicyjskich (od r. 1788 do 1796) w r. 1790 powołany został do stolicy monarchii, gdzie wespół z Ossolińskim i wyznaczoną na ten cel nadworną komisyą dwa z górą lata pracował nad załatwieniem różnych ważnych spraw krajowych. Z tego czasu datuje się zawiązanie przyjaźni pomiędzy nimi. „We wszystkich przygotowaniach, pisze Siarczyński, do założenia biblioteki narodowéj i publicznéj we Lwowie był Bąkowski radą i pomocą Ossolińskiego, i nabytym na ten skład narodowy gmachem zawiadywał, który mu swoje ocalenie od upadku i, przy szczupłych funduszach, przynajmniéj naglejsze swe naprawy jest winien.“

Niezmordowany w służbie publicznéj, niósł jéj zawsze swoje siły i zdolności, ilekroć było potrzeba. Stały sekretarz towarzystwa dobroczynności, podéjmował chętnie wszelkie prace, jakie nań nakładał wydział odnowionych stanów galicyjskich, a w r. 1824, lubo przygnębiony chorobą, przyjął urząd honorowego deputata. „Czystą i łagodną była dusza jego, mówi daléj Siarczyński, kochał ludzi i ufał im, bo sam nie był zdolnym zdradzić nikogo. Jedyną namiętnością jego była chęć służenia drugim, któréj w całém życiu aż do zaniedbania spraw własnych dogadzał.“

Umarł w ostatnim dniu Października r. 1826, w pół roku z górą po śmierci dostojnego przyjaciela. Dziwném się wydaje, że o tym dotkliwym ciosie dla siebie, a wielkiéj stracie dla kraju nic w pamiętniku nie wspomniał; snać mocno go uczuł, a może téż stargane siły w ostatnich miesiącach życia nie dozwoliły ciągnąć daléj zapisków, które jak gdyby w przeczuciu bliskiego zgonu zaopatrzył swym podpisem.

A teraz uchyliwszy czoła przed obywatelską cnotą i zasługą hr. Bąkowskiego, skorzystamy z kréślonego przezeń pamiętnika.

Do chwili otwarcia Zakładu Ossolińskich, posiadał Lwów jednę tylko bibliotekę publiczną, mianowicie księgozbiór uniwersytecki, hojny dar cesarza Józefa II, powiększony znakomicie dziełami, zgromadzonemi ze zniesionych klasztorów. Użyteczność tych bogatych wówczas zbiorów (przed pożarem r. 1848) zmniejszał wzgląd, że trzecią ich część stanowiły książki angielskie, holenderskie i włoskie,

a języki te daleko mniéj jeszcze niż dzisiaj znane były mieszkańcom Lwowa. Najmniéj stosunkowo było tu dzieł polskich tak, że chciwa nauki młodzież nie mogła się z nich pouczyć o przeszłości i literaturze ojczystéj.

Palącéj więc potrzebie czynił zadość Ossoliński, postanowiwszy ostatecznie we Lwowie, a nie gdzie indziéj założyć, że użyjemy wyrażenia jego samego i współczesnych, „dla muz ojczystych przybytek i schronienie.“ Nosił on się już oddawna, bo jak sam w jednym z aktów donacyjnych powiada, od r. 1804, z planem zostawienia narodowi wieczystéj po sobie pamiątki. Na dniu 17 Sierpnia 1804 zawarł w Łańcucie umowę z ordynatem hr. Stanisławem Zamoyskim celem umieszczenia na pewnych warunkach dla publicznego użytku zebranéj i uposażonéj przez siebie biblioteki w Zamościu, a cesarz potwierdził układ w dniu 23 Lutego 1809 roku.

Wkrótce atoli, wskutek zmian politycznych, Zamość przestał być stosownem na „siedlisko muz“ miejscem, i „bezpiecznem zbiorów uczonych schronieniem“: miasto bowiem, przeszedłszy pod panowanie Rosyi, stało się warownią wojskową i utraciło akademią.

Akt umieszczony w kamieniu węgielnym gmachu bibliotecznego naznacza, jako pierwszą datę fundacyi, rok 1816; najwcześniejszy zaś dokument w zbiorze wydrukowanym r. 1851 przez księcia Jerzego Lubomirskiego datuje się z r. 1818. Mniemamy, że ani jednéj, ani drugiéj daty nie można uważać za prawdziwą, jest nią natomiast trzecia: 4 Czerwca r. 1817; jakkolwiek bowiem książę Jerzy nie posiadał owego dokumentu, zaświadcza jego egzystencyą niemieckie „oświadczenie“ Ossolińskiego z 19 Stycznia r. 1818 (zob. publikacyą Jerzego Lubomirskiego str. 15—16), medal wybity w r. 1822 przez sejm oraz podana przez hr. Borkowskiego wiadomość, że cesarz Franciszek pismem swojém, wydaném 17 Czerwca r. 1817, potwierdza fundacyą. Zapisuje w niéj założyciel na rzecz instytucyi: Wolę Mielecką, Piątkowiec, Zgorsko, Stary dwór, Giełdę, Przybysz, Podlesie, Podborze, Grzybów, Schabowiec, Izbiska, Jamy, Wilczą Wolę i Partynię w Tarnowskim a Wielkie Strzelce i Widów w Bocheńskim cyrkule. Zastrzegłszy sobie z dóbr wymienionych dochód dożywotni, oddaje je Ossoliński na własność Zakładu, nadmieniając, że kurator ekonomiczny wybrany z naznaczonych przezeń rodzin ma spłacać na opędzenie wydatków bibliotecznych, jako to na pensye urzędników i sług, na zakupno dzieł i przedmiotów sztuki, na reperacyą gmachu i t. p. pewną kwotę (najprzód 6, potem 7 tysięcy złr.) mającą zmieniać się za wspólném porozumieniem co 50 lat, odpowiednio do zmieniającéj się wartości pieniędzy. Warunek ten bardzo trafny i właściwy, nie utrzymał się jednak w późniejszych do-

datkach do aktu donacyjnego; czcigodny fundator rozciągnął najprzód termin lat 50 na 200, w końcu zaś zniósł go zupełnie w skutek ostrzeżeń „zacnych współobywateli,“ że tak nieokreślona ustawa wywołałaby „zawiłości“ oraz „szkodliwe zajścia między administracyjnemi urzędami“ Zakładu. Odstąpił od pierwotnego zamiaru, „pragnąc jak najusilniéj zawarować trwałą spokojność i jedność.“

Chcąc nadto ustrzedz fundusze od wszelkiego niebezpieczeństwa, oddał je pod szczególny dozór Stanów i zalecił wyraźnie, aby ich nie użyto nigdy na rzecz żadnéj instytucyi publicznéj ani w obrębie monarchii, ani prowincyi.

Powziąwszy zamiar wybrać Lwów na urzeczywistnienie wzniosłego zamysłu, zaczął się Ossoliński krzątać około wyszukania pomieszczenia dla swych zbiorów, złożonych wówczas z książek, rękopisów, kopersztychów i medalów. Spoczywały one dotąd w Wiedniu, mało komu przystępne i użyteczne, lubo sława ich rozbiegła się już szeroko po świecie i wzbudzała między uczonymi ciekawość. W kilka lat późniéj, wyprawił nawet podobno uniwersytet wileński jednego ze swych profesorów do Wiednia dla dokładnego poznania i zużytkowania biblioteki. „Profesor ten, pisze w r. 1824 Bąkowski, już od lat dwóch tą zatrudniony pracą, znajduje materyały do dziejów ojczystych i do historyi literatury polskiéj równie rzadkie, jako i szacowne.“

W r. 1817 nastręczyła się sposobność nabycia tanim kosztem przybytku dla tych skarbów duchowych. Ossoliński, przybywszy wówczas do Lwowa, przyglądał się z żywém zajęciem murom spalonego kościoła i klasztoru po karmelitankach trzewikowych. Wystawił go w r. 1671 pod górą, zwaną w dawnych księgach miejskich Szemberką, Alexander Janusz z Ostroga, książę Zasławski. Panny zakonne wprowadziły się do klasztoru w sześć lat późniéj, a pierwszą ich przełożoną była Marcelina Kobylińska. Gmach ten po zniesieniu klasztorów (1782) oddany najprzód na użytek alumnów łacińskiego obrządku, potém na piekarnią wojskową, spłonął w roku 1804. Odtąd przez lat trzynaście nie mógł się rząd zdecydować na co obrócić zrujnowany budynek, który, będąc pozbawionym drzwi, okien, a nawet dachu, od śniegu i ulewy szwankował coraz więcéj.

Wystawiono wreszcie całą realność na licytacyą; Ossoliński stanął między licytującymi i nabył ją za 23.710 złr. w. w., to jest dając zaledwie sto reńskich nad taxę urzędową.

Nowy właściciel postarał się najprzód o „rozprzestrzenienie kominów podług powszechnych przepisów dla urzędu budowniczego wydanych“ oraz o pokrycie dachem kościoła i tych części budynku, które, wydzierżawione, mogły przynieść pewien dochód. Na koszta

restauracyi przysłał Ossoliński fundusz, mający się dopełnić pobiéraną od lokatorów płacą.

Uchroniwszy tak tymczasowo gmach od ruiny i zapewniwszy sobie z niego choć drobne źródło dochodów, rozmyślał hrabia nad przerobieniem go w sposób, aby się w nim wiedeńskie zbiory wygodnie pomieścić mogły. Zasięgał pod tym względem rady znawców i architektów a sam prezes akademii sztuk pięknych, hr. Nobile, wygotował dlań siedm planów.

„W każdém szlachetném działaniu, są słowa hr. Bąkowskiego, dość jest uczynić początek, aby miéć naśladowców przykładu.“ Prawdziwość słów tych stwierdziły hojne dary, jakiemi pośpieszono wzbogacić świeżo utworzoną instytucyą. Z tych najpożądańsze były chwilowe ofiary pieniężne, gdyż dochody z dóbr zapisanych przez Ossolińskiego miały wpływać dopiéro po jego zgonie, a na bieżące wydatki brakło zapasów. To téż, gdy Wincenty Kopystyński, właściciel Putiatyniec, na dzień 3 Stycznia r. 1818 przeznaczył dla zakładu 500 holenderskich dukatów, obrócono procent od téj kwoty na utrzymanie budynku. A było to w istocie arcy-potrzebném, bo najwyższe pokłady cegły na proch się zamieniły.

Sejm, który późniéj nie szczędził Ossolińskiemu w jego pięknem przedsięwzięciu materyalnéj pomocy, dał mu najprzód moralne poparcie, składając najwymowniejszy i najgorętszy wyraz uznania w uchwale z r. 1822 wybicia na jego cześć medalu. W rok po otrzymaniu tak chlubnego hołdu od narodu, dotknął czcigodnego męża najdotkliwszy cios, jaki może spotkać oddanego naukowym badaniom człowieka, bo utrata wzroku (1). W tak nawet smutném położeniu nie przestawał przysparzać bibliotece zasobów z owoców własnéj pracy literackiéj, nader ubożuchno wówczas opłacanéj. Układ, zawarty przezeń dla dobra Zakładu z wydawcami, zasługuje na wspomnienie jako osobliwość. Krakowskiemu drukarzowi Mateckiemu, oddał trzy pierwsze tomy *Wiadomości historyczno-krytycznych do dziejów literatury polskiéj* za zobowiązanie dawania na rzecz zakładu jednego egzemplarza każdego wydawnictwa, mającego wyjść z téj oficyny; w podobny sposób zamierzał się ułożyć z księgarzem warszawskim, Glücksbergiem, skoroby tylko uporządkował i opraco-

---

(1) Szczegółowy i obszerny opis stanu wzroku Ossolińskiego w tym czasie ułożony po niemiecku znajduje się w rękopisie pod Nr. 907. Pomiędzy autografami mieszczą się trzy obszerne jego listy z r. 1782 a nadto w rękopisie N. 1448 akta jego procesu rozwodowego w Konsystorzu Krakowskim w r. 1791 i listy pisywane do X. Andrzeja hr. Ankwicza, arcybiskupa lwowskiego, w odpisach z oryginałów, które były w ręku ś. p. Ambrożego Grabowskiego.

wał ostatecznie materyały do trzech dalszych tomów. Ale śmierć zaskoczyła go przed dokończeniem téj pracy i dopiéro w r. 1852 wydał Bielowski z pośmiertnych rękopisów tom czwarty.

Już po utracie wzroku, przy pomocy lektora, tłómaczył niestrudzony ten człowiek historyą Liwiusza, a przekład ten pod względem piękności i siły języka dziś jeszcze za wzór służyć i młodzieży do pilnego odczytywania poleconém być może, tak samo, jak dzieła wyborowych stylistów Zygmuntowskiego wieku. I ta praca pojawiła się dopiéro w dwadzieścia cztery lata po śmierci tłómacza (1850).

W tym samym roku, w którym dla oczu Ossolińskiego światło słoneczne zagasło, przeprowadził on ważną dla swéj instytucyi sprawę, zawarł nader dla niéj korzystną umowę z księciem Henrykiem Lubomirskim, mocą którój zbiory przeworskie miały się wcielić do nagromadzonych przezeń skarbów (1).

Tu urywają się zapiski hr. Bąkowskiego a rozpoczyna się sprawozdanie pióra ks. Franciszka Siarczyńskiego (2). Uczony ten kapłan rozwija rzecz swoję od chwili objęcia literackiéj kuratoryi Zakładu przez księcia Henryka Lubomirskiego. Książę na mocy umowy z założycielem miał sobie oddany zarząd nowéj instytucyi już z dniem 25 Grudnia 1823 r., objął jednak ten urząd dopiéro 1 Lipca r. 1824, do pomocy dla czuwania nad dochodami i potrzebami Zakładu przybrał sobie p. Zbierzchowskiego. Ten naprawiał jak mógł coraz więcéj do rudery podobny budynek. „Broniony i zachowywany od zniszczenia, mówi Siarczyński, samém tylko utrzymywaniem w jednymże stanie murów, doznawał losu chorego człowieka, któremu gdy się nie polepsza, pogorsza się tém samém: szkodliwy zaród złego wzmaga się i sprawia zniszczenie.“

Czuli wszyscy potrzebę ratowania zagrożonego ruiną gmachu, ale stawianie coraz nowych podpór i nieustająca łatanina nie mogły go zabezpieczyć od upadku. Tak miały się rzeczy aż do 1 Lipca r. 1826, tj. do chwili, gdy zarząd nad domem objął Mikołaj Michalewicz, profesor literatury polskiéj na lwowskim uniwersytecie. „Było to stosownie, czytamy, do woli Ossolińskiego, który znając, prócz doświadczonéj przychylności dla siebie JM. Pana Michalewi-

---

(1) Bliższych szczegółów układu z ks. Lubomirs kim, równie jak niektórych innych, nie podaję z powodu, że powszechnie są znane, a świeżo poruszył je nawet obszerniéj p. Władysław Zawadzki w artykule, p. t. *Literatura w Galicyi,* we wrześniowym dodatku do *Gazety lwowskiéj, Przewodniku naukowym i literackim.*

(2) Siarczyński rozpoczął tę pracę 16 Lutego r. 1828, jak świadczy jego własny zapisek na 9 stronie rękopisu Nr. 533, p. t. „Dziennik czynności urzędowych księgozbioru narodowego we Lwowie,“ o którym poniżéj.

cza, jego zdolności znakomite (?), jego dla rzeczy publicznéj gorliwą chęć usługi, w nim sprawiedliwe zaufanie ku osiągnieniu swych dla dobra tego zamiarów położył.“

Michalewicz spełnił pokładane w sobie nadzieje. Za jego urzędowania dopiéro rozpoczęły się istotnie roboty budownicze w gmachu, nad którego podźwignięciem i zupełném przekształceniem niezmordowanie pracował, w „niezrażonych staraniach księcia Kuratora“ znajdując dzielne poparcie. A potrzeba było takiéj zgodnéj gorliwości dla doprowadzenia dzieła do skutku; przychodziło bowiem „tysiączne zwyciężać trudności, łamać nienawistnych ludzi zapory i iść z wszelkiemi przeszkodami w zapasy.“ Na prowadzenie robót potrzeba było znacznych zasiłków pieniężnych, a tymczasem Kurator ekonomiczny nie spłacał rocznéj należności, i trzeba było usilnych zachodów, by go do pełnienia obowiązku nakłonić.

Równocześnie inną téż sprawą zająć się należało. Po zgonie Ossolińskiego wypadało przewieść jak najrychléj z Wiednia do Lwowa pozostałe po nim zbiory. „Wymagała tego i potrzeba, aby ten skarb nauk objąć w posiadanie mu właściwe, zaspokoić żądanie narodowéj publiczności i zabezpieczyć od wszelkiego uszkodzenia, jakiemuby mógł podpaść zostawiony w obcych rękach i pod nieobowiązanym do odpowiedzialności nadzorem.“ Rzecz była tém bardziéj nagląca, że p. Protowebera, wice—prezydent wiedeńskiego sądu szlacheckiego a zarazem wykonawca ostatniéj woli Ossolińskiego, domagał się jak najśpieszniejszego wywiezienia książek z domu, aby wynająwszy go, ciągnąć dochód na rzecz spadkobierców. Trzeba było jednak wpierw zliczyć księgi, poznaczyć i tak w skrzyniach poukładać, by od wszelkiego uszkodzenia były bezpieczne; mógł się przeto wywiązać należycie z tego zadania tylko człowiek pracowity, zdolny i sumienny. Z początku padł wybór na Michalewicza, lecz stanowisko profesora uniwersytetu nie dozwalało mu wyjeżdżać na dłuższy czas ze Lwowa. Już nawet zyskano dla niego uwolnienie, gdy niespodziewanie nastręczył się do téj pracy, z godną uznania i najwyższéj pochwały uczynnością Gwalbert Pawlikowski, podówczas sekretarz nadworny. „Natchniony miłością ojczyzny i nauk, są słowa Siarczyńskiego, zapalony gorliwą chęcią usługi dla dobra publicznego, nadto powodowany szczególną przychylnością dla J. O. księcia Kuratora, przyjął to mozolne zatrudnienie, i z taką je zręczną pilnością, z taką porządną dokładnością, na drobne nawet okoliczności baczną, a zarazem z takim pośpiechem, podwajającym pracę wykonał, iż wszelkie oczekiwanie przewyższył.“

Całą bibliotekę, ułożoną w skrzyniach we wzorowym porządku, do dnia 16 Kwietnia 1827 r., wyprawiono do Lwowa. Same książki zajmowały skrzyń czterdzieści i cztery. W trzech innych mieściły się malowidła, a pośród nich: wielki obraz w ramach pędzla Canalett'ego, przedstawiający głośny na całe chrześcijaństwo wjazd Jerzego Ossolińskiego do Rzymu; cztery obrazy, wystawiające Ossolińskich, jeden Bąkowskiego, a daléj Naruszewicza, Marcina Poczobuta i tablica rodu Ossolińskich.

Znalazły się nadto ryciny (ośm tek), mapy (1 teka), odciski medalów (551 połówek), kruszce (z górą 650), muszle (z górą 500), „paczka z kamieniami kamieniorytemi (litografiami) do tragedyi *Templaryuszów*" itp.

Zajmującemi są cyfry, wykazujące, jak obfite były wówczas zbiory Ossolińskiego. Otóż samych książek, oznaczonych liczbą porządkową, unikatów, wydobyto z owych 44 skrzyń, 10.121 dzieł a 19.055 tomów, duplikatów 456 tomów, 76 wiązek różnych pism, 552 manuskryptów w 708 tomach, 133 map, 1.445 rycin, nie licząc rzeczy mniéj znaczących.

Wszystko to, razem z pięćdziesięciu skrzyniami, ważyło 329 centnarów i 83 funty, tyle bowiem obliczono za przewóz. Nie wchodzą tu w rachubę, jako wówczas jeszcze nie przewiezione z Wiednia, medale złote, srebrne i brązowe. Spis takowych, dokonany z woli Ossolińskiego 1 Sierpnią r. 1823, wykazywał 46 złotych i pozłacanych, 255 srebrnych, 40 brązowych i miedzianych, razem 341.

Nie na tém jeszcze koniec. Książki Ossolińskiego mieściły się nietylko w stolicy Austryi, lecz także i w Galicyi, na wsi, a mianowicie wiosce Przybysz, należącéj do gminy Zgórska, ale chcąc je odebrać, należało dopełnić różnych formalności: udać się do Tarnowskiego sądu szlacheckiego, wyjednać zlecenie do komornika, by owę bibliotekę urzędownie wydał, i upoważnić kogoś do zabrania. Stało się wreszcie zadość tym formalnościom, a pełnomocnikiem swym mianował książę Kurator hr. Xawerego Wiesiołowskiego. Na dniu 21 Stycznia r. 1827 wydano książki, wedle spisu sporządzonego przez komornika, Wawrzeńca Wisłockiego. Było kompletnych 863 oprócz 62 wiązek druków bez początku, lub bez końca; nadto 4 wielkich a 18 mniejszych obrazów familijnych.

Owe dzieła, znalezione w dziwnie opłakanym stanie, mało przyniosły korzyści. Doznawały one takiego losu, jak niektóre po klasztorze księgozbiory, np. w Warszawskim kościele św. Franciszka, gdzie, jak słychać, służyły „za podkładki do rupieci, za schodki do sięgania po bieliznę, za zatykadła do dziur w ścianach i dachu

w końcu zaś poszły na całopalenie w zakrystyi;“ albo w innéj, znanéj nam miejscowości, gdzie ksiądz proboszcz sędziwemi, przepysznemi foliantami wyściełał sobie wśród błota drogę z plebanii do kościoła....

Ale przykładów podobnego wandalizmu nie szukać w samych klasztorach. Mówił nam niedawno szanowny ze wszech miar p. Alexander W., jak mu sąsiad jego z uśmiechem na ustach opowiadał, że rozniecíwszy wielki ogień na kominku, wrzucił w niego cały stos starych dyplomatów, a skwierk topiących się woskowych pieczęci sprawiał mu rozkosz nie do opisania.. Doprawdy różne są ludzkie upodobania i gusta!

Snać Ossoliński dawno nie zajrzał do Przybysza, skoro tamtejsza biblioteka tak wielkiemu uległa spustoszeniu. Książki były po większéj części podarte, poszarpane przez mule i inne robaki nagryzione, lub z wilgoci tak nagniłe, że ich do ręki wziąć nie było można. Po przywiezieniu ocalonych szczątków do Lwowa, próbowano dopiéro środków wypłoszenia niezliczonego roju robaków, gubiąc je zapachem i dymem zapalonéj siarki.

Niewzruszony smutnym stanem księgozbioru pan komornik, chcąc okazać swą gorliwość w pełnieniu obowiązków urzędu, zabrał zakazane dzieło Jezuity Busembaum'a, p. t. *Medulla theologiae moralis*, jakkolwiek biblioteka miała prawo posiadać i zabronione książki. Upomniał się o przywłaszczoną własność książę Henryk u Tarnowskiego sądu szlacheckiego, lecz sąd, dla utrzymania powagi swego komornika, uważał za stosowne odmówić słusznemu żądaniu.

Pracę budowniczą rozpoczęto nie od wznoszenia nowych murów, lecz od burzenia starych. Wypadało zaś tak postąpić, z powodu, że część murów tak już była wątłą, iż magistrat wydał rozporządzenie, aby się mieszkańcy natychmiast z nich wynosili, żeby niezwłocznie zrównano z ziemią ściany. Uważano ztąd, że bezpieczniéj będzie i dalsze mury zburzyć, tak że zaledwie drobna ich część ocalała.

Zupełne przebudowanie gmachu pociągało za sobą ogromne wydatki. Nie pokryłyby takowych regularne wypłaty ze strony ekonomicznego kuratora, cóż dopiéro, gdy ten nie uiszczał się z powinności. Ale trzeba było koniecznie przyśpieszać roboty, gdyż inaczéj biblioteka ani uporządkowaną, ani na użytek publiczności nie mogła być wystawioną. W tak trudnéni położeniu zwrócił się książę Henryk do Wydziału stanów z prośbą o pożyczkę i powtórzył ją w obec saméj zgromadzonéj na sejm reprezentacyi kraju. Stany, uchwaliwszy niedawno zbiorowy akt uznania dla szlachetnego założyciela, nie mogły teraz odmówić wsparcia wzniesionéj przezeń instytucyi.

Zarządzono pożyczkę 15.000 złr. w srebrze, mającą się spłacić ratami z dochodów. Uchwała ta nabiérała jednak wagi dopiéro za zezwoleniem cesarskiém, co przy ówczesnym biurokratyźmie i ówczesnych środkach komunikacyjnych mogło trwać długo, a tu nie było chwili do stracenia. Gdy jednak nie godziło się powątpiewać o zgodzie ze strony przychylnego ś. p. założycielowi monarchy, książę August Długosz Lobkowitz, „z krwi Piastów ród swój wiodący", gubernator Galicyi, „niepospolity miłośnik i znawca nauk", za staraniem Lubomirskiego, „z funduszów stanowych, czyli z domowego dochodu" rozkazał zaliczyć 2.000 złr. w srebrze na najpierwsze potrzeby. W półtora miesiąca późniéj cesarz potwierdził udzieloną przez stany pożyczkę. (1)

Było już więc za co budować, ale nasuwało się teraz ważne pytanie, w jaki sposób zabrać się do dzieła. Księcia kuratora nie było we Lwowie, bawił on zapewne w jakiéj europejskiej Stolicy, więc Michalewiczowi przypadło zadanie kierowania budową. Zbyt sumienny, aby sam, jako człowiek nie fachowy, stanowić o rzeczy wymagającéj fachowego wykształcenia, przedsięwziął zasięgnąć zdania znawców i spisać protokół udzielonych przez nich rad, aby w razie potrzeby zastawić się nim przeciw możebnéj naganie. Do powołanych przezeń należeli: Tadeusz Wasilewski, deputat stanowy, Józef Bem, kapitan inżynieryi, sławny późniéj generał, i Trescher, majster mularski, a zowiący sam siebie budowniczym miejskim. Narada odbyła się 23 Grudnia 1826 roku.

Rzeczoznawcy uchwalili w pierwszéj konferencyi na tle planu hrabiego Nobili wystawić gmach, opisany w protokóle najskrupulatniéj tak, jak się skrystalizował w ich wyobraźni. Nie możemy streszczać całego, arcy długiego protokółu, podamy zeń tylko niektóre drobne wyjątki dla scharakteryzowania najważniejszych punktów. Postanowiono więc znieść pierwszy przysionek, témbardziéj, że zniesienie jego nie osłabi kościoła, a daléj zrzucić niższą galeryą nad drugim przysionkiem i drugą wyższą galeryą. W miejsce obydwu ma być dany równy gzéms, w środku zaś fronton.

Lewa ściana od dworu była mocno osłabiona, a oparte na niéj sklepienie groziło upadkiem. Wymagało ono nieuchronnie rozebrania, przyczém ściana jeszcze więcéj by się osłabiła, radzili przeto architekci znieść ją, począwszy od podstaw.

---

(1) Nie powtarzamy tu dat Siarczyńskiego, jako bałamutnych; naznacza on na przedstawienie prośby stanom dzień 18 Października 1826 r. a na rozporządzenie Lobkowitza, które z natury rzeczy późniéj nastąpić musiało, 8 Sierpnia tegoż roku.

Dach miał być kruszczowy, lecz rozchodziły się w tém zdania, czy żelazny czy cynkowy. Gdy jednak, jak mniemano, kopuła nie zniosłaby żelaznego dachu, a z braku blach i krokiew żelaznych w miejscu, cała robota opóźniłaby się znacznie, bo o rok cały, a z wymienionych już przyczyn zależało na jak najrychlejszém wykończeniu budynku, postanowiono go pokryć blachą miedzianą, jako lekką i trwałą.

Małą kopułę zgodzono się zostawić w dawniejszym stanie, dając tylko ozdobniejszy daszek i konduktor dla bezpieczeństwa od piorunów. Żałować przychodzi, że ostatni projekt nie wszedł dotąd w życie, że z tak wielkim trudem przez wiek cały gromadzone zbiory mogą nagle w razie nieszczęśliwego wypadku spłonąć w oka mgnieniu, nie sądzimy bowiem, aby konduktor cytadeli służył za dostateczną osłonę dla zakładu.

Zarządza ten środek ostrożności i późniejsza komisya, zamianowana przez Wydział Stanów, lecz tak dzisiaj rozpowszechniony przyrząd nie przestał być dotąd dla Zakładu *pium disiderium.*

Celem upiększenia miejsca i z praktycznych względów uchwalono splantowanie dziedzińca, jako też miejsca, pozostałego za budynkiem.

Narady téj nie uważano jeszcze za dostateczną; to też zwołał Michalewicz drugą przed rozpoczęciem wiosennych robót, 1 Marca r. 1827. Oprócz dawniejszych znawców, byli obecni: Muha, podpisany jako „Gal. Tribunal-Ingenieur"—Nagel, adjunkt i znany w literaturze autor *Podróży do Włoch*, uczony Stanisław Dunin hr. Borkowski, występujący tutaj jako zastępca reprezentanta potomności. (1)

Konferencya ta trwała krótko i niewiele wprowadziła reform. Chodziło tu głównie o to, jak wysoko wznieść nowe mury. Członkowie zgromadzenia, nie mogąc się porozumieć w téj mierze, uprosili kapitana Bema, by wykonał dwa profile facyaty, jeden w stosunku do ówczesnego stanu pobocznych murów, drugi do wysokości głównego frontonu; z widoku dopiéro obudwu facyat chcieli rozstrzygnąć sprawę. Aby się zaś upewnić, jak dalece osłabiony jest filar w kościele, postanowiono, skoro cieplejsza pora nastąpi, pokryć go cienką warstwą połączonego z gipsem wapna, wnioskując trafnie,

(1) Instytucya „reprezentantów potomności", postanowiona przez Ossolińskiego, miała na celu czuwać nad dobrem Zakładu, aby niejako późne pokolenia mogły zeń czerpać coraz większe korzyści. Bywało zwykle dwóch „reprezentantów potomności" oraz dwóch zastępców; drudzy, w razie choroby lub nieobecności pierwszych, spełniali przywiązane do tego honorowego urzędu obowiązki.

że zasklepione w ten sposób szpary i rysy okażą, czy się mur filaru nie rozchodzi i czy ztąd kopule nie grozi niebezpieczeństwo.

W ośmnaście dni późniéj nastąpiła trzecia z kolei konferencya, złożona jednak nie z budowniczych i majstrów ciesielskich, ale z „przedniejszych osób.“ Prócz znanych nam już, Michalewicza i Wasilewskiego, byli na niéj obecni: Ignacy hr. Krasicki, Andrzéj hr. Cetner, Wincenty Skrzyński, Jan Uruski i Izydor Piotruski, *jako reprezentant potomności.* Jako znawcę budownictwa powołano kapitana Bema „który,“ dodali „z obywatelską gorliwością pracę nam swą poświęca.“ Dostojne to grono ściągnął wzgląd niemałéj wagi, bo zasadnicza kwestya ostatecznego przeprowadzenia budowy. Sam Ossoliński w statucie swoim wyraził życzenie, by się przy restaurowaniu gmachu trzymano planu hrabiego Nobili. Tymczasem okazało się nietylko, że na budowę wedle tego planu nie starczyłyby pozostawione przez Ossolińskiego fundusze, lecz nawet że plan ów, jako sporządzony bez znajomości miejsca i stojących już murów i ich objętości, w żadnym razie ściśle wykonanym byćby nie mógł. Chciano więc najprzód naprawić kościół, aby w nim umieścić bibliotekę, czytelnią zaś i mieszkania dla urzędników urządzić w części budynku, zrestaurowanéj już staraniem hr. Bąkowskiego i ks. Lubomirskiego, resztę odłożyć *ad calendas graecas.* Bacząc wszakże, iż owa na szczęśliwsze czasy czekać mająca część gmachu skoro zostanie opuszczoną, w ciągu lat kilku ulegnie zębowi czasu,—zgromadzenie uchwaliło i wydziałowi stanowemu mającemu przedsiębrać restauracyą przedłożyło kilka punktów, z których przytaczamy główniejsze. Przedewszystkiém wedle możności trzymać się planu hrabiego Nobili. Jak najprędzéj więc część dotąd nierestaurowaną pokryć dachem, mury osłabione rozebrać, a wznieść w ich miejsce inne, przyczém stosować się do planu w ogólności, wszelkie zewnętrzne ozdoby odkładając na późniéj. W zrestaurowanéj części złoży się tymczasowo biblioteka.

Restauracya kościoła rozpocznie się skoro cesarz potwierdzi ofiarę stanów (15.000 zł.). Hr. Nobili przeznaczał go na „muzeum dzieł rzeźbiarskich;“ ponieważ jednak część gmachu na bibliotekę przeznaczona a od fundamentów na nowo budować się mająca, dla braku funduszów, nie tak prędko mogłaby stanąć, nadto zaś instytut nie posiadał jeszcze wcale utworów dłuta, przeto można bez wahania umieścić bibliotekę w kościele, tém bardziéj, że myśl tę objawił już sam Ossoliński w liście do Józefa Dzierzkowskiego.

Odpowiednio do powyższych postanowień, kapitan Bem podejmuje się wykonać: plan dotychczasowego stanu budowli wraz z planem zamierzonéj restauracyi—itd. itd.

Wydział stanowy pod dniem 31 Marca uznał uchwałę ostatniéj konferencyi za „zgodną z wolą fundatora i celowi swemu odpowiadającą“ i zachęcił zarząd do wprowadzenia jéj w życie, przyczém w piśmie, podpisanem przez księcia Lobkowicza, znajdujemy wyraz uznania dla Bema, „którego obywatelska gorliwość w służeniu dobru publicznemu i usilna praca wkłada obowiązek wdzięczności.“

Odtąd postępowały już żwawo roboty, a „muzy ojczyste“ miały wreście znaléść bezpieczne schronienie. Książę Kurator, który czyniąc zadość warunkom układu, w dniu 16 Czerwca roku 1827 wobec Izydora Piotruskiego i Stanisława hr. Borkowskiego, jako zastępców potomności, przedsięwziął uświetnić pamięć rozpoczęcia budowy i „podać ją wiekom potomnym, przez uroczysty obrzęd założenia kamienia węgielnego.“ Uczynił to w trzy dni po złożeniu przysięgi w obec gubernatora, przedstawicieli wszystkich urzędów krajowych i wielkiego tłumu publiczności. Samego obrzędu dopełnił hrabia Ankwicz, ówczesny arcybiskup lwowski.

Książę Henryk, w myśl życzeń Ossolińskiego wyrażonych w statucie, postanowił co prędzéj wzbogacić Zakład drukarnią i litografią. Na wystosowane przezeń w tym celu pod dniem 22 Czerwca 1827 podanie wraz z propozycyą, aby mu druki pism rządowych zostały powierzone, odpowiedziano ze strony rządu przychylnie, przyznając, że samo potwierdzenie ustaw przez cesarza służy za pozwolenie zaprowadzenia drukarni, dodając, że wszelkie rządowe druki mogą być oddane tylko w drodze licytacyi, że do końca bieżącego roku wojskowego trwa układ z Pillerami, po upływie którego może książę stanąć w gronie współubiegających się.

Nie było zatém żadnych trudności ze strony rządu, ale brakło natomiast najważniejszéj rzeczy, bo funduszów, pochłanianych przez budowę. Niezrażony tém książę wpada na dobry pomysł urządzenia drukarni bez pieniędzy: rozpisuje na nią akcye i to 200 po 50 złr. Gdy księciu Lobkowiczowi przedłożono układ, nietylko się chętnie na niego zgodził, lecz nawet sam wziął dziesięć akcyj, co stanowiło wcale poważną, na owe czasy, cyfrę 500 zł. Dany z góry przykład dobre sprawiał wrażenie i zjednał sprawie naśladowców. „Gdyby nie zbyt twarde czasy, czytamy w naszém źródle, które najlepszym chęciom odmawiają zadosyć uczynienia sposobności, już byłby układ zupełnie przywiedziony do skutku..“

Jak widzimy, książę Kurator, przyjechawszy z zagranicy do kraju, rozwinął w przeciągu krótkiego czasu wielką czynność i energią. W niewiele tygodni potém, cośmy opisali wyżéj, dopełnił on ważnego obowiązku, bo dał Zakładowi dyrektora w osobie znanego nam

X. Franciszka Siarczyńskiego, ex-kaznodziei Stanisława Augusta, kanonika warszawskiego, proboszcza kolegiaty jarosławskiéj i członka warszawskiego towarzystwa przyjaciół nauk. List księcia zawierający nominacyą, datowany z Przeworska, 8 Września 1827. „Światłe i uczone Twe prace, brzmi środkowy ustęp książęcego pisma, które ci już głośne zjednały imię, połączone z prawdziwą gorliwością o wzrost i dobro nauk, są najlepszą rękojmią tak dla ojcowskiéj troskliwości rządu, jako i dla obywatelów tego kraju, iż zakład ten wnet jak najwdzięczniéj zakwitnie, a wzniesieniem i rozszerzeniem oświaty krajowéj niebawem jak najpożądańszy plon wyda.“

Książę składa przy téj sposobności wyraz uznania bezinteresowności i poświęceniu szanownego męża, który „przez wgląd na trudne początki instytutu, obowiązki bibliotekarza tymczasowo bez wszelkiego wynagrodzenia przyjąć na siebie raczył.“

Książę Henryk zawiadomił również o nominacyi rząd krajowy, ten zaś wystosował pytanie do wydziału stanów, czy takowéj nie mają nic do zarzucenia. Wydział w odpowiedzi oświadczył, najprzód, że Kurator zgodnie z brzmieniem ustaw sam jeden ma prawo mianować dyrektora, następnie zaś przyznał, że wybór nie mógł być szczęśliwszym, ks. Siarczyński bowiem „przez swe obszerne i gruntowne wiadomości, przez swoję moralność, przez swoje w kościele i w piśmiennictwie zasługi i przez swe przywiązanie do nauk, znakomitą sobie zjednał sławę,“ a wreście dość naiwnie zakonkludował: iż się, na tę nominacyą tém chętniéj zgadza, ponieważ nowy dyrektor tymczasowo „zrzeka się wszelkiéj płacy.“

Nie tu jednak kres formalnościom z powodu nadanego księdzu kanonikowi honorowego, lubo nieintratnego urzędu. Na mocy prawa nie wolno pasterzowi oddalać się od swéj parafii; to téż dopiéro po długich staraniach, u przemyskiego konsystorza i u rządu udało się księciu wyjednać Siarczyńskiemu pozwolenie przebywania po za granicami parafii, aż do niezbyt już oddalonéj chwili otwarcia biblioteki i uregulowania funduszów.

Pozwolenie to wykolatano dopiéro w Styczniu r. 1828; ks. Franciszek zaś przybył do Lwowa już 13 Listopada r. 1827 i niezwłocznie przystąpił do pracy. Już w tydzień późniéj, korzystając z przysługującego Zakładowi prawa i chcąc dogodzić „powszechnemu życzeniu publiczności,“ uwiadomił on rząd, że rozpoczyna wydawnictwo pisma czasowego, którego Galicya nie miała od lat kilku. Lubo chodziło tylko o zadośćuczynienie drobnym formalnościom, a Siarczyński jak najrychléj załatwił, czego zażądano, rzecz jednak poszła w odwłokę, i dopiéro za usilnem staraniem w Wiedniu wpływowych osób udało się w 3 z górą miesiące, bo 26 Lutego 1828,

wydobyć owo nieulegające żadnéj wątpliwości pozwolenie. Każdy zeszyt przed oddaniem do druku miał przejść przez cenzurę radcy Bernhardi'ego; tyle przynajmniéj uwzględniono tu Zakład, że zamiast dwóch, pozwolono przedkładać tylko jeden egzemplarz cenzuralny. Ksiądz Siarczyński pragnął gorąco wydać jeszcze zeszyt w pierwszém ćwierćroczu, ale musiał się pożegnać z nadzieją, odebrawszy manuskrypt z cenzury dopiéro 22 Marca i to w takim stanie, że trzeba go było mozolnie „zszywać i łatać."

Po za czasem, poświęconym przygotowywaniu materyałów do czasopisma, dyrektor wydobywał książki ze skrzyń i porównywał je ze spisem złożonym w każdéj skrzyni. Dopomógł mu niemało, w dziele uporządkowania zbiorów, Ignacy hr. Krasicki, gdy na prośbę księcia Henryka, z dokładnością prawdziwego znawcy, opisał zbiór medalów muzeum Lubomirskich i, ułożywszy w sporządzonych za ten cel szafach, oddał pod zarząd dyrektora. Było ich wszystkich razem 1821, samych srebrnych rzymskich 636.

Równocześnie postępowała budowa, prowadzona pod kierunkiem Bema, wychwalanego tu bez końca. Wykonane przezeń rysunki miały się odznaczać tak wielką „dokładnością, dogodnością i umiejętnością, iż praca jego u znawców i nieznawców powszechną pochwałę zyskała." Wezwane znów przez Lubomirskiego do osądzenia takowych grono poważnych osób, uznało jednogłośnie „skład i rozkład budowy za jak najstosowniejszy do jéj przeznaczenia," bo łączący „dogodność z prawidłami sztuki, oszczędność z wspaniałością."

Znalazły się piéniądze na najpierwsze wydatki; gdy cesarz potwierdził nietylko pierwszą, lecz i drugą uchwałę zebranych (r. 1827) na sejm stanów, aby owe 15.000 złr. nie pożyczyć, ale darować Zakładowi. Na upór p. Broniewskiego, kuratora ekonomicznego, znalazł się téż sposób. Hr. Xawery Wiesiołowski, reprezentant potomności, „znany z swych gorliwych dla dobra narodowego chęci i z najcnotliwszych duszy przymiotów," podjąwszy się sekwestracyi Zgórska i Woli Mileckiéj, wywiązał się wybornie z przyjętego na siebie zobowiązania i wydobywał z nich powoli należne Zakładowi kwoty.

Koszta budowy przewyższały jednak sumę wszystkich dochodów, bo wedle podanego przez Bema po dniu 29 Lutego r. 1828 obliczenia wynosiły ogółem 28.508 zł. Wyznaczona znowu przez wydział stanów komisya, złożona z Wasilewskiego, Dzierzkowskiego i Wincentego Ziętkiewicza, z powodu nieobecności księcia Kuratora we Lwowie, strawiwszy dość dużo czasu bezczynnie (od 22 Marca do 4 Czerwca r. 1828), w pierwszéj połowie Czerwca wreście

(od 4 do 11) wespół z ks. Henrykiem i reprezentantami potomności, Piotruskim i Borkowskim, załatwiła ostatecznie sprawę. Wzięła ona na nowo pod rozwagę wszystkie plany, wychodząc z zasady, że „pożytek cząstkowych odmian dopiéro przy roztrząsaniu całości dostatecznie uznanym być może.“ Chcąc być sumienną, nie zadowoliła się przejrzeniem planów na papiérze, lecz je sprawdzała na miejscu i wszystkie szczegóły poddała gruntownéj krytyce.

Pracy i talentowi Bema oddaje i ta komisya szczere uznanie. „Plany jego, oświadcza, pod względem zewnętrznéj postaci łączą prostotę z przyzwoitą takiemu Zakładowi ozdobą. Przyjęty przez pana Nobili styl koryncki odpowiada wspaniałemu przeznaczeniu tego gmachu.“ Bem umiał w najdrobniejszych szczegółach zastosować się do wziętego raz za normę stylu: „nigdzie obcych temu porządkowi ozdób, nigdzie nie pomieścił niepotrzebnych upstrzeń.“ Niemniéj odpowiada celowi i potrzebie wewnętrzne urządzenie, o ile pozwolił stan dotychczasowéj budowy, zbyt wązkiéj i do obecnego przeznaczenia nieodpowiedniéj.

Komisya potwierdza w przeważnéj części uchwały dawniejsze, wprowadzając tylko ze swéj strony pewne zmiany, ulepszenia i dodatki. Lubo zależało na tém wszystkim, aby gospodarować jak najtaniéj i jak najszczuplejszemi sumami opędzić koszta budowy, nie uwodziła się jednak względami źle zrozumianéj oszczędności. Dowodzi tego czwarty z kolei punkt protokółu, brzmiący jak następuje: „Dawny wchód do kościoła, niekształtny, zastąpił W-ny Bem ozdobną facyatą koryncką. W téj umieszczone cztery kolumny miały być z cegły, lecz komisya, zważając na nietrwałość tego materyału, jaki z cegielni tutejszych wychodzi, mniema, iż warto i potrzeba ponieść dla mocy budowy koszt większy, lecz pożyteczny na kolumny z kamienia.“

Obliczywszy, że w samym kościele pomieści się około 40.000 tomów, a na galeryach nierównie więcéj, postanowiono zabezpieczyć pierwszy przeciw kradzieży, a zarazem urządzić go jak najodpowiedniéj dla celu, na który przeznaczony. Szafy mają więc stanąć przy ścianach i obok filarów, środek może służyć „do uroczystych posiedzeń.“ Pomysł użycia środkowéj przestrzeni do posiedzeń był niewłaściwym i, o ile nam wiadomo, nigdy nie wszedł w wykonanie. Obecnie stoją na tém miejscu tylko dwa stoły, zawierające wewnątrz mapy i teki, a służące nadto do tymczasowego składania zwróconych przez publiczność książek.

Owe szafy zaś miały być dla bezpieczeństwa zamknięte, wprawdzie nie drewnianemi drzwiami, bo te nie przepuszczałyby powie

trza, lecz siatką z mosiężnego drutu. „W górze, dodaje oględnie komisya, gdzie ręką dostać nie można, mogą być zupełnie otwarte.“

Zbyteczne to a nader kosztowne środki ostrożności, bo do wnętrza biblioteki nikt bez towarzystwa urzędnika lub stypendysty wchodzić nie ma prawa. To téż projekt powyższy nie utrzymał się, a wszystkie książki, z wyjątkiem schowanych za szkłem inkunabułów, stoją w otwartych pułkach.

Co się tycze podanéj przez kapitana Bema sumy kosztów (28.508 złr. monety konwencyjnéj), Komisya oddaje mu sprawiedliwość, że trzymał się w ogóle cen targowych, składanych urzędownie, odstępując od nich tam, gdzie wiadomości zasięgnięte wprost od rzemieślników i przedsiębierców, oraz naoczne przeświadczenie, odstąpić od nich kazało — że słusznie też w kosztorysie wyliczył *maximum* wydatków. Ale komisya mniema, że wysokość tychże albo wcale, albo bardzo mało się podniesie pomimo, że przybędą nowe z powodu, że kolumny będą kamienne, dwoje drzwi żelaznych, daléj z powodu wyprowadzenia kanałów, zrównania i oporządzenia dziedzińca i sprawienia pominiętego przez Bema konduktora.

Zliczywszy naodwrót wszelkie leżące fundusze Zakładu i wszelkie w ciągu dwóch lat dające się ściągnąć dochody, doszła komisya do cyfry 29.816 złr., pokrywającéj zupełnie koszta przedsiębierstwa.

Prowadzenie budowy pozostawiono, jak dotąd, Bemowi. Zastępować go ma podczas nieobecności profesor Michalewicz, nazwany tu po raz pierwszy „kustoszem.“

W obszernym protokóle rzeczonéj komisyi znajdujemy kilkakrotną wzmiankę o podanym jéj wniosku hr. Stan. Borkowskiego w sprawie „połączenia domu stanowego z biblioteką.“ Załączona kopia owego wniosku daje nam sposobność zwięzłego streszczenia go, a zarazem oddania hołdu obywatelskiemu czynowi tego znakomitego człowieka

Nie napróżno obwarował Ossoliński tak mocno swój zapis i odgrodził go od wszelkiego zewnętrznego wpływu. Okazało się teraz dowodnie, jak potrzebną i użyteczną była ta oględność. „Na ostatnim sejmie,“ są słowa Borkowskiego, „zapytało kilka osób sejmujących, czyby nie można połączyć domu stanowego z biblioteką, aby tém oszczędzić stanom kosztów na osobny dom stanowy. To nawiasem rzucone pytanie, niepoparte, niewotowane, ani niedyskutowane przez nikogo, weszło do protokółu sejmowego, jakoby żądanie narodowe i poszło do Wiednia. W skutek zapewne tego urzędowego zapytania, żądał po dwakroć J. W. deputat Wasilewski, członek komisyi, aby wprowadzić do protokółu, „iż abrys W-go ka-

pitana Bema ma przy wielu innych zaletach i tę zasługę, że można do niego załączyć dom i kancelaryą stanowe."

Borkowski, jako powołany przez wydział do wypowiedzenia swego zdania w téj mierze, „idąc jedynie za przekonaniem i sumieniem," wykazuje, że zużytkowanie gmachu na wymienione cele sprzeciwia się najwyraźniéj ustawom założyciela, równałoby się „alienacyi" i dla samego zakładu najsmutniejsze mogłoby mieć skutki, „jest bowiem niebezpieczeństwo, że rząd objąwszy część może sięgnąć i po całość."

Przewidział podobny wypadek dla ukochanego dzieła swéj ręki Ossoliński, gdy w § 8 ustawy głównéj czyni wyraźne zastrzeżenie: „że biblioteka jest funduszem prywatnym, a zatém fundusz wspomniony na żaden inny cel ani publiczny, ani prywatny, nawet w okoliczności politycznéj zmiany nie może być przeistoczonym, owszem gdyby co przeciwnego (nad wszelkie spodziewanie) stać się miało, lub gdyby przez jakieś upodobanie krajowéj zwierzchności fundusz ten miał być inaczéj obróconym, prawo własności założyciela i jego następców do tego funduszu, *cum toto effectu* moc swoję odzyska.

Wniosek, wyciągnięty z powyższego paragrafu ustaw, był jak najlepszém i najefektowniejszém zakończeniem memoryału hr. Borkowskiego, wskazywał bowiem absolutną niemożebność korzystania z ofiary założyciela, jako *eo ipso* w téjże chwili tracącéj charakter publiczny. „Gdybyśmy więc, kończy Borkowski, pozwolili na projekt odstąpienia części funduszów na użytek stanów, tedy tém samém damy prawo sukcesorom hr. Ossolińskiego do zniszczenia tak ważnego dla kraju instytutu."

* *
*

Tu się urywa „Pamiętnik księgozbioru," lecz w innym rękopisie, zapisanym również ręką ks. Siarczyńskiego (nr. 533), znajdujemy dopełnienie powyższych wiadomości, gdyż „Dziennik czynności urzędowych" Zakładu, doprowadzony znacznie daléj, bo do 20 Października r. 1829, po którym 17 dni tylko jeszcze żył Siarczyński. W tym dziwnie starannie dzień po dniu spisywanym dyaryuszu występuje w całéj pełni niestrudzona pracowitość i niezmożona energia sędziwego dyrektora, który mimo lat podeszłych i stéranego na mozolnéj pracy zdrowia, pracuje, rzec można, za kilku. Bo i czegoż on nie robi? Pełni obowiązki dyrektora Zakładu, redaktora Czasopisma, zastępcy kuratora, budowniczego i t. d. Od poranku do wieczora porządkuje książki i rękopisma, stara się wprowadzić w nie pewien ład i system: zbiéra, odcyfrowuje i składa „mazaniny" Os-

solińskiego, aby je drukiem ogłosić; krząta się gorliwie około wydawnictwa *Czasopisma i Świętnika Lwowskiego*, „krzesze i gładzi“ własne artykuły, a więcéj jeszcze mozoli się nad obcemi, poprawiając je i obrabiając „pod jednostajną modłę toku mowy,“ upomina się daremnie u magistratu, aby oświécono ulicę Ossolińskich, na co odbiéra odpowiedź, że na téj ulicy za mało dotąd domów, aby do oświécenia rościć mogła prawo; odpowiada sumiennie na rozliczne pytania w kwestyach naukowych, bo któż nie zasięga jego wskazówki i rady, począwszy od warszawskiego towarzystwa przyjaciół nauk, żądającego oceny dziejopisów polskich od pana Dorau, proszącego o artykuł o literaturze polskiéj w Galicyi „dla umieszczenia go w ogólnym obrazie piśmiennictwa w Europie, od początku XIX wieku“ aż do wesołych osób modnego świata, dopytujących się o dawne stroje polskie, których chcą użyć na balu maskowym....

Po za tém wszystkiém myśl czcigodnego starca „natężona ku wielkiemu przedsięwzięciu,“ które ma nadzieję skończyć jeszcze przed śmiercią, ku „powszechnemu słownikowi znakomitych Polaków.“

Ale gdzież mu czasu ma starczyć, gdy wszystko sam robić musi, skoro nie ma najmniejszego wyręczenia: Michalewicz podobno zajęty swą profesurą niewiele dopomagał, a późniéj nawet zupełnie musiał ustąpić, bo rząd sprzeciwił się jego podwójnym obowiązkom, inni pomocnicy zaledwie do przepisywania się zdali, a gdy jednemu z nich dał artykuł do przetłómaczenia, dostaje przekład dosłowny, „ani zgodny z prawidłami mowy polskiéj, ani dokładny, ani zrozumiały.“

Gdybyż przynajmniéj ograniczyło się na tych zatrudnieniach, ale biednemu dyrektorowi przybywają nowe; zastępując często nieobecnego Bema, musi się troszczyć o najdrobniejsze szczegóły prac przy budowie, martwić z kamieniarzem, robiącym ciągłe zawody, walczyć prośbą i groźbą z majstrami różnych rzemiosł, niestawiających się w słowie, bo przekonanych, że zgrzybiały i nad księgami ślęczący ksiądz nie zdoła ich utrzymać w karbach.

Niejednokrotnie też zapisuje udręczony dyrektor z żalem: „Czas, którybym rad łożył dla pracy piśmiennéj, poświęcam dozorowi budowy;“ a 14 Sierpnia r. 1829 pisze z rezygnacyą: „wyjechałem do Lubienia i nazajutrz wróciłem, nie mogąc użyć w tym roku kąpieli, lubo mi radzonych i potrzebnych dla umocnienia zdrowia przeciw doświadczanym atrytycznym cierpieniom, bo w niebytności p. Bema cały ciężar zatrudnienia budowy na mnie polegał.“

To też spracowany, wycieńczony, nieraz na kilka dni zapada, cierpi na oczy, na wyczerpanie sił i t. p.

Już to Bem, tak z początku chwalony i wielbiony, stawał mu późniéj kością w gardle. Wyjeżdżał on często i na długo, zwłaszcza do Brodów, zostawiając budowę na łasce Opatrzności. „Oko pańskie konia tuczy;“ bez fachowego dozoru, psuło się i wykrzywiało wszystko. Z rozpaczą widział ten opłakany stan rzeczy Siarczyński: „znosząc z przykrością,“ pisze 1 Sierpnia r. 1829, „wszelkie przeszkody w budowie, a straty w wydatkach łożonych, tém więcéj cierpię, patrząc na rozwalenie świéżo postawionego muru, na trudności w ruszeniu i przeniesieniu ogromnych kamieni, które się niedawno z tak wielką pracą zaciągało, na szczerby poczynione w gzémsach kamiennych.“ Widocznie Bema ma na języku, gdy mówi daléj: „odwracam oczy i zapisuję radę dla każdego, aby do takowych obowiązków nie przyjmować darmo ofiarowanéj usługi.“

Przysparzały kłopotów trudności stawiane przez owoczesną cenzurę, czepiającą się pojedynczych słów, a kaleczącą i przemazującą całe ustępy. Była to kula u nóg, w kolébce jeszcze spoczywającéj literatury peryodycznéj. Aby nabrać wyobrażenia o losach, jakie wówczas przechodził utwór ducha ludzkiego, przytoczymy dla przykładu *fata* przygotowanego przez księdza-dyrektora czwartego tomu *Wiadomości historyczno-krytycznych* Ossolińskiego, które, jak się zdaje, tylko ze względów cenzuralnych, zamiast w roku 1829, wyszły na świat w dwadzieścia lat z górą późniéj.

Na dniu 17 Stycznia r. 1829 zapisuje Siarczyński, że już czwarty z kolei miesiąc upływa, jak oddał do cenzury „dalszy ciąg wiadomości krytycznych.“ Dopiéro w pół trzecia miesiąca późniéj odebrał wiadomość o dramatycznych losach dzieła *Habent sua fata libelli*... Z powodu ustępu, traktującego o kacerzach, pan konsyliarz Bernhardi, nie chcąc obarczać swego sumienia ciężką odpowiedzialnością, oddał manuskrypt do cenzury kościelnéj. Konsystorz, upatrzywszy w książce ślady herezyi, odesłał ją napowrót ze swemi uwagami świeckiéj cenzurze. Wówczas to Bernhardi, uniosłszy się wspaniałomyślnością, stanął w obronie naukowéj spuścizny po Ossolińskim przeciw zbytniéj gorliwości konsystoryalnych cenzorów, którzy snać wówczas z godnym lepszéj sprawy zapałem sekundowali cenzurze politycznéj. „Dzieło to,“ rozumował trafnie Bernhardi, „nie będzie czytane od ludu wiejskiego, ale tylko od ludzi uczonych, sądzę więc, że rozprawy o wierze i wykład błędnych mniemań nowowierców zgorszyć nikogo nie mogą.“

W obec takiego nieporozumienia dwóch ciał cenzuralnych, przepisy nakazywały odesłać sprawę do cenzury nadwornéj wiedeńskiéj, jako do najwyższego trybunału. W Wiedniu przyznano słuszność panu radcy i zwrócono mu rękopis. „Lecz ponieważ konsy-

storz," dodaje Siarczyński 29 Marca, „zdania swego nie odstępuje, przeto los dzieła niepewny."

Przez cały Kwiecień i Maj nie zmienił się stan sprawy; wreście w środku ostatniego miesiąca wysłano manuskrypt powtórnie do nadwornéj cenzury. Na téj wzmiance ginie ślad *wiadomości krytycznych*; nie wiadomo, jaki los padł im późniéj w udziele, widocznie jednak niepomyślny, skoro przez dwadzieścia lat spoczywały w głębi teki...

I w roku 1852 nie wyszły na świat w nienaruszonym kształcie, bo szanowny wydawca dzieła, Bielowski, przyznaje, że „uwzględniał wskazówki ówczesnéj cenzury krajowéj" a Maurycy hr. Dzieduszycki jako zastępca kuratora przejrzawszy część rękopismu, „co za stosowne uznał, *zmienił* (!) lub przypiskami objaśnił..."

Nie umiém powiedzieć, jakiego rodzaju były owe zmiany i czy miały na celu dogodzenie świeckiéj lub też duchownéj cenzurze; bądź co bądź godzi się żałować, że pośmiertne dzieło Ossolińskieskiego nie dostało się do rąk publiczności w pierwotnéj formie, bez obcych zmian i przeróbek.

Jednym z najciekawszych, bo wkrótce głośnemi wypadkami potwierdzonym zapiskiem ks. Siarczyńskiego, jest niewątpliwie następujący: „Dnia 4 Września r. 1829. Postępuję w téjże pracy piśmiennéj (Uwagi z powodu Historyi rosyjskiéj Karamzyna) a dokończenie jéj, zostawując czasowi, układam do kalendarzyka wiadomość, czém w dziejach naszych, od przyjęcia chrześcijaństwa, rok trzydziesty w każdym wieku szczególniéj się odznaczał, *wnosząc ztąd ważne znaczenie roku następnego 1830.*"

Nie dożył zacny starzec sprawdzenia przewidywań swoich; umarł 7 Września r. 1829, w 71-m roku życia.

Zakład Ossolińskich zbyt krótko cieszył się posiadaniem tak znakomitego na owe czasy i użytecznego kierownika, jakim był Siarczyński. Nieprędko znalazł się godny po nim następca. Ani Słotwiński, ani Kłodziński nie byli ludźmi, odpowiednimi na dyrektorów naukowego instytutu. Pierwszy porucznik artyleryi pieszéj księstwa warszawskiego, późniéj komisarz obwodowy w Jaśle, tłómacz mierny, autor *Katechizmu poddanych galicyjskich* i nędznych utworów poetycznych, z których jeden aż w 21 pieśniach, p. t. *Zbawienie świata*, szczęściem dla świata pozostał w głębi autorskiéj teki a niewiele zapewne straciliśmy na tém, że nie doczekało się druku dzieło z szumnym tytułem: „Dzieje zachodnio-południowéj Polski w pierwszych dziesięciu wiekach ery chrześcijańskiéj..." Przez niego, po kilkomiesięcznéj zaledwie czynności, usunął się z zakładu znakomity bibliotekarz i pisarz, Karol Sienkiewicz, powołany przez księcia Hen-

ryka na kustosza. Wyparł go Słotwiński, nie mogąc znieść w niższym urzędniku niezawodnéj wyższości umysłowéj a dla dogodzenia swéj ambicyi nie wahał się pozbawić biblioteki nieocenionego pracownika.

Nie więcéj odznaczył się jako pisarz Adam Kłodziński, były nauczyciel w domu Potockich, autor różnych nekrologów, pisma „na wiązanie J. O. X. Henr. Lubomirskiemu,“ artykułów małéj wartości i pism polemicznych, wydawanych z powodu zarzutów czynionych mu jako dyrektorowi zakładu. „Z polemiki téj,“ jak ktoś słusznie zauważył, „nie wyszedł cało i zwycięzko, co się nie przyczyniło do podniesienia powagi Zakładu, który późniejszym dopiéro przewodnikom swoim zawdzięcza swój wzrost i świetny wkrótce rozkwit.

Klemens Kantecki.

UMIEJĘTNOŚĆ JĘZYKA.

STREŚCIŁ PODŁUG WHITNEY'A

Adolf Dygasiński.

(Dokończenie).

V.

Z tego, cośmy powiedzieli o językach aryjskich, pokazuje się, że elementa formalne powstały ze samodzielnych wyrazów; że następnie taki element formalny następuje zawsze po pierwiastku i tworzy końcówkę albo sufiks, z wyjątkiem jednak czasu przeszłego, formującego się przez dodanie augmentu nie na końcu, ale na początku; również w niektórych imionach dla wyrażenia negacyi dodaje się na początku partykuła *in* w łacinie np. *ingratus*; *an* w greckim np. *anomalos* właściwie „niepodobny"; *an* w sanskrycie; *un* w języku niemieckim np. *undankbar*; *u* w języku polskim jak np. *ubogi*. Dodają się téż na początku pierwiastku niektóre przyimki i przysłówki, w wyrazach złożonych, jak *nie* w *niedobry*; z w *zmyślny*; *przy* w *przydatny*, *przymierzyć*; *o* w *obiegnąć*, *ominąć* i t. d.

Powyższe atoli cechy wspólne są językom aryjskim wspólnie z innemi językowemi typami, jakie w ogóle znamy. Specyalną zaś ich własnością jest to, iż posiadają one zdolność stapiania części pierwiastkowych z formalnemi tak silnie, że ginie poczucie ich indywidualnéj samodzielności, a ze złożeń takich powstają znaki dla wyrażonych przez nie pojęć. Ginie pierwotna funkcya i znaczenie tych elementów, a wytworzony z nich wyraz zostaje wystawionym na przemiany rozliczne, działające na całe życie języka.

Wynika stąd, iż pierwotnie wszystkie wyrazowe formy języków aryjskich były luźnemi złożeniami samodzielnych wyrazów.

Gdy zaś w złożeniach takich powstał upadek znaczenia i gdy z wyrazów wytworzyły się końcówki, natenczas języki te stały się *fleksyjnemi* czyli *odmianowemi* w ścisłém znaczeniu tego wyrazu. Atoli charakterystyczne właściwości indoeuropejskich języków ukażą się nam widoczniejszemi wtedy dopiéro, gdy się rozejrzymy w budowie innych językowych typów.

Po językach aryjskich najważniejszemi są *semickie.* Każdy wié dobrze, jaką rolę w dziejach świata odegrali Fenicyanie, którzy zamieszkiwali Tyr, Sydon i wybrzeża morza Śródziemnego; otóż lud ten mówił językiem semickim, bardzo pokrewnym językowi hebrajskiemu. Nader wymownym dowodem historycznéj działalności Fenicyan i dobroczynnego ich wpływu na rozwój ludzkości jest to, iż znaczna część dzisiejszych alfabetów u ludów cywilizowanych daje się ostatecznie sprowadzić do alfabetu fenickiego. Nie należy zapominać, że już przed wystąpieniem Fenicyan istniały w Mezopotamii wielkie semickie państwa, które podbite zostały przez Persów, naród aryjskiego pochodzenia. Niedawnemi dopiéro czasy pozyskany został klucz do zbadania różnorodnych cywilizacyjnych kierunków oraz mięszaniny ludów, które w szczęśliwéj krainie Tygru i Eufratu walczyły z sobą o pierwszeństwo. Tym kluczem jest częściowe odczytanie napisów na pomnikach starego Babilonu i Niniwy, napisów znanych pod nazwiskiem klinowych.

Późniéj znowu na arenę dziejów wystąpił ze szczepu semickiego nieliczny naród żydowski, którego dzieje polityczne nie są zbyt świetne i głośne, ale za to jego wierzenie religijne, wzniesione przez naukę Chrystusa do stanowiska religii świata, stało się najważniejszym czynnikiem w dziejach ludzkości, a wspaniała odwieczna literatura znana jest wszystkim wykształconym narodom, jako Biblia t. j. „Księga.“

W epoce bliskiej czasów obecnych jeszcze inny semicki lud odegrał piękną rolę w historyi.

Na wezwanie Mahometa, jednego z największych założycieli religijnych, lud ten porwał się z pustyń Arabii, przekroczył granice swojéj ojczyzny i wśród entuzyastycznéj działalności rozwinął umiejętność, sztukę, filozofią w bardzo szerokim zakrésie; w polityce zaś i literaturze doszedł do imponującego stanowiska. Zdawało się nawet, że berło przewodnictwa historycznego rozwoju ludzkości wydarte zostanie przez Arabów zdenerwowanym narodom Europy.

Ale wkrótce potém zapadła w ciemności owa wielkość i, z upadkiem Arabów, na zawsze już zaszła gwiazda Semitów, jakkolwiek ich religijne idee i instytucye panują jeszcze nad połową ludzkości.

Semickie dyalekty, bo językami nazwać ich nie można z powodu nadzwyczajnego podobieństwa między sobą, rozpadają się na trzy główne działy: 1) *północny*, obejmujący narzecza Syryi oraz Asyryi, nazwany także działem *aramejskim*. 2) *Środkowy* albo *kananicki* obejmuje język *hebrajski i fenicki* łącznie z *punickim*. 3) *Południowy* albo arabski, do którego oprócz arabszczyzny piśmiennéj i z nią pokrewnych narzeczy należą: język *himyarytycki* na południo-zachodzie arabskiego półwyspu, piśmienny język *etyopski*, zwany także Ghecz oraz inne *abisyńskie* narzecza.

Języki szczepu semickiego, podobnie jak aryjskie, nazwane są fleksyjnemi, który to epitet właściwie tylko do tych dwóch szczepów odnoszonym bywa. Pamiętać atoli należy, że to nie jest bynajmniéj wskazówką wspólnego ich pochodzenia. Oryginalną cechą języków semickiego pochodzenia jest trójzgłoskowość pierwiastków słownych. Trzy spółgłoski stanowią żywioł pierwiastkowy, samogłoski zaś mają czysto formalne znaczenie i służą do wyrażania rozmaitych względów. I tak np. w języku arabskim *g-t-l.* jest pierwiastkiem mieszczącym w sobie pojęcie zabijania; stąd powstają ormy *gatala* „on zabijał,“ *gutila* „został zabity,“ *gutilu* „zostali zabici“ *ugtul* „zabij,“ *gatil* „zabijający,“ *igtal* „dający zabić,“ *gatl* „zabicie,“ *gitl* „nieprzyjaciel,“ *gutl* „śmiertelny“ itd.

Oprócz takiéj wewnętrznéj fleksyi za pomocą zmian pierwiastku, na wyrażenie rozmaitych względów używają się jeszcze sufiksy, prefiksy i afiksy. Ta stereotypowa formacya semickich pierwiastków i właściwości wyrażenia przez samogłoski gramatycznych względów stanowią rozdział nieprzebyty pomiędzy szczepem języków semickich a wszystkiemi innmi w ogóle językami. Pierwiastek semicki częstokroć podwaja spółgłoskę, aby tylko niezbędną trójgłoskowość wywołać.

Koniugacya semicka nie różni się prawie od indouropejskiéj; są tu trzy liczby, trzy osoby i końcówki osobowe, podobnie jak w językach aryjskich są zaimkowemi elementami, przyczepionemi do pierwiastkow słownych. Jednak w drugiéj i trzeciéj osobie rozróżnia się rodzaj osoby, o któréj mowa np. „ona zabiła“ *gatalat*, „on zabijał“ *gatala*.

Okoliczność czasu wyraża się tu inaczéj aniżeli w aryjszczyznie. Geniusz języków semickich nie zna stopni czasu teraźniejszości, przeszłości i przyszłości, ale właściwie tylko czynność dokona-

ną i niedokonaną. Semickie języki okazują skłonność dokładnego oznaczania sposobu czynności, przez co pomnaża się koniugacya, stosownie do tego, czy czynność jest przechodnia, zwrotna, przyczynowa, zamiarowa, usiłowawcza, powtarzana i t. d. np. *gatala* „on zabijał," *gattala* „zabijał z celem," *gatala* „usiłował zabić," *agtala* „kazał zabić," *in gatala* „zabił sam siebie."

Każde słowo arabskie może mieć teoretycznie przynajmniéj piętnaście takich koniugacyj, a z nich jaki tuzin posiada odpowiednie formy bierne.

Imiona semickie rozróżniają dwa rodzaje: męzki i żeński, liczby trzy; na końcówkach przypadkowych zbywa im zupełnie, sama tylko arabszczyzna robi różnicę między mianownikiem, dopełniaczem oraz biernikiem, i zdania są podzielone pod tym względem, gdyż jedni utrzymują, że to jest nabytek języka arabskiego, już po jego oddzieleniu się od innych semickich języków, drudzy twierdzą, jakoby to było wspólném dziedzictwem całego szczepu, zarzuconém przez niektóre dyalekty.

Łącznik (słowo *jest*) opuszcza się w semickim języku i zamiast „człowiek jest dobry," mówi się „człowiek dobry," lub „człowiek on dobry." Przyczém brak jest spójników i partykuł.

Semita ustawia zdania bez połączeń, wtrąca tylko tu i owdzie *i* lub *ale*. Języki aryjskie jakkolwiek posiadają przenośne znaczenia wyrazów, atoli znaczenie pierwotne zapomniane zostało i wyraz przedstawia się tak, jak gdyby nigdy nie oznaczał nic innego; w językach semickich przeciwnie, metafora prześwieca w wyrazie i nigdy prawie zupełnie zapomnianą nie bywa. Ta okoliczność, że języki semickie mało się pomiędzy sobą różnią i uważane są jakby za dyalekty jednego języka, każe nam wnosić, iż ten szczep językowy wstąpił w rozwoju swoim w fazę pewnéj krystalizacyi oraz ustalania się i przyjął raz już tak stanowczy indywidualny charakter, że odtąd żadne zmiany tutaj wystąpić nie mogły. Jednakowoż pomiędzy językami semickiemi, nowo-syryjski rozwinął się w kierunku analitycznych języków Europy. Przyczyną tego może był wpływ obcych narodów i cywilizacyj, które Syryjczyków otoczyły dokoła i niejednokrotnie sobą zalały.

Z wielu stron dają się słyszeć twierdzenia, że język starych Egipcyan i wielka liczba północno-afrykańskich języków wykazują wyraźne ślady dalszego pokrewieństwa swego z semickim szczepem, od którego mogły się one oddzielić jeszcze w epoce, zanim szczep ów osiągnął wyższy stopień wykształcenia. Gdyby przez dalsze badania fakt ten potwierdzony został, natenczas możnaby stąd oczekiwać świetnych rezultatów dla lingwistyki. Z drugiéj strony, pokre-

wieństwo pomiędzy najstarszemi językami semickiemi a indoeuropejskiemi niczém skonstatować się nie dało, a przynajmniéj dowody pod tym względem ograniczają się jedynie do powierzchownych podobieństw. Może nie należy zrzekać się zupełnie nadziei na przyszłość; ale téż nie wypada nic przedwcześnie budować na podobnych podstawach.

Z kolei rzeczy mamy zamiar rozejrzéć inny szczep językowy, rozgałęziony w Europie i Azyi na całéj północy wschodniéj półkuli, jako téż w większéj części środkowéj Azyi i na wielu obszarach daléj ku południowi posuniętych tak w Azyi jak i w Europie. Nosi on rozmaite nazwy, jak *Uralo-altajski*, *mongolski* lub *tatarski*, a w najnowszych czasach—*turański* oprócz tego *scytyjski*, które to miano nadawali Grecy dzikim pasterskim ludom, żyjącym w najodleglejszych okolicach północy.

Szczep scytyjski mieści w sobie pięć rodzin. Z tych *ugryjska* albo *finno-węgierska* obejmuje języki: Lapończyków, mieszkających pod najwyższym stopniem geograficznéj szerokości w Europie, Finnów—w północno-zachodniéj Rosyi wraz z pokrewnemi narzeczami Estlandyi i Inflant; a nadto języki małych plemion, jak Permiaków, Wotyaków, Czeremisów, Mordwinów i t. d., zamieszkujących południowe stoki Uralu, nadwołżańskie okolice i niektóre gubernie wewnątrz Rosyi. Do téj saméj rodziny należy język Madziarów albo Węgrów z pokrewnemi mu narzeczami Ostyaków i Wogułów, mieszkających w górach Uralskich i po tamtéj ich stronie.

Z téj to okolicy przed dawnemi wieki wyruszyli dzicy przodkowie walecznych Węgrów, torując sobie drogę nad Dunaj i wywalczając nową ojczyznę.

Druga rodzina tego szczepu *samojedzka*, najbliżéj pokrewna z ugierszczyzną, zdaje się tworzyć samodzielną całość, a obejmuje wybrzeże na dalekiéj północy stałego lądu Azyi i Europy od morza Białego po przez obszar dolnego Jeniseju aż do Leny. Dyalekty téj rodziny brzmią w górzystych okolicach, w krainie gdzie Jenisej źródło swoje bierze, a gdzie prawdopodobnie pierwotnéj ojczyzny plemion samojedzkich szukać należy.

Wszystko, co tylko o językach tego szczepu wiemy, zawdzięczamy sumiennym badaniom nieustraszonego podróżnika Castréna.

Trzecią rodzinę stanowią języki używane przez plemiona tureckie, które zajęły ostatnie miejsce w historyi nowożytnéj. Najdawniejsze ich wędrówki zaznaczone zostały w kronikach państwa Chińskiego, a długoletnie walki z Irańczykami na granicach Iranu i Turanu tworzą środkowy punkt perskich bohatérskich podań.

W IX i X wieku rozlali się oni z pustyń po środkowéj Azyi, a napadłszy na wschodnie prowincye już chylącego się do upadku Kalifatu przyspieszyli jego rozkład i część na rzecz swoję zagarnęli. Trwogę oręża ponieśli daléj na zachód, a około połowy XV wieku, stali się panami Konstantynopola oraz wszystkich przy cesarstwie bizantyńskiém pozostałych jeszcze prowincyj. Wtargnięciu ich jednak w serce Europy stawiły energiczny opór siły Madżiarów, Niemców i Słowian.

Ta rodzina zawiéra trzy działy: 1) *Północny* obejmuje języki Kirgizów, Baszkirów, Jakutów. 2) *Południowo-wschodni* pomieszcza języki: Uigurów, Uzbeków, Turkomanów i t. d. 3) *Zachodni* ciągnie się przez północną Persyą, Kaukaz, Krym i Małą Azyą do Bosforu, sięgając w Europę.

Czwartą gałęzią scytyjskiego szczepu jest *Mongolska.* W XII i XIII wieku potęga Mongołów była niezmierna, zawładnęli oni wszystkiemi prawie azyatyckiemi państwami, a także i wschodnio-europejskiemi. Cesarz Mongołów, Kubłaj-Han, ze stolicy swojéj w Chinach rozkazywał państwu rozciągającemu się od granic Niemiec aż do wybrzeży południowéj Azyi, a więc, jak w owe czasy, w krajach najludniejszych i najwięcéj ucywilizowanych. Ale równie prędkim, jak powstanie, był upadek tego państwa.

Dzisiejsi Mongołowie prowadzą żywot spokojny, jako wazale cesarza Chińskiego; obszar ich dotyka Tybetu i rozciąga się w kierunku północno-wschodnim granicy chińskiéj, gdy jednocześnie sięga na północy do jeziora Dżaisang, na północnym wschodzie do Bajkału i Mandżuryi, ogarniając sobą górny bieg Leny i Amuru. Oprócz tego szczątki Mongołów przebywają tu i owdzie nad Wołgą. Najważniejsze plemiona mongolskie są: Khalkasy, Kałmuki i Buryaci.

Piąta i ostatnia rodzina jest *tunguska.* Zajmuje ona skraj wybrzeża północno-wschodniéj Azyi od północy granicy Chińskiéj do oceanu Lodowatego i od okolic Jenisseju aż do Kamczatki prawie. Najważniejszym dyalektem jest tutaj *Mandżu*, używany w mowie przez plemiona, które przed 200 przeszło laty zdobyły Chiny.

Węzeł łączący te wszystkie szeroko rozpostarte języki jest dosyć luźny i słaby.

Nie mówiąc już o innych badaczach, którzy z językami tego szczepu nie zapoznali się bliżéj, wspomnimy Castrén'a, urodzonego Fińczyka i powszechnie znanego z długoletnich a gruntownych prac swoich. Otóż on z pewnością dokładną przedstawił pokrewieństwo jedynie pomiędzy językami ugryjskim, samojedzkim i tureckim, a stawiając kwestyą oczekującą załatwienia, zapytuje nawet czy takie ję-

zyki, jak mongolski i mandżu, należy zaciągnąć w zakrés języków scytyjskiego szczepu. Możnaby mniemać, że ludy tego szczepu rozdzieliły się pomiędzy sobą wcześniéj niż indoeuropejskie, i że ślady wspólnego pochodzenia mogły się téż tutaj w języku silniéj zatrzéć. Zresztą brak starych dyalektów, które w językach aryjskich tak znakomicie przysłużyły się badaniom, w szczepie scytyjskim przyczynia się zapewne niemało do niemożności odnalezienia węzła jednoczącego te języki. Podstawą, według któréj wnosi się o pokrewieństwie tych języków jest morfologiczne ich podobieństwo, polegające na tém, że one wszystkie znajdują się na stopniu tak zwanym *aglutynującym*. To znaczy, iż składowe części wyrazów luźnie obok siebie zestawione zostały. Czuje się dobrze, że te części wyrazowe są zupełnie samodzielnemi organizmami. Podczas tego, gdy w aryjszczyznie, jak mówi Max Müller, przy złożeniu dwóch pierwiastków na jeden wyraz oba straciły swoję samodzielność, w szczepie scytyjskim zatracił ją tylko pierwiastek sufiksu.

Na takim stopniu rozwoju przebywał w swoim czasie także i szczep aryjski. Są atoli jeszcze inne punkta materyalnéj zgodności z sobą języków scytyjskich.

Zgłoska pierwiastkowa stoi tu zawsze na czele wyrazu a po niéj dopiéro następują części, które niech nam będzie wolno nazwać częściami potwórczemi. Pierwiastek zostaje niezmienny i ani się nie stapia z sufiksem, ani téż przez działanie jego nie ulega eufoniczńéj przemianie, tak iż w całéj grupie wyrazów jednego pochodzenia przeświéca on jak najwidoczniéj. Jakkolwiek końcówka nie ma wpływu na pierwiastek, to taż sama końcówka jednak modyfikuje się pod wpływem pierwiastku. Panuje tu bowiem tak zwana samogłoskowa harmonia, polegająca na tém, że w końcówkach mogą występować jedynie te samogłoski, które posiada pierwiastek. Po turecku „ojciec“ *baba* a „naszych ojców“ *baba-lar - umdan*; „dziad“ *dedeh* a „naszych dziadów“ *dede ler-in-den*; „brać *al* stąd formy: *almak*, *alma*, *alajak*, gdy tymczasem te same formy od *sev* „kochać“ są: *sevmek*, *sevme*, *sevejek*. Nieprawidłowości w koniugacyi i deklinacyi są tu nieznane; tak słowa jak i imiona odmieniają się podług jednych stałych wzorów.

Te wszystkie atoli zgodności morfologiczne nie wystarczają do utrwalenia węzła pokrewieństwa języków scytyjskich, to też dzisiejsze ich uklasyfikowanie należy uważać jako czysto prowizoryczne.

Już to w ogóle języki azyatyckie nie zostały dotąd należycie uklasyfikowane. Niektórzy badacze starali się ustalić tę kwestyą jako fakt niezbity i przezwali szczepem *turańskim* wielką grupę języków aglutynujących, rozpostartych po całéj Azyi, po wyspach Oceanii

i na stałym lądzie Ameryki. Klasyfikacyą nazwać tego niepodobna, jest to raczéj konglomeracya najrozmaitszych języków, które niejednokrotnie różnią się od siebie w tym stopniu, co np. język grecki i hebrajski. Nic téż dziwnego, że w dziełach umiejętnych trudno jest uznać nazwę *szczepu turańskiego*, która winna swe pochodzenie perskiemu podaniu o zapasach dwóch braci Iredża i Tura, wziętemu z dzieła Firdusi'ego *Szahnameh*. Nie pojmujemy jak można nazwę tak bardzo lokalnie zabarwioną i należącą do tak odległego od nas mitu rozciągnąć na rasę osiadłą w $^3/_4$ częściach ziemi i wprowadzić jako termin w europejskiéj umiejętności.

Dwa są szczepy językowe w Azyi, które nie bez pewnego powodu zaliczono do szczepu scytyjskiego.

Z tych *drawidyjski* albo *tamilski* ma ojczyznę swoję w południowych Indyach. Mówiliśmy już o tém, że ludy mówiące sanskrytem parły do Indyi od północnego zachodu i podbiły północne prowincye tego kraju, tępiąc tuziemców, lub zamieniając ich w niewolników. Najezdnicy jednak nie tknęli wzgórzystych okolic południa, jako téż pozostawili miejscowéj ludności wyniosłe górskie krainy Himalaya na północy. W całym prawie Dekhanie jądrem ludności jest owa starsza rasa, mówiąca i pisząca swoim starodawnym językiem. Język *tamilski* brzmi na południowo-zachodnim krańcu półwyspu i po części na wyspie Ceylon, na północ zaś od niego rozciąga się na większéj jeszcze przestrzeni język *telinga* albo *telugu*; język *kanarezyjski* — na zachód od *tamilskiego* i *telugu* aż do wybrzeża, a *malayalam* lub *malabarski* ciągnie się wązkim pasem wzdłuż wybrzeża na północ od przylądka Komorin. Nareszcie język *tulu* panuje na mniejszym obszarze, aniżeli język *malayalam*.

Plemiona drawidyjskie mają własną religią, polityczne urządzenia, a w ogóle cywilizacyą przejęły one od oświeceńszych sąsiadów swoich Hindusów.

W górzystych częściach Indyi wschodnich znajdują się jeszcze mniéj liczne plemiona, żyjące prawie w stanie zupełnéj dzikości, a niektóre z nich, jak np. Tułasy, Kodasy oraz dzicy Khondowie i Gondowie, spokrewnione są z ludami drawidyjskiemi; inne znowu, jak Kolowie, Suroowie i Santalowie, zdają się być innego pochodzenia. Kto wié, czy nie są to resztki ludności, którą naszli i wyparli Drawidowie.

Budowa języków drawidyjskich jest aglutynująca podobnie jak scytyjskich, ale fakt pokrewieństwa nie jest tu skonstatowanym.

Inna grupa języków, którą usiłowano także pobratać ze szczepem scytyjskim, tworzy raczéj jedność geograficzną, złożoną mozaikowo z nieznanych nam bliżéj języków i dyalektów. Najważniejszym

członkiem téj grupy jest język *japoński* o budowie aglutynującéj, znajduje się on oprócz Japonii na wyspach Liu-kiu. Cywilizacya japońska pochodzi z Chin, a chiński język i literatura odgrywają tu taką samę rolę, jaką w Europie łacina. Japończycy, równie jak Chińczycy i wschodni Scytowie zaliczają się do Mongołów, a z pomiędzy wszystkich ludów wschodnich okazują najwięcéj skłonności do przyswojenia sobie europejskiéj cywilizacyi. Na półwyspie Korei ludność używa języka, który jakkolwiek z japońskim jest zbliżony, atoli stanowczo o pokrewieństwie ich orzec jeszcze nie można, a to samo da się zastosować i do innych języków północno-wschodniéj Azyi, jak np. *Kamczadalski*.

Nareszcie wypada nam nieco powiedzieć o językach, które, o ile mamy powody sądzić, przedstawiają taką budowę, jaką w danym czasie musiał mieć każdy język ludzki — budowę jednozgłoskową.

Wyrazy chińskie są po największéj części pierwiastkami; wyrażają one pojęcia w sposób ogólny i nieokreślony, a całkiem od okoliczności zależy, czy to są imiona, przysłówki lub słowa. „Być wielkim” *ta* bez względu, czy trzeba użyć tego pierwiastku jako rzeczownik, przymiotnik lub słowo. Znaczenie pierwiastku zawisło od miejsca, jakie zajął w zdaniu, lub téż od związku.

Chińszczyzna nie posiada odmian, ani części mowy, a przemiany języka w ciągu 4 tysięcy lat są tu zaledwie takie, jakie gdzieindziéj w ciągu czterystu lat wystąpiły. System dźwięków składa się z 450 połączeń głosowych, które Chińczycy przez intonacyą podnoszą do potrójnéj ilości. Życie języka koncentruje się tu w historyi znaczenia wyrazów. Nie tylko bowiem gramatyczne względy, ale i rozmaitość pochodnych wyrazów (*zgoda*, *przygoda*, *ugoda*, *pogoda*, *zgodny* i t. d.) po największéj części ze związku odgadnąć należy. W piśmie jednak unika się wieloznaczności, ponieważ znakami piśmiennemi przedstawiane są wyrazy nietylko według swego brzmienia, ale także pojęciowéj jakości; stąd powstaje owo dziwne zjawisko, iż język złożony prawie z dwóch tysięcy wyrazów potrzebuje w piśmie aparatu kilkudziesięciu tysięcy znaków. Używanie w języku ustnym złożeń i opisań jest jakby dążnością chińszczyzny do aglutynowania np. pojęcie „rodzice“ oddaje się przez złożenie „ojciec — matka;‘ „cnota“ przez zestawienie: „wierność — pobożność — umiarkowanie — sprawiedliwość.“

Języki z budową jednozgłoskową i izolującą posiadają także Anamici albo Kochinchinowie, Syamczycy, Barmanie, Kwantowie i inne jeszcze mniéj znaczne plemiona.

Tu także zaliczyć należy język *tybetański*, który ma jednak pewne charakterystyczne właściwości w budowie swojéj i sam jeden pomiędzy licznemi językami górskich dolin na północnym i południowym stoku Himalaya używa literackiego rozwoju.

Tak zwany szczep *malajsko-polinezyjski*, obejmujący sobą wyspiarski świat oceanu Spokojnego i Indyjskiego. Podług najnowszych badań, szczep ten podzielony został na trzy rodziny: 1) *malajska* obejmuje języki Malakki, Sumatry, Jawy i wysp sąsiednich, jako też Filipińskich oraz Rozbójniczych; 2) *polinezyjska* używana w Nowéj Zelandyi i na kilku pomniejszych rozrzuconych wyspach; 3) *melanezyjska*—na wyspach Fidżi i innych na północo-wschodzie Australii. Języki niektóre pierwszéj z tych rodzin pod wpływem mahometanizmu przyjęły arabskie pismo i wykazują dosyć bogatą literaturę. Obie inne rodziny nie posiadają literatury, prócz téj, jaką im działalność misyonarzy przysposobiła.

Języki tego szczepu, zwłaszcza rodziny polinezyjskiéj, odznaczają się niepospolitą prostotą formy dźwięków; spółgłosek jest tutaj dziesięć, niekiedy siedm, a sylaby zaczynają się pojedynczą spółgłoską. Są to języki wielozgłoskowe, ale takie ubogie w formy, że zaledwie pod względem gramatycznym można im przyznać wyższość nad językami jednozgłoskowemi. Pierwiastki ich, jeśli się je tak nazwać godzi, są częstokroć dwuzgłoskowe i mogą być użyte jako rzeczowniki, słowa, przymiotniki a nawet przyimki. Odmian nie ma tu ani śladu; wszystkie gramatyczne względy wyrażają się za pomocą zaimków, wskazujących partykuł, przyimków i t. d.

Czarna, wełnisto-włosa rasa, mówiąca językami rodziny melanezyjskiéj nosi nazwę Papuasów. Pierwotnie posiadała ona niewątpliwie liczne wyspy, obecnie częściowo lub całkowicie przez rasę brunatną zamieszkałe. Jest ona panującą dzisiaj w Nowéj Gwinei, jako téż w miejscowościach niedostępniejszych na wyspach Borneo, Celebes i Filipinach. Języki téj ludności są prawie nieznane.

Pierwotna ludność Australii i Van-Diemenu tworzy rasę australską, któréj język wielozgłoskowy i wyrażający tylko przez sufiksy względy gramatyczne rozpada się na dyalekty widocznie sobie pokrewne.

O języku *staroegipskim* powinnibyśmy byli już dawniéj coś powiedzieć tak z powodu jego uznanego pokrewieństwa ze szczepem semickim, jako też jego wysokiéj starożytności i wykształcenia. Zdawało nam się jednak być rzeczą właściwszą przebiedz wprzód ten podwójny Azyatycko-europejski kontynent, a późniéj dopiéro przerzucić się do Afryki. Nie będziemy opisywali Egiptu i arcydzieł jego cywilizacyi, są to bowiem rzeczy znane powszechnie. Po odczyta-

niu hieroglifów przez Champolliona wniknięto w budowę oraz istotę staro-egipskiego języka i przekonano się, że jest to tylko starszy stopień rozwoju języka koptyckiego, który wygasł dopiéro przed 300 lub 400 laty w północnéj Afryce z powodu przewagi arabszczyzny; zostały jednak po nim zabytki literackie treści religijnéj z pierwszych wieków chrześcijaństwa. Z językiem egipskim mają być pokrewne inne jeszcze afrykańskie języki.

Dzielą się one na dwie klasy: 1) *etyopska* albo *abisyńska*, do któréj należą języki: *gala*, *somali*, *paja* i inne wschodnio-afrykańskie, rozciągające się do Równika oraz 2) *libijska* albo *berberyjska* w krainie nad oceanem Atlantyckim na północy.

Niektórzy tworzą jeszcze trzecią klasę z języków *hotentockiego* i *buszmańskiego*. Wszystkie zaś te trzy klasy znane są pod nazwą języków hamickich.

Język egipski miał bardzo prostą gramatykę. Pierwiastki były tu przeważnie, ale nie wyłącznie, jednozgłoskowe, stanowiły one wyrazy i to niekiedy funkcyonujące jako słowa, rzeczowniki lub przymiotniki np. *ankh* „życie — żyć — żywy“ podobnie jak w chińszczyźnie.

Deklinacyi tu nie było, a względy przypadków wyrażały się za pomocą przyimków. W słowie osoby wyrażały się przez końcówki zaimkowe, a za pomocą umieszczonych na czele słów posiłkowych tworzono w stronnym zakrésie czasy i tryby. Końcówki zaimkowe przyczepiane do słowa, oznaczające subjekt (niekiedy objekt), w połączeniu z imionami przybiérają znaczenie posiadania np. *ran-i* „ja nazywam“ lub „moje imię“; dosłownie zapewne „imię moje.“ W końcówkach zaimkowych i w samych zaimkach występuje rodzaj męski oraz żeński. Ale mimo to, rozważając całość budowy języka Egipcyan, nie możemy go postawić na równi obok szczepu aryjskiego i semickiego. Jest on o stopień tylko wyższy od chińszczyzny.

Zgodność zaimków egipskich z semickiemi podała niektórym badaczom myśl sprowadzenia tych obu szczepów do jednego wspólnego początku; atoli dalsze i ściślejsze badania mogą dopiéro zdecydować stanowczo tę tak ważną kwestyą. W ostatnich czasach namnożyło się bogactwo materyałów, ale ileż to pracy jeszcze potrzeba, zanim te niezliczone i szybko przemieniające się typy językowe wszystkich dzikich plemion poznane i rozklasyfikowane zostaną!

Najlepiéj znany a najbardziéj rozgałęziony jest szczep *południowo-afrykański*, ciągnący się od Przylądka Dobréj nadziei aż po za Równik. Morfologiczna budowa i pokrewieństwo pierwiastków w licznych językach tego szczepu nie pozostawiają wątpliwości, że

tu ściślejsze stosunki genealogiczne zachodzić muszą. Zajmują one wszystkie stopień aglutynujący, są pod pewnym względem bogatemi w formy i posiadają zdolność przedstawienia delikatnych różnic w znaczeniu. Specyficzną ich właściwością są prefiksy zaimkowe, umieszczone przed rzeczownikami. Celem oznaczenia w rzeczowniku liczby i jedności np. w języku *zülü*, „chłopiec“, *um-fana*, „chłopcy“, *aba-fana*, *in-komo* „krowa“, *izin-komo* „krowy“, *ili-zwi* „wyraz“, *ama-zwi* „wyrazy“ i t. d.

Te same prefiksy lub ich charakterystyczne części odgrywają jeszcze rolę przy formowaniu przymiotników, zaimków względnych oraz jako końcówki osobowe, mające oznaczyć subjekt lub objekt. *Aba-fana b-ami aba-kulu*, *ba tanda* „moje wielkie chłopcy, oni kochają;“ *izin-komo z-ami izin-kulu*, *zi tanda* „moje wielkie krowy, oni kochają.“ W ten sposób powstaje rodzaj asonancyi jak w łacinie: *vir-o optim-o maxim-o* lub *femin-ae optim-ae maxim-ae*. Zachodzi też w tych językach zjawisko, które czyni je podobnemi do języka tureckiego, a to na punkcie wytwarzania za pomocą sufiksów całego szeregu różnych koniugacyj: *bonisa* „pokazać“, *bonela* „poglądać“, *bonana* „rozglądać sobie“, *bonisana* „pokazywać sobie“, *bonwa* „być widzianym“ i t. d. Z tém wszystkiém prefiksy odgrywają tutaj taką rolę, jaką sufiksy w aryjszczyznie na późniejszych stopniach rozwoju.

W południowo-afrykańskich językach, mianowicie w jednéj ich rodzinie występuje ciekawe zjawisko głosowe; są to tak zwane klaskania, których my czasem używamy, bawiąc dzieci, lub zachęcając do biegu konia. Z ust podróżnika po Afryce południowéj dowiadujemy się, że takich dźwięków klaskających czyli kliksów Buszmanie posiadają sześć.

Z pomiędzy większych szczepów językowych pozostaje nam jeszcze do rozejrzenia *amerykański*. Mnogość i rozmaitość amerykańskich dyalektów jest zadziwiającą, a siły odśrodkowe nabrały tu takiego impetu, że je zaledwie zdołają nieco ograniczyć popędy jednoczenia się i konserwatyzmu.

Główną cechą języków amerykańskich jest to, że są one polisyntetyczne, czyli że odznaczają się dążnością, aby różne części zdania razem stopić tak, iż subjekt, objekt i przysłówkowe określenia zniżają się do rzędu partykuł otaczających wyraz, zawierający główne oznajmienie. Jeśli meksykanin chce o sobie powiedzieć, że pożywa mięso, wypowiada to jako jeden wyraz *ja-mięso-jem*. W języku kraju Massachusetts mówi się podobnież jednym wyrazem: „On padł na kolana i błagał go.“ *Wut-ap-pé-sit-tuk-qus'-sun-no-weht-eruk-quoh*. Nie jest to jeszcze najdłuższy amerykański wyraz. Za pośrednictwem

tak zwanych wcielających partykuł może być wyrażona niesłychana mnogość najrozmaitszych modyfikacyj w czynności słowa, co my przez samodzielne wyrazy oznaczamy. Jeden misyonarz podaje, że w Ojilwa liczba modyfikacyj jednego pierwiastku słownego jest 200.000, a wszystkie możliwe wyrazy powstałe z takiego pierwiastku wynoszą ogromną sumę 17.000.000. Historyczna geneza tych złożeń nie jest dostatecznie zbadaną, nie wiadomo z jakich to początków wzrosły te potwornie wielkie językowe produkcye.

Ta wcielająca budowa języka nie jest bynajmniéj właściwością samych tylko amerykańskich języków, owszem i w naszym szczepie niejeden przykład podać można. Łacińskie *amor* stoi zamiast *amose*; na większą skalę spotykamy zjawisko to w języku węgierskim, a wysoko syntetycznym jest język Basków.

Nie mamy możności wyliczania tu wszystkich rodzin i pojedynczych członków amerykańskiego szczepu, ale nie można pominąć przynajmniéj najgłówniejszych grup. I tak język *eskimoski* panuje na dalekiéj północy, wzdłuż całego wybrzeża morza Lodowatego, sięgając na wschód przez Grenlandyą na południe do Newfoundland i obejmując sobą na zachodzie krańce azyatyckiego kontynentu, a może i wyspy niektóre Atlantyku. Na południe od pasu eskimoskiego rozściełają się języki *atapaskie* albo *chippewejskie* po przez obszerną, ale zimną i pustą krainę; do téjże grupy daléj na południe należą języki *apacha* i *nawajo*.

Wielka grupa *delawarska* lub *algonkińska* ciągnie się poniżéj grupy atapaskiéj, obejmując sobą wszystkie języki Nowéj Anglii. W środek wsuwa się obszar językowy pięciu irokeskich plemion, których mowa niegdyś płynęła od rzeki Hudson przez krainę Niagary aż do jeziora Huron. Na wielkich równinach na zachód od Missisipi są języki *dakotajskie* albo *sioux*. W południowo-wschodnich częściach Stanów Zjednoczonych rozpościérała się niegdyś rodzina języków *iloidajskich*. Zachodnie wybrzeże od Alaszki do Kalifornii zajmowały rodziny języków *kenai*, *kolosz*, *salisz* i innych. Od Texas na północ aż do granic Kalifornii leżała rozległa grupa języków: *komanez*, *uto* i t. d. Były one może pokrewne cywilizowanym językom Meksyku, jak językowi *azteków* i innym. Język cywilizowanéj ludności Ameryki Środkowéj ma się przechowywać w językach *maya* na Yukatanie.

W Ameryce południowéj występują naprzód najznaczniejsze dwie rodziny języków: 1) *kuhnaski* i *aymaraski* w Andach, są państwowemi, wykształconemi językami Inkasów a 2) języki *jupi* i *guarani* leżą na całym obszarze na wschód od Andów między Orynoko i La Plata. Jeden dyalekt języka *jupi* jest lingua franca

w krajach nad Amazonką. Oprócz tych wymieniamy jeszcze *arawak* i *karib* na wybrzeżu północném oraz wyspach, *chibcha* albo *muysca* na północno-zachodnim krańcu lądu i *aramański* w Chili. Wyobraźni tylko zresztą pozostawić przychodzi dosnucie sobie mnóstwa rozmaitych języków, rojących się na równinach i w górach południa od La Platy aż do przylądka Horn.

Nawet najbystrzejszym umysłom przyszło błądzić na punkcie wyprowadzania rodowodu amerykańskich języków i ludów. Lingwistyka pod tym względem nic stanowczego orzec nie jest dziś w stanie i pozostawia całkiem otwarte pole dla domysłów, w jakie popadają sangwiniczniéj usposobione umysly.

Zanim zamkniemy ten pobieżny i niedostateczny przegląd językowych typów, zwrócimy jeszcze uwagę na języki, które uchodziły dotąd zawsze przed wszelkiemi usiłowaniami powiązania ich z jakąś większą całością.

Przedewszystkiém uwagę naszę zwraca język *Basków*, który znajdujemy w Pireneyach wzdłuż hiszpańsko-francuskiéj granicy od Bilbao do Bajonny. Nadaremnie usiłowano dotąd język ten gdziebądź przypiąć, i z powodu tych na niczém spełzłych usiłowań wywnioskowano, że jest to szczątkowa pozostałość języka należącego do jakiejś pierwotnéj ludności, która może przed najściem do Europy szczepu aryjskiego zajmowała obszerniejsze terytorya.

We Włoszech przechowały się jeszcze resztki języka *Etrusków*, którzy z powodu sąsiedztwa swego z Rzymianami oraz wyższego stopnia cywilizacyi odegrali bezwarunkowo większą rolę w historyi aniżeli tacy Baskowie. Po długich umiejętnych poszukiwaniach dwaj znakomici badacze Ascoli i Corssen zadecydowali, że język etruski należy do szczepu aryjskiego, a do rodziny italskiéj.

Język *albański* albo *skipetarski* żywy przedstawiciel staro-ilirskiego, nie wykazuje stanowczych cech indo-europejskiego szczepu, przeto zaliczamy go do języków sporadycznych o ciemnéj genealogii.

Daléj, spotykamy w górach Kaukazu i pogranicznych okolicach, między morzem Kaspijskiém a Czarném, nieliczną grupę dyalektów, których dotąd żaden badacz nie zdołał połączyć z jakimś językowym typem.

Takich pojedynczych grup jest tu cztéry: *czerkiedza*, *georgijska*, *lezgijska* i *mizdżegijska*.

Wspominamy nareszcie język *jenisejski*, który znajduje się w okolicach średniego biegu Jeniseju, a po części i u źródeł téj rzeki. Należy on do skromnych szczątków dawniejszéj formacyi ludów, które wśród scytyjskiego plemienia napotkać można.

Liczba takich sporadycznie tu i owdzie rozsianych języków dałaby się jeszcze znacznie podnieść, co niezawodnie i nastąpi z czasem w miarę postępu badań.

Winniśmy wyznać, że klasyfikacya nasza w ogóle tylko pomiędzy językami indo-europejskiemi i semickiemi spoczywa na pewnéj podstawie genealogicznéj; wszędzie indziéj są luki do zapełnienia. Morfologiczne podobieństwo nie przedstawia nam żadną miarą pewnych i nieomylnych cech pokrewieństwa między sobą języków; ale pewność taką możemy osiągnąć jedynie na zasadzie tożsamości materyału głosowego i budowy gramatycznéj w danych językach.

Z pomiędzy klasyfikacyjnych systemów, opartych na morfologicznem podobieństwie języków, przedewszystkiém zasługuje na uwagę system Maksa Müllera, który ustanawia trzy działy:

Pierwszy dział obejmuje języki, w których pierwiastki funkcyonują jako wyrazy, a każdy pierwiastek zachował swoję samodzielność.

W *dziale drugim* mieszczą się języki, których dwa pierwiastki łączą się dla utworzenia wyrazu, ale w złożeniu jeden z tych pierwiastków może utracić swoję samodzielność.

Języki stanowiące *dział trzeci* budują wyrazy z dwóch pierwiastków, ale w złożeniu tém oba pierwiastki utracają swoję samodzielność.

Ciekawszemi jeszcze, niż ten troisty podział, są algebraiczne formuły Augusta Schleichera, który oznacza wszelki pierwiastek przez A.; jeżeli zaś zdanie zawiera kilka takich pierwiastkowych wyrazów, co ma miejsce np. w języku chińskim, wtedy powstaje formuła ABC i t. d. Pierwiastki, które nie utraciły własnéj samodzielności, a służą specyficznie do bliższego oznaczenia innych pierwiastków (w językach izolujących), otrzymują znaczek akcentu i stąd powstają kombinacye A+A, A+A', A'+A+B', B'+A i t. d.

Jeżeli wystąpi zrośnięcie się elementów formalnych z pierwiastkiem, tak, że powstają nowe wyrazy, to te ostatnie wyrażają się przez dużą głoskę, obok któréj umieszcza się tyle małych głosek, ile elementów formalnych dodanych zostało przed pierwiastkiem lub po nim. Według tego oznaczywszy przez A, nasz pierwiastek *wal*, otrzymamy wzór Aab dla *walić*, lub aAbc dla *powalić*. Za pomocą tego rodzaju formuł daje się wyrazić aglutynujący stopień języka.

Dla odróżnienia końcówek odmianowych od tych, za pomocą których tworzą się wyrazy pochodne, użyte zostały głoski greckiego alfabetu, tak, że turecki wyraz *baba-lar-um-dan* „naszych ojców“ ma formułę $A\alpha\beta\gamma$.

Nareszcie fleksya, to jest zmiana pierwiastku, zaszła dla wyrażenia względów gramatycznych, przedstawia się za pomocą dodania wykładnika przy znaku pierwiastkowym. Tym sposobem A jest znakiem dla pierwiastku *pi*, Aa dla wyrazu *pić*, aA"b dla *napoić*. Jeżeli chodzi o wyraz złożony, natenczas *szybko-nogi* wyraża się się przez AaBb.

Ważna się tu nastręcza uwaga, że żadna z klasyfikacyj rodzaju ludzkiego na rasy nie odpowiada naszym klasyfikacyom języków. I tak języki aryjskie, semickie, scytyjskie oraz kaukazkie używane są w mowie przez ludy, których żaden przyrodnik nie będzie zaliczał do różnych rasowych typów, gdy z drugiéj strony tacy Węgrzy i Lapończycy, ludy stanowczo różnéj od siebie fizyologicznéj organizacyi, używają dwóch pokrewnych sobie scytyjskich języków. W ogóle powiedzieć można, że obecność różnic fizycznych pomiędzy ludami mówiącemi pokrewnemi językami nie jest wcale rzadkiém zjawiskiem.

Nie ulega wątpliwości, że na pewnych punktach badania przyrodnicze są najzupełniéj kompetentne, ale wobec doniosłych kwestyj pokrewieństwa ras, najbogatszą w rezultaty jest metoda lingwistyczna, ona bowiem jedna może wytworzyć życiem tryskający obraz dziejowego rozwoju.

Przy rozklasyfikowaniu języków na rozmaite szczepy, powstaje mimowoli pytanie, czy ludzie, którzy kiedyś mówili temi różniącemi się od siebie językami, już w najdawniejszych czasach oddzielne stanowili rasy?

Zważywszy rozmaitość budowy różnych typów językowych i przypuściwszy, że ta rozmaitość jest już od początku rzeczą daną, powinnibyśmy wyprowadzić wniosek, odpowiadający twierdząco na postawione pytanie.

Gdyby się udało rozmaite językowe szczepy do pierwiastków sprowadzić i następnie wykazać, że te pierwiastki różnią się między sobą, wtedy dopiéro zdawałoby się, że można uznać zasadę ostatecznéj rozmaitości językowych szczepów.

Powiadamy, zdawałoby się, albowiem żaden rozważny badacz języka nie zgodzi się na pociągnięcie granicy, do jakiéj sięga przemienność dwóch pierwotnie identycznych, późniéj zaś różnych od siebie języków. Wszakże języki jednego szczepu mogły się między sobą rozdzielić w pierwszych chwilach wytwarzania pierwiastków i w następstwie przybrać aż do niepoznania różną fizyognomią. To też ze stanowiska lingwistyki, wszelka znana nam rozmaitość języków daje się łatwo pogodzić z hipotezą pochodzenia ludzi od jednéj pary. Umiejętność nasza przypuszcza, iż pierwotnie istniejąca

narodowa całość musiała rozpaść się na pojedyncze szczepy wprzód, zanim położone zostały trwalsze podstawy językowego rozwoju a jednocześnie przypuścić także musi, że i owa narodowa całość tak długo żyła pospołu, lub też język jéj tak szybko się rozwijał, iż wspólny jakiś język doszedł do wykształcenia i śladów jego ani znaczny przedział czasu, ani głęboko sięgające przemiany nie zdołały już zatrzéć. Lingwiści niedawno jeszcze przy wszelkich badaniach usiłowali uobecniać sobie tę ostatnią prawdę i w skrytości ducha żywili nadzieję, że raz kiedyś ze wspólności językowéj wszystkich narodów dowiedzioną zostanie ich wspólność pochodzenia. Ograniczone atoli i niedostateczne rezultaty językoznawstwa nakazują nam w dzisiejszéj dobie uważać za upadłą kwestyą wspólności językowéj wszystkich narodów, osiadłych na całéj ziemi.

Tylko porównywanie pierwiastków może do celu doprowadzić tego, kto podejmuje się dowieść pochodzenia wszystkich języków od jednéj wspólnéj mowy. Ale któż się podejmie takiego dzieła i nie uczyni odwrotu już przy pierwszym rzucie oka na niezmierzone przeszkody? Im kto lepiéj obeznany z nauką, tém dokładniéj wié, jak to bardzo trudném jest zadaniem ustalić zasadniczą formę i zasadnicze znaczenie pierwiastku w zakrésie jednego nawet językowego szczepu. Nawet w zakrésie szczepu indoeuropejskiego, w obec licznych jego reprezentantów, byłoby niepodobieństwem ustalenie pierwiastków, a wyjątkowo starożytna i przejrzysta budowa sanskrytu, choć nam dostarczyła bogatego materyału do wyrobienia sobie poglądu na historyą tworzenia się języków aryjskich, to jednak była ona niedostateczną, kiedy zaszła potrzeba wniknięcia w czas powstania pierwotnego aryjskiego prajęzyka. Toż samo i co do języków semickich, ich prajęzyk da się odtworzyć o tyle, o ile budowę jego stanowią trójzgłoskowe pierwiastki; ale i te pierwiastki są już produktem jakiegoś jednorodnego rozwoju, przez jaki pierwotna semicka mowa przechodziła. Cóż tu dopiéro mówić o chaosie języków amerykańskich, które rozpadają się na tuziny rdzennie różnych od siebie działów; jak tu odszukać zasadnicze ich części składowe, które one posiadały wspólnie przed swoim rozdziałem?

Pomyślmy też i o złudzeniach, na które narażony jest badacz języka, a które oddalają od niego obraz prawdy. Pomiędzy greckim wyrazem *phaulos* i niemieckim *faul* istnieje pozornie większy związek, aniżeli pomiędzy greck. *deka* i niemieck. *zehn*. a jednak w gruncie rzeczy w pierwszym razie istnieje tylko łudzące podobieństwo dźwięków, w drugim historycznie wspólna jedność pochodzenia. Innego rodzaju zjawiskiem jest stanowcze niepodobieństwo

dwóch wyrazów, które nie mają żadnego wspólnego dźwięku a sprowadzają się do jednego wspólnego typu, np. nasze *biskup* i francus. *évêque* do greck. *episkopos*; łacińsk. *filius* i hiszp. *hijo* itd. Mógłby kto mniemać, iż łacińsk. *locus* jest w bliskiém pokrewieństwie z sanskryck. *loka*; atoli *locus* jest forma skrócona ze *stlocus* a *loka* miało pierwotną formę *uloka*. Polinezyjski wyraz *mata* znaczy „oko“ i w tém samém znaczeniu używany jest nowogreck. *mati*, a ludzie skwapliwi mogliby w téj okoliczności widzieć pokrewieństwo owych języków; ale *mati* pochodzi od *ommation* (zdrobniałe od *omma*), którego pierwiastkiem jest *op* (starsze *ok*) „widzieć,“ podobieństwo zaś z wyrazem polinezyjskim jest czysto przypadkowe. Nie ma dwóch takich języków na świecie, aby w nich nie znalazły się tu i owdzie równobrzmiące i równoznaczne nawet wyrazy lub elementa wyrazów; to jednakże niczego nie dowodzi.

Zresztą wyznać trzeba, że dwa pokrewne, ale dawno od siebie rozdzielone języki mogą się różnić pozornie w wyższym stopniu, aniżeli dwa języki zupełnie sobie niepokrewne. Formułujemy zaś całą sprawę tak: że jeśli od samego już początku istniały rozmaite rasy, to ich języki nie miałyby potrzeby różnić się między sobą bardziéj, niż się różnią dziś istniejące. Jeśli zaś przeciwnie, wszyscy ludzie pochodzą od jednéj pary, to języki ludzkie mogły w tym stopniu stać się do siebie podobnemi, w jakim są obecnie. Jednóm słowém, według języka nie można dowieść ani pierwotnéj mnogości ras ludzkich, ani pierwotnéj jedności.

VI.

Kwestya początku języka nietyle należy do historycznego językoznawstwa, ile wkracza w zakrés filozofii języka. Jest ona jednak tak interesującą i tylekrotnie poruszaną, że zmuszeni jesteśmy słów kilka jéj poświęcić. Przedewszystkiém każdy przyzna, iż po ustaleniu niektórych zasad historycznego rozwoju języka znikła po części tajemnicza mgła, jaka otaczała jego pochodzenie. Widzieliśmy bowiem, że najstarsze języki rozwijały się powoli i w skutek tych samych procesów, jakie dziś także w każdym języku się przejawiają. A całe bogactwo późniejsze wyszło z pierwotnego ubóstwa, ze szczupłego zapasu pierwiastków, oznaczających już to zjawisko otaczającéj nas natury, spostrzeżenia zmysłowe lub stosunki odnoszące się do nas samych i naszych współbliźnich. Zachodzi teraz pytanie, w jaki sposób człowiek zdobył sobie te początki języka. Może te same władze myślenia i wyobraźni, które język pierwiastków wyniosły do pełni języka fleksyjnego, były dostatecznemi c

nikami, aby tak ubożuchny zapas przyswoić człowiekowi? Opuszczamy tu sposobność polemizowania z uporem tych, którzy walczą pod sztandarem „boskiego pochodzenia języka.“ Wiara nie może mieć nic wspólnego z nauką; nauka zaś nie uwłacza bynajmniéj wierze, jeśli postępuje swoją drogą.

Ponieważ wszyscy ludzie mówią, przeto w planie stworzenia leżało zapewnienie ludziom téj potrzeby, podobnie, jak potrzeby oddychania, jedzenia, picia itd. Chodzi tylko o to, czy my zaczęliśmy mówić tak, jak zaczęliśmy oddychać, t. j. bez udziału w tém naszéj woli; albo też czy zaczęliśmy mówić dla téj saméj przyczyny, w skutek któréj poruszamy się, przyodziewamy, jemy, mieszkamy, tj. aby nasze naturalne władze rozwinąć i naturalne potrzeby zaspokoić. Śmiesznóm jest istotnie stanowisko filozofa, który interwencyi bóstwa w życiu języka szuka koniecznie w czasach najodleglejszych. Wszakżeż siła, która rzeczy stwarza, nie daje się oddzielić od téj, która je rozwija i utrzymuje. Czemuż objawioną ma być mowa tylko, a nie liczenie pierwotne lub grafika alfabetu, wreszcie zegarek lub dom, których twórców nie widzieliśmy na własne oczy?

Pierwszą odzieżą człowieka były surowe materyały, jak skóra, liście lub kora; najdawniejszém jego mieszkaniem była jaskinia, drzewo wydrążone lub gniazdo z gałęzi. Ale umysł człowieka się rozwijał i rozwój taki odziedziczało jedno pokolenie po drugiém, powstawały wyższe wymagania wygody, rozmaitości i piękna, tak że z czasem budowanie domów wytworzyło sztukę zwaną architekturą, a przygotowywanie odzieży jest powszechnie znaném dziś rzemiosłem.

Podobnie ma się sprawa z językiem, był on pierwotnie surowym i niedoskonałym, ale dzięki usiłowaniom wielu generacyj wykształcił się i udoskonalił. I dziś jeszcze żyją narody, których język jest bardzo ubogi, podobnie, jak odzież lub mieszkanie. No, ale pytamy się znowu, gdzie jest motyw główny pobudzający człowieka do mówienia? Wiemy już, że język jest zbiorem dających się słyszeć znaków głosowych dla przedstawienia wewnętrznych duchowych procesów, dla wyrażenia pojęć i wyobrażeń. Otóż powiadają, że właściwością myśli ludzkiéj jest dążność do uzewnętrznienia się. Zdaniem naszém, jest to bardzo błędny pogląd, polegający na stanowczém przekręceniu stosunku pomiędzy myśleniem a jego wyrazem na zewnątrz. Język bowiem nie jest własnością jednostki, ale własnością całego towarzystwa, w którém jednostka żyje; do niéj zaś należy on tylko o tyle, o ile ona jest członkiem większéj całości. Nie wszystko to jest językiem, co ktokolwiekbądź z ust wypuszcza, lecz tylko to, co bliźni nasi uznają i naśladują. Impuls może wycho-

dzić od jednostki, kierunek od zbiorowego ciała zależy, a pierwszą koniecznością języka jest powszechna zrozumiałość. A zatém pierwszorzędnie człowiekowi nie o to chodzi, gdy mówi, aby myślał, ale żeby komunikował to, co pomyślał. Więc popęd porozumienia się z innymi jest tym początkiem, który powołał język do życia. I według tego, język jest stanowczo i ostatecznie produktem życia towarzyskiego.

Mówić nie jest to myśléć, podobnie jak myśléć, nie jest to mówić. Powiadają: „człowiek mówi, ponieważ myśli.“ Naturalnie nikt nie będzie twierdził, że człowiek nie mówiłby, gdyby nie myślał; podobnie jak nikt nie powié, że człowiek nie nosiłby sukien, gdyby nie posiadał ciała. Dosyć wspomniéć na głuchoniemych, którzy porozumiewają się palcami a gesta oddają im tę samę przysługę, co nam język dźwięków. Jeżeli przeto ktoś utrzymuje, że my myślimy wyrazami, natenczas z równą słusznością może twierdzić, że głuchoniemi myślą gestami palców.

Używając analogii powiémy, iż kto sądzi, że pojęcie dopiéro wtedy występuje, kiedy znak dla niego jest przygotowany, postępuje podobnie, jak gdyby twierdził, że dziecię nie może się wprzód urodzić, dopóki nie ma przygotowanych pieluch i kolebki. Twierdzenie zaś, jakobyśmy myśleli wyrazami, o tyle jest słuszne, że my rozmyślając, istotnie formułujemy myśli nasze w wyrazach, tak jakbyśmy je wypowiedzieć lub napisać chcieli. Ściśle mówiąc, takie myślenie wyrazami zawiera dwie czynności w sobie: 1) akt myślenia, 2) akt wybrania formy wyrażenia dla tego co się pomyślało. Tak samo głuchoniemi, gdy myślą, przywołują sobie do pamięci ruchy palców, któremi chcieliby zakomunikować innym swoje myśli; jednakże z tego powodu myślenie ich nie jest bynajmniéj w niewolniczéj zależności od tych pantomin.

Wyższe gatunki zwierząt myślą, jakkolwiek myśli swych nie przyodziewają w tę szatę, którą my nazywamy językiem. Pies np. zna pewne pojęcia, jak i człowiek, kawał mięsa, zimno, upał, radość, ból itd., które leżą w sferze jego myślenia; może on nawet dosyć skomplikowane rozumowanie przeprowadzać: „tę oto kość ukradnę, skoro tylko obróci się tyłem człowiek, do którego ona należy i nikt mnie nie zobaczy.“ Daremny to trud chciéć zaprzeczać istnieniu pewnego związku pomiędzy człowiekiem a zwierzęciem, tak pod względem fizycznym, jako téż umysłowym. Co więcéj, wyznamy, że życie człowieka żyjącego w stanie natury bliższém jest nawet zwierzęcia, aniżeli uspołecznionego i wykształconego człowieka. Ten ostatni bowiem tak się ma do pierwszego, jak jaje za-

płodnione do niezapłodnionego, z którego nigdy nie rozwinie się istota organiczna.

Zrobiono obserwacyą, że wrona posiada zdolność rachowania do pewnéj liczby. Jeżeli dwóch strzelców weszło do chaty a wyszedł tylko jeden, natenczas wrona nie da się przez żadną przynętę zwabić w pobliże; toż samo ma miejsce, jeśli weszło trzech a wyszło tylko dwóch itd. dopóki liczba strzelców nie wzrosła do tego stopnia, iż przekroczyła zakrés arytmetycznego uzdolnienia wrony i ona już przywabić się dała, nie zauważywszy, że jeszcze jeden strzelec w chacie ukryty został. Coś podobnego mogłoby mieć miejsce i z człowiekiem, gdyby tenże nie posiadał języka. Jedno ziarno, ukryte w zamkniętéj dłoni, za otwarciem téjże, każdy rzutem oka szybko policzy; podobnież dwa, trzy i tak daléj, dopóki liczba nie przekroczy granicy pewnéj, gdzie już wzrok i rozwaga liczącego zachwiane zostają. Otwarłszy dłoń, w któréj się mieści dwadzieścia ziarn, i upuściwszy z nich jedno, można być pewnym przy powtórném otwarciu i zwarciu dłoni, że liczący jednym rzutem oka nie dostrzeże różnicy między kupką dziewiętnastu a dwudziestu ziarn. I tu to właśnie występuje różnica pomiędzy ludzkiém a zwierzęcém myśleniem. Wrona nigdyby nie odkryła téj prawdy, że kupka dwudziestu ziarn większą jest od dziewiętnastu; człowiek dokona owéj operacyi, dzieląc te kupki na mniejsze, np. po cztéry ziarna mieszczące, i przez porównywanie dochodzi do dwóch ostatnich, w których już na pierwszy rzut oka, podobnie jak wrona, rozezna nierówność.

Ta zdolność rozkładania różnych rzeczy na elementa i porównywanie ich między sobą jest wybitną, ale nie jedyną cechą, wynoszącą człowieka po nad jego współ-stworzenia.

Nie dosyć jest rozłożyć rzecz na części, ale należy pomiędzy samą rzeczą a jéj własnościami zrobić różnicę. I to jest właśnie istotą języka: oznaczyć właściwości i według nich nazwać rzeczy.

Nazwawszy raz liczby: jeden, dwa, trzy i t. d., możemy iść do coraz wyższych sum i skréślić cały system liczenia, co nam oszczędza pracy rachowania za każdym razem od początku. Poznawszy raz prawdy, dostępne nawet dla wrony, że trzy jest więcéj niż dwa, że dwa i jeden jest trzy, a dwa razy dwa cztéry, dochodzimy daléj do przekonania, iż 20 jest więcéj niż 19, że siedm razy siedm jest 49.

Są to prawdy, którychbyśmy nigdy nie poznali bez pomocy języka. Matematyka jest sferą, gdzie się język dla utworzenia pojęć sformował; bardziéj zaś abstrakcyjnych pojęć niż matematyczne, gdzie wymówione lub napisane nazwy i symbole zdają się z sobą zbiegać, nie można sobie wyobrazić. A jednak i tutaj znaki są tylko substratami pojęć; potrzeba było myślenia, aby je wytworzyć.

Liczebniki nasze są dziełem pracy myśli, pracy, która wieki trwała. Bo że one nie zostały na raz utworzone, tego dowodzą fakta językowe. Są języki, w których liczyć można do trzech lub cztérech, a wszystko po za tém nazywa się „wiele.“ Aryanie przed rozdziałem swoim nie posiadali nazwy na tysiąc, a grecki geniusz nie umiał sobie zrobić dokładnego wyobrażenia o liczbie większéj od dziesięciu tysięcy.

Ze wszystkiego widać, że związek istniejący między pojęciem a wyrazem jest luźny i czysto zewnętrzny. Zanim pobieżnie dotkniemy głównych poglądów o powstawaniu najdawniejszych wyrazów, winniśmy zastanowić się przedtém, dlaczego to głos właśnie wybrany został jako środek wyrażenia myśli. Odpowiedź na to znajdziemy w łatwości i w dogodności zastosowania znaków głosowych, znaczną wyższość mających nad wszystkiemi innemi gestami i znakami. Jedynie tym przymiotom zawdzięcza głos ludzki funkcyą swoję jako narzędzie mowy. Przy swoich duchowych władzach i przy towarzyskich skłonnościach ludzie byliby sobie i bez głosu wytworzyli język. Przedewszystkiém byliby użyli gestów, które i dziś są środkiem porozumienia się u różnych ludów. Nie ulega zaś wątpliwości, że w czasach pierwotnych obcowanie ludzi z ludźmi, jeśli nie wyłącznie, to przeważnie odbywało się za pomocą pantomin.

Zachodzi tu jeszcze inna kwestya, mianowicie jaka klasa pojęć i wyobrażeń najprzód w dźwięki wcielona została; o tém atoli już poprzednio mówiliśmy, że pierwiastki wyrażające przymiot albo czynność tworzyły zarodki, na których się cała późniejsza nomenklatura osadziła. Są badacze, którym nie wystarcza takie stanowisko, i ci decydują, że nie przymioty, ale przedmioty świata zmysłowego przedstawiły się naprzód do ujęcia popędowi językowemu pierwotnych ludzi, że rzeczy stanowiące codzienne otoczenie ludzi przedewszystkiém domagały się nazwy. Jest to niezawodną rzeczą, iż przedmioty zmysłowe najprzód poznane, rozróżnione i uklasyfikowane zostały przez akt najprostszego syntetycznego myślenia, ale ten rodzaj myślenia nie wychodzi po za sferę zwierząt i nie doprowadziłby on nigdy do wytworzenia języka, który możliwym jest dopiéro przy analityczném myśleniu.

W ogólnych dziejach języka wszelkie pojęcia duchowe wyrażają się przez nazwy przedmiotów zmysłowych; przedmioty zaś zmysłowe nazwane zostają dopiéro od swoich charakterystycznych przymiotów. Widzieliśmy to już poprzednio, że *miesiąc* ma nazwę od mierzenia, łacińsk. *luna* (*lucna* = *lucina*) od świécenia, wyraz

drzewo (pierwiastek *dru*) od rośnięcia i t. d. I dziś gdyby nam chodziło o nazwanie jakiego stworzenia, np. *psa*, to musielibyśmy je nazwać podług kształtu, głosu lub barwy. W języku pantomin także podług przymiotów tylko mogłyby rzeczy być nazwanemi; np. *pies* dałby się wyrazić gestem oznaczającym jakiś jego charakterystyczny ruch, kąsanie lub kręcenie ogonem. Piśmiennie zaś nazwa psa wystąpiłaby jako nakreślenie jego postaci. Tu nam się zdaje być próg, za którym spoczywa zagadnienie początku języka. Przypatrzmy się, jakim jest pogląd na tę sprawę różnych badaczy.

Jedni utrzymują, że najdawniejsze nazwy przedmiotów oraz czynności są naśladownictwem głosów przyrody, jak np. do dziś istniejąca nazwa *kukułki* w językach aryjskich lub nazwa psa *ham-ham* w języku dzieci; mniemają oni, iż pierwsi twórcy języka naśladowali w nazwach wianie wiatru, szmer liści, pluskanie wody i że na tym gruncie powstały pierwiastkowe wyrazy, z których się później rozwinął język właściwy.

Jest to tak zwana teorya onomatopeiczna.

Druga teorya wykrzyknikowa bierze za punkt wyjścia wszelkie ah! oh! hm! oj!, które my wygłaszamy, ilekroć uczucia nasze uzewnętrznić nam przychodzi. Uczony badacz, którego dzieła używają wielkiéj popularności, zarzuca oba te poglądy, nazywając je szyderczo *Bau-wau-teoryą* i *Aha-teoryą*.

Teorya zaś, za którą on sam obstaje, a która wzięta jest z systemu językoznawstwa Heyse'go, streszcza się w następujący sposób: „Jest pewne prawo, przenikające całą naturę, że każde ciało wprawione w ruch wydaje głos właściwy. Każda substancya ma swój dźwięk odpowiedni. A więc ma go i człowiek, organizm najdoskonalszy pomiędzy dziełami natury i t. d.“ Człowiek posiadał instynktowną zdolność nadawania zartykułowanego wyrażenia swoim abstrakcyjnym wyobrażeniom; ale ta twórcza zdolność zniknęła, jak tylko dzieło spełnione zostało i t. d. Pogląd ten znowu nazwano Dyn-dyń-teoryą (niemieck. Kling-klang-Theorie, angielsk. ding-dong-theory). Szkoda, że taka gwiazda, jak Maks Müller, wyśmiawszy zapatrywania się innych na tę poważną kwestyą, sam wygłasza pogląd czysto dogmatyczny, nie oparłszy go na niczém, jak tylko na fantastyczném porównaniu. Istotnie podług teoryi M. Müllera człowiek wygląda jak dzwonek.

Co do nas, nie możemy gardzić ani teoryą onomatopeiczną, ani wykrzyknikową. Skoro tylko głos użyty został jako narzędzie wyrażenia myśli i jeśli to wyrażenie skierowało się w ogóle do przymiotów lub czynności, natenczas stało się już rzeczą całkiem naturalną, aby dźwięki i szmery różne przez naśladowanie ich wyrażać.

Temu to naśladowaniu zawdzięcza swą nazwę tak *kukułka*; jak i nazwa *koguta*, w wielu językach aryjskich angielsk. *cock*, franc. *coq*; wyraz *kokarda* (właściwie grzebień koguci) i *kokieta* (dosłownie pysząca się jak kogut) winny onomatopei swoje pochodzenie. Co się tyczé wykrzykników, to te, jako wylewy radosnych lub bolesnych uczuć, mogły odrazu stanowić cenny dla języka materyał. Zresztą obie te teorye nie są do siebie w przeciwstawieniu, owszem można dowieść, że druga mieści się w pierwszéj. Nie należy tylko zapominać nigdy, iż człowiekowi nie o uplastycznienie swoich myśli chodziło, ale o uczynienie ich zrozumiałemi dla drugich.

Bezużyteczną byłaby chęć sprowadzenia wszystkich wyrazów do ich onomatopeicznéj zasady, ponieważ w istocie języka spoczywa, że jak tylko wyraz utworzony został, natychmiast poczucie jego pochodzenia niknie i zaciéra się zwolna. Zresztą trudno jest powiedzieć, jakie były czasy powstania znaków głosowych, jak długo się one wyrabiały i znowu zostały zapomniane, ile z nich polegało wprost na naśladowaniu głosów natury, jak licznym i do jakiego stopnia wykształconym był ów pra-szczep, który na takiéj podstawie oparł przyszły rozwój gramatycznie uczłonkowanego języka lub języków. To jedno jest pewném, iż język złożony z samych pierwiastków musi być uważany jako ubogi i niedoskonały; nic zaś nie jest błędniejszém nad upatrywanie w pierwotnych językach jakiegoś marnotrawnego bogactwa wyrazów oraz pierwiastków, pomiędzy któremi dopiéro późniejsze pokolenia robią rozumny wybór. Naśladownictwo głosów natury nie mogło być długo żywiołem tworzenia się języka; wnet przyłączył się tu nowy element wykształcania i różniczkowania już w użyciu będących znaków. Ten ostatni żywioł nabiérał przewagi, w miarę jak wzrastały zapasy wyrazów i pojęć, aż wreszcie doszedł on do jednowładztwa, aż osiągniętym został w języku ten stopień rozwoju, jaki widzimy od początku czasów historycznych u rozmaitych języków.

Spisać myśli swoje jest u człowieka rzeczą równie naturalną, co wypowiedzieć je. Dużo potrzeba było czasu, aby człowiek myśl taką powziął, a więcéj jeszcze, aby ją zwolna wykonał. Przedewszystkiém zaznaczamy tu, iż pobudką do wynalezienia pisma, tj. do wyrażenia myśli przez znaki widzialne, była dążność skomunikowania się z ludźmi zdala od nas będącymi. Potrzeba obcowania przez pismo w przestrzeni czasowéj wystąpiła dopiéro późniéj. Mowa pisana, podobnie jak ustna, polega na zadosyćuczynieniu towarzyskiéj potrzebie obcowania.

Powstawanie pisma jest jeszcze bardzo niezależne od języka ustnego; nie mogło ono bowiem jeszcze wyrażać myśli oraz pojęć

ściśle oznaczonych. Pierwsza symbolika sztuki pisarskiéj reprezentowana jest przez ów obyczaj, według którego poseł opatrzony jest w jakiś przedmiot uwierzytelniający posłannictwo i wskazujący cel jego. Tak np. prorok Jeremiasz (Jer. 9) otrzymuje zlecenie, aby dzban gliniany stłuc w oczach swojego ludu i przez to wyrazić mu nagłe a nieodwołalne zniszczenie. Tu należą także symboliczne sprzęty, które zwykli byli nosić przy sobie zwiastuni wojny, lub pokoju; stąd się wywodzi rękawica, którą rycerz rzucał przeciwnikowi pod nogi; laska, którą według staroniemieckiego prawa łamano nad głową skazanego przestępcy. Już więcéj do naszego pisma zbliżone są prążki, które północno-amerykańscy Indyanie zwykli byli z sobą nosić, ilekroć zamierzali na zgromadzeniu mieć mowę; każdy prążek odpowiadał głównéj części mowy i po przemówieniu był doręczany zagadniętemu. Najwyższy stopień wykształcenia tego systemu miał miejsce u pierwotnych mieszkańców Peru. *Quippos*, których oni używali we wszystkich poselstwach w czasie zawojowania tego kraju przez Hiszpanów, były to sznurki z węzłami, podobne do różańcowych, i na nich to już przez wielkość lub liczbę, już przez barwę lub porządek węzłów umiano wyrazić treść poselstwa tak dokładnie, że prawie ze strony posła nie potrzebowano objaśnienia. Takiém pierwotném pismem redagowane były nawet kroniki potężnego państwa Inkasów. Godném jest uwagi, że Chińczycy podług własnéj tradycyi mieli w najdawniejszych czasach używać takiego węzłowego pisma, dopóki cesarz Fo-hi doskonalszego systemu nie wynalazł.

Znacznie wyżéj stoi dowcipny i sposobny do wysokiego rozwoju system pisma obrazowego. Pozwalamy sobie tu przytoczyć przykład wzięty od Indyan. Dwaj myśliwi odbyli polowanie nad rzeką, gdzie zabili niedźwiedzia i dużo ryb złowili. Za pomocą znaku zatkniętego na miejscu, chcą oni każdego, kto się znajdzie na téj drodze objaśnić o swojém myśliwskiém szczęściu. W tym celu robią oni rysunek, przedstawiający dwa czółna, a nad każdém czółnem *Totem*, czyli symboliczne zwierzę, oznaczające rodzinę, do któréj należy myśliwy, jako téż jego nazwisko. Obok leży zabity niedźwiedź i pół tuzina ryb.

Nie ma tu właściwego opowiadania, pojedyncze zdarzenia nie są właściwie ustawione. Tylko w owém *Totem* leży zaród czegoś wyższego, gdyż to nie rzeczy, ale umówione nazwy rzeczy przedstawia. Już ten jeden przykład pokazuje nam, że obrazowe pismo odpowiada stanowisku języka, gdzie wszystkie nazwy są jeszcze onomatopeiczne; takie pismo i taki język mogą być zrozumiane przez wszystkich mniéj więcéj mieszkańców kraju. Różnica pisma obrazo-

wego od języka onomatopeicznego jest ta, że najstarsze pisane znaki wyobrażają przedmioty zmysłowe, najstarsze zaś znaki głosowe wskazują na przymioty i czynności.

Konsekwentne wydoskonalenie myśli zawartéj w owych indyjskich *Totem* przeprowadził inny amerykański naród, Meksykanie, którzy doprowadzili pismo obrazowe do takiéj doskonałości, że ono było w stanie zadosyć uczynić wszystkim potrzebom tego wysoko ucywilizowanego narodu.

W Egipcie z podobnych początków rozwinął się system pisania zasadniczo odmiennego charakteru. Według swego początku i zastosowania, jest to przedewszystkiém pismo pomnikowe, które przechowało wreszcie swoję obrazową naturę. Tutaj każdy szczególny znak przedstawia jakiś widoczny przedmiot, jakkolwiekby jego znaczenie różniło się od swego językowego ekwiwalentu. Jest to stanowisko języka, który pochodzenia żadnego ze swych wyrazów nie zapomniał, ale wszystkie w zasadniczéj etymologicznéj formie utrzymał, jakkolwiek znaczenie uległo zmianie. Pomiędzy językami pisanemi jest to prawdziwy sanskryt. Imię bóstwa Oziris, *Hesiri* pisano dwoma znakami, z których jeden wyobrażał jakby krzesło *hes*, drugi oko *iri*. Ręka, czerpiąca z naczynia dary ofiar, znaczyła „ofiarę“ ręka zaś, utrzymująca pewien przedmiot, znaczyła *ti* „dawać“ itd.

Egipcyanie okazali nieskończenie więcéj zdolności od Meksykan w zastosowaniu swego pisma do języka. Nietylko bowiem udawało im się składać zdania w rodzaju: „młodzieńcze! starcze! bóstwo nie nawidzi nieprzyzwoitości“, ale zmierzali oni do alfabetu we właściwém tego słowa znaczeniu, tj. do oznaczania pojedynczych dźwięków przez niektóre ze swych znaków. I tak obraz lwa, *labo* wyrażał także głoskę *l*, orła *ahom*-dźwięk *a*.

Znajdują się imiona własne prawie samemi takiemi znakami pisane, a dobre odczytanie imion *Ptolomeusza* i *Kleopatry* w sławnym napisie Rozetty stanowiło punkt wyjścia dla szczęśliwego odcyfrowania hieroglifów. Jak łatwo pod naciskiem praktycznych potrzeb z takiego trudnego, zawiłego i wieloznacznego systemu pisania może się rozwinąć istotny alfabet, pokazuje to historya dwóch stąd wywodzących się rodzajów pisma: hieratyckiego i demotyckiego albo enchorycznego. Pierwsze było kursywem hieroglifów skróconych, drugie wywodziło się od niego i utraciło zupełnie charakter pisma obrazowego a miało przeważnie fonetyczną naturę.

Pismo chińskie, jakkolwiek obecnie niepodobne do hieroglifów, wywodzi się jednak od pisma obrazowego. Sami Chińczycy prze-

chowali wiadomości zajmujące o różnych stadyach rozwoju swego pisma, które pierwotnie było pismem węzłowém. Podobnie, jak hieroglify i wszystkie pisma obrazowe pierwotne, pismo chińskie przedstawiało w ogóle niezręczne obrazy; słońce przedstawiano jako koło z punktem we środku, a górę—jako trzy szpice.

Składanie tych znaków musiało je przekształcać i pomnażać, tak jak się pomnaża zapas wyrazów języka ustnego również przez składanie, które wyprowadza tenże język ze stadyum onomatopeicznego. Trzeba było oznaczyć *gospodynią* przez zestawienie trzech znaków: *kobiéta*, *ręka* i *miotła*;—*pustelnika* przez *górę* i *człowieka*. Przyłączyła się alegorya i zestawione *słońce z księżycem* wyrażało *światło*, a *ucho* między *dwojgiem drzwi*—*słuchanie*. Ale najdonioślejsze znaczenie miało tu wprowadzenie zasady fonetycznéj i tworzenie znaków, złożonych z elementów fonetycznych oraz ideograficznych.

Juześmy o tém mówili, że chińszczyzna posiada mnóstwo wieloznacznych wyrazów, homonimów; otóż, jeśli się ma znak ideograficzny albo symboliczny dla homonimu pomyślanego w jedném jego znaczeniu, natenczas nie pozostaje jak zastosować ten znak i do innych znaczeń, dodając tylko jakąś małą cechę odróżniającą. Ta zasada ma ogromne zastosowanie w języku chińskim. Np. *pe* znaczy „biały,“ poprzedzone znakiem „drzewa“ znaczy „gatunek cyprysu;“ ze znakiem człowieka—„starszy brat;“ ze znakiem cieni zmarłego—„zaród życia przyszłego po śmierci“ itd. Znak wyrażający człowieka może mieć około 600 kombinacyj, a znak drzewa blisko 900, wyrażając różne gatunki drzew jako też drewniane sprzęty itd. Analogia tego rodzaju znaków do formalnych elementów języka jest widoczna; jedne i drugie mają za cel, aby znaki główne, albo pojęcie główne bliżéj określić. Stare obrazowe pismo chińskie, przechowane po części na pomnikach już w dawnych czasach, okazało chwalebną dążność przemienienia się na czysto konwencyjne znaki.

Winniśmy jeszcze dodać, że na chińskie pismo niemały wpływ wywarło ogromne ubóstwo języka; owóż w naturze rzeczy leżało, aby pismo pokryło słabe strony języka ustnego i usunęło owę wieloznaczność wyrazów, wiodącą do licznych nieporozumień. Udało się to najzupełniéj Chińczykom, którzy utworzyli pismo złożone z jakich 40.000 znaków, z tych jednak 3 do 5 tysięcy wystarcza na codzienny użytek.

Znawcy wyprowadzają z hieroglifów pismo klinowe, spotykane na pomnikach w Mezopotamii i krajach pogranicznych. Różne są gatunki pisma klinowego; najstarsze jest mięszaniną fonetycznych, ide-

ograficznych i symbolicznych znaków; daléj idą napisy klinowe staroperskie królewskiéj dynastyi Achemenidów i te są najprostsze oraz najzrozumialsze; stanowią one przejście do pisma sylabowego, gdzie znak wyraża spółgłoskę w połączeniu z następującą samogłoską. Najsłynniejszym alfabetem tego rodzaju jest japoński, zwany *katakana* albo *Irofa*, od nazwy dwóch pierwszych liter, podobnie jak *alfabet* od *alfa* i *beta*. Wytworzył on się z pisma chińskiego i zawierał 47 liter, odpowiadających 47 sylabom. Dzisiejsze pismo japońskie przekształcone jest według łacińskiego alfabetu i obejmuje 85 znaków.

Szczep semicki, który uważa spółgłoski jako zasadę znaczenia wyrazów a samogłoski traktuje jako formalne elementa, oparł pismo swoje na znakach, przedstawiających spółgłoski jedynie jako części niezbędne. W najstarszéj swojéj formie fenickiéj pismo semickie składało się z 22 znaków spółgłoskowych, między któremi *j*, *w* oraz *h* wyrażają coś ze samogłoskowéj natury i stają na równi z naszemi półsamogłoskami. Pismo to, jak każde głosowe, musiało przejść obrazową albo hieroglificzną fazę; dowodzą tego nazwy znaków, jak: *beth* znak *b* znaczy *dom*, *gimel* znak *g* znaczy wielbłąd, *daleth* znak *d* znaczy *drzwi* itd.; oprócz tego znaki te noszą na sobie podobieństwo przedmiotów, od których zostały nazwane, np. znak dla *a* nazywa się *alef*, co znaczy *byk*, ma istotnie podobieństwo do głowy wołu. Nie wiemy jednak, czy z tego wnosić o pochodzeniu alfabetu fenickiego z Egiptu, gdzie od lwa i orła pochodzą nazwy znaków *l* i *a*.

Ogromne zastosowanie znalazło pismo spółgłoskowe, od niego bowiem pośrednio lub bezpośrednio pochodzą trzy alfabety semickie: hebrajski, syryjski i arabski, z których ostatni przyjęły języki różnych szczepów, jako to: perski, afgański i hindustani w szczepie aryjskim, turecki w scytyjskim a malajski w polinezyjskim. Gdy jednocześnie język syryjski za pośrednictwemj nigurskiego, tureckiego, mongolskiego i mandżu znalazł sobie pod tym względem drogę aż do północno-wschodnich krańców Azyi. Alfabet wschodniego Iranu i Indyj także prawdopodobnie wywodzą się od pisma semickiego.

W krajach azyatyckich atoli alfabet semicki mimo metamorfoz przechował swój spółgłoskowy charakter, podczas gdy w parciu swojém na zachód już u narodów europejskich doznał znacznego przekształcenia i udoskonalenia, tak że doszedł tutaj do znaczenia pisma głosowego.

Grecy zapobiegli niedostatkom semickiego alfabetu w ten sposób, iż liczne jego podniebienne i syczące dźwięki użyli na oznaczenie samogłosek. Co było u Fenicyan dźwiękami podniebiennemi,

to zamieniło się w Grecyi na *A*, *E* i *O*; oprócz tego semickie *j* wystąpiło jako I; dla *u* Grecy wynaleźli nową literę V lub Y (choć z początku używali tu semickiego *w*). Od alfabetu greckiego z mniejszemi lub większemi zmianami wywodzą się alfabety wszystkich europejskich języków, jako też pismo armeńskie w Azyi i koptyckie w Afryce. Tu należą znaki runiczne starych Germanów, pismo Celtów, gotyckie zastosowane przez Ulfilasa do przekładu Biblii jako też alfabet rosyjski, wzięty od Greków przez apostoła słowiańszczyzny Cyryla.

Ważniejszym od wymienionych jest alfabet łaciński, z którym zapoznały mieszkańców Italii kolonie greckie w południowych Włoszech. Znaki owe podówczas nie miały jeszcze kształtu, jaki nam dziś jest znany i to objaśnia różnice, istniejące między alfabetem greckim a łacińskim.

I tak *H* w tych czasach, gdy je wzięli Rzymianie od Greków nie było jeszcze dźwiękiem długiego *e*, ale było głosem *h*, który się w łacinie przechował. Inne zmiany polegają na wprowadzonych przez Rzymian innowacyach.

Znaki X, Y, Z później dopiéro importowane zostały z greckiego do rzymskiego pisma.

KONIEC.

AUGUST BIELOWSKI.

Augustyn czyli August Bielowski, pochodzący z niezamożnéj szlacheckiéj familii herbu Jastrzębiec (1), urodził się dnia 27-go Marca r. 1806 we wsi Krechowice w czasie, kiedy rodzice jego, Grzegórz i Maryanna z Żędzianowskich Bielowscy, cząstkę swoję dziedziczną tamże sprzedawszy, do dworku i gruntów w Targowicy dawniejszéj siedziby swéj familii powracali. Tutaj został krótko po swojém narodzeniu w nagłéj potrzebie przez Stefana Cerkiewicza (2), parocha obrządku grecko-katolickiego z wody i ceremonii ochrzczony, co dało nieraz powód do mniemania, jakoby Bielowski był unitą. Był on jednak jak i cała jego rodzina obrządku łacińskiego. Pierwsze nauki szkolne odbiérał w Stanisławowie, skąd, gdy matka jego r. 1816 w Buczaczu nabyła dworek, do tegoż miasta się przeniósł i tam uczęszczał do gimnazyum OO. Bazylianów, wówczas niejaką sławę posiadającego. Po ukończonych naukach gimnazyalnych udał się r. 1828 na uniwersytet do Lwowa, gdzie własnym kosztem się utrzymując słuchał najprzód kursu filozofii, a r. 1830

(1) Familia Bielowskich wywodzi się z województwa Sieradzkiego, skąd w początku XVIII wieku Michał Bielowski przeniósł się najprzód do województwa Bełzskiego, a potém do ziemi Lwowskiéj; syn tegoż Michała Wojciech był pradziadem Augusta. Po okupacyi Galicyi, Maciéj Bielowski, dziad Augusta, wykazał się, że jest szlachcicem, w skutek czego sąd ziemski lwowski dnia 31 Stycznia r. 1783 szlachectwo jego zatwierdził.

(2) X. Cerkiewicz nie dał znać o obrządku przez siebie wykonanym sąsiedniemu proboszczowi łacińskiemu, w skutek czego Bielowski pozostał bez metryki. August Bielowski miał kilkoro rodzeństwa, dwóch braci, Edwarda starszego i Franciszka młodszego, oraz dwie siostry starsze, Elżbietę, która poszła za Józefa Wojakowskiego i Karolinę, żonę Tomasza Szczepanowskiego.

kursu prawa prywatnego austryackiego. Potém przerwał studya swoje, wstąpił do wojska Polskiego i dopiéro w końcu roku 1831 powrócił do Lwowa.

I po powrocie August Bielowski, w skutek różnych podejrzeń, w początku r. 1834 dostał się do więzienia; wyszedł zaś z niego dopiéro r. 1836. Przerwane r. 1830 studya podjął Bielowski na nowo, przygotowując się prywatnie; w Lipcu r. 1841 zdał przed wydziałem nauk prawnopolitycznych egzamin z rachunkowości (Verrechnungskunde) a w Marcu r. 1842 w Akademii handlowéj egzamin z buchalteryi kupieckiéj tak pojedynczéj, jako téż podwójnéj z dobrym skutkiem.

W owym czasie, zdaje się, dojrzał w nim zamiar założenia ogniska domowego, ale brak metryki przysporzył mu wiele trudności. Już od r. 1841 ciągle zgromadzał świadectwa i świadków, którzyby mogli dać wyjaśnienia potrzebne, ale dopiéro dnia 19-go Grudnia r. 1844 uzyskał od władz odnośnych uwolnienie od dostarczenia metryki. Krótko potém zawarł ślub z panną Kordulą Wisłocką z Remizowiec, która go r. 1845 córką Wandą obdarzyła.

Zamiary małżeńskie zniewoliły go starać się o jakieś stałe stanowisko, o jakąś stałą posadę. Niestety dla przeszłości politycznéj wszystkie kancelarye rządowe były dla niego zamknięte. Szczęśliwy zatém był to traf dla niego, że w Listopadzie r. 1844 w Zakładzie narodowym imienia Ossolińskich we Lwowie zawakowała posada pierwszego skryptora; w skutek konkursu rozpisanego podał się o to miejsce dnia 23 Grudnia r. 1844 Bielowski, posiadając już wówczas oddawna poważne wśród ziomków imię i ugruntowaną sławę.

Od roku bowiem 1830, gdy pierwsze swe poezye ogłosił w Haliczaninie, Bielowski ciągle był czynny jako poeta i pisarz i niepośledne zajął miejsce w owém kółku młodych ludzi, którzy wówczas stali na czele ruchu umysłowego w Galicyi. Należeli do tego grona, prócz Bielowskiego, Dominik Magnuszewski, Wójcicki, który wówczas czas jakiś (1833—34) we Lwowie bawił, Józef i Leszek Borkowscy, Wincenty Pol, Dzierzkowski i inni. Wiersze Bielowskiego, odznaczające się jędrnością i potoczystością języka, rozproszone są po rozmaitych czasopismach, mianowicie w Dzienniku mód, Tygodniku literackim i w licznych noworocznikach tak lwowskich, jako téż zamiejscowych. Sam nawet wydał taki noworocznik, pod tytułem „Ziewonia,“ pomimo trudności, które ówczesne stosunki stawiały każdemu przedsiębierstwu podjętemu przez osoby politycznie skompromitowane. Pierwszy tom Ziewonii wyszedł r. 1834, drugi zaś— r. 1838 w Pradze, ale uległ konfiskacie; pomimo to okazał się już

r. 1839 w powtórném i pomnożoném wydaniu, w którém mieści się najcenniejsza z jego prac poetycznych „pieśń o Henryku pobożnym“, a równocześnie nieomal, bo r. 1838 wyszły „Dumki“ jego w Pradze. Obok własnych poezyj, umieszczał Bielowski wówczas w wspomnionych pismach rozmaite przekłady, a mianowicie pieśni serbskich i niektórych ustępów z Getego, oraz wydał r. 1833 piękny przekład „Wyprawy Igora na Połowców.“ Dodajmy do tego jeszcze kilka poważnych artykułów, prozą napisanych, jak Piśmiennictwo u Słowian, Jadwiga księżna polska, księżniczka Ostrogska i t. p., oraz wydanie jego Maryi Malczewskiego zaopatrzone w wstęp, kreślący żywot autora, oraz w liczne przypisy i dokumenta, a przyznać musimy, że słowa Adama Kłodzińskiego, dyrektora Zakładu nar. im. Ossolińskich, „że wiadomości literackie Bielowskiego zjednały mu we wszystkich krajach słowiańskich sławę uczonego“, (1) wcale nie były przesadzone. Nie dziwmy się więc, że wybór Kłodzińskiego padł na Bielowskiego, choć było pięciu konkurentów jeszcze, a pomiędzy nimi Stanisław Przyłęcki i D. J. Wagielewicz. Ówczesny zastępca kuratora, Gwalbert Pawlikowski, zgodził się na jego wybór, a ponieważ policya nic nie miała przeciw niemu, choć rząd nie bardzo miłém okiem nań patrzał, Bielowski otrzymał dnia 1-go Sierpnia r. 1845 posadę skryptora, która go już na zawsze miała połączyć z Zakładem. Dnia 10-go Października t. r. August Bielowski wykonał przysięgę ustawą przepisaną w ręce zastępcy kuratora w obecności Agenora hr. Gołuchowskiego, konsyliarza gubernialnego i deputata wydziału stanowego.

Dyrektor Kłodziński, oddany energicznéj pracy nad uporządkowaniem księgozbioru, który wówczas dla ogółu publiczności jeszcze nie był dostępnym, czytelnia bowiem została otwarta dopiéro dnia 1-go Kwietnia r. 1848, zatrudnił Bielowskiego z początku przeglądaniem odsyłaczy do katalogu systematycznego. Ale już kilka miesięcy później przydzielił go do zbiorów rękopiśmiennych w pracach bibliotecznych zupełnie pominiętych, bo tylko Aleksander Batowski, współczłonek niegdyś wydziału stanowego, prywatnie ich opisem się zajmował. Było to ważne i zaszczytne dla Bielowskiego zadanie, które wywarło nieskończenie korzystny wpływ na cały kierunek jego ducha. Co dotąd zrobiono około rękopisów, to wszystko jedynie Bielowskiemu zawdzięczamy, który własną ręką przez całe życie 1908 rękopisów wciągnął do inwentarza i wielką część kartek ka-

(1) „Bielowski, der sich durch reine literarischen Kenntnisse in allen Ländern der slawischen Sprache den Namen eines Gelehrten erworben hat.“

talogowych do rękopisów sam spisał. Że to zadanie dla Bielowskiego, niewprawnego z początku w odczytywaniu rękopisów, nie było łatwe, pokazuje się stąd, że w przeciągu czterech lat blisko 100 rękopisów tylko zdołał opisać. (1)

Dziwny panował wówczas rozstrój w Zakładzie i to pomiędzy dyrekcyą a kuratoryą, oraz pomiędzy dyrekcyą a innymi urzędnikami dyrekcyi przydzielonymi. Książę Jerzy Lubomirski bowiem zastępując wtenczas już stale swego ojca, księcia Henryka, ożywiony najlepszemi chęciami dla Zakładu, chciał ulżyć poniekąd pracy dyrektora, na którego barkach ciążył cały zarząd nietylko biblioteki, lecz także gmachu samego, drukarni, kasy podręcznéj oraz cała administracya wewnętrzna, i w tym celu otworzył przy kuratoryi osobną kancelaryą, w któréj wszystkie sprawy administracyjne i wszystkie korespondencye miano załatwiać. Myśl ta w saméj rzeczy bardzo szczęśliwa i zbawienna trafiła na opozycyą ze strony dyrekcyi, którą po ustąpieniu Kłodzińskiego kustosz Zakładu Dr. Jan Szlachtowski od dnia 1-go Stycznia r. 1850 zawiadował. Dyrekcya bowiem upatrywała w reformach kuratoryi wykroczenie przeciw statutom i dowolne ograniczenie władzy dyrektorskiéj, co wszystko jak to inaczéj być nie mogło, psuło harmonią w Zakładzie.

Z drugiéj zaś strony, nie panowała zgoda pomiędzy urzędnikami co do zasadniczych prac. Jedni sądzili, że głównem zadaniem Zakładu powinna być czynność literacka, drudzy zaś twierdzili, że przedewszystkiém należy zbiory zakładowe uporządkować. (2) Szlachtowski był za energiczném uporządkowaniem zbiorów, ale nie znalazł ze strony urzędników poparcia. Dla scharakteryzowania tych stosunków, oraz stanowiska Bielowskiego, przytaczamy tu słowa Szlachtowskiego, które i dzisiaj w obec głosów ciągle odzywających się za działalnością literacką Zakładu zasługują na uwagę:

„Wiadomo prócz tego księciu, iż zatrudnienia moje w Zakładzie były liczne i rozległe, wymagające energicznego współdziałania wszystkich a tak nielicznych urzędników dyrekcyi przydzielonych. Z jednym z nich, p. Augustem Bielowskim, który jest oraz

(1) W roku 1851 robota raźniéj postąpiła, bo przydzielono mu do pomocy X. Jana Wagilewicza. Do Lutego r. 1851 wciągnął Bielowski już 500 rękopisów do inwentarza i także wszystkie inne inwentarze i katalogi znacznie posunął naprzód: R. 1852 wykończono sześć nowych inwentarzy, a z końcem r. 1856 posiadały wszystkie zbiory biblioteczne swe inwentarze, a ważniejsze nawet katalogi kartkowe.

(2) Spór ten datuje się od bardzo dawna; już roku 1833 Karol Sienkiewicz, kustosz biblioteki, uważający za główne swe zadanie uporządkowanie księgozbioru i układanie katalogów, został usunięty przez dyrektora Słotwińskiego, który innego był zdania.

jedynym z nich, mogącym się przyczyniać czynnością swoją do naukowych prac w Zakładzie, różnię się w zdaniu o potrzebach naukowych Zakładu. On sądzi, że czynność Zakładu na tém zależy, aby tenże dziełami, przez urzędników zakładowych wydawanemi, stał na świeczniku literatury i w tym duchu też działa. Ja przeciwnie sądziłem, że obok znajomości literatury, jako warunku czynności, obowiązkiem jest urzędnika Zakładu robić skarby naukowe Zakładu opisami umiejętnemi zbiorów jego, jak najprędzéj sporządzonemi, przystępnemi dla ogółu, ułatwiać korzystanie z tych zbiorów, a przez to podać sposobność kształcenia się licznym talentom, które przez korzystanie ze zbiorów Zakładu mogłyby i liczbą i świetnością naukową pism wydawanych nadgrodzić parę dzieł wydanych przez urzędników Zakładu. Według tego przekonania działając, poświęcałem ile czasu starczyło, pracę moję ku uporządkowaniu zbiorów.“

Szlachtowski w skutek tego wszystkiego podał się do dymisyi, a książę Jerzy upatrzył sobie na jego miejsce Bielowskiego, ale najprzód zawezwał go, aby otworzył zdanie swoje o dalszém prowadzeniu Zakładu. Bielowski, zadaniu tak zaszczytnemu z całą otwartością swego charakteru zadość czyniąc, odezwał się do kuratora pomiędzy innemi w te słowa:

„Chcąc, aby Zakład w dzisiejszém swojém położeniu odżył niejako na nowo, potrzeba mu jak najwięcéj nauki wewnątrz a zewnątrz sympatyi po całym kraju, sympatyi ludzi światłych, ludzi naukowych. Obu tym potrzebom stanie się zadość, jeśli wszystkie, jakie są lub być mogą w tym Zakładzie, urzędy, począwszy od dyrektora aż do ostatniego przepisywacza obsadzone będą ludźmi naukowymi; powtóre, jeśli w kwalifikowaniu tych ludzi zachowana będzie jak najściślejsza sprawiedliwość bez względu na polityczne, lub też jakiegokolwiek rodzaju stronnictwa. Już pierwsza z wymienionych tu zasad jest w stanie obudzić przychylne usposobienie dla Zakładu po całym kraju w ludziach, którzy się umiejętnościami zajmują; nierównie więcéj pokrzepi i utrwali ich dla Zakładu sympatye to przekonanie, że każda rzeczywista około nauk zasługa znajdzie należyte uznanie u tych, którym władza nad jedynym w kraju Zakładem naukowym jest powierzona; że ci zgodnie ze słowami Ossolińskiego ustawy nie czekają, aż im kto sam nastręczać się będzie na objęcie jednego lub drugiego z urzędów, lecz starają się pierwsi pozyskać sobie tych, co mają istotne około nauk zasługi, że prócz moralnego prowadzenia się, które już Ossoliński dla kandydatów ustawą swoją przepisał, rozstrzyga w ich kwalifikowaniu sama tylko wyższość naukowa. Bolesna to jest i sprawia słuszne u wszystkich dobrze myślących oburzenie, że W. X. Mość, jako syn ojca, co głównie wsparł

zamiar Ossolińskiego i z poświęceniem znacznéj części majątku swego sprawie naukowéj zasłużył się, doznałeś przeszkód w bezwarunkowém przyznaniu należnego sobie ze wszechmiar naukowego kuratorstwa; podobnie zrobiłoby to nieprzyjemne wrażenie na ludziach światłych, gdybyś W. K. Mość z błahych jakich przyczyn literatów nie według zasług istotnych kwalifikował.

Co się tyczé ulepszeń wewnętrznych, takowe zacząćby trzeba najprzód od przepatrzenia czy wszystko według dawniejszych katalogów jest w bibliotece lub nie? Potém wziąśćby się trzeba do pokończenia brakujących dotąd inwentarzy i takowe porobić najprzód summarycznie, a z czasem zapuszczać się coraz więcéj w szczegóły i posuwać ich ewidencyą do doskonałości. Wreszcie urządzenie wewnętrzne biblioteki w ten lub téż inny sposób zostawione być powinno dyrektorowi."

Stojąc na czele Zakładu, zawsze trzymał się tych zasad August Bielowski, a wdrożyły się one przez długie życie jego tak mocno, że dziś nam wierzyć się nie chce, jakoby kiedyś było inaczéj.

Gdy Bielowski z dniem 1-szym Stycznia r. 1851 objął miejsce po Szlachtowskim, t. j. gdy został kustoszem oraz zastępcą tymczasowym dyrektora, jeszcze raz pismem z dnia 11-go Stycznia wystąpił przeciw uszczupleniu władzy dyrektorskiéj przez kuratoryą, lecz uzyskał tylko niektóre zmiany formalne; a choć z tego początkowo może nie był zadowolniony, to jednak praktyka okazała, że słuszność ostatecznie była po stronie księcia kuratora; z zmian bowiem wtedy zaprowadzonych powstał dzisiejszy sekretaryat administracyjny.

Roku 1850 dnia 20 Października umarł w Dreźnie książę Henryk Lubomirski, kurator Zakładu; według statutów, kuratorstwo należało się księciu Jerzemu, lecz rząd z powodu niedoszłéj jeszcze ordynacyi przeworskiéj, nie chcąc uznać jego praw bezwarunkowych, żądał, aby tymczasem z ramienia rządu zawiadował Zakładem. Książę Jerzy, nie chcąc uwłaczać ani sobie, ani prawom swoim, musiał ustąpić a miejsce jego z polecenia rządu zajął dnia 26 Czerwca r. 1851 Maurycy hr. Dzieduszycki, w którym Zakład uzyskał światłego, rozumnego i sprężystego administratora, który zachwiane stosunki finansowe Zakładu wkrótce do ładu przywrócił i gorliwie razem z Bielowskim w urzędzie na nowo potwierdzonym nad dobrem i rozwojem Zakładu pracował. Pod umiejętném kierownictwem Bielowskiego i Dzieduszyckiego, prace wewnętrzne prędko posunęły się naprzód i pozwoliły myśléć także o naukowych zajęciach; ponieważ zapasy słownika polskiego Lindego były wyczerpane, już r. 1852 przygotowywano nowe wydanie, którego druk roz-

począł się r. 1854 i skończył się dnia 15-go Sierpnia r. 1861. Dwa lata później, r. 1863, wydawał Zakład pod redakcyą Augusta Bielowskiego pismo, pod tytułem „Biblioteka Ossolińskich, nowy poczet“, któréj w przeciągu sześciu lat wyszło tomów 12. Roku 1864 zaszły nieporozumienia pomiędzy Bielowskim a Dzieduszyckim Maurycym, które mocno zagrażały egzystencyi Bielowskiego; dzisiaj, gdzie od niedawna obydwóch pokrywa mogiła, nie czas, aby sprawę tę osądzić. Wina była zdaje się zobopólna, a świadomość tego doprowadziła obu przeciwników do nowéj zgody, któréj potém nic już nie zakłóciło.

Książę Jerzy Lubomirski, objąwszy r. 1869 należną sobie kuratoryą, zamianował Bielowskiego, długoletniego zastępcę dyrektora (1), dnia 12 Maja r. 1869, rzeczywistym dyrektorem. Pod wpływem księcia i światłego jego zastępcy, profesora Antoniego Małeckiego, przy współudziale Bielowskiego, Zakład coraz bardziéj w naukowym kierunku się rozwijał. Przedwczesna śmierć X. Jerzego, która nie dała mu wykonać wielu zamiarów użytecznych dla Zakładu, była stratą nader bolesną, ale nie zatamowała ruchu zakładowego, bo książę umierając zostawił stosunki zewnętrzne i wewnętrzne Zakładu już ustalone; kierunek zaś naukowy pozostał nadal w poważnych i doświadczonych rękach sędziwego już Bielowskiego.

Zwróćmy się teraz na chwilę do prac naukowych Bielowskiego. Do czasu wstąpienia do Zakładu, Bielowski był głównie poetą; zajęcie jego w Zakładzie rękopismami i źródłami starożytnemi musiało w nim tém większe obudzić zamiłowanie, że już przedtém miał pociąg do historyi. Zmianę, która w nim zaszła, charakteryzują najlepiéj jego podróże. Jak sam r. 1841 powiada, za młodu wiele podróżował; lecz o tych podróżach mało co wiémy, z wyjątkiem, że r. 1829 zwiedził Podgórze karpackie i Urycz, którą miejscowość później jeszcze dwa razy r. 1840 i 1842 zwiedzał.

O podróżach jego późniejszych, od r. 1838 począwszy, mamy przed sobą liczne zapiski. Do roku 1844 były te podróże przeważnie wycieczkami turysty, lubiącego patrzéć na piękność natury, na okazałość kościołów i zamków, na zwyczaje i obyczaje ludności wiejskiéj; czasem wprawdzie podaje niektóre wiadomości historyczne o miejscowościach przez siebie zwiedzanych, czasem także wypisuje jakiś nagrobek, ale poezya i urok natury stoi zawsze na pierwszym

(1) Roku 1855 kurator Maurycy Dzieduszycki, uznając jego zasługi około zbiorów bibliotecznych, przyznał mu dyrektorską pensyą w ilości 1.000 fl. zamiast kustoszowskiéj, którą przedtém pobiérał.

planie. Zapiskom tym nadał tytuł „Okolice i podania” a sam tytuł charakteryzuje dostatecznie cel i dążność jego wycieczek. Ściśle naukowe i historyczne są tylko jego zapiski, tyczące się miasta Lwowa i okolicy z r. 1839. Roku 1843 zajmują go już „Letniki“ heilsberskie i gnieźnieńskie, z których ostatni Bielowski przepisał i z drukiem Lengnicha zestawił. Jest to pierwsza czynność jego, zdradzająca późniejszego wydawcę Monumentów. Roku 1846 wypisał już niektóre pomniki źródłowe z rękopisów biblioteki Ossolińskich a roku 1847 mocno już był zajęty Pompejem Trogiem, którego wydał jednak dopiéro r. 1853, oraz pracą przygotowawczą do „wstępu krytycznego“ do dziejów polskich.

W owych studyach i pracach około źródeł polskich, znalazł Bielowski zachętę ze strony Dr. Jana Szlachtowskiego, kustorza zakładu, który sam od dłuższego czasu zajmował się zbieraniem roczników drukiem nieogłoszonych, i w tym celu jeszcze przed rokiem 1847 odbył podróż do Petersburga. Wspólne dążności Bielowskiego i Szlachtowskiego, skierowane do jednego celu, znalazły życzliwe poparcie u dyrektora Zakładu Adama Kłodzińskiego i uznanie u młodego i szlachetnego następcy kuratora, księcia Jerzego Lubomirskiego, który gorliwie wszelkie przedsiębierstwa naukowe popiérał. Uważając wydawnictwo starodawnych źródeł polskich za zadanie godne poważnéj instytucyi naukowéj, Dyrekcya i Kuratorya powzięły zamiar, aby w miarę jak się dochody Zakładu oczyszczą — a stosunki finansowe Zakładu były wówczas w stanie opłakanym, przystąpić do krytycznego wydania najdawniejszych źródeł do dziejów Polski, a tymczasem takowe przygotowywać według możności. W tym celu wyznaczył zakład r. 1847 na podróż naukową dla Bielowskiego 200 fl. a dyrektor Kłodziński i kustosz Szlachtowski dodali od siebie na ten cel, każdy po 50 fl. Dnia 30 Grudnia 1847 opuścił Bielowski Lwów, udając się najprzód do Pilzna, gdzie zwiedził bibliotekę kościelną i archiwum miejskie. Dnia 4 Stycznia r. 1848 był w Krakowie, gdzie zbadał rękopisy biblioteki jagiellońskiéj, a mianowicie rocznik świętokrzyski, Kadłubka i Pompeja Troga. Najbardziéj zaś zajęły jego uwagę skarby biblioteki kapitulnéj, do któréj wstęp przez dwa tygodnie wywalczać sobie musiał. W Warszawie stanął dnia 24 Stycznia i zaraz na drugi dzień pracował w bibliotece Zamoyskich nad rękopismem Galla i kroniką płocką, a potém w Willanowie zajął się rękopismem Boguchwała. Z Warszawy wyjechał dnia 18 Lutego i, jadąc przez Kielce, wstąpił do Ludwika Zielińskiego, aby obaczyć jego zbiory. Od niego też się dowiedział, że o 5 mil od Kielc znajduje się cała skrzynia dokumentów miechowskich. O tę skrzynię chciał Zieliński postarać się, aby ją oddać w darze Zakładowi. Starania

jego jednak były bez skutku, a resztki archiwum miechowskiego znajdują się dzisiaj w rękach warszawianina, p. Bolesława Sz. Zwiedziwszy po drodze jeszcze bibliotekę Wincentego Rogalińskiego w Podgrodziu pod Pilznem, z końcem Lutego powrócił do Lwowa.

Dzięki téj podróży, prace przygotowawcze wydawnictwa prędko posunęły się naprzód, a r. 1850 grono uczonych, złożone z Aleksandra Batowskiego, Augusta Bielowskiego, Stanisława Pilata, Stanisława Przyłęckiego, Karola Szajnochy, Jana Szlachtowskiego i Wagielewicza, wystąpiło już z gotowym programem wydawnictwa, załączając do niego początek druku rocznika kapitulnego (Annales Cracovienses) i rocznika Sędziwoja (Annales Gnesnenses). Tytuł dzieła miał brzmiéć: Monumenta Poloniae historica inde a saeculo decimo post Christum natum usque ad annum millesimum quingenterimum auspiciis Instituti nationalis Ossoliniani edita. Scriptorum tomus I. Leopoli 1850. Z tych prac przygotowawczych korzystał w znacznéj części August Bielowski, pisząc rozgłośne swe dzieło: Wstęp krytyczny do dziejów Polski, które wyszło we Lwowie r. 1850. Przegląd źródeł w niém zawarty stanowi to, co temu dziełu nadało i dziś jeszcze nadaje wartość, nie zaś hypoteza co do Linchitów macedońskich. Nad tą hypotezą szeroko rozwodzić się już nie potrzeba, zwłaszcza, że autor sam stanowczo jéj się wyrzekł. Gdy bowiem Franciszek Duchiński przed kilku laty Bielowskiemu oświadczył, że na nowo podjął jego myśl o Linchitach, tenże mniéj więcéj w te słowa mu odpowiedział: „Wyrzekłem się téj mojéj hypotezy już dawno; czytałem z uwagą, coś pan pod tym względem poruszył, lecz nie znalazłem żadnych argumentów, któreby mię przekonywały o prawdziwości ówczesnéj mojéj myśli.“ Słowa te wysoki przynoszą zaszczyt charakterowi Bielowskiego, bo dowodnie wykazują, że wyżéj cenił w życiu prawdę, niż zadowolenie ambicyi własnéj.

Przygotowawcze prace rokowały, jak widzieliśmy, najpiękniejsze owoce tak dla wydawnictwa Monumentów, jako téż dla Zakładu, gdy ustąpienie z kuratoryi księcia Jerzego cały stan rzeczy odrazu zmieniło. Nowa kuratorya bowiem zaniechała planu księcia Jerzego i wypuściła z rąk wydawnictwo, które więcéj jak każde inne było dla Zakładu zaszczytne i dla kraju pożyteczne, a składając cały ciężar na osobę prywatną i niezamożną, spowodowała zwłokę, w skutek któréj najważniejsze nasze pomniki dziejowe, odkryte przeważnie przez Bielowskiego, najprzód w zagranicznych pojawiły się zbiorach. Choć Zakład zaniechał wydawnictwa, Bielowski jednak nie zrzekł się nadziei doprowadzenia do celu swego dzieła, a tymczasem postanowił daléj szukać za rękopismami.

W tym celu zwiedził w Czerwcu r. 1851 Horodyszcze i Uniowo, w Sierpniu Sanok i Tarnów, a w Wrześniu na nowo pojechał do Krakowa, gdzie głównym przedmiotem jego badań była biblioteka kapitulna. Szczęście sprzyjało mu tą razą lepiéj, niż dawniéj; stokilkadziesiąt rękopisów, było ich dawniéj, jak Bielowski na podstawie pewnych danych twierdzi, przynajmniéj dwieście kilkadziesiąt, przeglądnął a 69 szczegółowo opisał. W Listopadzie bawił w Przemyślu, gdzie biblioteka Ławrowskiego, licząca kilkaset rękopisów, przeważnie ruskich, zajęła jego uwagę. W końcu tegoż roku przeglądnął i opisał rękopisy biblioteki uniwersyteckiéj we Lwowie.

W Grudniu r. 1852 bawił w Sączu, dokąd ciągnął go Długosza żywot św. Kunegundy.

Roku 1853 zwiedził w Sierpniu i Wrześniu Stary Sambor, Spas, bibliotekę dobromilskich Bazylianów, Stare miasto i Ławrów. W następnych latach korzystał głównie z rękopisów biblioteki kórnickiéj, które mu na jego prośbę Tytus hr. Działyński nadsyłał.

Roku 1856 odbył większą podróż naukową w celu badania bibliotek zagranicznych. Po przejrzeniu dość bogatego w rękopisy monasteru Bazylianów w Krechowie, wyjechał Bielowski w Lipcu na Kraków do Wiednia, gdzie dosyć długo bawiąc, zbadał bibliotekę cesarską; dnia 20-go Lipca był w Pradze, dnia 22-go w Dreźnie, następnego dnia w Lipsku a od dnia 24—31 Lipca bawił w Monachium, gdzie odkrył „passio sancti Adalberti.“ Na Lipsk, Drezno, Wrocław i Kraków powrócił dnia 8 Sierpnia do domu; liczne opisy rękopisów świadczą o gorliwości, z jaką w téj podróży we wszystkich bibliotekach pracował.

Ulubioną myślą Bielowskiego było od wielu lat zwiedzenie Rosyi, w któréj okolicach tyle naszych pomników dziś się znajduje, a gdy z początkiem r. 1857 okoliczności w ten sposób się złożyły, że sam mógł myśléć o takiéj przejażdżce, szedł, jak sam powiada prawie na przebój w roztrącaniu przeszkód, które mu się zewsząd nasuwały. Wybrawszy się wtedy w drogę, jechał na Poznań, gdzie zbadał bibliotekę Raczyńskich, oraz bibliotekę kórnicką hr. Tytusa Działyńskiego. Dnia 21-go Lipca r. 1857 stanął w Petersburgu, gdzie mieszkał w hotelu Klee na jednéj z bocznych ulic Newskiego Prospektu, skąd nie daleko do biblioteki publicznéj. Bielowski miał list polecający do pana Muralta, urzędnika bibliotecznego, oraz stosunki literackie z Wostokowem, którego jednak w domu nie zastał. Dyrektor biblioteki publicznéj, Modest Andrejewicz Korf, któremu Bielowski złożył w darze własne swe dzieła, bardzo uprzejmie go przyjął i przedstawił go osobiście panu Byczkowowi nadbibliotekarzowi, pod

którego dozorem były rękopisy, polecając, iżby mu z nich, cokolwiek zapragnie do czytania i robienia studyów udzielał. Korzystał więc Bielowski z całą swobodą ze skarbów cesarskiéj publicznéj biblioteki, również jak z biblioteki w Eremitażu i sztabu głównego. Notatki jego petersburskie są dziś jeszcze prawdziwą kopalnią złota dla badacza.

W Moskwie zwiedzając tamtejsze biblioteki i archiwa zabawił Bielowski od dnia 6 Sierpnia do 16-go; korzystne zawiązał tam dla siebie stosunki z księciem Michałem Andrejewiczem Oboleńskim, z księciem Galicynem, Wasilim Aleksiejewiczem Paninem, Pogodinem, Bodjańskim, Bersonowem, Bielajewem, Iwanowskim i t. p. Dnia 18-go Sierpnia znowu stanął w Petersburgu, podejmując na nowo swe poszukiwania biblioteczne. We Wrześniu tam jeszcze bawił, lecz nie wiadomo mi, kiedy wyjechał; wiemy tylko, że z powrotem zwiedzał powtórnie Poznań, Kórnik oraz Berlin.

W latach zaś 1858 i 1859 bawiąc dla zdrowia w Maryenbadzie (1) zbadał dokładnie biblioteki w Teplu i Koenigswarcie, oraz bibliotekę uniwersytetu praskiego.

Zwiedzając i badając w taki sposób krajowe (2) i zagraniczne biblioteki i skrzętnie zbiérając wszystko, co do dziejów ojczystych odnosi się, przysposobił się Bielowski tak do swego zadania, że słusznie powiedzieć możemy, iż w lepszych i doświadczeńszych rękach tak ważne wydawnictwo spocząć nie mogło. Chodziło więc tylko o fundusz, potrzebny na opędzenie kosztów wydawnictwa. Sam nie posiadał dostatecznego majątku; kołatał więc tu i owdzie o pomoc; własnym kosztem rozpoczął druk pierwszego tomu r. 1856, a Wiktor hr. Baworowski sam jeden, ile nam wiadomo, zasilił go kwotą znaczniejszą. Dla braku funduszów druk się zwlekał, a tom pierw-

---

(1) Ponieważ kwestya kamieni mikorzyńskich ciągle jeszcze na porządku dziennym, nie będzie może bez interesu to, co Bielowski r. 1858 w Maryenbadzie z ust Andrzeja Droszewskiego słyszał. Pisze Bielowski tak: Dnia 18-go Sierpnia r. 1858 poznałem pana Andrzeja Droszewskiego, właściciela Mikorzyna; mówił mi, że w ogrodzie owczarza jego wykopano owe kamienie dwa wyżłobione, z napisami runicznemi i rzeźbą. Synowiec jego Droszewski wiózł już je z sobą do Polski; ale przecież odstąpił je p. Feliksowi Wężykowi na wielkie prośby, który to nabywca dwa talary cła podobno za nie zapłacił przez granicę przewożąc. Było w Mikorzynie niegdyś dwóch czy więcéj właścicieli. Nie w ogrodzie więc właściciela dzisiejszego, ale w ogrodzie owczarza przypierającym do sadu jego wykopano, albo, właściwie mówiąc, wyorano owe kamienie, pługiem głębiéj sięgnąwszy ziemię. Karczma, jak upewnia, z innego jest kamienia. Owe kamienie są polne, twarde; napisy wyraźne.

(2) Kiedy sieniawską bibliotekę zwiedził, nie wiadomo mi, bo zapiski jego o niéj nie mają daty.

szy opuścił prasę dopiéro r. 1864. Tom drugi zaś, na którego druk Towarzystwo naukowe krakowskie niemałą sumę łożyło, wyszedł dopiéro r. 1872. Wydawnictwo Monumentów po założeniu Akademii umiejętności w Krakowie wzięło obrót pomyślny dla Bielowskiego, który, mimo sędziwego wieku, prawie wyłącznie temu zadaniu swego życia się oddawał, bo Akademia postanowiła łożyć na druk dalszych tomów, i kilku młodszych historyków przyrzekło mu swą pomoc dla prędszego wykończenia dzieła. W skutek tego druk trzeciego tomu rozpoczął się już w r. 1876, a zajęty był Bielowski korektą 18-éj formy, gdy śmierć go odwołała ze stanowiska, które tak świetnie przez wiele lat zajmował. Trzeci tom wyjdzie z początkiem r. 1878 i zawiéra w pierwszéj swéj połowie dalszy ciąg roczników, opracowanych przez Bielowskiego.

Monumenta Bielowskiego są niezawodnie najważniejszą publikacyą polską tego stulecia; czego zagranicą liczne grono uczonych pod opieką rządów, obfitujących w środki pieniężne, dokonywa, to uczynił u nas jeden człowiek niezamożny, ale ogrzany miłością ojczyzny, miłością dziejów ojczystych. Pomnikami dziejów polskich postawił sobie Bielowski monumentum aere perennius. Dzieje piastowskie teraz dopiéro płyną czystym potokiem, bo Bielowski źródła otworzył. Teksty przez niego wydane są sumiennie i starannie opracowane i to ich wielka zaleta. Co jeden człowiek zrobić mógł, to on zrobił. Nie dziw więc, że obok wielkich zalet znajdują się w Monumentach także usterki, wypływające często z mylnych wydawcy założeń historycznych. Nie tutaj miejsce, aby wykazać szczegółami co za błędne uważamy. Ogólnikowo tylko nadmieniamy, że wyniki krytyki tekstu niezawsze należycie tam uwzględnił, gdzie hypoteza jego o kronikarzu Mierzwie stała mu na przeszkodzie, że w niektórych rocznikach nie uwydatnił należycie pierwotnego tekstu, że lubił roczniki rozrywać na kilka części, aby z nich tworzyć odrębne całości, choć niemi nie są, lecz po prostu kontynuacyami, że nareszcie nie zawsze był szczęśliwy w dobiéraniu tytułów dla roczników; ale wszystkie te wady znikają w obec gruntowności i staranności, którą całość przedstawia.

Obok zajęć wydawniczych i obowiązków urzędowych zajmował się ciągle rozmaitemi pracami historycznemi, z których zwłaszcza jego ostatnia praca „o Szymonie Szymonowiczu,“ umieszczona w drugim tomie Pamiętników Akademii Krakowskiéj, wybitne zajmuje miejsce.

Prace Bielowskiego zjednały mu uznanie daleko za granicami ojczyzny i wiele towarzystw uczonych tak krajowych, jak zagranicznych, dając wyraz takiemu przekonaniu, powołało go na członka

swego grona, a mianowicie Akademia umiejętności petersburska, Akademia nauk i umiejętności południowo-słowiańska w Zagrzebiu, Akademia Kwirytów w Rzymie, Akademia umiejętności w Krakowie, Towarzystwo przyjaciół nauk poznańskie, Towarzystwo literackie i starożytnicze południowo-słowiańskie w Zagrzebiu, cesarska biblioteka w Petersburgu, sekcya historyczno-statystyczna Towarzystwa gospodarczego morawsko-szląskiego w Bernie, oraz Muzeum starożytności i Komisya archeologiczna w Wilnie, a margrabia Wielopolski, będąc namiestnikiem królestwa polskiego, ofiarował mu w uznaniu jego zasług na polu naukowém katedrę historyi przy Szkole Głównéj w Warszawie, którego zaszczytu jednak nie przyjął.

Bielowski był wysokiéj i silnéj budowy ciała i trzymał się jak żołnierz prosto. Wejrzenie miał łagodne, a serce nadzwyczaj dobre; był bardzo małomówiącym, ale przytém dla każdego, z którym przestawał, nadzwyczaj sympatycznym, dla tego téż szanowaliśmy i kochaliśmy go wszyscy, którzyśmy z nim w codziennych byli stosunkach. Żył bardzo skromnie i regularnie jak zegarek i cieszył się czerstwém zdrowiem aż do ostatniéj chwili. Dnia 11-go Października wieczorem, krótko przed dziesiątą godziną, przechadzał się przed gmachem Zakładu, gdzie z nim jeszcze mówiłem. Na drugi dzień miał w nieobecności kuratora zagaić coroczne posiedzenie, lecz już nie doczekał się téj chwili, bo skonał nagle wśród nocy; nad ranem znaleziono go trupem. Pogrzeb jego był wspaniały, tysiące ludu towarzyszyły mu do grobu, oddając cześć i hołd jego zasługom. Zwłoki spoczywają na łyczakowskim cmentarzu we Lwowie pod jedną mogiłą obok zwłok pierwszéj swéj żony, która go odumarła dnia 3 Października r. 1865 i obok zwłok dzieci, Wandy († 1861), Jadwini i Fronci († 1849). Grób ozdobiła druga żona jego Justyna z Wisłockich Bielowska obeliskiem z piaskowca, na którego postumencie stoją te słowa:

„August Bielowski. 1806 † 1876.“

Cześć jego pamięci!

Dr. Wojciech Kętrzyński.

STAN EKONOMICZNY POLSKI

W LATACH 1782—1792. [1]

(Ciąg dalszy).

VI.

Z kolei wypada nam teraz przyjrzeć się przemysłowi polskiemu ku końcowi XVIII wieku.

Wiek XIX przyzwyczaił nas do szukania głównych ognisk działalności przemysłowej w miastach, w nich bowiem kupią się warsztaty rzemieślników i fabryki, a przynajmniéj właściciele, założyciele, kierownicy fabryk. Polska XVIII wieku odmienny pod tym względem przedstawia obraz, i tu wszakże stan miast wiele znaczy i wpływa na losy przemysłu.

A więc od nich zaczynamy badanie.

Gdy Stanisław August wstępował na tron, miasta polskie zostawały w pognębieniu polityczném już od lat dwustu, bo od śmierci ostatniego Jagiellona, od stu zaś lat, bo od strasznych wojen z czasów Jana Kazimiérza, datowała się ich ruina materyalna. Najcięższe ciosy zadane były przez Szwedów podczas najazdów Karola X i XII. Kontrybucye i gwałty żołnierskie zubożyły i rozproszyły ludność miejską; zarazy morowe (szczególnie 1656, 1662 i 1710—1712 r.) zmiatały ją dziesiątkami tysięcy, a bezrząd krajowy nie dopuścił jéj podźwignąć się z niedoli i nędzy. Traktaty znów rozbiorowe odjęły Polsce znaczną ilość miast, pomiędzy któremi znajdował się też Lwów, słynny od niepamiętnych czasów z handlu lądowego pomiędzy stro-

---

(1) Patrz Ateneum z r. 1877-go zeszyty za Maj, Czerwiec i Lipiec.

nami Naddnieprzańskiemi, Węgrami, Austryą i dalszemi nawet krajami.

Po piérwszym podziale liczba miast królewskich w obu prowincyach koronnych, Wielkopolskiéj i Małopolskiéj, wynosiła podług źródła urzędowego 221 (1). Ogólna liczba takichże miast na Litwie nie jest nam znaną. Nie znamy również liczby miasteczek i miast dziedzicznych, pomiędzy któremi znajdowały się przecięż niektóre znaczne, jak Nieśwież, Tulczyn lub Humań. W ogóle wszakże dziedziczne znajdowały się w stanie nader lichym. Szlachta bowiem zakładała je, czyli raczéj nadawała nazwę miast „najnędzniejszym sieliszczom z kilkudziesiąt biednych chałupek,“ w celu ciągnienia dochodu z szynków (2).

O stanie ich dają pewne ogólne wyobrażenie korespondencye i opisy, nadsélane do czasopism spółczesnych.

Z miast mniejszych, najdokładniéj opisanym został Sandomiérz w dwóch korespondencyach nieznanego pióra, wydrukowanych w Dzienniku Handlowym (3). Pomijając ciekawe zkądinąd wiadomości historyczne (od czasów Leszka Czarnego), przytaczamy tylko dane statystyczne. W roku 1786 było to miasto powiatowe, otoczone murami, z ratuszem murowanym, w którym ulokowane było archiwum miejskie. Zamek oczekiwał reperacyi dachów i ścian, a po części był już spustoszały; mieściło się w nim jednakże archiwum grodzkie i część ziemstwa. Dochodziła tu poczta, ale poboczna; konsystował stale oddział wojska, jako garnizon; trzy jurysdykcye, mianowicie: sądy, grodzki, wójtowski i radziecki, trudniły się wymiarem sprawiedliwości; szkoła akademicka wydziałowa niecila trochę światła. Kościołów było 10, klasztorów 5, domów 542, placów pustych 40. Ludzi liczy autor „okładem 3.000,“ w téj liczbie żydów 383. Zdaniem naszém musiała być znacznie wyższą nad 3.000 cyfra ogólna ludności, jakkolwiek bowiem dużo mogło być małych domków, zawsze trudno przypuścić, aby cyfra przeciętna wynosiła tylko po $5\frac{1}{2}$ dusz na domostwo. Z dyplomu fundacyjnego wiadomo, że Leszek Czarny w r. 1286 nadał Sandomiérzowi na własność 228 łanów frankońskich, ale po latach pięciuset, w posiadaniu miasta znalazło się tylko 60, z reszty zostawało w ręku duchowieństwa łanów 50, u szlachty 30, do Galicyi przy rozbiorze kraju odpadło 5, nareszcie

---

(1) Raport generalny dwuletnich czynności Departamentu Policyi od seymu 1786 do seymu 1788 r. zeszłéj Rady Nieustającéj uczyniony—w Dz. Handl. 1788 str. 704—711.

(2) Surowiecki o upadku przem. i miast. str. 136 wyd. Turowskiego.

(3) Dz. Handl. 1787 str. 452 sqq. 1786 str. 244 sqq. 412 sqq.

80 przeszło nie wiedzieć w czyje ręce—byłyto „nieodkryte jeszcze awulsa.“ Niegdyś znajdowało się 20 winnic na gruntach miejskich; w XVIII wieku nie pozostało po nich i śladu. Propinacya wszakże należała zawsze do miasta i znaczny zapewne dawała dochód. Pomimo licznych przywilejów, starannie przechowywanych, Sandomiérz przestał być miejscem sądów kapturowych i ziemskich, nie używał już prawa obioru królów (voto, suffragio et calculo), zachowywał jednakże zarząd niezależny podług ordynacyi r. 1680 Władza dzieliła się pomiędzy trzy „stany czyli porządki miejskie!“ 1) Magistrat czyli Radę 2) ławników i 3) gmin. Na Ś. Jan mieszczanie obiérali sobie urzędników: prezydenta, wójta, vice-prezydenta, syndyka, podwójciego, „starszego męża,“ pisarzy, instygatora, ekonomów i exaktorów. Radców obierano 12-tu, tyluż ławników i 20 „gminnych.“ Do usług najmowano pachołków. Raz na tydzień odbywały się obrady publiczne około dobra miasta.

O Żytomiérzu dowiadujemy się z urzędowéj noty, przez cały skład magistratu podpisanéj, że znajdowało się osiadłości 418 w samém mieście oprócz jurydyk. Ludność nie jest podana; wnioskując przecięż z liczby domów w porównaniu z Sandomiérzem, domyślać się musimy, że była mniejszą, a przynajmniéj nie o wiele większą od 3.000 głów. Z pomiędzy sklepów, wyróżniał się handel sukienny Tepfera z Wielenia aż z kordonu pruskiego przybyły; można było dostać téż win francuskich z Królewca i węgierskich. „Kapitalistów niema,“ jak świadczy wyraźna wzmianka magistratu. A jednak mieściły się tu dwa grody, dwa ziemstwa i odbywały się sejmiki dwóch województw: Wołyńskiego i Kijowskiego (od czasu odstąpienia Kijowa traktatem Andruszowskim 1667), rezydował konsystorz łaciński, a miasto już przywróconém zostało do wolności, praw i prerogatyw za sprawą Jenerała Leutenanta Stempkowskiego (1).

Lublin nie w lepszym znajdował się stanie, o ile wnioskować można ze wspomnień osobistych Koźmiana; wiele kamienic niemieszkalnych, nawet w rynku, kilkanaście większych sklepów, obszerne składy tylko win węgierskich, żadnéj policyi, dwie latarnie przed magistratem, żadnéj porządnéj oberży, a gdy zajeżdżał jaki dygnitarz, np. książę Adam Czartoryski Generał ziem. podolskich, licznemi pojazdami, karetami, koczami, landarami, brykami, z odpowiednią służbą, wielblądami i orszakiem szlachty w tatarskich strojach, to stawał

(1) Dz. Handl. 1786 str. 412—421; nota podpisana przez J. Lewandowskiego Prezydenta, Ign. Płocińskiego vice-prezydenta, Fl. Nowickiego radcę, Teod. Portenuchę, Teod. Radziewicza, pisarza.

gospodą w jedynym obszernym gmachu—kolegium pojezuickiém. Ale w gmachu tym mieściła się szkoła wydziałowa (gimnazyum), więc gościna podobna niekoniecznie potrzebną i pożyteczną była dla uczącéj się młodzi, która z profesorami i rektorem na czele występować musiała na powitanie możnowładcy, a za napuszoną oracyą powitalną otrzymywała w nagrodę zwolnienie od lekcyj, czasem aż na trzy dni (1).

Miasto Kazimiérz (w Lubelskiém), niegdyś sławne z handlu zbożowego tak dalece, że je Małym Gdańskiem zwano, dziś (1788 r.) mieszkalne przez żydów, a w spichlerzach sów i wróbli kolonia nowa osiadła" (2).

O stanie Radomia ówczesnym niemniéj smutne wnioski nasuwa raport intendenta Wydziału Sandomiérskiego do Komisyi Policyi: „niemasz tam ani doktora, ani chirurga; apteka jest ale nikczemna; na ucznia nakładało miasto, ale daremnie; nic się nie nauczył i niema go w mieście... Nieochędóstwo, zwyczajne po miastach polskich, trzeba aby już wzięło koniec. Kanały niepowyprowadzane, wszędzie fetory, a osobliwie między żydostwem. Ścierwa, których pospolicie nie grzebią, ale wyrzucają na ulicę, zarażają powietrze często aż do chorób. Ci, co wyrzucają fetory i ścierwów nie grzebią nie pierwéj podobno zostaną posłuszni, aż jak grzywny płacić będą musieli. Łaźniów nigdzie, tak potrzebnych do ochędóstwa" (3).

Kamieniec liczy téż tylko 430 domów, a więc prawdopodobnie około 3.000 mieszkańców. W r. 1770 był on dotknięty klęską pożaru. Zresztą korespondent chwali się, że można tu dostać towarów lipskich, wrocławskich, rosyjskich i tureckich, jak np. cytryn, pomarańcz, wina wołoskiego albo nikopolskiego, wyziny świeżéj, wędzonéj, marynowanéj, kawiorów, jesiotrów, wosków, łojów i skór (4). Byłoto bowiem miasto pograniczne z komorą celną. Szczupła załoga fortecy może powiększała trochę cyfrę ludności nad zaznaczoną wyżéj normę.

Na Podolu znajdowały się dwa dosyć znaczne miasta dziedziczne do Szczęsnego Potockiego należące, pięknie zabudowane: Mohilów nad Dniestrem, gdzie bawiło zawsze dużo Turków, Gre-

---

(1) Pamiętniki Kajetana Koźmiana. Poznań 1858 str. 28—35. Korespondent Dz. H. 1786 str. 327 skarży się też na mnogość pustych domów, na wyderkafy, prepotencyą starostów i nadużycia żydów.

(2) Dz. H. 1788 str. 757.

(3) Dz. Handl. 1792 str. 264—6.

(4) Dz. Handl. 1786 str. 331 sqq.

ków, Ormian i Żydów z futrami taniemi, oraz Tulczyn, o którym pocztmistrz Wilski pisze: „słowem mówiąc, iż czego tylko potrzeba, tu dostanie, oprócz mąki tak przedniéj jak w Warszawie i książek polskich niema; a co francuskich to jest dosyć“ (1).

Dubno było miejscem jednego z trzech głównych w kraju jarmarków, a jednak nie miało zapewne znacznéj ludności, ani imponującego pozoru. Nie znaleźliśmy wprawdzie świadectw spółczesnych, ale w opisie Niemcewicza, w jego „Podróżach Historycznych“ wprawdzie około r. 1828 odbytych, nie można dostrzedz śladów wielkości.

Nie napotkaliśmy żadnych korespondencyj, ani opisów z miast wielopolskich, nie możemy przeto nic dodać do znanych już wiadomości z „Polski Starożytnéj,“ z pism Kitowicza itp. z luźnych tylko wzmianek dostrzegamy w téj stronie kraju zjawisko charakterystyczne: gromadzenie się Niemców. Miasta Rawicz, Leszno, Wschowa „i inne“ są przeważnie przez rzemieślników teutońskich zamieszkałe; rachowano ich na 10 do 12-tu tysięcy, obok zaś téj gromady zaledwo 300 lub 400 rzemieślników Polaków. Switkowski zaleca te miasta, jako wzór czystości i ochędóstwa. Miasto Rawicz stało się nawet dosyć ludném i bogatém a stan swój kwitnący zawdzięczało Janowi Mycielskiemu, staroście Ośnickiemu, człowiekowi zapewne światłemu, bo się nie wahał zaprosić mieszczan dysydentów na chrzest swojéj córki. Skądinąd dowiadujemy się, że w Rawiczu mieszkało 300 sukienników, nie licząc czeladzi (2). Poznań doznał srogiego uciemiężenia od Prusaków w r. 1771 (3), miał jednak pewne stosunki handlowe i nawet własnych dość bogatych bankierów, jak np. Kluga.

Bardzo mało też doszło nas głosów spółczesnych z miast litewskich, ale te, które doszły, mają brzmienie podobne do powołanych wyżéj.

Wiłkomiérz ma domy drewniane, słomą kryte; „pożary do takiego ubóstwa przywiodły kupców niegdyś majętnych, że handel spławny królewiecki z wielką swoją szkodą porzucić, a zimowy lądowy z Rygą obywatelom powiatu zostawić przymuszeni byli (4).

(1) Dz. Handl. 1787 str. 190.

(2) Pam. H. Pol. 1783. str. 596—7. 1786 str. 1017, oraz 253 i 254.

(3) Raumer Beiträge zur neueren Geschichte Leipz. Brockhaus 1839, tom VI. str. 431.

(4) Dz. Handl. 1787 str. 441.

W Brześciu Litewskim Land-Wójt, Tamawiecki, a więc osoba urzędowa, liczy chrześcian około 300 osób (1).

Grodno błotniste, małe, niezdrowe, zdaniem pewnego korespondenta jest niewłaściwém miejscem dla sejmów: z największą bowiem trudnością mogą się rozlokować posłowie i senatorowie; kupcy przyjezdni z Warszawy urządzają tu sklepy tylko na czas trwania sejmu; z tych powodów mieszkania i towary są bardzo drogie (2).

Najnieszczęśliwszém z miast litewskich był, zdaje się, Mińsk w owym czasie. Leżał on na głównym trakcie z m. Moskwy do krajów Rzeczypospolitéj, więc do połowy XVII wieku przy każdéj wojnie był stacyą dla przeciągających żołnierzy, a w owéj epoce intendentura i komisoryat zostawały jeszcze w stanie niemowlęctwa. Za Stanisława Augusta konsystowało tu wojsko rosyjskie przez lat 18, od r. 1764 do 1782. Ponieważ władze wojskowe wymagały światła i opału do kwater, więc dworki szlacheckie przez dziedziców, niechcących ponosić kosztu, opuszczone zostały, mieszczanie zaś, zmuszani dostarczać różnych wygód przez surowe nakazy, bardzo na majątku podupadli. Trybunał przeniesiono do Grodna; żadne zjazdy, oprócz trzydniowych kontraktów, nie odbywały się w mieście; wiele domów porzuconych bez reperacyi spustoszało. Po pierwszym rozbiorze i zakordonowaniu Białéj Rusi „nawlekła się do Mińska niezmierna moc Żydów bez żadnego sposobu do życia; ci za pomocą kahału a protekcyą starościńskiéj czyli zamkowéj jurysdykcyi najwięcéj jęli się rzeźnictwa.“ Sprzedając tanio, wygubili cech rzeźniczy chrześciański, poczém sprzedawali mięso po 8 groszy funt. Zagarnęli też handel cały tak, że w r. 1786 już kramów chrześciańskich nie było. Przebywali też w Mińsku Grecy, doznając protekcyi panów, szlachty i duchowieństwa, u których wynajmowali stancye; trudnili się przeważnie szynkowaniem. Wśród takich warunków, stan miasta i mieszczan był opłakany. Syrokomla w swojéj monografii Mińska nie chce wierzyć, aby zasługiwała na wiarę wynaleziona przez niego pod r. 1717 liczba dymów 6,850 w 2-ch powiatach, Mińskim i Rzeczyckim. Nie zna on wprawdzie znaczenia dymu, błędnie biorąc tę nazwę za jedno z pojedyńczą chatą włościańską, ale gdy błąd ten sprostujemy podług wskazówek w rozdziale III-m niniejszéj pracy podanych, przekonamy się, że liczba ta zupełnie niemożliwą nie jest. Podług urzędowego bowiem doniesienia, podpisami

(1) Dz. H. 1787 str. 386.
(2) Pam. H. P. 1784 str. 1110, 1111.

trzech burmistrzów opatrzonego, Mińsk w roku 1786 liczył mieszkańców: chrześcian 456, żydów 483, razem wszystkich 939 dusz; pustych domów, po większéj części szlacheckich, było 54. Winiarzów wymieniono tylko dwóch, kafenhauzów (zapewne kawiarni) siedm (1).

Przechodząc następnie do miast pierwszorzędnych: Krakowa, Wilna, Warszawy, dowiadujemy się, że i one dalekiemi były od stanu kwitnącego w epoce pierwszego rozbioru.

Kraków, opuszczony oddawna od królów, zdobywany w r. 1702 przez Szwedów, w 1768 przez wojsko rosyjskie, w 1772 przez konfederatów barskich, a we trzy miesiące potém znowu przez Suwarowa odebrany, imponował już tylko ruinami. Pomimo wyznaczenia funduszu na reperacye przez sejm 1768 r., zamek królewski na Wawelu nie był mieszkalnym aż do 1787, kiedy odświeżono pokoje 2-o piętra na pomieszczenie w nich oczekiwanego podówczas Stanisława Augusta (2). Ludność miasta, może zresztą bez dzielnic Kazimierza, Stradomia, Kleparza, które zwały się oddzielnemi miastami i miały własny zarząd, wynosiła zaledwo 9.449 głów, w r. 1787 (w r. 1827—8 wraz z przedmieściami liczył Kraków 32.905, pomiędzy temi 9.732 żydów) (3).

O ludności i stanie ekonomicznym Wilna w połowie XVIII wieku nie wiedzą nic ani Kraszewski w swojéj Historyi tego miasta, ani Kirkor w swoich Przechadzkach po Wilnie. My nie znaleźliśmy téż pożądanych wskazówek, ale konstytucya sejmowa z r. 1766 nasuwa smutne domysły: „Między pożytkami, które w narodzie naszym pomnażać usiłujemy, i ten jest nieposledniéj wagi, abyśmy miasta krajowe, ile Nam sposobność pozwala, z ruin dźwigając, do dawnéj przyprowadzili okazałości; przeto mając wzgląd na dezolacyą miasta naszego stołecznego Wilna z przyczyny często doświadczonych pożarów ... statuimus.... aby w samém mieście żadne domostwa, jatki, budki dla przekupniów drewniane nie znajdowały się.“ „Mury na naszych placach zamkowych, ponieważ do ostatniéj przyszły ruiny, polecamy JW. Wojewodzie Wileńskiemu wynaléść sposoby do zażycia onych ad publicos usus.“ Taż konstytucya nakazuje każdemu

(1) Dz. Handl. 1786, str. 336, 337, 475—478 podpisali się burmistrzowie: prezydujący Mikołaj Zwarski, Jakób Derukoff i Ignacy Tarankiewicz. Syrokomla.—Mińsk w „Tece Wileńskiéj“ 1857, Nr. 2, str. 113.

(2) Ambr. Grabowski. Kraków i jego okolice. 1830. str. 43, 44, 75.

(3) Łepkowski w Encykl. Orgelbr. większéj pod wyrazem „Kraków“ tom XV. str. 835. Ambr. Grabowski l. c. str. 48.

kupcowi kupić sobie na własność lub wymurować kamienicę (1) w ciągu trzech lat.

O Warszawie, jaką była w połowie XVIII wieku, nie łatwo jest powziąć wyobrażenie nam, co ją oglądamy dzisiaj. W r. 1740 samo miasto, czyli tak zwana Stara Warszawa, było niewielkie, murem opasane, czyste a nawet przyozdobione „strukturami wspaniałemi, ale na przedmieściach bruki zalane błotem osobliwie podczas jesieni i na łokieć nad brukiem.“ Przystępu za Wisłę żadnego, co sprowadzało drożyznę. Wiosną i w jesieni nikt do miasta nie przybywał, chyba konieczną zmuszony potrzebą. Krakowskie Przedmieście całe przez zawalenie gruzami było niedostępne. Kamienice przynosiły zaledwo 3%, bo handel i przemysł zniknął, albo był zbyt mały (2). Jaka była ludność podówczas? Tego nie wiedzą ani pp. Wejnert i Sobieszczański, którzy badaniom dziejów miasta długie poświęcili lata, nie wiedzieli ani marszałkowie wielcy koronni, ani królowie, dla prostéj racyi, że pierwszy popis dokonanym został dopiéro w r. 1787. Wszakże, jeśli wiarogodną jest ogólna cyfra posesyj 486 podana przez gminnego miasta Dawidsona „w murach Staréj Warszawy i za murami“, można jakieś przypuszczalne ułożyć obliczenie podług stosunku domów, spisanych w roku 1784, do ludności spisanéj niedługo potém w 1787 r. Na dom wypada przeszło 28 osób, przeto z 486 posesyj na rok 1750 wypadłoby zaledwo 13.408 mieszkańców. A przed wojną szwedzką, w r. 1655 narachowano blizko trzy razy więcéj kamienic, domów i dworków (3). Przypuśćmy, że cyfra Dawidsona jest zbyt mała, że ją można podwoić, to i w takim razie ludność stołecznego miasta nie dojdzie do 30.000.

Marszałek w. kor. Franciszek Bieliński (1742—1766), zostająca pod jego zwierzchnictwem komisya brukowa i prezydent miasta Dulfus wiele dla Warszawy uczynili — oczyścili ją, powiększyli (jurydyka na Bielinie), przemierzyli, zrobili mapę, wynalezli fundusze. Wszakże stan opuszczenia ujawnia się wciąż jeszcze w dokumentach urzędowych. Zamek królewski potrzebował ogromnych nakładów, żeby mógł służyć Stanisławowi Augustowi za rezydencyą, oprócz bowiem licznych rachunków przedkoronacyjnych, sejm 1768 r. wyznaczyć

---

(1) Vol. Leg. VII. f. 546—7, str. 242—3.

(2) F. M. Sobieszczański. Rys historyczno-statystyczny m. Warszawy 1848, str, 75, 76.

(3) Cyfry domów wzięte są od p. Sobieszczańskiego l. cit. str. 81, 124,60. Wykaz ludności szczegółowy z r. 1787 znajduje się w Dzienniku Handlowym z tegoż roku str. 222 nast.

musiał na reperacyą po 400.009 zł. rocznie, tytułem expensy extraordynaryjnéj, a w wykonaniu sumę tę przekraczać wypadało (1). Najwyższe władze rządowe, nawet Skarb koronny, mieściły się po domach wynajętych, dopiéro od r. 1764 zakupiony od biskupa Krasińskiego pałac zaczęto przebudowywać, jako „pałac Rzeczypospolitéj," na co sejm w r. 1768 wyznaczył po 200.000 zł. rocznie. Piotrowi Tepperowi, obywatelowi m. Poznania, pozwolono kupować place dla budowania domów ozdobnych, lub spichlerzów, zbożowych, „ponieważ się przy mieście naszém stołeczném Warszawie wiele placów częścią pustych, częścią drewnianemi budynkami zabudowanych znajduje." „Gdy zaś miasta Nowa i Stara Warszawa, rezydencya królów z okazyi gęstych w rynkach i po ulicach domów drewnianych często nieszczęściu od ognia podpada" przeto sejm konwokacyjny 1764 nakazał, aby rynki i place od domów drewnianych, klitek, jatek, wolne i niezabudowane były (2). Od czasu, kiedy lody uniosły podziwiany przez cudzoziemców most Zygmunta Augusta i Anny Jagiellonki, przeprawa przez Wisłę odbywała się na promach; dopiéro sejm konwokacyjny 1764 kazał na elekcyą sporządzić most kosztem Rzeczypospolitéj i takowy nazawsze utrzymywać. Komisya Skarbu Koronnego utworzyła niezwłocznie milicyą mostową, czyli kompanią pontonierów na Wiśle ze 102 ludzi złożoną, pod komendą kapitana Wojtena, inżyniera Rzeczypospolitéj, który za 7.200 złł. płacy rocznéj obowiązanym był, prócz zwykłych czynności swego urzędu, dawać „lekcye matematyki dla młodzi szlacheckiéj po 2 godzin dziennie;" aliści w lat dziewięć potém z uchwały sejmowéj 1775 r. dowiadujemy się, że owa konstytucya 1764 r. „dla zapadłéj krajowéj rewolucyi skutku swego wziąć nie mogła, teraz zaś dla upadłych intrat skarbowych kosztem publicznym wystawiony być nie może." Przyjęto więc propozycye X-cia Adama Ponińskiego i wydano mu przywiléj na pobiéranie mostowego. Ponińskiemu więc zawdzięczała Warszawa mniéj więcéj stałą komunikacyą z prawym brzegiem Wisły po moście łyżwowym (3).

Jakkolwiek zebrane tu rysy nie są obfite i dokładne, wystarczają one przecież do przeświadczenia się, że w epoce przedrozbiorowéj wszystkie miasta, nie wyjmując pierwszorzędnych, Lwowa, Kra-

---

(1) Drobiazgowe rachunki w księdze 88 Rachunków Sejmowych Komisyi Skarbu Kor., Vol. Leg. VII, f. 102, str. 52, f. 640 str. 300. ks. 94 Rachunków Sejmowych świadczy, że w dwuleciu 1773—5 na fabrykę zamku wydano 892.052 złł.

(2) Vol. Leg, VIII, f. 372, str. 164, f. 85. str. 45.

(3) Vol. Leg. VII, f. 7, str. 9. Protokół Ekonomiczny Kom. Sk. Kor. A/1 z roku 1764, karta 41, 42. Vol. Leg. VIII, f. 205, str. 125.

kowa, Lublina, Poznania, Piotrkowa, Radomia, Kalisza, Wschowy, Warszawy w Koronie, oraz Wilna, Grodna, Mińska, Nowogródka, Witebska, Kowna, Brześcia na Litwie (1) znajdowały się w nader smutnym stanie. Przy zagajeniu sejmu 1764 r. prymas mówił do senatu: „Wolność mieszczan swywolą przytłumiona, miasta bez obywateli, mieszczanie bez handlu, handel bez korzyści; w miastach miast szukać potrzeba: co ulica to pole, co rynek to pustki. JO. JW. mości panowie, w takim stanie rzeczpospolita się znajduje, w jakim nigdy nie była.“ (2) Zresztą mamy niejedno urzędowe świadectwo owoczesnych konstytucyj sejmowych, „że miasta dla różnych przyczyn, uciemiężenia i bezprawia do ostatniego przychodzą upadku, w niwecz spustoszone i zniszczone“ (3). Bardziéj energicznych wyrażeń niepodobna już użyć w akcie urzędowym!

A przecięż był czas, kiedy te miasta budowały się, wznosiły i kwitnęły. Nie miała wprawdzie Polska nigdy miast kolosalnych z ludnością krociową, bo takie miasta zaczęły powstawać tylko na wielkich drogach morskich od czasu, gdy się rozwinął handel na obu półkulach świata. Ale epoka Jagiellońska mogła się pochlubić wielką liczbą grodów o kilku lub kilkunastu tysiącach mieszkańców, o kilkunastu cechach rzemieślniczych, o dobrych zabudowaniach i bezpiecznych murach. Gościła w nich zamożność, która okazywała się na zbytkownych strojach mieszczan i mieszczek. Wspomnienia o tém przechowały się w żywéj pamięci. Mędrzecki woła: „Jaka była ludność, jaka możność miast pod panowaniem domu Jagiellońskiego! Jakie z nich na Rzeczpospolitą wypływały pomoce? Dowodzą rewizye 1564 r.“ Dowodzą téż fakta zgrupowane starannie przez Surowieckiego w znanéj rozprawie: „O upadku przemysłu i miast w Polsce.“ Ale w XVIII wieku stan miast polskich był gorszy niż w XVI, gdy przeciwnie Europa posiadala Amsterdam, Londyn i Paryż. Kołłątaj w znakomitéj i wiekopomnéj przemowie swojéj do deputacyi konstytucyjnéj powiada: „Dziwujemy się nędzy miast naszych; nie mamy żadnego, któreby kwitnącym stanem zrównać się mogło z obcemi“ i zapytuje: czemuż? I my powtórzmy toż zapytanie.

Każde miasto posiadało swoje pargaminy, nadania, a już przynajmniéj jeden przywiléj erekcyjny czyli fundacyjny. Grunt, przez

---

(1) Te miasta wymieniane są zwykle w Vol. Leg. np. VII. f. 83, str. 44 i f. 151, str. 74.

(2) Z Dyaryusza Sejmu 1764. Dr. Lud. Kubala. Handel i przemysł za Stan. Augusta. Krak. 1872. str. 37.

(3) Vol. Leg. VII, f. 81 str. 43, f. 151, str. 74.

fundatora nadawany, zwykle tak bywał obszerny, że prócz zabudowań miejskich obejmował pastwiska, łąki i role, które były przez mieszczan uprawiane. Składy, targi, jarmarki nastręczały nie tylko dogodność, ale i zyski pieniężne. Sama propinacya, czyli prawo pędzenia gorzałek, wyrabiania piwa, miodów i sprzedawania ich, czyniła tak znaczny dochód, że ten częstokroć dostatecznym był do pokrycia wszelkich podatków i opłat do skarbu należnych. Więc miasta polskie nie znały ucisku fiskalnego. Nie można zarzucić nawet sejmom takiéj obojętności względem miast, jaką okazywano względem włościan. Volumina Legum, oprócz przepisów ogólnych, zawiérają na wieki, XVI, XVII i pierwszą połowę XVIII (do czasów Stanisława Augusta) rozrządzenia, dotyczące 2o3 miast i miasteczek, zwykle życzliwością natchnione. Nie było prawie sejmu, nawet za panowania Sasów, żeby kilku jakichś uchwał nie wydano. Nawet podczas bezkrólewia po śmierci Augusta III, sejm konwokacyjny warszawski (1764) „chcąc one podźwignąć,“ stanowi dwie dosyć obszerne uchwały: „Ubezpieczenie miast“ i „Warunek miast W. X. Lit.“

Przytém każde miasto oddawna już miało swój samorząd, oparty na prawie Magdeburskiém, lub Chełmińskiém. Sam Kołłątaj w powołanéj już przemowie przyznaje to w słowach następnych: „Najmniéj znającemu prawa nasze stanie natychmiast przed oczyma rząd szczególny miast polskich zupełnie wolny, rząd w niczém stanowi szlacheckiemu niepodległy. Kto ma swój osobny sąd, kto tak do sądu jak i do rządu wybiéra z pomiędzy siebie osoby, ten nie tylko formuje oddzielny od reszty ludzi stan, ale nadto w takowym stanie jest zupełnie wolny. Z téj strony wszystkie miasta polskie prawie są więcéj wolne, niż może być którykolwiek powiat lub ziemia, bo mieszczanie mają swoje obrady i sądy, składane przez dobrowolny wybór, mają swe plebiscita, mają nawet prawo miecza i w niczém co do rządu szczególnego nie dependują od stanu szlacheckiego“ (1).

Mamyż zwalać upadek i niedolę stanu miejskiego na klęski losowe i dziejowe: na rabunki żołnierskie, najazdy nieprzyjaciela, pożary „z dopuszczenia Bożego‘ i zarazy morowe, o których ciągle i w kronikach i w prawach słyszymy? Zapewne, głębokie to były rany przez nieprzyjaciela w ciągu jednego stulecia po razy kilka zadawane; dotkliwie uczuć się dały zarazy morowe, ale nie wszystko jeszcze tłómaczą one. W dawnych bowiem wiekach pogańska Litwa, Tatarzy i inni sąsiedzi mało co mniejsze od Szwedów czynili spusto-

(1) Prawo polityczne narodu polskiego; Listów Anonyma część IV, str. 32.

szenie; los nawiedzał Polskę swojemi klęskami zawsze w równéj mierze, i pożary „z dopuszczenia Bożego“ wynikały zapewne nierzadziéj, a jednak miasta i przemysł kwitną pod berłem Jagiellonów. Musimy przeto szukać innych przyczyn smutnego zjawiska.

Dużo światła na tę sprawę rzuca szczéra spowiedź cnotliwego marszałka sejmu czteroletniego, zwanego polskim Arystydesem, Stanisława Małachowskiego. W nadaniu, przez króla Stanisława Augusta na prośbę jego zatwierdzoném, powiada on: „iż miasteczko Białaczów w województwie Sandomierskiém, a powiecie Opoczyńskim do dziedzictwa mego teraz należące, w dawniejszym czasie z kondycyi wiejskiéj w postawę miasta obrócone i na prawie Magdeburskiém lokowane zostało, a potém, po zagubionym przez ogień początkowym przywileju, za panowania Najjaśniejszego Kazimierza króla przywilejem jego renowacyjnym pod datą na sejmie Piotrkowskim r. 1456 przy prawie tém samém miejskiém za wniesioną na ten czas prośbą dziedzica tegoż miasta Piotra de Białaczów zachowane było, z nadaniem trzech jarmarków do roku.... z ustanowieniem targu tygodniowego we czwartek każdy.... co potém następne przywileje Najjaśń. królów Zygmunta r. 1509, Zygmunta Augusta 1563, Stefana 1578, Zygmunta III 1615 i Władysława IV 1640 r. utwierdziły i w stanie ulepszonym temuż miastu i obywatelom jego być dozwoliły. A ten stan miasteczka pomienionego w przeciągu lat dawniejszych i krajowych nieszczęśliwości tak *zatarty* został, iż tylko nazwisko miasta nosił, a w istocie saméj wszystkim powinnościom wiejskim jego obywatele ulegać aż dotąd musieli. Zaczém ja, dogadzając i użyteczności krajowéj, która z pomnożeniem osiadłości miast i manufaktur rzemieślniczych powiększa się, a razem czyniąc ulgę w uciążeniu, *oddając własność, jaka komu należy*.... miasteczko Białaczów do dawnych praw przywrócić umyśliłem.“ Nadał przytém 19 włók gruntu mieszczanom (1).

Z wyznania tego można wysnuć całą historyą miast dziedzicznych, a z pewnemi różnicami nawet i królewskich. Przodkowie Małachowskiego „zatarli“ pomyślny stan swego miasteczka, mieszczan do pańszczyzny zapędzili, prawa im wydarli. Postępowanie było oczéwiście nielegalne i niesprawiedliwe, skoro człowiek uczciwy poczuwał się do obowiązku „oddania własności, jaka komu należy.“ To téż Świtkowski nie waha się orzec, że „niebaczna a sroga chciwość przodków naszych spustoszyła miasta nasze bardziéj niż

---

(1) Dz. Handl. 1787, str. 127, 128.

szwedzkie pożogi“ (1). Jaką drogą? Oto, przez wpływy przemożne, przez samowolę. Tak np. w mieście Koprzywnicy, do Cystersów należącém, wójt i burmistrze są niby obieralni przez pospólstwo, „jednak panowie nasi stanowią tu absolutnie, kogo chcą, nie kogo pospólstwo żąda. Ale niebezpiecznie sprzeciwiać się panom, bo w ich ręku nasze życie i majątek. Boli nas wprawdzie ta niedola (pisze mieszczanin tameczny), ale jesteśmy w dziedzicznėm mieście i niby zacnymi niewolnikami. Nienmiejsze absurda w wolnych dzieją się miastach“ (2).

Można zresztą łatwo zrozumiéć, że dziedzic w należącém do niego mieście mógł rozmaite drogi ucisku wynaleść, gdzie służyło mu w każdym razie prawo pobiérania czynszów za grunta. Ale jakiemi drogami staczały się w przepaść upadku miasta wolne, tak zwane królewskie, pozostawione całkowicie królom do dyspozycyi?

Niepodobna prawie przypuścić i trudno uwierzyć, że narzędziem ruiny stali się urzędnicy, których zwano „ramieniem królewskiém“ (brachia), których obowiązkiem było czuwać nad bezpieczeństwem kraju, którym powierzoną była opieka nad miastami, jednėm słowem, starostowie. A przecięż jestto fakt niewątpliwy. Stwierdzają go namiętne wykrzykniki publicystów, przyznają akta urzędowe, uzasadnia uczony wywód prawników Mędrzeckiego, Barssa i Grabowskiego.

Starosta od 1420 r. (3) był sędzią „cztérech artykułów“ kryminalnych („o białogłowskie zgwałcenie, o rozbój, o pożogę i zapał, o gwałtowne najazdy“), był też komendantem zamku i dowódzcą miejscowéj załogi. Jestto jeszcze czysty typ starosty sądowego, który „prezyduje w grodzie, wykonywa wyroki, aresztuje ludzi swywolnych.“ Z czasem uwydatnia się przeważnie w tym urzędzie strona gospodarcza, ekonomiczna. Starosta jest zarazem administratorem dóbr, dokoła zamku położonych i na zaspokojenie potrzeb zamku oraz dworu królewskiego przeznaczonych. W pobliżu stoi zwykle miasto, otoczone murem, albo parkanem. Nazywa się ono królewskiém, ale ma własną ziemię, przez króla nadaną, własny sąd radziecki i zarząd burmistrzowski na mocy magdeburyi. Pachołkowie starosty zatém nie mają w mieście nic do czynienia.

Z czasem jednakże starosta znalazł sposobność wdarcia się do miasta. Zacny Zygmunt August na sejmie 1562 r. oświadczył: „My

---

(1) Pam. Hist. Pol. 1783, str. 253.
(2) Dz. Handl. 1787, str. 461—462.
(3) Vol. Leg. L. f. 77, str. 34 tit. de causis.

z łaski naszéj królewskiéj, a z miłości przeciwko Rzeczypospolitéj pozwalamy tego, aby czwarta część wszystkich dochodów takich corporis Regni ku stołu naszemu należących, była na obronę potoczną obrócona" t. j. ustanowił tak zwaną kwartę, na utrzymanie wojska stałego, kwarcianego „sami i potomkowie nasi przestawać będziemy na ordinarios i extraordinarios sumptus i na poprawę zamków koronnych i opatrzenie ich ku obronie na trzech częściach dochodów, opatrzywszy naprzód ze wszystkich części starosty i dzierżawce i ich wychowanie" (1).

Ten dar bezinteresowny szlachetnego i hojnego króla stał się dla tłumu starostów i dzierżawców królewskich podnietą do zagarniania intrat miejskich. Opatrzenie bowiem i wychowanie tych panów oznaczone było w stosunku jednéj piątéj części z całéj intraty, a kwarta była już następnie wyciągana z reszty. Mieli więc starostowie interes w możliwém zwiększaniu dochodu ogólnego i od r. 1590, jak powiada Mędrzecki, datuje się „wysączanie z miast tych intrat, które na utrzymanie ich w stanie kwitnącym i obronnym nadane były" (2).

Pobudka więc istniała, szło tylko o sposób. I ten właśnie nastręczył się. Konstytucya z r. 1565 powierzyła starostom dozór „aby się miasta poprawowały" i upoważniła ich do odbiérania sprawozdań o stanie dochodów miejskich („liczbę żeby czynili"). Konstytucye 1567, 1620, 1633 powierzyły starostom dozór co do murów, wałów i amunicyi. Mając teraz sposobność mięszania się do rządu miejskiego, starostowie wyzyskali ją w rozległym zakrésie. Ujawniło się to nasamprzód w miastach ukrainnych: Korsuniu, Czehrynie, Steblowie, Danielowie, Bracławiu, gdzie starostowie, tytułem przyznanéj im jurysdykcyi w sprawach o bunty i gwałty, zagarnęli je na własność dla siebie. Szybki upadek tych miast zwrócił uwagę sejmu z r. 1609 i spowodował wyznaczenie komisyi śledczéj; komisarzom zalecano, aby uczynili sprawiedliwość ukrzywdzonym kozakom, miasta od jurysdykcyi i opresyi oswobodzili, a starost władzę i pożytki ich aby w „klubę swą wprawili." Zdaje się atoli, że energiczna ta uchwała sejmowa istotnego wpływu nie wywarła, bo starostwa ukrainne stały się głównym rozsadnikiem dumnego i samowolnego możnowładztwa, a Mędrzecki wylicza 39 miast i miasteczek Ukrainy podupadłych do takiego stopnia, „iż tylko nazwiskiem miast od wsi rozróżnianemi

---

(1) Vol. Leg. II, f. 616 i 617, str. 17

(2) Zbiór praw dowodów i uwag z treści tychże wynikających stanowi Mieyskiemu służących. 1790, cz. V. str. 3.

być mogą.“ Podobny proces rozpościerania się władzy starościńskiéj objawił się wkrótce i w innych prowincyach, skoro konstytucye 1611 i 1633 r. usiłowały osłonić miasta królewskie od téj obcéj im jurysdykcyi.

Przyszły późniéj czasy przemocy szlacheckiéj i bezrządu, konstytucya 1633 zagroziła utratą przywilejów stanu rycerskiego szlachcicowi, którыby sprawował urzędy miejskie; instytucye wszystkie wypaczyły się; starostwa stały się nietyle urzędem i służbą publiczną, co „chlebem zasłużonych,“ panis bene merentium. W grodzie sądził podstarości „szlachcic osiadły,“ uznany przez prawo jako zastępca; ten „starościński sędzia był służką skinienia,“ jak powiada Staszic (1) sam zaś starosta czasem ani razu nie zwiedził powierzonego mu grodu, bo sprawował zwykle jakiś wyższy urząd, a miał starostw kilka i dzierżaw kilkanaście. Sprawa dochodów i zysków dożywotnich tak dalece zatarła pojęcie przywiązanych do urzędu obowiązków, że powszechnie prawie nadawane były starostwa małżeństwom, że zostawały one często w posiadaniu kobiét. W końcu stały się one przedmiotem umów i były sprzedawane niemal jako własność prywatna. Nie umiémy w téj chwili ogarnąć jednym rzutem oka ogółu starostw całéj Rzeczypospolitéj; dosyć jasne wszakże wyobrażenie powziąć możemy, przynajmniéj o prowincyach Koronnych, z dziełka ogłoszonego drukiem w przeddzień pierwszego rozbioru w r. 1771 p. t. „Płata Woyska y Chleb zasłużonych“ (2).

W tym spisie znajdujemy nietylko starostwa sądowe, ale téż i dzierżawy, wsie, młyny królewskie z oznaczeniem opłacanéj z nich kwarty, czyli czwartéj części dochodu obliczonego już po zaspokojeniu starosty. Pomniejsze dzierżawy i młyny, podane z kilkoma, kilkudziesięciu, rzadko kilkuset złotemi opłaty, znajdują się w posiadaniu nieznanych nazwisk szlacheckich, a czasem nawet włościańskich („uczciwych“). Ale większe dobra zapisane są pod imionami członków stanu możnowładczego. Tak np. z Potockich: Franciszek wojewoda Kijowski posiada trzy duże starostwa, trzy dzierżawy, jedno miasto, kilkanaście wsi królewskich, z czego wszystkiego kwarta wynosi 51.885 zł., Piotr i Jan, kasztelanice lwowscy, posiadają pierwszy starostwo szczerzeckie i parę wojtostw z 17.785 złł. kwarty, drugi— jedno tylko niewielkie wójtostwo Brodek (307 złł.); Józef krajczy

(1) Staszic. Pochwała Jana Zamoyskiego (przy „Uwagach“) str. 195 wyd. Turowsk.

(2) Dokładny tytuł: Płata Woyska y chleb zasłużonych to jest Taryffy kwarty, hyberny, pogłównego łanowego y inne przydatki dla wygody y ciekawości publiczney zebrane y do druku podane. Roku 1771. str. 118 i tablica.

kor. z małżonką dwa duże starostwa i kika wójtostw oraz wsi ogółem na 43.823 złł., Teodor kasztelan Bracławski jedno starostwo na 6.944 złł., Ignacy Potocki — jedno z opłatą 22.299, Stanisław Potocki, jedno z 6.274 czyli na ogół ród Potockich w saméj koronie władał taką masą królewszczyzn, która dawała jako czwartą część czystego dochodu przeszło 150.000 złł. owoczesnych (doliczywszy pominięte grosze i denary). Z rodu Lubomirskich: Franciszek, miecznik kor. na 45.978 złł., Stanisław, marszałek w. kor. na 42.173 złł., Antoni wojewoda Lubelski na 20.033 złł., Aleksander starosta Ratneński na 11.676, Joanna księżna Lubomirska chorążyna kor. na 8.870, Karolina na 5.724 kilka pomniejszych dzierżaw tego rodu pominęliśmy, pomimo to suma wynosi przeszło 135.000 złł. owoczesnych. Z Poniatowskich: sam książę podkomorzy Kazimierz ma królewszczyzn na 83.783 złł. kwarty, a z Mniszchów Jan Jerzy Jenerał Wielkopolski obowiązany był płacić kwarty 127.589. Czartoryscy, Braniccy posiadali stosunkowo niewiele królewszczyzn w koronie (tylko Jan Klemens Branicki, hetman w. kor. na 63.755 złł.), ale za to musieli dużo trzymać starostw i dzierżaw litewskich, których spisu nie mamy. Wacław Rzewuski, hetm. p. k. miał na 44.354 złł., skromniéj uposażeni byli w owym czasie Wielopolscy, Krasińscy, Zamoyscy, Sułkowscy, Jabłonowscy.

Przytoczone cyfry, w zestawieniu z sumą ogólną kwarty koronnéj (2.310.000) oraz z całkowitym dochodem owoczesnéj Rzeczypospolitéj (obliczonym w téj saméj książeczce, a nawet niewybranym rzeczywiście (10.823.000 złł.), świadczą, że kilka rodów możnowładczych skwapliwie sięgało po „chléb zasłużonych.“ Musiałto być chléb obfity, jeśli tacy wielcy panowie ubiegali się o skromny tytulik dzierżawcy jakiejś wsi królewskiéj, albo wójtostwa w miasteczku. Przyznana im przez prawo piąta część dochodu ogólnego co najmniéj wyrównywała części czwartéj, czyli kwarcie wyciągniętéj z reszty; w istocie zaś musiała być większą. Kwarta bowiem oznaczaną była w cyfrze stałéj przez lustratorów przynajmniéj na lat pięć z góry, a dochody mogły wzrastać z każdym rokiem. Oszacowanie lustratorów znowuż było zapewne niskiém, jeśli Tyzenhaus mógł w ciągu lat kilku podnieść dochody ekonomij litewskich z 300.000 do 1.500.000 złł. Niewątpliwie zatém królewszczyzny stanowiły „chléb“ dobry i obfity. Gdybyż tylko zasługi odpowiadały obfitości tego chleba!

W zakrésie sądownictwa grodzkiego i „opieki,“ nad miastami, prócz nader rzadkich wyjątków, nie dostrzegliśmy żadnéj zasługi po stronie JOO. i JWW. starostów i starościn, owszem widzimy raczéj ich wielkie winy w obec narodu. Mędrzecki pisze o nich, że „nie

obchodzą się z obywatelami miejskimi, jako dozorcc dóbr patrymonialnych Rzeczypospolitéj, lecz tak właśnie, jak gdyby przy nich była własność, a przy Rzeczypospolitéj taki tylko pożytek, jakiego się jéj udzielić tymże administratorom podoba. Liczne i nieustanne sprawy w asesoryach o zelżywości, bicia, więzienia, zabory gruntów miejskich, o przywłaszczone użytki municypiów od Rzeczypospolitéj zaręczone, zaświadczają tę nieskończoną walkę między kilkudziesiąt osobami z jednéj a milionem ludzi z drugiéj strony toczącą się.“ W inném znów miejscu twierdzi tenże Mędrzecki, że „starostowie poprzywłaszczali sobie propinacye, z praw zasadniczych miastom samym należne, poosadzali grunta, miastom pozajmowane, luźnem żydowstwem, które im się chętnie z majątku swego wyzuwać dopuszcza, byle mu oszukaństwem chrześcian wolno zostało odzyskiwać dobrowolne utraty.“ Urząd starościński nie omieszkał téż wywiérać wpływu na obiór urzędników w mieście. „Któż nie widzi, że dzierżawca dóbr królewskich, mający moc niedopuszczania do urzędów miejskich ludzi przywiązanych do miasta, zawsze na czele rządu takie osoby będzie wystawiał, które jego przywłaszczeniom pobłażać i wraz z nim z cudzego korzystać będą umiały... Żadnego więc pożytku kraj nie odniósł z powierzonego w dobréj wierze starostom dozoru miast i ich pożytków, szkody zaś z ich bezprawnego i gwałtownie przywłaszczonego rządu wynikłe, upadkiem miast i nędzą spodlonych mieszczan jawne, bez odsunięcia téj władzy nagrodzonemi zostać nie będą mogły“ (1).

Publicyści jeszcze gwałtowniéj i namiętniéj niż prawnik, wołają przeciwko starostom. Korespondent Dziennika Handlowego np. wzywa ludzi dobréj woli do nadsełania pismom sprawozdań o rządach starościńskich, wątpi jednak zaraz o skutku swojéj odezwy, ponieważ „podłe pochlebstwo tym magnatom, wątpię, żeby dozwoliło komu jąć się na takowe narażenie się. Trzebaby chyba pobrać nazwiska jakich wojażerów, tak np. jak Cooks... dopiéroby on dał bezparcyalne świadectwo, nie lękając się jako cudzoziemiec podpadnienia pod straszny sąd starościński za to, że śmiało mówił prawdę“ (2).

Jest w tych ostatnich słowach widoczna przesada, lub téż objaw osobistego tchórzostwa, boć Staszic, nie będąc wojażerem cudzoziemcem, nie bał się pisać takich rzeczy np. „Przejeżdżając przez kraj, widziałem w starostwie N. jeszcze za Bolesławów stawianego

---

(1) Zbiór praw etc. część III str. 5—6., część VI str. 5—6.
(2) Dz. Handl. 1787, str. 146—7.

zamczyska cztery kąty i baszty kawał piąty. W tém bez okien, bez drzwi, bez dachu, w niewygodném sowy i kuny mieszkaniu, archiwum butwieje. W starostwie N. na bakier pochylony odwieczny lamus, szczurów i myszów stolica, obywatelskiemi papiery swe żywi mieszkańce. Nie jeden obżarty szczur, jak niegdyś bezsumienny Tyzenhaus, równie prędko cudzą wieś niszczy. W starostwie NN. AA. w karczmie obok starościńskiéj wódki, leżą pod ławą szlacheckich majątków wywody. Patrzyłem z żalem, jak brzydka żydowica manifesta jw. podskarbiego N. że mu już kraść zabroniono, jw. hetmanów, że odebrano im władzę czynienia gwałtów spółobywatelom i manifesta książęcia N. A. pod swoje szabasowe mace lepiła... Ale przestrzegam, że jeżeli starostowie grodowi téj bezczelnéj obojętności na dobro i na sławę spółobywatelów nie poprawią, wymienię każdego, który za starościńskie dochody w dziedzicznéj włości nawet psom i koniom porządne stawia budowle, chociaż w powierzonym mu grodzie gniją imion własności, urodzenia i szlachectwa całego powiatu zaszczyty" (1).

Stężyczanin w artykule, p. t. „pismo o potrzebie poprawy losu mieszczan i poddaństwa" pisze „o tyranach" miast, to jest o starostach: „Jeżeli się trafił dobry, to chwała Bogu; choć nic dobrego nie uczynił, to przynajmniéj ani złego: a jeżeli zły, to o niczém bardziéj nie myślał całym ciągiem swoich rządów, tylko jak to do obrony powierzone sobie miasto uciemiężyć, upodlić, zagrzebać go i z jego przywilejami i choćby nie innym sposobem, to samém prawowaniem się kilkunastoletniém potrafił to uskutecznić" (2).

Moglibyśmy przytoczyć mnóstwo podobnych uwag i krzyków, gdyby nie wzgląd na to, iż piszemy nie historyą instytucyi starościńskiéj, lecz charakterystykę życia miejskiego. Poprzestaniemy więc na argumencie ostatecznym, a tym jest zdanie wysokiéj władzy rządowéj, czysto szlacheckiéj, mianowicie Rady Nieustającéj w urzędowym raporcie wypowiedziane: „Starostowie są właściwie Brachia, których dawne prawa gospodarzami miejscowymi miast postanowiły. Ale z odmianą czasów, rządu i okoliczności ten obowiązek starostów stał się niepodobnym do dźwigania ciężarem; najwięcéj bowiem jest takich, którzy kupili, albo prawem emfiteutycznem nabyli starostwa, ustawiczne do tego miast ze starostami procesa sprawują wzajemną jednych ku drugim niechęć" (3).

---

(1) Uwagi n. ż. J. Zamoyskiego. wyd. Turowsk. str. 58.

(2) Dz. Handl. 1788, str. 379.

(3) Rapport generalny dwuletnich czynności Departamentu Policyi od seymu 1786 do seymu 1788 zeszłey Rady Nieustającey uczyniony. W Dz. Handl. 1788, str. 697.

Ale, oprócz ucisku starostów, ponosili mieszczanie znaczne krzywdy od panów, niemających nad nimi żadnéj władzy, wszakże szkodzących im przez swoje dokuczliwe sąsiedztwo. Pod murami miejskiemi bowiem, a czasem i w mieście samém, zamożni ludzie ze szlachty zakładali tak zwane jurydyki, czyli osady lub domy niepodległe ani władzom, ani sądom miejscowym. Ztąd liczne zatargi, nadużycia i nieskończone zwłoki w dochodzeniu sprawiedliwości, bo pozwany przez mieszczanina mieszkaniec jurydyki miał sposobność do wywijania się od rozprawy sądowéj. Wszyscy delegowani miast w „akcie zjednoczenia“ z d. 24 Listopada 1789 r. uskarżają się uroczyście na te jurysdykcye oddzielne, które dla nich, stały się narzędziem przytłumienia praw i zaszczytów (1). Warszawa miala kilkanaście takich jurydyk, a sławiony, jako dobroczyńca miasta, marszałek Bieliński i sam król Stanisław August założyli jeszcze kilka nowych (na Bielinie, Ordynacką, Maryensztadt).

Jeszcze gorszą może i bardziéj przygnębiającą niż pojedyncze krzywdy była powszechna pogarda, jaką cały stan szlachecki czuł do stanu miejskiego. Wstręt doszedł do tego stopnia, że publicyści, a nawet Kołłątaj widzieli w nim przyczynę wyzucia mieszczan z czynności sejmowych (2).

A przecię za Jagiellonów miasta brały udział w zawiéraniu traktatów i w najważniejszych uchwałach sejmowych. W XVIII wieku znajdujemy tylko na aktach elekcyi królów podpisy burmistrzów, syndyków lub doktorów prawa, jako posłów od trzech miast stołecznych: Krakowa, Lwowa i Wilna. Ale w traktacie gwarancyjnym z r. 1768 znika już i ta ostatnia pociecha dla mieszczan, ponieważ wykréśleni oni zostali z liczby stanów Rzeczypospolitéj. Na mocy artykułu II Rzeczpospolita składać się miała tylko z trzech stanów: 1) króla 2) senatu 3) stanu rycerskiego (3).

Tak tedy wyjaśnia się aż nazbyt jaskrawo, niestety! owa zagadka, jakim sposobem miasta, będąc w posiadaniu pargaminów, powszechnie za ważne uznawanych i przy każdém bezkrólewiu potwierdzanych, doszły do nędzy, a mieszczanie do niewoli i do takiéj ciemnoty, że do sprawowania własnych urzędów musieli używać osób stanu szlacheckiego (naturalnie ubogich).

W takim stanie rzeczy jakiż przemysł mógł utrzymać się w tych „rolniczych osiadłościach i słomianych chałup zbiorach, które mia-

(1) Zbiór praw, przywilejów etc. 1790; akt umieszczony na czele zbioru.
(2) Prawo Polit. nar. pol. str. 33.
(3) Mędrzecki—Zbiór etc. część II str. 12.

stami nazywamy" (1)? Pozostali w nich tylko rzemieślnicy od pierwszéj potrzeby, ale o fabrykach miejskich nie mogło być mowy.

Następstwa takiego stanu rzeczy są łatwe do przewidzenia. Wypadło wszystkie przedmioty i towary wykwintniejszego życia sprowadzać z zagranicy. „Patrzmy tylko na damę, albo kawalera polskiego, a przyznać musimy, iż wszystko to, cokolwiek na sobie mają, od nóg aż do głowy, cudzoziemski jest towar" powiada Podlecki (2). Jakiemi zaś cenami towar ten opłacano?—widzieliśmy wyżéj w inwentarzu sklepów Teppera.

Już podczas ostatniego bezkrólewia napotykamy oznaki upamiętania w stanie rycerskim: konfederacya bowiem warszawska pragnie: „miasta podźwignąć." Nowoobrany król Stanisław August pilnie i gorliwie zajmuje się sprawą zachęcania do przedsiębierstw przemysłowych, a zamożniejsza szlachta, szczególnie panowie próbują zakładać w dobrach swoich rozmaite warsztaty, sprowadzają cudzoziemców, czynią im wielkie obietnice (3). Podług filozofii szlacheckiéj, przemysł powinien właśnie kwitnąć po wsiach, ponieważ fabrykant ponosi tu mniejsze niż w mieście koszta na komorne, utrzymanie robotników i opał. A jednak rzeczywistość zaprzeczała przewidywaniu. „Te wszystkie chwalebne niektórych panów i patryotycznych obywatelów usiłowania, które po części mało skutkujące, drugie nie wiekuistą trwałość obiecują, insze też niewiele korzyści przyniosły, albo wcale spełzły". Dostrzegali już i wtedy ludzie bystrzejsi, że przyczyną zawodów jest brak „planty gruntownéj," brak zabezpieczenia dla wolności i majątku antreprenerów, „buntowniczy duch rzemieślników (cudzoziemców), który nie mógł się nigdy oswoić z rządzącym batogiem niektórych dyspozytorów" nareszcie obawa „uszczęśliwiającéj kondycyi poddaństwa miejscowego" dla swoich potomków (4).

Jednym z najgłośniejszych działaczy na polu przemysłu fabrycznego był Antoni Tyzenhauz, podskarbi nadworny litewski. Od roku bowiem 1765 do 1780 rozwijał on działalność istnie gorączkową, już to jako rządca i dzierżawca dóbr królewskich, już to jako założyciel szkoły kadetów, szkoły buchalteryjnéj, szkoły miernictwa, szkoły jakiejś weterynaryjno-medyczno-chirurgicznej dwuklasowéj

---

(1) Uwagi nad Uwagami etc. str. 37 (wyd. Turowskiego).
(2) Dz. Handl. 1786, str. 31.
(3) Uwagi nad Uwagami str. 79.
(4) Uwagi nad Uwagami str. 79.

(zresztą z 15-tu tylko uczniami i jedynym bodaj profesorem, nota bene botanikiem, Gilibert'em), instytutu położniczego; już to jako przywódca stronnictwa politycznego regalistów litewskich; już nareszcie jako opiekun kilku miast (Grodna, Kobrynia, Szawel) i założyciel całych dwóch osad fabrycznych pod Grodnem (w Horodnicy i Łosośnie).

Pisali o nim Lelewel, Bartoszewicz, Kraszewski, a świeżo ukazały się jeszcze dwa studya, nader gorąco napisane, mianowicie: p. Zygm. Glogera w „Kwartalniku Kłosów,“ i p. S. K. w „Kłosach“ (N. 637,8,9). Wszyscy ci autorowie wygłosili zdania nader dlań pochlebne, a p. Gloger, reasumując pochwały poprzedników, przyznaje mu stanowczo geniusz, a zarazem wysokie cnoty obywatelskie, czyni go „wzorem pracy, szlachetnéj i gorącéj miłości dobra swych ziomków i dla możnych przykładem pojmowania obowiązków obywatelskich“ (1).

Cenimy w Tyzenhauzie energią i żartkość do inicyatywy, istnie amerykańską, widzimy pożytek w podnoszeniu i wysławianiu tych przymiotów, które bardzo rzadko objawiały się w charakterze tak ziemianina, jak i pana polskiego: wszakże uwielbienia w rodzaju świéżo przytoczonych wydają się nam tak dalece przesadzonemi, że się poczuwamy do obowiązku zaprotestowania przeciwko nim i ostrzeżenia wszystkich, a szczególnie możnych, by sobie wzoru z Antoniego Tyzenhauza nigdy a nigdy nie brali.

Stosownie do obowiązującego nas programatu winniśmy mówić o działalności przemysłowéj; więc epizodycznie tylko wolno nam dotknąć stron innych. Poprzestając zatém na faktach roztoczonych w artykule samego pana Glogera, oświadczamy, żeśmy nigdzie nie dostrzegli ani jednego czynu, świadczącego o „cnotach“ obywatelskich Tyzenhauza, a cóż dopiéro o jakiémkolwiek poświęceniu! Wypłacał królowi coraz większe dochody z królewszczyzn litewskich i doprowadził je podobno w końcu do 1½ miljona złotych rocznie—to prawda, ale to świadczy tylko o lepszém zagospodarowaniu dóbr, nie zaś o poświęceniu, boć nie łożył na to z własnéj kieszeni, bo nareszcie Franciszek Rzewuski mógł po nim płacić o 40.000 dukatów więcéj i jeszcze zapewne wyborny robił na dzierżawie interes. Pozostały po śmierci Tyzenhauza, bezżennego i bezdzietnego, spadek: Rakiszki, Postawy, Ihumenow, Żołudek, Rzepichów, Choty-

(1) Kwartalnik Kłosów 1877, tom II, str. 44.

nicze, Podkrzyże i Kamionka stanowią fortunę magnacką, a przecięż ojcowizna składała się bodaj z jednego tylko klucza—Żołudka (jeśli się pan Gloger w tym punkcie nie myli). Tyzenhauz nie wygląda bynajmniéj na anachoretę, nie zapomina o swoich wygodach, a nawet zbytkownych fantazyach: wśród fabryk buduje sobie w Horodnicy wytworny pałac, obiaduje przy dźwiękach nadwornéj kapeli, wyprawia uczty wcale kosztowne, urządza teatr z baletem, który późniéj przeniesionym został do Warszawy. Czyliż godzi się przyznawać bezinteresowność człowiekowi, który używa wpływu swego na króla po to, by swój urząd bez żadnej potrzeby i bez pożytku dla kraju podnieść do stopnia ministerium Rzeczypospolitéj, który, w 1776 r. wśród saméj prawie katastrofy rozbioru, domaga się od sejmu, przez jakiegoś Bykowskiego posła mińskiego, podniesienia płacy podskarbiowskiéj z 10 na 40 tysięcy złotych, że nie wspomnimy już o pogłoskach co do frymarków w spółce z Ponińskim na dobra pojezuickie? Ile mądrości politycznéj włożył Tyzenhauz w stosunki swoje ze Stakelbergiem i jego przeciwnikami w Petersburgu oraz w agitacye sejmikowe trudno jest wyrozumiéć dzisiaj, ale żądanie, aby Litwa płaciła czwartą część podatków koronnych przy równéj liczbie ministrów i senatorów—chyba ani mądrém, ani sprawiedliwém nie jest. Na urzędowym jego zawodzie zaciężył zarzut wielkiéj wagi, jakkolwiekby go uniewiennić chcieli wielbiciele: brak 735.271 zł. w skarbie litewskim, z których 600.008 zaliczono na jego osobisty rachunek, jestto rzecz wcale nie błaha, jeśli zważymy, że podskarbi wbrew prawu wyłamywał się z pod kontroli Komisyi Skarbowéj, a księgi były skrobane i w księgach dyspozycyjnych znajdowały się niewypełnione blankiety i powycinane karty. W jakimże kraju minister nie poniósłby kary głównéj za podobne przestępstwa służbowe, chociażby pokrył należność z funduszów własnych, jakto Tyzenhauz proponował w obec sejmu? Mamyż pominąć bez uwagi sąd człowieka niewątpliwie uczciwego i szlachetnego, jakim był Staszic, sąd wygłoszony nad świeżą mogiłą Tyzenhauza w r 1785, gdy sprawa była już osądzoną i przez Extra Komisyą i na sejmie Grodzieńskim. Wołając do Stanisława Augusta o odnowienie fabryk w Horodnicy, powiada on: „Sprawiedliwość radziła ukarać tyrańsiwo Tyzenhauza, ale chwalić i utrzymywać fabryki jego". W inném, wyżéj już przytoczoném miejscu nazywa go wprost bezsumiennym niszczycielem wsi szlacheckich. Nie chcemy zresztą wydawać wyroku potępienia na charakter podskarbiego, ponieważ w sprawach kryminalnych należy postępować z całą ścisłością postępowania sądowego, do czego nie posiadamy dostatecznéj kompetencyi; chcieliśmy tylko otrząsnąć się z nakładanego na nas obowiązku czci

i czołobitności przed „cnotami obywatelskiemi“ Tyzenhauza, których nie dojrzeliśmy ani w słowach, ani w czynach jego (1).

Przechodząc do właściwego przedmiotu naszego, t. j. do fabryk, przez Tyzenhauza założonych, zwracamy nasamprzód uwagę na ich mnogość i różnorodność. Ze stajni gwardyi konnéj Augusta III urządzone były pierwsze tymczasowe warsztaty; nad rzeczką Horodnicą wpadającą do Niemna stanęły szeregi drewnianych i murowanych dworków na pomieszkania dla przemysłowców, robotników i oficyalistów, a następnie pałac dla samego podskarbiego. Rzemieślnicy i fabrykanci sprowadzeni zostali z zagranicy, a dla wytworzenia klasy rękodzielniczéj z krajowców wybrano wśród dzieci włościańskich 300 chłopców i 100 dziewcząt. W r. 1777, podczas wizyty Stanisława Augusta, naliczono tych fabryk grodzieńskich 15; w nich robotników 1.500 (Lelewel nalicza nawet 3.000) kierowników, cudzoziemców 70. Z opisu Bernoulli'ego oraz rachunków metryki litewskiéj, przejrzanych przez p. Glogera, pokazuje się, że w téj liczbie znajdowała się fabryka sukna o 24 warsztatach, karetarska o 5-ciu oddziałach i 50 robotnikach, kamlotarska, pończosznicza, koronkarska, kapelusznicka, farbiernie sukna i jedwabiu, drukarnia płótna, fabryka broni, igieł, szpilek, napilników, mosiężnicza, puszkarska, garbarnia, przędzalnie bawełny, warsztaty do wyrobów jedwabnych i nareszcie fabryka złota. Na téj ostatniéj wyrabiano: ordery, siatki na konie, szlify, jedwab kręcony ze srebrem i złotem, tasiemki do lasek, ubiory na konie, sznurki złote, porte-epées dla Rosyan, tasiemki do kapeluszy, galony złote dubeltowe, guziki złote duże i małe, korty do liberyi itp. Na warsztatach jedwabnych tkano: muśliny, gazy, aksamity, grodetury, materye bite i pasy polskie, wstążki jedwabne, czerwone wełniane, kamelorowe, niciane i czarne do włosów. Na fabryce tak zwanéj persyarskiéj: szlaki, kamizelki ze szlakami, atłas pikowy, pół-atłasek, kitajkę, dymę, hafty i wstążki, chustki jedwabne, pasy polskie (24 warsztaty) na dwie strony, a nawet o trzech barwach w cenie do 30 dukatów; było tu 62

(1) Omówione tu fakta brane są od samego pana Glogera str. 41, 21, 28, 29, 30, 32, 34, 31. Robimy nawet tę przysługę, że cyfrę deficytu, podaną przez niego na 1,700,000 zmniejszamy do 735,271 jako rzeczywistej; tamta powstała z potrojenia szkody skarbowéj jako kara pieniężna przez wyrok Extra-komisyi na mocy prawa. Patrz Henryk Schmitt: Dzieje Polski w XVIII i XIX wieku od 1733 do 1832. Kraków 1867, tom III str. 64 Suma expensy całkowitej skarbu Litewskiego w 1775 obliczoną jest na 11.000.000 wraz z wydatkami nadzwyczajnemi w Vol. Leg. VIII, f. 644 str. 402. Płaca zaś podskarbiego nadw. lit. wynosiła podług tabeli 1768 nie 20.000 ale 10.000 złł. Vol. Leg. f. 642 str. 301.

warsztaty. Nadto założył jeszcze Tyzenhauz w Brześciu Litewskim fabrykę sukna o 7 warsztatach, osadził jakichś fabrykantów w Sokółce, a w kluczach królewskich każe zakładać olejarnie, krupiarnie, browary, młyny wietrzne i wodne, tysiące ludzi pędzą smołę i wypalają potaż. W Szawlach urządził fabrykę płócien. W swoich zaś Postawach założył téż fabrykę płócienniczą i papiernią (1).

Regestr olbrzymi! Bije z niego wyraźnie myśl Tyzenhauza, niewątpliwie świetna i patryotyczna: stworzyć odrazu cały przemysł, jakiego Polska nie posiadała wcale, wyzwolić się z pod jarzma zagranicy. Ta właśnie myśl jednała i jedna mu dziś jeszcze jednomyślne uwielbienie współziomków.

I dla nas ta myśl jest wielce sympatyczną. Idzie tylko o jéj wcielenie.

Gdyby Tyzenhauz był człowiekiem pióra, słowa, teoryi—wcieliłby ją w książkę, w mowy sejmowe, w towarzystwo jakieś przemysłowe, lub w jakąś agitacyą publiczną. Z konieczności musiałby ją rozwinąć aż do szczegółów, rozpoznać warunki, wskazać drogi i sposoby urzeczywistnienia jéj. Ale wszyscy bez wyjątku godzą się na to, że podskarbi był człowiekiem czynu, a więc jako taki musi być z innego stanowiska sądzony.

Od takiego człowieka wymagać musimy planu ze ściśle obliczonemi kosztorysami, znajomości rzeczy i techniki, trzeźwości umysłu, krótko mówiąc zmysłu praktycznego i wiedzy. Tyzenhauz występował na polu fabryczném nie jako minister, który zachęca, wspiéra, kontroluje działania przedsiębierców, fabrykantów, spółek jakichś, ale jako bezpośredni przedsiębierca i kierownik. Jakież miał do tego kwalifikacye?

Oto, podobno rozum bystry i łatwość chwytania zdań uczonych, których koło siebie gromadzić lubił (ale nie techników zapewne, bo tych na Litwie nie było). Wychowany u Jezuitów Wileńskich, słyszał tylko o gramatyce, syntaksie, retoryce, poetyce, filozofii i teologii, nie znał żadnego języka obcego i książek nie lubił. Dworowanie u Czartoryskiego w Wołczynie nie dało mu téż wiadomości o urządzeniu jakiegokolwiek warsztatu lub fabryki. Tyzenhauz wiedział tylko, że zagranicą można znaleść ludzi, znających to wszystko. Zabiérając się tedy do dzieła, wysłał nieznanego w świecie technicznym i naukowym niejakiego Joachima Bécu do Niemiec, Paryża,

(1) Z. Gloger—w Kwartaln. Kł. II str. 18—21. Prawie toż samo u Kraszewskiego: Polska w trzech rozbiorach, i w wielu dziełach historycznych w większém lub mniejszém skróceniu.

a może i Włoch po fabrykantów i rzemieślników. Był to generalny inspektor *wszystkich* mających się wznieść zakładów (1). Sam Tyzenhauz wybrał się też w podróż zagranicę z księdzem Bohuszem, ale to już dopiéro w r. 1778. Nie doczytaliśmy się, czy zechciał popracować w jakiéj fabryce, czy oglądał i czy zrozumiéć był w stanie szczegóły machin i urządzeń fabrycznych. To chyba nie ulega wątpliwości, że wszystkich tych fabryk, jakie zakładać kazał, nie studyował.

Są to kwalifikacye żadne dla kierownika nietylko przemysłu fabrycznego, ale pojedyńczéj fabryki. Jakże sobie radził przy tak licznych zakładzinach? Jak pokonywał trudności wykonania? Zdaje się, że na wszystko miał jeden tylko sposób uniwersalny: posłać zagranicę, sprowadzić z zagranicy, ludzi, narzędzia, modele i materyał surowy. Trudności, zdaje się, nie istniały dla niego, ponieważ nie był w stanie przewidywać ich. Była to śmiałość dziecka, igrającego nad przepaścią.

A cóż znaczył pomysł skupienia wszelkich możliwych fabryk w Horodnicy, a chociażby w Grodnie? Dziś każdy człowiek obeznany z elementarnemi zasadami ekonomii politycznéj wié, że miejsca dla fabryk obiérają się tam, gdzie jest łatwość zaopatrzenia się w surowiec, gdzie jest łatwość wyprowadzenia wyrobów na targowisko i t. p. Przypuszczam, że w XVIII wieku ekonomia polityczna nie była jeszcze tak upowszechnioną, że dzieło Smith'a (the Wealth of nations) świéżo wychodziło z pod prasy, ależ zmysł praktyczny, uzdolnienie wyjątkowe Tyzenhauza powinno mu było nasunąć tę prostą, niezbędną i zasadniczą prawdę w drodze intuicyjnéj. Człowiek spółczesny, ziemianin dość pospolity, nieznanego w literaturze imienia, autor „Uwag nad Uwagami" rozwija w swojém dziełku wcale jasne i poprawne pojęcia ekonomiczne. Zastanawiając się nad sprawą ustanowienia wielkich manufaktur, radzi aby fabryki sukienne założono w Urzędowie, lub Kazimierzu nad Wisłą, ponieważ lubelskie obfituje w przednią wełnę z licznych stad owiec angielskich, w margiel foluszowy, w materyały budowlane, tanią żywność i spław Wiślany; w Sandomierskiém, gdzie się kopie miedź, ołów, galman, kobalt, radzi warzyć witryol, koperwas, hałun, wysmażać z kisów czyli pyrytów siarkę; w województwach, Bracławskiém, Podolskiém, Wołyńskiém i Kijowskiém radzi powiększyć majdany saletrzane itp. (2)

---

(1) Gloger l. c. str. 10 i 16. Czytaliśmy artykulik ekonomiczny tegoż Becu w Dzienniku Handlowym, ale bez szczególnego wrażenia.

(2) Uwagi nad Uwagami, wyd. Turowskiego, str. 80—81.

Jakieżto szczególne warunki miały uczynić Horodnicę punktem dogodnym do fabrykacyi wyrobów kruszcowych i jedwabnych, muślinów i płócien, broni, sukna i pasów litych, które, powiédzmy nawiasowo, dawniéj już wyrabiano na Litwie, w Słucku?

Porywać się na olbrzymie projekty z takiemi zasobami intelektualnemi, jakiemi Tyzenhauz rozporządzał, było rzeczą w istocie śmiałą, powiédzmy nawet zuchwałą, niesłychaną. Czuli to wszyscy spółcześni, czują dziś wszyscy, którzy o nim piszą, lub mówią. Ale jakże wytłómaczyć to całe postępowanie, szczególnie gdy cel był sympatyczny dla wszystkich, a fundacye wykonane były na wielką skalę i z funduszów publicznych. Ponieważ niepodobna było wybrnąć z téj gmatwaniny drogami zwykłemi rozumowania i zwykłéj logiki, więc zadecydowano, że Tyzenhauz był mężem genialnym.

A my twierdzimy, że był tylko zuchwałym magnatem polskim z XVIII wieku bez najmniejszego poczucia odpowiedzialności, bez żadnego wyobrażenia o pracy na prawdę. Bo prezydowanie, rozprawianie, wysokie kierownictwo nie jest jeszcze pracą rzeczywistą, jeśli przychodzi bez poprzedniéj praktyki na stanowiskach podrzędnych w zawodzie fachowym.

Kogóż bowiem nazywać mamy człowiekiem genialnym? Oczéwiście takiego, który nietylko posiada w danym zakrésie wszelkie zasoby ludzi pospolitych, ale jeszcze wznosi się na niedościgłe dla innych wyżyny, zdobywa niezwykłą potęgę i nią tworzy wielkie jakieś dzieło. Może być genialny myśliciel, genialny artysta, poeta i genialni ludzie czynu w różnych zawodach. Do któréjże klasy moglibyśmy Tyzenhauza zaliczyć? Z równém prawem chyba do wszystkich, bo zarówno gotów był zakładać szkoły wyższe i Akademią naukową na Horodnicy (1), nie przeczytawszy przez całe życie z pewnością ani jednéj książki naukowéj, tworzyć balet dla Litwy i Warszawy, przenosić sądy grodzkie i trybunały dla podniesienia Szawel i Grodna, kierować polityką i zakładać fabryki, jak tylko zasłyszał ich nazwy. Dobrać dla niego towarzysza pomiędzy ludźmi wielkimi nie jest rzeczą łatwą. Porównajmy go chyba z Piotrem Wielkim. Ale, jak tylko wybór zrobimy, zaraz położenie zmieni się na niekorzyść naszego bohatéra. Wiadomo bowiem, że Piotr Wielki dla poznania wojskowości zaczął od służby w stopniu szeregowca, a dla wtajemniczenia się w sztukę marynarską przedsięwziął podróż do Holandyi, gdzie pracował z siekierą w ręku, jako cieśla okrętowy. Tym sposobem mógł zabrać się później do tworzenia armii

(1) Gloger l. c. str. 26.

i floty i stworzył je ku podziwowi świata. Tenże Piotr, gdy chciał zakładać Akademią w Petersburgu, sam nie próbował kreślić ustawy, lecz udał się do znakomitego filozofa Leibnitz'a i sam osobiście zarządził tylko budowę gmachu, na czém się znał.

W XVIII wieku tak samo, jak dzisiaj, najbystrzejszy rozum nie wystarczał na tworzenie wielkich dzieł cywilizacyi bez stosownego przygotowania umysłowego. Geniusze — nieuki są niepodobném, niemożliwém pojęciem. To też wyrazy „geniusz" i „Tyzenhauz" nie mogą być kojarzone w jedném zdaniu.

Bo i cóż pozostało po nim?

Domy murowane w Szawlach, Kobryniu, w ekonomiach królewskich, z fabryk może ocalało kilka, jeśli się znalazła ręka bieglejsza, ale główne zakłady w Grodnie, Horodnicy, Łosośnie runęły bez powstania. Do dziś dnia stérczą resztki zwalisk: nikt ich nie uznał za dogodne do jakiegokolwiek użytku. Nawet sprowadzeni rzemieślnicy-cudzoziemcy wynieśli się. Przejęty entuzyazmem Staszic pisze: „Już pustki. Już nie masz Horodnicy, już sztuczny cudzoziemiec, zabrawszy swe narzędzie, z natrząsaniem wychodzi z dzikiego kraju. Już tysiące rąk przemyślnych żebrzą chleba. Nagle od jednego aż do drugiego końca kraju każdy obywatel ten okrutny raz poczuł." A daléj błaga, aby król odnowił te fabryki, „zaniechawszy rękodzielnie jedwabne, bo w tych ustanowieniu był uczyniony błąd" (1).

Inaczéj być nie mogło. Chaotyczne nagromadzenie różnorodnych warsztatów bez rachunku, bez kontroli techniczněj, z jedynym sklepem w samém Grodnie na wyprzedaż całéj masy najróżnorodniejszych wyrobów, musiało najoczéwiściéj doprowadzić do bankructwa. Z rachunków metryki litewskiéj, przez p. Glogera przytoczonych, pokazuje się nawet, że wartość wysłanych do Warszawy i innych miejsc na sprzedaż towarów wynosiła zaledwo 74.432 złł., u dłużników zaś było 27.292 gr. 20 (2).

Jako nauka dla ciemnych a zadufanych w swoje intraty panów, katastrofa taka może była pożyteczną, ale też była to lekcya zbyt kosztowna. Powiadają, że kapitał obrotowy Horodnicy wynosił milion złotych; gmachy, narzędzia etc. pochłonęły—nie wiadomo ile, ale z pewnością kilka milionów. Te miliony czerpane były ze skarbu królewskiego i ze skarbu Rzeczypospolitéj, które oba znajdowały się w opłakanym stanie. Cały budżet roczny Litwy z listą cywilną

(1) Staszic — Uwagi n. n. J. Zam. str. 103, 104.

(2) Kwartalnik Kłosów II, str. 39.

i utrzymaniem wojska, tudzież z wydatkami nadzwyczajnemi, obliczonym był w r. 1775 na 11 milionów, których zapewne nie zdołano wybrać z podatków (stanowiła bowiem ogromną podwyżkę w stosunku do dawniejszéj expensy 6.478.143 złr. z roku 1768). Król zaciągnął 10 mil. długu, a Tyzenhauz nie znalazł w kasie pieniędzy na opłatę piérwszéj raty. Czyliż człowiek sumienny pozwoliłby sobie w takiém położeniu wyrzucać miliony na fantastyczne pomysły? Jest że to geniusz nieszczęśliwy, czy po prostu zuchwały i lekkomyślny marnotrawca?

Nawet pod względem oryginalności pomysłów zawiele przyznano Tyzenhauzowi; inni bowiem panowie jednocześnie, a niektórzy znacznie wcześniéj zakładali fabryki w swych dobrach. Wymieńmy ich.

Jan Nałęcz Małachowski, ojciec marszałka sejmu czteroletniego, kanclerz w. k. od 1746—1762, był czynnym gospodarzem w dobrach swoich. Wystawił cztery wielkie piece (w Stąporkowie 1739 r., w Ruskim Brodzie 1750 dwa, w Janowie 1755) (1). Przytém podźwignął sławne od 150 lat, ale następnie w upadku pogrążone zakłady w miasteczku dziedzicznem Końskie i okolicy jego. Sprowadził on 24 familie z Szlązka, które zastały już gotowe warsztaty, narzędzia, materyał, sprzęty domowe, żywność a nawet „grochowiny lub inną podściołkę na tarczanie.“ Koszta sowicie wynagradzały. W r. 1784 miasteczko to podług opisu kapitana Carosis liczyło do 5.000 ludności, miało rynek kwadratowy, otoczony 22 wielkiemi kamienicami o jedném piętrze; tu mieszkali rzemieślnicy: siodlarze, rymarze, kołodzieje, stelmachy, garbarze, rzeźnicy i piekarze. Część téj przemysłowéj ludności składała się z Niemców.

Po drewnianych domostwach mieszkali przeważnie żydzi. W odległości pół-mili, do tegoż dziedzictwa należała osada Pomyków, złożona z 18 do 20 domów z pruska murowanych; mieściło się tu 40 familij rzemieślników Niemców, którzy wyrabiali przedmioty żelazne i stalowe: łóżka, narzędzia rolnicze i rzemieślnicze, naczynia, blachy, gwoździe; w ruralni robiono strzelby dla wojska, wyborne. Majstrem w r. 1787 był Polak. Na gruntach Gowarczowa istniała szabelnia. W Końskich wyrabiano wozy i karety. W pobliżu znajdowały się kopalnie, czyli szyby w górach, głębokie na 20 do 30 łokci. Od kopania szybów aż do rudy płaci pan gruntu robotnikom po 92 złł., a za wybranie rudy bierze kopacz z pomocnikiem od 7-u kubłów po złotemu. Ruda wytapia się następnie w piecach z kamienia

(1) X. Osiński—Opisanie polskich żelaza fabryk 1782 str. 54.

piaszczystego, wytrzymujących rok do półtora roku; formy są z miedzi; w nich odlewają się „gęsi“ czyli sztuki żelaza po 8 do 12 centnarów wagi. Jako zakłady z funduszów prywatnych prowadzone, dobrych wyrobów dostarczające i długowieczne, zasługują one na uznanie. Znaleźliśmy wykaz broni, dostarczonéj dla chorągwi pancernych, usarskich, dla garnizonu w Kamieńcu Podolskim, dla Cejghauzu warszawskiego itd. z ruralni Pomykowskiéj za lat 33, mianowicie od r, 1750 do 1782. Sumy ogólne wyrażają się w cyfrach następujących: karabinów sztuk 1.158, flint sztuk 1.020, pistoletów par 1.216. Wartość tych przedmiotów pieniężna wynosi 104.374 złł. (1). Niewątpliwie musiano téż sprzedawać osobom prywatnym nie mniéj, a może więcéj.

Księżna Anna z Sanguszków Radziwiłłowa, kanclerzyna w. lit., zapewne jeszcze dawniéj, bo w pierwszéj połowie XVIII wieku (2) sprowadziwszy postronnych metrów, założyła pięć fabryk: 1. w Nalibokach wyrobów szklanych; 2. w Janowiczach wyrobów kamiennych, jak: naczynia stołowe, kałamarze, pieczątki, tabakierki, lichtarze; 3. w Urzeczu hutę szklaną i fabrykę luster; 4. w Smolkowie wyrobów glinianych; 5. w Koreliczach szpalerów na fason „haut-lis;“ z niéjto pochodziły sławne gobeliny zamku nieświeżskiego z obrazami czynów Jerzego I i II, Janusza XI, Krzysztofa I i II, Milesłaja V i Michała I Radziwiłłów.

Nadto, w Nieświeżu istniała fabryka dywanów, a w Słucku fabryka perska pasów „najsławniejsza w narodzie,“ założona przez ks. Michała Radziwiłła (ojciec Karola Panie Kochanku); sprowadził on persa i magiel; syn tego persa, Madżarski, był potém inspektorem fabryki; pasy słuckie odznaczały się nieporównanym lustrem. Łachwa słynęła z wyrobów stolarskich, w Połoneczcze pracowali stolarze, slósarze i mosiężnicy (3).

Czartoryscy (ks. Józef) mogli się pochlubić miastem Korcem w powiecie Łuckim. Działała tam: 1) fabryka sukienna w samém mieście o 10-ciu warsztatach, w téj liczbie dwa warsztaty żydowskie z 60 robotnikami. Ztąd można wnosić, że liczba ogólna robotników

---

(1) Pam. Hist. Polit. 1784 str. 851—5, 1783 str. 376—8. Dz. H. 1789 str. 37—40. X. Osiński l. c. str. 76 nast. Uwagi nad Uwagami str. 89 - tu Małachowskiemu przypisuje autor całkowite założenie m. Końskich na miejscu wioski Przysuchy, lecz mylnie, ponieważ Przysucha jest oddzielne miasteczko o kilka mil od Końskich, założone w 1713 przez Czerwińskiego, kasztelana Małagowskiego, jak nas objaśnił p. Stosław Łaguna.

(2) Była ona żoną Karola Stanisława księcia na Ołyce i Nieświeżu, zmarłego w roku 1711. Niesiecki wyd. Bobrowicza, tom VIII. str. 79 i 240.

(3) Dz. Handl. 1792, str. 2—5; 1786, str. 543.

dochodzić musiała do 300-u. Wyrabiało się rocznie 800 sztuk sukna w różnych gatunkach po cenie 4 do 12 złł. za łokieć: ordynaryjne, mytlowe, mystelfajnowe a czasem i extra-fajnowe. Skład znajdował się tylko w Korcu, ale większa część produkcyi szła dla wojska. 2) Farfurowa w mieście na Józefinie o 86 warsztatach—wyrabiała garnuszki, imbryczki, naczynia kamienne; w 1791 r. zaczynano wyrabiać porcelanę. Miesięcznie wychodziło do 20.000 sztuk; mogłaby fabryka wydawać i więcéj, ale brakło odbytu, chociaż składy były urządzone w Berdyczowie i Warszawie 3) fabryka kapeluszy. Była téż podobno fabryka płóciennicza (1).

Gorliwie zakładał fabryki Stanisław ks. Poniatowski, podskarbi w. lit. Główne—w Korsuniu, mianowicie: zamszów, sukien, jedwabiów i saletry. W Taraszczy miał Poniatowski hutę szklaną, fabrykę zwierciadeł, a w Sachnówce winnicę i plantacyę tytuniu. Bliższych wszakże informacyj o ilości i jakości wyrobów nie znaleźliśmy (2).

Sapieha, kanclerz w. lit. miał w swojém mieście Różanie (w powiecie Słonimskim) fabryki bławatne, sukienne, płócienne, pojazdowe i świec jarzących (3).

Potocki Szczęsny miał fabrykę win krajowych w Mohylewie nad Dniestrem oraz fabryki powozów, sukien, płócien w Tulczynie (4).

Sam król Stanisław August występował jako opiekun przemysłu i przedsiębierca fabrykant. Kosztem jego pod Mogiłą w Krakowskiém prowadził poszukiwania soli świdrem kapitan Carosis w 1780—1785 r., potém Rejchert pod miasteczkiem Raciążkiem w okolicy Ciechocinka; celem otworzenia gór Olkuskich utworzona w 1779 r. kompania o 300 akcyach po 500 złł. lecz zbierała tylko okruchy po dawnych hałdach przez parę lat; wspomniany Carosis oraz Ferber i chemik Okraszewski badali Olkusz; w 1782 r. król wyznaczył Komisyą Górniczą z 12-tu komisarzy pod prezydencyą Szembeka, koadjutora płockiego, i kazał wypłacać ze skarbu swojego 48.000 złł. rocznie na koszta exploatacyi; komisya ta prowadziła głównie exploatacyą miedzi w Miedzianéj górze pod Kielcami, dobrach biskupstwa krakows.; wziętych przez króla w dzierżawę; tu dobywano téż ołów i warzono witryol; w ekonomii Kozienickiéj w samém miasteczku Kozienicach król urządził dobrą fabrykę broni; rze-

(1) Dz. Handl. 1791 str. 46—49, 1787 str. 191, 1788 str. 575—581.
(2) Dz. Handl. 1786 str. 168.
(3) Dz. Handl. 1786 str. 542.
(4) Dz. Handl 1787; str. 104, 1788, str. 575.

mieślników sprowadzono z Niderlandów, państwa Leodyjskiego i Saksonii; majstrów zobowiązano, aby przyjmowali krajowców do nauki; dyrektorem był biegły inżynier. Mniéj pomyślne były przedsiębiorstwa początkowe. Zaraz na początku panowania pod opieką króla stanęła kompania rękodzielna, ale fabryka przez nią w Warszawie założona upadła wkrótce. Potém król założył w Belwederze fabrykę warszawską fajansową. Naczynie z niéj pochodzące, tak zwane fajans Pallie chwalono najprzód, aż późniéj pokazało się, że są nietrwałe, słabe i z niedobrego materyału. To téż fabryka utrzymała się niedługo. Tymczasem jakiś sas Wolff założył podobną na Bielinie (jurydyka pod m. Warszawą, dzisiejsze ulice Królewska i Marszałkowska): zamówił sobie glinkę z dóbr księżnéj Marszałkowéj w. k. (Mniszchowéj?) za opłatą 18 złł. za beczkę i wyrabiał naczynia bardzo mocne, mianowicie: serwisy stołowe, tace, filiżanki, wazy do angielskich zbliżone, wazony, piramidy, koszyczki, kafle do wysadzania podłóg i ścian, glejt czyli emalią, z kolorem tak pięknym, że trudno było rozeznać od porcelany; pracowało na téj fabryce 40 ludzi (1).

Ten wypadek może służyć za przykład, jak to ciężko idzie z fabrykami ludziom niefachowym, i jak sobie radzą przedsiębiercy uzdolnieni dostatecznie przez wykształcenie techniczne i praktykę. Dlatego to, pomimo rozbudzonéj pomiędzy panami i szlachtą ochoty do dźwigania przemysłu, nie śmiemy powziąć trwalszéj nadziei co do losów jego, dopóki nie ujrzymy fabryk, na których firmie będą nieznane, mieszczańskie imiona zapisane.

Fabryk pańskich i szlacheckich było więcéj; umieścimy je w tabeli. Ze szlachty wymienimy wszakże Unruha, starostę Hamersztyńskiego, który w Kobyłce wyrabiał 1) pasy polskie prześliczne, dostarczane do jednego oddziału gwardyi cesarskiéj polskiéj w Wiedniu; wydawano ich po 50—60 sztuk na miesiąc 2) pończochy wełniane 3) mydło, po 1.000 beczek rocznie—współzawodniczyło ono z mydłem rosyjskiém. Wszakże i ten praktyczny przedsiębierca pobiérał—nie wiém czy z potrzeby, czy przez łakomstwo—po 10.000 złł. rocznie wsparcia ze skarbu (2). Drugim, niezmiernie ruchliwym spekulantem w epoce 1780—1792 roku był Feliks Jezierski, kasztelan łukowski. Założył we wsi Miedzieży w Opoczyńskiém fabrykę żelazną z piecem wielkim i dwiema fryszerkami; we wsi Malińcu

---

(1) Pamięt. H. P. 1783, str. 376. Dzien. Handl. 1791, str. 163 nast. Uwagi nad Uwagami str. 86–87.

(2) Pamięt. H. P. 1783, str. 108, 378.

8 fryszowni pod jednym dachem; warsztaty poruszane były wodą, po dwa koła do każdego komina; dalej tartak, drukarnią. Wyrabiano tu narzędzia różne żelazne i stal twardą; we wsi Sobieniu o 4 mile od Warszawy założył też fabrykę kos, które dotychczas przychodziły z Karyntyi i wyciągały z kraju corocznie po 400.000 talarów. Nareszcie w Solcy w województwie Łęczyckiém miał jeszcze Jezierski warzelnią soli, a w Warszawie utrzymywał łazienki na Wiśle, które były przedmiotem zgorszenia (1). Obok tego kręcił się wciąż około Komisyi Skarbu Koronnego, stawał do licytacyi na przedsiębierstwo tabaczne i t. p. Zdaje się jednak, że znacznéj fortuny nie dorobił się.

Wśród mnóstwa projektów i prób zdarzały się często dotkliwe zawody i „bardzo wiele usiłowań prywatnych na wprowadzenie jakich manufaktur, nadaremne były,“ bo w jedném miejscu szlachcic nie ułożył „dokładnéj planty“ i natrafił na brak materyału lub odbytu; w drugiém nie zabezpieczono rzemieślnika od ucisku, więc rządcy miejscowi zaczęli się pastwić nad nowosiedlcami, a ci porozbiegali się; gdzieindziéj znów sprowadzono sukienników, postrzygacza, farbierza, a nie przygotowano wełny, kołowrotków, warsztatów; zanim wszystko to przygotowano, upłynęło pół roku; w ciągu tego czasu rzemieślnicy rozpróżniaczyli się, rozpili i pouciekali; tak fabryki powstawały i sumy łożone poprzepadały (2).

W każdym razie jednak ruch przemysłowy niewątpliwie znalazł się i rozszerzał z każdym rokiem na coraz większe koła; usuwa się zwolna duszna atmosfera, która tłumiła dawniéj wszelkie wysilenie przedsiębierczéj jednostki, jeśli ta należała do niższego stanu. Rodzi się nareszcie przemysł w miastach samoistny, bez protekcyi i subwencyi i szybko wzrastać zaczyna.

Produkcya sukiennicza rozwinęła się szczególnie w Wielkopolsce. Nie była to już wprawdzie produkcya czysto polska, jak przed 200-tu laty, gdy Poznań, Kościan, Kalisz roiły się od tkaczy cechu sukienniczego, kiedy sukna polskie szły do Szlązka i Czech. Teraz przemagali tu majstrowie i czeladnicy Niemcy; wszakże dobrobyt wzmógł się widocznie dokoła Rawicza, Wschowy, Leszna, Zaborowa, Bojanowa. Okazuje się to z ceny gruntów, która w okolicy Rawicza znacznie wyższą była (zagon roli 4 czer. złł.) niż pod

---

(1) Dz. Handl. 1791, str. 42—6; cennik tych wyrobów podaliśmy wyżéj w dziale handlu: „Ateneum,“ Czerwiec str. 614. Pam. Hist. Polit. 1783, str. 377.

(2) Uwagi nad Uwagami str. 88—89.

Warszawą (4 złł. polskie) (1). Wszystkich warsztatów w Wielkopolskich tych miastach sukienniczych rachowano 948, wszakże na zimę czynnych bywało zaledwie sto, ponieważ dużo sukna leżało bez odbytu (2).

W Poznaniu znajdujemy znaczną fabrykę wełnianą Kluga oraz fabryki wyrobów jedwabnych i mydła czarnego (3).

Mieszczanin krakowski, Fr. Krumpoholtz, założył w okolicach swego miasta jednę fabrykę szrótu i dwie prochowe: pod Korzkwią i pod zamkiem ojcowskim; trzecia fabryka prochowa nieznanego mi właściciela znajdowała się między Skałami i Wysokiemi Górami. Wszystkie razem dostarczały do 1.000 kamieni na rok. Pod Krakowem téż istniały fabryki ołowiu i glejty. W samym Krakowie istniały fabryka pasów, sukna dobrego, gazy, szpilek (4).

W Warszawie po pierwszym rozbiorze aż do 1792 r. powstało, o ile wiemy, kilkanaście fabryk: 1) sukiennicza Abrahama Papgatha na ulicy Bednarskiéj; 2) Rehana także sama, zapewne duża, ponieważ przyjęła od Komissyi Policyi 200 żebraków do roboty; 3) także w Prochowni, gdzie przyjęto 50 żebraków od téjże komisyi, 4) kapelusznicza Paulet'a, który przyjąć mógł 30 żebraków; 5) fabryka cycowa na Pulkowie pod Marymontem, należąca do Leonarda i Senapiusa, wyrabiała materye na kamizelki, żupany, wybicie karet i pokojów, nawet z sylwetkami „podług własnych deseni,“ bo ma ludzi z zagranicy; 6) skór do Niemierowskiéj należąca; 7) skór uprzywilejowana Cadra w Rynku N. 54; wyrabiano tu najprzedniejsze skóry „bukaty“ na buty woskowane; 8) reparacya źwierciadeł w pałacu Brühlowskim; 9) obić papierowych i płóciennych na ulicy Długiéj pod N. 589 w dworku Pijarskim; 10 i 11) dwie fabryki złotych i srebrnych drutów i tasiemek, 12) kart do grania „nadzwyczaj przednich“ Willinga Hollendra; 13) octu; 14) wyrobów wełnianych na płaszcze zwane czujkami; 15) astrahanów; 16) sławna fabryka powozów Dangla, która zatrudniała 300 ludzi samych krajowców. Wyroby téj fabryki nie ustępowały najwytworniejszym zagranicznym; znajdowali się tu wszyscy rzemieślnicy, jacy do zupełnego wystawienia powozu potrzebni byli. Wykończenie i przyozdabianie odbywało się w sali pierwszego piętra, a gdy przychodzili kupujący, wtedy powóz spu-

---

(1) Pam. H. P. 1785, str. 1018.

(2) Pam. H. P. 1783, str. 249.

(3) Dz. Handl. 1786, str. 166.

(4) Dz. Handl. 1788, str. 752 i 1786 str. 166. Cennik prochów był podany poprzednio. „Ateneum,“ Czerwiec str. 614.

szczano na dół za pomocą lekkiéj maszyny; 17) fabryka fajansów wspomniona już wyżéj (1).

Wszystkie te fabryki, przez „szlachetnych“ t. j. mieszczan założone i prowadzone, były trwałe; większa część bowiem zdołała wytrzymać dwie katastrofy 1793 i 1795; znajdujemy je w opisie Warszawy przez Hubego w 1796 r. W połowie XVIII wieku Warszawa miała znaczny handel prowadzić pudrem i krochmalem; tego ostatniego na samym Solcu istniało 10 fabryk. Nadto słynęła na Bielinie fabryka bulionu (2).

Obok fabryk wzmagają się w Warszawie rzemiosła: w 1796 r. są jeszcze 33 cechy i wielu majstrów, którzy do cechów nie należeli, jak np. snycerze, kamieniarze, malarze, fryzyerowie. Dla przykładu przytaczamy 436 krawców, 580 szewców, 198 stolarzy, 113 kowalów, 110 piekarzy, 133 siodlarzy, 46 jubilerów i złotników i t d.

O fabrykach czyli warzelniach i kopalniach soli powiémy niżéj, fabryki zaś tabaczne: Warszawska, Korecka, Poznańska, Kielecka i nieznane mi litewskie stanowiły przedsiębierstwo Skarbu; z tego powodu będziemy o nich mówili w rozdziale na finanse przeznaczonym.

Dla uzupełnienia spisu przez dodanie pominiętych zakładów przemysłowych, jakotéż dla zgrupowania ich podług natury różnych gałęzi produkcyi, ułożyliśmy następną tabelę; system podziału wzieliśmy od P. Dominika Bociarskiego, który przed kilkoma laty badał w tym samym porządku dzisiejszy przemysł Królestwa Polskiego (3).

---

(1) Dz. Handl. 1786, str. 33—55, 166, 388; 1787, str. 282, 1791, str. 122. Uniwersał Komisyi Policyi Ob. Nar. z d. 23 Grudnia 1791 r. podpisany przez Raczyńskiego marsz. nadw. kor. (przy Dz. Handl. 1792); ostatnie numera, poczynając od 10-o z artykułu Dra. Wład. Wisłockiego, p. t. Warszawa w Przewodniku Naukowym i Literackim. Lwów 1876 str. 1107, Grudzień.

(2) Sobieszczański. Pogląd na postać m. Warszawy str. 16.

(3) Biblioteka Warszawska 1873. Kwiecień.

SPIS OGÓLNY FABRYK, ZA STANISŁAWA AUGUSTA ISTNIEJĄCYCH.

I. Przemysł tkacki.

1. Wyroby bawełniane 1) fabryka cycowa w Warszawie.
2. „ wełniane: *a)* fabryki sukiennicze: 1) nieznanego właściciela w Krakowie; 2) X. Sierakowskiego tamże; 3) w Korcu; 4) Lesznie; 5) Koźmianie; 6) Korsuniu; 7) Tulczynie; 8) Staszowie; 9) Różanie; 10) Rakowie; 11) Bogoryi (w Sandom.); 12) Postawach; 13) Brześciu Litews.; 14) Grodnie; 15) Warszawie kompania manufaktur wełnianych w Cuchthauzie; 16) Tamże Papgatha; 17) tamże Rehana; 18) tamże w Prochowni; 19) w Poznaniu Kluga; 20) w Rawiczu; 21) Wschowie.
b) pończoch: 22) w Kobyłce.
c) kapeluszy: 23) w Warszawie Pauleta; 24) Korcu; 25) Drzewicy; 26) Niemirowie.
3. „ lniane i konopne, płóciennicze: 1) w Żodziszkach (powiecie Oszmiańskim); 2) Niemierowie (województwie Bracławskiém); 3) Tulczynie; 4) Staszowie; 5) Różanie; 6) Korcu; 7) Łowiczu (?) Społeczeństwa Fabryki krajowéj Płóciennéj.
4. „ jedwabne i złote: 1) w Słucku materye i pasy; 2) w Kobyłce też; 3) Różanie; 4) Drzewicy; 5) Krakowie; 6) Poznaniu; 7) Niemirowie; 8) Korsuniu; 9) gobelinowe i dywanowe w Koreliczach.

II. Przetwory płodów roślinnych.

5. Cukrownictwo nie istniało w Polsce.
6. Gorzelnictwo
7. Dystylarnie
8. Browary.
9. Warzelnie miodu

} ilość zakładów i produkcyi nie jest wiadomą; że była znaczną, wnioskować możemy z ogólnéj cyfry czopowego, która w okrésie 1776—1792 wzrastała stopniowo z 1.275.000 do 2.023.760 złł. na rok i dorównywała lub przewyższała cały dochód celny. O browarach wiémy, że w 1796 r. Warszawa miała ich 86 z produkcyą roczną do 200.000 beczek piwa.

10. Młyny, tartaki, piekarnie etc. — ilość ogólna nieznana.
11. Wyroby tabaczne—fabryki: 1) Warszawska; 2) Korecka; 3) Poznańska; 4) Kielecka z kapitałem obrototowym po 300.000, a potém po 1.000.000 zł.
12. Wyroby papiéru i obić: 1) Papiernia w Postawach; 2) w Korytnicy; 3) Rodostowie; 4) Jeziornie; 5) Supraślu; 6) w Przysusze Dembińskich.
Obicia płócienne i papiérowe: 1) w Warszawie ulica Długa Nr. 589.
13. Olejarnie — ilość niewiadoma.
14. Wyrób cykoryi — niewiadomy.
15. „ krochmalu — w Warszawie na Solcu było 10 fabryk jeszcze w r. 1750.
16. „ musztardy i octu — znana 1) jedna fabryka octu w Warszawie.
17. Zakłady fabryczne stolarskie i t. p.—1) w Łachwie; 2) Połoneczce, a zresztą w cechach miejskich.
18. Zakłady wyrabiające terpentynę, smołę i dziegieć—liczne, szczególnie na Litwie, lecz z ilości nieznane.
19. Fabryki powozów: 1) w Warszawie Dangla; 2) w Różanie; 3) w Krakowie; 4) w Końskich; 5) Drzewicy; 6) Staszowie.
20. „ fortepianów i organów — nie istniały, jak się zdaje, w Polsce.

III. Przetwory płodów zwierzęcych.

21. Garbarstwo i białoskórnictwo — w cechach miejskich. Większe fabryki: 1) cholew i skór angiels. w Warszawie, uprzywilejowana, Cadra w Rynku Nr. 54; 2) w Niemiérowie; 3) Drzewicy; 4) Staszowie; 5) Tulczynie; 6) Korcu, 7) Smorgoniach; 8) Piotrkowie; 9) zamszów w Korsuniu.
22. Fabryka świéc i mydła: 1) w Kobyłce mydła; 2) w Różanie świéc jarzących.
23. Fabryka kleju i wypalania kości — wielkie fabryki, zdaje się, nie istniały.

IV. Przetwory chemiczne.

24. Fabryka wyrobów chemicznych: 1) Miedzianogórska — witryolu; 2) saletry w Korsuniu i licznych majda.

nach na Podolu, Ukrainie, Rusi; 3) prochu pod Korzkwią; 4) prochu pod zamkiem Ojcowskim; 5) między Skałami i Wysokiemi Górami.

25. Wyrób wód mineralnych i sztucznych — chyba w aptekach.
26. Farbiarnie — w cechach miejskich.

V. Przemysł kopalny, kruszcowy i ziemny.

27. Górnictwo i hutnictwo: 1) Miedzianogóra—kopalnie miedzi, z któréj bito monetę; 2) żelazna w Kobryniu, pod dyrekcyą dzierżawcy Rajskiego; 3) rudy w powiecie Żytomierskim z 300 fryszerkami; 4) ołowiu, szrótu, glejty Krumpoholtza pod Krakowem; 5) kopalnie z wielkiemi piecami i fryszerkami w Końskich; 6) huty Radziwiłłowskie; 7) węgiel kamienny w Sielcu Stojowskiego; 8) węgiel w Klimontowiczach Miraszewskiego; 9) w Sielcach nad rz. Przemszą Stoińskiego; 10) w Pogoniu Korulskiego; 11) fabryka stali Jezierskiego w dobrach Cieklińsko; 12) stali w Berezowie pod Kielcami Józefa Sołtyka; 13) wielkich pieców w całéj Polsce w r, 1782 miało być 42, dymarek 41 z produkcyą roczną 61.717 centnarów, co dawało czystego zysku, podług Ossińskiego, 617.170 złł. Znajdowały się wielkie piece w dobrach biskupstwa krakowskiego: Parsów, Szałasy, Samsonów, oraz pod Siewierzem. Piec Samsonowski stanął podobno jeszcze w r. 1598, lecz przemurowany został przez biskupa Sołtyka w 1778 r., w Szałasach tenże Sołtyk wystawił w 1774. Oba piece wydawały po 125 centnarów na tydzień. W Suchedniowskich fabrykach (do tych należały Dąbrowa, Granica) znajdował się wielki piec Parszewski, zaczęty przez Załuskiego biskupa krakowskiego w 1748, dokończony przez Sołtyka r. 1759. Daléj, były piece Małachowskich wojew. Sieradzk. Sekretarza w. k. i referendarza w. k. (Antoni-

now), Dembińskiego, s-ty Wolbromskiego (Przysucha) Podkańskiego, Szaniawskiego s-ty Bolesławskiego (pod Drzewicą), Cystersów Wąchockich (pod Bzinem), Radziwiłła (pod Mroczkowem), w Starostwie Radoszyckiém u Radońskiego, Dołęgi, Kluszowskiego, Gordona, Męcińskich, Leszczyńskiego w Sstwie Lelowskiém, w dobrach ekonomicznych pod Brześciem Lit., Chreptowicza Podk. W. X. L. w Wiszniowie od r. 1790 (jedyny na Litwie piec wielki) Ponińskiego podsk. kor. (pod Dryłowem) Bierzyńskiego, Czartoryskiego (pod Korcem). Nie wyliczamy dymarek. W Biechowie znajdowano podobno asfalt czyli „smołę żydowską".

28. Wyrób machin, narzędzi etc. 1) narzędzi żelaznych i stali w Miedzieży Jezierskiego; 2) kos tegoż w Sobieniu; 3) fabryka giserska w Warszawie Piotra Zawadzkiego; 4) szabelnia w Gowarczowie pod Końskiemi; 5) ruralnia w Pomykowie pod Końskiemi; 6) różnéj broni w Kozienicach; 7) broń w Staszowie; 8) Tulczynie i 9) Niemiérowie.
29. Wyroby platerowane — nie istniały.
30. „ z miedzi—przez cechy rzemieślnicze produkowane były.
31. Inne pomniejsze wyroby metalowe—fabryka szpilek w Krakowie.
32. Fabryka gazu — nie istniała.
33. Warzelnia i kopalnie soli: 1) we wsi Bejsce w powiecie Wiślickim, sól glauberska; 2) w Solcu; 3) w Busku 8 szybów spółki zagranicznéj, pod dyrekcyą hr. Beysta; 4) w Owczarach; 5) Gumienicy hr. Tarnowskiego; 6) Wąchocku; 7) Rączkach; 8) we wsi Szolca Jezierskiego w Łęczyckiém od r. 1780 do 1795--najwyższy gatunek; 9) w Straszniowie.
34. Wyroby z marmuru i gipsu: 1) przedmiotów kamiennych galanteryjnych w Janowiczach (Radziwiłła).
35. Wyroby szklane, fajans, garncarskie i zduńskie: 1) szkło w Nalibokach; 2) Nowogrodku; 3) Urzeczu; 4) fabryka Bielińskich w ziemi Czerskiéj; 5) zwierciadeł w Taraszczy; 6) Urzeczu, 7)

Warszawie w pałacu Brühlowskim, 8) Fajansów Belwederska, 9) Wolffa na Bielinie w Warszawie, 10) porcelany („farfurowa“) w Korcu.

36. Wyrób cementu i wapna — w Busku, pod Wieluniem w Olkuskiém i nad Pilicą było wapna obficie.

37. Cegielnie — sławna glina w Smolkowie Radziwiłłów, glina tłusta, biaława, do potażu i fabryk farfurowych, dowożona do Warszawy (po 18 złł. za wóz) w Smogorzewie Duninów-Wąsowiczów.

Spis niniejszy, obejmujący dwieście z górą zakładów, prócz gorzelni, browarów i sycarni miodu, reguluje wnioski nasze o tyle, że stwierdza istnienie przemysłu w epoce sejmu czteroletniego. A spis ten nie jest wyrazem dokładnym całéj pracy przemysłowéj narodu, nie obejmuje bowiem drobniejszego rękodzielnictwa dworskiego i wieśniaczego. Szczególnie na Rusi kobiéty miały odznaczać się zręcznością w tkactwie. Drelichy, samodziały i w ogóle całe ubranie ludu oraz szlachty zagrodowéj pochodziło z warsztatów domowych. Nawet u zamożniejszéj szlachty nie znajdujemy jeszcze komfortu i wytworności. K. Koźmian tak opisuje życie szlacheckie w latach 1780—1792. Na ucztach nie chodziło o jakość pokarmów i napojów, lecz o ilość. Jedzono wiele, wypijano jeszcze więcéj wina węgierskiego i angielskiego piwa, które były tanie. Nie jadano w szlacheckich domach na fajansie, lecz na cynie, łyżki nawet były z tego metalu. Na łyżki srébrne ledwie zdobyć się potrafił kilkowioskowy obywatel, a srébra stołowe, wazy, półmiski wyjawiały się tylko w domach pańskich, w pałacach, i to starożytną robotą jako puścizny lub nabycia po bogatych i możnych pradziadach. Meble były proste, zydle, stoliki drewniane, rzadko kanapa. Obicia włóczkowe, lub żadne. W majętniejszych domach sprzęty były z Gdańska (2). Wszakże wy-

---

(1) Oprócz powołanych wyżéj źródeł, wzięliśmy niektóre nazwy i wiadomości z „Uwag nad Uwagami“ str. 68. 86—89. Wiadomość o Stanie Przemysłu i Handlu w Polszcze (Al. Giżyckiego) 1846, str. 75, 78. Dz. Handl. 1788, str. 482, 589, 678, 683. Felixa Miaskowskiego: Wystawa płodów przemysłu krajowego w Bibliotece Warsz. 1845 t. IV str. 100. Opisanie polskich żelaza fabryk etc. przez X. Józefa Osińskiego str. 44 i 45, tabella do karty 45, 65. Hieron. Łabęcki: Górnictwo w Polsce. Warsz. 1841, t. I str. 179, 180, 183, 270, 273, 303.

(2) Kajetan Koźmian: Pamiętniki, t. I, str. 112.

mieniona ilość fabryk, któremi zaspakajać należało tak skromne wymogi klas zamożniejszych, nie była odpowiednią potrzebie. „Że pierwszéj godności osoby w ubiorze swoim mało co fabrykat krajowych zażywają, to podobno nie pochodzi z uprzedzonéj pogardy dla tych rzeczy domowych, ale z niedostatku przyzwoitych na przystojną odzież materyałów.“ Co gorsza, gdy powiększono komplet wojska, wypadło sprowadzać z zagranicy sukno na płaszcze (1). „Cóż na to mówić, kiedy tak ciężkie rzeczy wprowadzamy, jak są marmury szwedzkie, kiedy sami lepsze w naszych górach mamy, że z Gdańska zwozimy skorupiastą lichą dachówkę, którą lepszą na miejscu możemy robić, zwłaszcza kiedy Gdańszczanom do wypalania tych skorup drwa dostawiamy, albo że z Hamburga pekielflejsze z naszych własnych wołów odkupujemy“ (2). Jedném słowem, mnóstwo przedmiotów wychodziło z kraju „na edukacyą,“ jak powiadał Świtkowski, a późniéj wracały w cenie wysokiéj.

Trudnoćto zresztą wymagać, aby w ciągu lat kilkunastu przemysł prawie nieistniejący mógł dojść do stanu kwitnącego. Przyznać raczéj wypada, że się zrobiło bardzo wiele, więcéj może niż w jakiejkolwiek gałęzi gospodarstwa społecznego,

Komuż to zawdzięczyć należało?

Pisarze i publicyści mają swoję część zasługi. O podźwignieniu manufaktur i fabryk pisano tak wiele i tak jednomyślnie, że wypadłoby formować długi katalog artykułów i broszur. Nie będziemy nim utrudzali czytelnika.

Król Stanisław August, jakeśmy już powiedzieli wyżéj, nie szczędził zachęty i nakładów. Zwiédzał fabryki, gotów był zstępować do kopalni, uprzejmie rozmawiał z robotnikami, urządzał swoję kozienicką fabrykę broni, wdawał się w przedsiębierstwa, brał udział w towarzystwach akcyjnych.

Panowie téż prócz usiłowań osobistych zgadzali się wchodzić do stowarzyszeń w spółce z bankierami, t. j. mieszczanami.

Napotykaliśmy wiadomości o kilku spółkach przemysłowych. Jeszcze w r. 1766 zawiązała się „kompania manufaktur wełnianych,“ pod prezydencyą Andrzeja Zamoyskiego, kancl. w. k.; sejm r. 1768 nadał jéj szpital sierocy i cuchthauz z warunkiem wypłacenia pewnéj sumy kościołowi S. Benona. Fabryka ta, połączona z więzie-

---

(1) W Rachunkach Komisyi Sk. Kor. z r. 1794 znajdujemy pozycyą złł. 233.333 gr. 10. Janowi Meysnerowi za sukna dla wojska dawniéj sprowadzone łokci 70.000.

(2) Uwagi nad Uwagami str. 90.

niem karném, była czynną tylko do r. 1770 (1) Do wyzyskiwania soli w Busku stanęło „Społeczeństwo z zagranicznych zebrane a dwóch Polaków akcyami następnie pomnożone.“ Akcyj było 32, z których 28 po 1.000 czerw. złotych; „każdéj akcyi rozdział na cztery kukse był dozwolony.“ Dyrektorem generalnym i rządcą ogólnym mianowany hrabia Beyst (2). Najświetniéj wszakże zapowiadało się „Społeczeństwo Fabryki krajowéj Płóciennéj,“ które się zawiązało w roku 1787 i spisało kontrakt w Warszawie, w pałacu X-cia Prymasa, d. 7 Listopada. Fabryka miała powstać w Łowiczu na gruncie, prawem emfiteutyczném nadanym. Kontrakt zaczyna się od oświadczenia. „Subskrypcyą przedsięwzięliśmy nie tak chęcią zysków, jako raczéj czystą intencyą uczynienia najistotniejszéj krajowi przysługi.“ Fundusz miał się składać z 900.000 złł., podzielonych na 225 akcyj (właściwie udziałów) po 4.000 złł. wartości. Opłata była podzieloną na cztery raty półroczne po 1.000 złł. i wniesioną do banku Piotra Teppera w miesiącach Lutym i Lipcu r. 1788 i 1789. Zarząd, czyli, jak się kontrakt wyraża „rząd“ miał składać się z 12-u osób po połowie ze stanu szlacheckiego i miejskiego; członkowie zarządu używają tytułu „administratorów fabryki krajowéj;“ głosy obliczają się podług liczby akcyj, prócz króla i prymasa, którzy mają oddzielne przywileje. Akcyi wyciągać z kompanii nie wolno aż po skończonych 12-u latach, rachując od d. 1 Lutego 1788 r. Czwarta część zysków ma pozostawać w kasie dla zasilenia fabryki. Na liście „akcyonalistów“ król zapisał się z 10, a prymas z 20 akcyami; inni zapisywali się zwykle na jednę. Czy ta fabryka wystawioną została i czy była czynną? nie wiémy (3).

Gdy po katastrofie rozbiorowéj zaczął się kształtować rząd nowy, znajdujemy bardzo często rozporządzenia, świadczące o staraniach ku podźwignieniu przemysłu i miast. Sejm r. 1776, urządzając Departament Policyi nadał mu moc zachowania i obracania dochodów miejskich na cele użyteczności publicznéj. Rada Nieustająca wyznacza fundusze na reperacye ratuszów w Piotrkowie, Lublinie, Poznaniu (4)

---

(1) Vol. Leg. VII f. 751, str. 350. Wejnert: Starożytności M. Warszawy tom 5-y, str. 81—120. Są tu kontrakty, reskrypty królewskie i t. d. Spółka ta była akcyjna z kapitałem 43.200 cz. złł., podzielonych na 120 akcyj. Dążność nie jest czysto przemysłowa, lecz na wpół filantropijna. Odprzedała Spółka swe gmachy m. Warszawy za złł. 120.000.

(2) Raport Tadeusza Czackiego z badania fabryk solnych, z d. 12 Lipca 1788 r. Dz. Handl. 1788, str. 589.

(3) Dz. Handl. 1787, str. 657 i nast.

(4) Rachunki sejmowe 1780—2, 1782—4. W dziale I-m mianowicie: na Piotrków 17.000 i 4.000 złł. na Lublin 50.940, Poznaniowi 15.000 i 20.000.

urządza nadzór nad funduszami i administracyą miast królewskich, zachęca do zakładania manufaktur i sprowadzania cudzoziemców, stosownie do mody powszechnie podówczas panującéj. Departament Policyi (stanowiący jednę część téjże Rady) w okrésie 1786—1788 r. „rozesłał do miast subalternów swoich; okazało się, że największą część prowentów (dochodów) porozrywała między siebie starszyzna, że licytacyi albo nie rozumieją, albo kondyktem (zmową) niszczą, że nie masz ani piéniędzy w kasach, ani reperacyi, że najwięcéj dochodów, składek i długów obraca się na pienią i komisye....Starszyzna.. odważała się na nieposłuszeństwo.“ W takich razach zarządzano egzekucyą—w czterech miastach. W ciągu tego okrésu zlustrowano 33 miast koronnych, domy w nich poznaczano numerami, kominy murować rozkazano; założono 23 cegielni miejskich i 15 szkółek miejskich, ponieważ w mniejszych miastach zdarza się, że „cały magistrat podpisuje się ręką nieumiejętnego pisarza.“ Szkółki te na razie nie miały wielkiego powodzenia, bo „skoro się otwiéra czas pilnowania bydła w polu, nauczyciele nie mają uczniów.“ Zabiérał się Departament uformować „na wzór rządnych krajów“ kasę ogniową. Żeby skuteczniéj wykonywać nadzór policyjny przy szczupłéj liczbie, bo tylko pięciu, subalternów swoich, Departament podzielił koronę na 15 wydziałów czyli komisoryatów i do każdego wydziału wyznaczył z szlachty osobnego dozorcę przysięgłego pod nazwiskiem Komisarza Policyi, który miał znosić się ze starostami i objeżdżać w porządku przepisanym wszystkie miasta swoje od pierwszego do ostatniego, przynajmniéj dwa razy do roku. W pierwszym objeździe komisarze obowiązani byli dopilnować licytacyi, przeliczyć kasę miejską i depozyt dla niéj obmyślić pod pieczęciami starościńską i miejską; w drugim reparacye wyegzaminować. Wydziały te były następujące: W Wielkiéj Polsce 1. Poznański 17 miast. 2. Kaliski — 14. 3. Sieradzki z 15-u miastami, w téj liczbie Piotrków. 4. Kujawski—10 miast z Płockiem. 5. Mazowiecki—18 miast z Łomżą. 6. Warszawski w prowincyi Małopolskiéj. 7. Krakowski—17 miast, ale w téj liczbie zawiérają się Kazimierz, Kleparz, Stradom. 8. Sandomiérski — 18 miast. 9. Podlaski 12 miast. 10. Lubelski z 13 miastami. 11. Ruski z 11 miastami. 12. Podolski z 12-u miastami. 13. Bracławski — 13 miast. 14. Ukraiński — 13 miast, w téj liczbie Korsuń i Czerkasy. 15. Kijowski z 11-u miastami. Tym sposobem liczba ogólna miast koronnych wynosiła 221 (1).

---

(1) Rapport generalny dwuletnich czynności Departamentu Policyi od sejmu 1786 do sejmu 1788 zeszłéj Radzie Nieustającéj uczyniony, w Dz. Handl. 1788, str. 704—711.

I Komisya Skarbu Koronnego okazuje troskliwość o przemysł. Robi naprzykład ulgi w pobiéraniu podatku skórowego „aby z tém większą łatwością fabryki i rzemieślnicy w skóry mogli być zaopatrzeni.“ Każe „kopalnie węgla kamiennego w dobrach biskupstwa krakowskiego rozszerzyć; wzięty do téj pracy W. Jaskiewicz, konsyliarz JKMci, Akademii Paryzkiéj towarzysz.“ Zezwala na otwarcie fabryk solnych, oczekuje plantatorów tytuniu z Ameryki (1). Wyprawia Czackiego, który poszukuje soli i węgla kamiennego, jak to widzieliśmy z powyżéj przytoczonego raportu. Podobne raporty znajdujemy z podpisami innych urzędników, np. Pęckowskiego o fabrykach soli, warzonéj w województwie Łęczyckiém, Dziarkowskiego, medycyny doktora, o soli w Ciechocinku z dnia 27 Września 1788 (2). Pomiędzy projektami znajdujemy projekt ustanowienia papiérni krajowéj skarbowéj do wyrabiania stępla, ponieważ papiérnie prywatne nie mogą dostarczać w czasie przyzwoitym i w jednakowym gatunku tyle papiéru, ile go potrzeba; albo projekt nadania składu towarów zagranicznych bez opłaty ceł miastu Krakowowi wewnątrz murów — w celu podniesienia tego miasta z upadku.

Starosta lubelski Hryniewiecki skarbi sobie wdzięczność powszechną pracami nad uporządkowaniem miasta Lublina; Kamieniec Podolski, Latyczew, Żytomierz, Owrucz i Winnica „dekretami sądów JKMci Asesoryi wsparte i przy swych przywilejach zachowane, zaczynają przez ludność, handel i rzemiosła obiecywać Rzeczypospolitéj posiłki z miast kwitnących należne.“ (3).

Marszałkowie wielcy koronni, Lubomirski i Mniszech, krzątają się około uporządkowania Warszawy. Nie poznajemy tego miasta tak szybkim jest wzrost jego.

W r. 1779 liczono już 2.663 domów, a w 1784 liczba tychże doszła do 3.140. Liczba kamienic w r. 1796 podawaną była na 1.200 do 1.500. Ulicom nadano stałe nazwy, sporządzono dokładny plan, który do dziś dnia przechowuje się w Archiwum Głównem Królestwa (4).

W 1787 r. dnia 28 Lutego wyszło „obwołanie jurysdykcyi marszałkowskiéj względem czynienia raportów i meldowania ludno-

---

(1) Rezolucye Komisyi Skarbu Kor. na noty Komisyi Porządkowych Cywilno-Wojskowych, księga 69, Nr. 96. Odpowiedzi 18, 111.

(2) Takie raporty znajdują się między luźnemi arkuszami w plice 119, działu II, (Rachunków Generalnych).

(3) Mędrzecki: Zbiór etc. cz. V, str. 20.

(4) Sobieszczański, loco cit. str. 121, 124; Hube, w Przewodn. Nauk. i Lit. str. 1031.

ści stałéj jakotéż niestałéj," i po raz pierwszy od czasu istnienia Warszawy dokonanym został popis ludności pod kierunkiem intendenta raportowego we wszystkich częściach i jurydykach, na Pradze zaś pod nadzorem instygatora wielkiéj laski marszałkowskiéj. Po ukończeniu popisu, ogłoszoną została „tabella mieszkańców Warszawy i Pragi" nosząca datę, dnia 24 Kwietnia 1787 r. Okazuje się z niéj, że wszelkich stanów ludzi było:

w Warszawie	suma	mężczyzn	46.633
„	„	niewiast	42.815
		Ogół	89.448
Na Pradze	suma	mężczyzn	3.524
„	„	niewiast	3.171
		Suma wszystkich ludzi	6.695

Summa summarum wszystkich ludzi w Warszawie i na Pradze 96.143 (1).

Jestto już ludność wielkiego miasta, gdyż podówczas (w roku 1790) tylko Paryż liczył sześć kroć sto tysięcy; Berlin zaś miał w r. 1779 138.225 (2), Wiedeń, jeśli mię pamięć nie myli, mało co nad 100.000. Ludność wzrastała więc bardzo szybko, ruch budowlany był bardzo ożywiony, a gdy obradował sejm czteroletni, liczba mieszkańców miała dojść do 120.000 (3). Nigdy jeszcze Warszawa nie była tak wielką, ludną i świetną; nawet Krakowowi w XVI wieku przyznawano jako maximum 80.000 mieszkańców: za Jana Kazimierza przed szwedzkim napadem w r. 1655 największa ze znanych nam liczba domów, razem z przedmieściami wynosiła 737 posesyj, w téj liczbie 160 murowanych (4). W takiéj ilości mieszkań trudno, żeby się zmieścić mogło więcéj jak 20.000 mieszkańców.

Warszawa przybrała teraz cechy wielkiego miasta z cukierniami, hotelami, teatrem, latarniami i porządkami ogniowemi, powozami miejskiemi. Entrepryza fiakrów istnieje przynajmniéj od r. 1783 Marsza-

---

(1) Dz. Handl. 1787, str. 222—223; Sobieszczański: Rys Hist. Stat. m. Warsz. str. 128.

(2) Beer: Hist. Handlu Powsz. tłómaczenie rosyjskie II, 388. Sybel: Gesch. der Revolutionszeit 1865 I, 219.

(3) Golembiowski: opisanie Hist. Statyst. m. Warsz. 1827, str. 45, Gronau: Ueber den Verfall der Haupstadt Warschau.

(4) Sobieszczański: Rys etc. str. 52—53; ks. Jezierski w Kraszewskiego Polska etc. II. 242.

łek w. k. zaleca, że kareta ma być piękna, lakierowana, trypą lub suknem wybita „konie sprzęgłe, jednéj maści w dobrém ciele, szory z mosiądzem wychędożone, a stangret porządnie i czysto ubrany, trzeźwy, pilny i jeździć umiejący.“ I w zimie dorożkarze mieli numery na tylnéj stramicy sanek. Pobiérano łokciowe i brukowe na utrzymanie porządku w mieście (1). Straż policyjna czuwała nad bezpieczeństwem. Ruch budowlany był bardzo ożywiony, czego dowodem jest niezwykły przyrost liczby domów. Jeśli szlachcic zagrodowy przyjeżdżał pierwszy raz z gęśmi lub wołami do miasta, to już dostawał zamętu w głowie, a nadziwował się i nagapił do syta. „Miasto wielkie, zastępujące brzegi Wisły, jakby jaki las; czerwone dachy, kominy na domach wysokie, równo z kościołami, ludzi nie widać boso; nikt wzroku nie spuszcza na ziemię; każdy z miną wesołą ubrany jakby u nas w niedzielę. Tłum snującego się ludu i przejeżdżających karet robił mi ustawicznie ciekawością roztargnienie“ (2). Wybredny cudzoziemiec, bywalec, który inne wielkie miasta widywał, miał jeszcze wiele do zarzucenia. „Wnętrze Warszawy, pisze dyrektor szkoły kadetów Hube, przedstawia osobliwszy widok: wysokie z wielkim gustem zbudowane gmachy, a obok niziutkie baraki słomiane i mnóstwo domów zbitych ze samych tylko desek; oko widzi piękny przedsionek o żelaznem okratowaniu i pysznych kolumnach, a obok płot łatany. W tém mieście można jednym rzutem oka widzieć największe bogactwo i najwyższą nędzę, co tém bardziéj uderza, gdy przechodzień każdéj chwili i równocześnie spotyka żebraków, ludzi upośledzonych i cudne pojazdy“ (3).

Juźci społeczeństwo nie mogło się w XVIII wieku przerodzić odrazu, niby na skinienie różczki czarnoksięskiéj. Ale jest faktem niewątpliwym, że w połowie XVIII wieku Warszawa była lichą i brudną mieściną, a w 1790 stała w rzędzie pierwszych stolic Europy. A ta przemiana dokonała się przeważnie w ciągu lat 15-u, pomiędzy 1776 i 1791 rokiem. Jestto przecięż metamorfoza cudowna, gdy ją porównamy z zastojem, z nieruchomością, z krańcowym konserwatyzmem poprzedzającego tę datę stulecia.

---

(1) Ordynacya względem trzymających karety dzienne z d. 12 Kwietnia 1788, przy Dz. Handl. marszałkowie wydawali podobne ordynacye w 1767, 1781, 1783, 1788, 1792 Patrz: Dz. Handl. 1792.

(2) Jarosz Kutasiński (ks. Jezierski). Uwagi nad stanem nieszlacheckim w Polsce 1790, str. 37.

(3) Przewodnik naukowy i literacki. Dodatek do Gaz. Lwowskiéj 1876, str. 914 artykul D-ra Wisłockiego, p. t. Warszawa na początku 1796 r.

Mędrzecki ze swymi kolegami twierdzi, że od r. 1768 mieszczanie znajdowali się pod coraz gorszym uciskiem; w tym roku bowiem traktatem gwarancyjnym poddani oni zostali pośredniczéj pomiędzy magistratem i asesoryą jurysdykcyi starostów oraz wykreśleni zostali formalnie z liczby stanów Rzeczypospolitéj. Art. I aktu osobnego drugiego opiewał, iż Rzeczpospolita z trzech tylko stanów się składa: króla, senatu i stanu rycerskiego (1).

Fakt upośledzenia mieszczan w sferze prawa państwowego przez sejm z r. 1768 jest niewątpliwy, czyliż jednak należy go tak pojmować i oświetlać jak to uczynił Mędrzecki? Czyliż w istocie ucisk się zwiększał za Stanisława Augusta?

Wierzyć temu niepodobna, ponieważ liczne objawy i nadspodziewane rezultaty przeczą zbyt namiętnemu wnioskowi. Artykuł traktatu gwarancyjnego składa zapewne smutne świadectwo o stanie umysłowym prawodawców, którzy go wpisywali; przyznajemy, że jest nową zniewagą dla mieszczan, ale doniosłość jego praktyczna była żadną. Mieszczanie bowiem już w końcu XVI i w XVII wieku nie brali rzeczywistego udziału w prawodawstwie sejmów, zdaje się nawet, że na tém polu bardzo dużo zawinili własném niedbalstwem. Podpisy prokonsulów, adwokatów, burmistrzów Krakowa, Lwowa, Wilna, ukazują się wprawdzie na wszystkich bez wyjątku aktach elekcyi królów, ale czyż to nie było czczą formalnością? Gdyby konstytucya z r. 1768 zachowała moc obowiązującą do następnéj elekcyi po śmierci Stanisława Augusta, toby się już na akcie obioru nowego nie podpisali doktorowie filozofii prawa lub medycyny, sekretarze JKMci itp., jako reprezentanci stanu miejskiego. Ale i to byłoby najmniejszą stratą. Rozszerzenie jurysdykcyi starostów mogło być groźném, ale jak tylko zamieszki minęły, od roku 1776 widzimy, że władza tych panów ścieśnia się, a nad miastem rozciąga opiekę departament policyi.

Przeciwnie, wbrew oskarżeniu Mędrzeckiego, twierdzimy, że położenie stanu miejskiego polepsza się z każdym rokiem. Zmienia się duch społeczeństwa, zmieniają się obyczaje, szczególnie od czasu, gdy w szkołach Komisyi Edukacyjnéj profesorowie zaczęli tłómaczyć szlacheckiéj młodzi, że mieszczanie są stanem zacnym, że panowali czasem nad narodami, jak Rzym lub Ateny (2). Czuć w powietrzu powiew innych mniemań: magnaci zasiadają obok mieszczan warszawskich, żeby układać kompanie manufaktur i społeczeństwa

---

(1) Zbiór praw etc. Część V str. 22, Vol. Leg. VII f. 595, str. 277.

(2) Jarosza Kutasińskiego: Uwagi nad stanem nieszlacheckim w Polsce 1790, str. 26.

fabryczne; komisya skarbu koronnego wchodzi z bankierami w stosunki dla załatwiania trudności i obrotów finansowych, na Litwie w r. 1775 pozwolono nawet mieszczanom kupować dobra dla zaludnienia kraju; Prot Potocki staje się kupcem i utrzymuje sklep angielski na Krakowskiém Przedmieściu.

A samoż ukazanie się tylu firm bogatych, tylu bankierów, czyliż nie jest wskazówką, że mieszczanie mogą się łatwiéj poruszać? Bywają oni u prymasa, dostają się na pokoje królewskie, kupują dobra, nietylko Tepper niby szlachcic, Ferguson z pochodzenia, ale i zięć jego Szulc, który przeistacza bagnistą okolicę pod Pragą na piękną posiadłość. Dekert na portrecie jest ubrany w aksamity i koronki.

Niesłusznie więc Mędrzecki uskarża się na coraz większy ucisk mieszczan. My domyślamy się raczéj, że pod tą skargą kryje się podrażniona duma bogatych kupców. Pragną oni zaszczytów, urzędów. Dangiel chce wynosić się z Warszawy, żeby szukać świetniejszego stanowiska, synowie Teppera wchodzą do wojska rosyjskiego dla rang.

W istocie szlachta zbyt długo poniewiérała stanem mieszczańskim, żeby się w obyczajach mogła dokonać odrazu widoczna i zupełnie zadawalająca przemiana. Od r. 1648 nikt ze szlachty nie zapisał się już w księgi obywateli miejskich. Atoli i w tym punkcie stan miejski otrzymał wkrótce całkowitą i świetną restytucyą.

Wiadomo, że na sejmie czteroletnim gorąco popiérał sprawę miast X. Hugo Kołłątaj; przy jego tajemnym udziale, jak mniemano, mieszczanie uczynili krok wielkiéj wagi. Na wezwanie Jana Dekerta, prezydenta Staréj Warszawy, zjechało do stolicy 269 deputowanych od 141 miast królewskich z Korony i Litwy i podpisali na Ratuszu miejskim „Akt zjednoczenia miast“ w dniu 24 Listopada 1789 r. „My obywatele miast koronnych i W. X. Litt., mówią oni na wstępie, aktowi niniejszemu przytomni, imieniem naszém i całéj powszechności miast, które nas do téj stolicy Królestwa Polskiego wysłały z zupełną mocą łączenia wspólnych starań o zjednanie u Najjaś. Króla JMci, Pana naszego Miłościwego i u Najjaś. Stanów Rzpltéj tych względów, któreby stan nasz do tego stopnia pomyślności przyprowadzić mogły, w jakimbyśmy tak dzielnie do pomnożenia sił, potęgi i wzmocnienia téj kochanéj ojczyzny naszéj przyczyniać się mogli, jak sobie tego najtroskliwiéj życzymy... Rozważywszy prawa tak szczególne miast, jakotéż ogólne całemu stanowi naszemu miejskiemu służące, zostaliśmy przekonanemi, jak względnym w czasie najwyższego potęgi swojéj stopnia był rząd krajowy na los stanu miejskiego i jak obszerne za to z dostatków tegoż czerpał pomoce, a porównanie dawnego

czasu z późniejszym dało nam poznać, iż w téj saméj gradacyi, w jakiéj siły narodu wątleć, w takiéj nam służące prawa i zaszczyty słabieć zaczęły. W dzisiejszym tedy czasie, pragnąc aby te, które dotąd w spokojném używaniu dzierżemy, jako i te które siła oddzielnych jurysdykcyi przytłumiła, a z czasem w niepamięć podała, w nowym rządu przyszłego układzie na nowo odżywionemi zostały; przedsięwzięliśmy zjednoczyć umysły nasze w celu wzajemnéj pomocy tak, iż jednego miasta interes publiczny powinien być odtąd interesem wszystkich miast tak koronnych jako i W. X. Litt.“ A ponieważ w tym czasie właśnie rozwijała się już rewolucya francuska, w któréj stan „trzeci“ górującą zaczynał grać rolę, przeto mieszczanie polscy pośpieszają uspokoić obawy sejmu takiemi słowy: „oświadczamy przed Bogiem, skrytości serc ludzkich przenikającym i całym światem, iż dla Najjaś. Króla Imci Stanisława Augusta łaskawie nam panującego i dla Najjaś. Stanów Rzpltéj nieskażoną wierność i poszanowanie zachowujemy i na zawsze zachować pragniemy, że żadnego takiego kroku przedsiębrać nie chcemy, któryby spokojność wewnętrzną w czémkolwiek naruszał... a ręce i majątki nasze na obronę ojczyzny i jéj całość z szczerą ofiarujemy chęcią“ (1).

Deputowani ci z Dekertem na czele, w czarnych sukniach, ze szpadami u boku udali się do króla, omijając bezpośredniego swojego zwierzchnika, kanclerza (Jacka Małachowskiego), następnie do sali sejmowéj. Dekert odczytał mowę, która ludzi staroświeckiego sposobu myślenia podrażniła, przez sejm jednakże przychylnie przyjętą została. W dniu 19 Grudnia 1789 r. sejmujące stany wyznaczyły oddzielną „deputacyą do miast naszych królewskich.“ Do niéj to udawali się teraz przedstawiciele stanu miejskiego z Korony i Litwy w towarzystwie trzech prawników: Mędrzeckiego, Barssa i Grabowskiego. Na każde posiedzenie przynosili oni nowy memoryał: 1) zbiór praw, dowodów i uwag z treści tychże wynikających stanowi Miejskiemu ex juribus municipalibus służących z wyszczególnieniem tych traktatów, konstytucyj, dowodów, które świadczyły o udziale mieszczan w prawodawstwie i obiorze królów; 2) o potrzebie przywrócenia mieszczanom praw oddzielnego stanu i przypuszczenia posłów miejskich do sejmu; 3) o rozciągnieniu na mieszczan prawa nietykalności osobistéj (neminem captivabimus); 4) o urządzeniu najwyższego sądu apelacyjnego dla mieszczan z ich udziałem; 5) o potrzebie uwolnienia miast od jurysdykcyi starostów; 6) o potrzebie przywrócenia mieszczanom prawa posesyi dziedzicznéj dóbr ziemskich; 7) o potrzebie

(1) Zbiór praw, dowodów i uwag etc. na czele, oryginał aktu.

uchylenia praw przywiązujących ohydę do stanu miejskiego; 8) nareszcie wypis osób prześwietnego stanu rycerskiego, które prawo miejskie przyjęły. Te wszystkie memoryały są zredagowane gruntownie z uwzględnieniem rozwoju historycznego każdéj kwestyi, z argumentacyą prawną, z poglądami ekonomicznemi i politycznemi, z zaznaczeniem żądań punktami. Obecnie „zbiór“ ten posiada wysoką wartość naukową dla historyka i prawnika.

Prawie jednocześnie, bo w dniu 24 tegoż miesiąca Grudnia, sejm uchwalił „zasady do poprawy formy rządu“ i wyznaczył deputacyą, „dla ułożenia konstytucyi rządu polskiego.“ W świetnéj a kilkakrotnie już powoływanéj mowie Hugo Kołłątaj zażądał od tych prawodawców przedewszystkiém wolności dla stanów uciemiężonych. Przytaczając znane słowa Terencyusa, woła: „Ty, który mnie swym pragniesz mieć niewolnikiem, spojrzyj na mnie i na siebie, przypatrz się, jeżeli mnie w czémkolwiek natura różnym od ciebie mieć chciała: homo sum. Ty! który obstajesz za wolnością, weź na uwagę twoje i moje czucie, bierz miarę z siebie samego i zawstydź się sam w gruncie serca, że w téj ziemi, pod tym rządem, pod którym wolność dla siebie ubezpieczasz, mnie niewolnikiem mieć pragniesz: humani nihil a me alienum puto. Jeżeli praca, która mnie bliżéj z ziemią związała, jeżeli nędzne wyżywienie moje zbytkom i świetności twojéj dostarczało, winieneś mi za to wdzięczność i sprawiedliwość, a jeżeli mi niewolą odpłacasz, nie ja, lecz ty nie jesteś człowiekiem. Jesteś poczwarą natury ludzkiéj...“ To się stosuje przeważnie do włościan, ale następnie przechodzi mówca do sprawy miast i dowodzi że „stan miejski utrzymać się nie może inaczéj tylko własnemi prawami, tylko najwyższym ich dozorem. Alboż nie doświadczyliśmy jak próżne były dotąd usiłowania wielu, którzy na dźwignienie miast miliony łożyli?... Potąd się nie pozbędziemy pustek, handel nasz będzie póty igrzyskiem obcéj chciwości, póki miasta nasze nie będą same doglądać praw swoich, póki mieszczanie nie będą stanem rzeczypospolitéj... Jeżeli przełożyć szlachcicowi chcemy, iż tak dla ocalenia swobód naszych, jako téż dla zbogacenia i uszczęśliwienia całego kraju przez handel, rzemiosła i konsumpcyą wewnętrzną, potrzeba, abyśmy podźwignęli miasta nasze, aby stan miejski miał należytą część w rządzie: przekona się natychmiast z własnego doświadczenia, iż do téj dogorywającéj lampy trzeba nowego przydać oleju“ (1).

---

(1) Prawo polityczne narodu polskiego. Listów Anonyma do JW. St. Małachowskiego część IV, 1790, str. 14, 41, 52.

Nie przytaczamy innych mów, wygłoszonych w sejmie, ani broszur drukiem ogłoszonych. Wchodzą one w zakrés literatury politycznéj i niejednokrotnie już były wymieniane, rozbiérane, oceniane. Spojrzyjmy tylko na owoc téj obszernéj dyskusyi.

Owocem był nie tylko Rozdział III w Ustawie Rządowéj, noszącéj datę d. 5 Maja 1791 roku, ale téż dwa prawa szczegółowe z d. 21 Kwietnia i 30 Czerwca tegoż 1791 roku pod tytułami: „Miasta nasze królewskie wolne w państwach Rzeczypospolitéj“ i „Urządzenie wewnętrzne miast wolnych.“ Pierwsze z tych praw ziściło wszelkie żądania i pragnienia stanu miejskiego. Artykuł I zaczyna się od punktu 1 téj treści: „Miasta wszystkie królewskie w krajach Rzpltéj za wolne uznajemy.“ Nawet w miastach dziedzicznych wymaga się nadanie wolności mieszkańcom. Osoby stanu szlacheckiego poddane są pod prawo miejskie, jeśli mają posesyą w miastach lub chcą prowadzić handle na funty i łokcie. „Tak z urodzenia szlachcie, jako i osobom stanu miejskiego tym, którzy potém do zaszczytu szlachectwa przypuszczonémi zostaną, przyjęcie obywatelstwa miejskiego, w nim znajdowanie się, sprawowanie urzędów, prowadzenie wszelkiego handlu, utrzymywanie jakichbądź rękodzieł nic bynajmniéj odtąd szkodzić, ani uwłaczać nie będzie im samym, ani ich następcom w tymże zaszczycie szlachectwa i prerogatyw do niego przywiązanych.“ Prawo neminem captivabimus nisi iure victum na mieszczan rozciągnięte. Jurydyki świeckie i duchowne zniesione. Sądy apelacyjne ustanowione w Krakowie, Lublinie, Łucku, Żytomierzu, Winnicy, Kamieńcu Podolskim, Drohiczynie, Poznaniu, Kaliszu, Gnieźnie, Łęczycy, Warszawie, Sieradzu Płocku, Wilnie, Kownie, Grodnie, Nowogródku, Brześciu Lit., Pińsku i Mińsku. Do tych sądów plenipotenta obiérać mieszczanie będą. Nadto w Asesoryi, w Komisyach Porządkowych cywilno-wojskowych, w Komisyi Policyi, w Komisyi Skarbu Obojga Narodów, po trzech z każdéj prowincyi mieszczanie zasiadać będą. W wojsku rang oficerskich dosługiwać się mogą, desideria miast w sejmie donosić, dobra ziemskie nabywać (1).

Drugie prawo stanowi zarząd wewnętrzny, dzieli kraj na wydziały, a miasta na cyrkuły. Każdy cyrkuł, lub miasto liczące 100 posesyonatów obiéra jednego deputata, 100—300—dwóch, 300—600 posesyonatów obiérają trzech. Obrani i zgromadzeni z całego wy-

---

(1) Artykuł I, punkt, 1, 6, 8, 11. Artykuł II, punkt 1. Art. III, p. 2, 6. Art. II, p. 2, 7, 3, 5.

działu deputaci obierać będą jednego plenipotenta wydziałowego na sejm. „Gdyby które miasto do téj wielkości przyszło żeby więcéj nad 9 składało cyrkułów, tedy za przybyciem 10-go straci po jednym deputacie, za przybyciem 11-go straci po dwóch“ (1).

Czegóż więcéj pragnąć mogli mieszczanie od prawodawstwa i rządu? Sprawiedliwości stało się zadość: ohyda zdjęta, udział w sądach, we władzach rządowych i w izbie prawodawczéj nadany; starostowie uprzątnieni; dogodności stanu szlacheckiego dla mieszczan stanęły otworem, a sądy szlacheckie, nawet trybunały nie miały władzy nad mieszczaninem. To już jest więcéj niż sprawiedliwość.

Ale mieszczanie zażądali jeszcze czegoś więcéj—uszlachcenia się, wejścia masami na łono stanu rycerskiego. Cóż na to odpowiedzieli potomkowie tego dumnego stanu, niosący teraz chorągiew reformy?

Oto, przychylili się do żądania i otwarli na oścież podwoje skarbnicy klejnotów szlacheckich. W „dykasteryach“ rządowych stopień regenta, w wojsku ranga sztabs-kapitana lub kapitana chorągwi u piechoty, a rotmistrza w pułku nadawał mieszczaninowi szlachectwo i „My król diplomata nobilitatis takowym za okazaniem patentu wydawać będziemy“—jeszcze nawet bez kosztów stępla. Dwuletnia wysługa publiczna, sprawowanie funkcyi plenipotenta na sejmie prowadziło też do nobilitacyi. Kupienie wsi lub miasteczka prawem dziedziczném, opłacającego podatek 10-go grosza w ilości 200 zł. upoważniało mieszczanina do wniesienia prośby na piśmie do marszałka sejmu o nobilitacyą. Nareszcie każdy sejm obowiązany był nobilitować 30-tu mieszczan mających posesye dziedziczne w miastach, t. j. po prostu domy i place (2).

Czy takie prawo zgadzało się z zasadą utrzymywania stanu miejskiego w państwie? Czy cała zamożniejsza i inteligentniejsza masa mieszczan nie przebrałaby się w szlacheckie kontusze, opuszczając uboższych i ciemniejszych swoich towarzyszy? Czy namiętne poszukiwanie dóbr do nabycia, jakie objawiło się zaraz w roku 1791 nie odciągało kapitałów i zdolności od przemysłu gwoli przesądowi, że ziemia i liche rolnictwo uszlachetnia człowieka? Czy mile w ucho wpadająca zasada uszlachetnienia stanów niższych przez podnoszenie do zaszczytów szlachectwa nie jest dźwięcznym, ale

---

(1) Punkty, 1, 2, 5, 3.

(2) Miasta nasze królewskie etc. Art. II, punkt 9, 8, 6, 7.

błędnym w gruncie frazesem? To są pytania, na które życie odpowiedzi nie dało, ponieważ ustawa nie przeszła przez próbę dłuższéj praktyki. To pewna tylko, że ze stanowiska moralnego w tym punkcie stronnictwo reformy na żaden zarzut nie zasłużyło; składało się ono ze szlachty i złożyło tylko dowód, że szczerze, serdecznie pragnęło wynagrodzić mieszczanom krzywdy przez ojców, dziadów i naddziadów zrządzone.

Stwierdzało ono szczerość swych prawnych orzeczeń czynem i obyczajem. Dnia 29 Kwietnia marszałek sejmu, St. Małachowski, udał się na ratusz staréj Warszawy, żeby się wpisać do księgi mieszczan warszawskich. Za jego przykładem poszło zaraz 40 osób: Stanisław Potocki, dwaj Działyńscy, Hugo Kołłątaj i inni. Na prowincyi naśladowano Warszawę: w Żytomierzu zapisali się Ilińscy, Rybińscy, Pruszyńscy, w Międzybożu ks. Jabłonowski, kasztelan krakowski, którego mieszczanie przyjmowali w mundurach z zielonemi u kapeluszów gałęziami (1). Po śmierci Dekerta d. 4 Października 1790 r. urząd prezydenta miasta Warszawy przyjął szlachcic, poseł poznański, kawaler orderów, Zakrzewski, jeden z najczynniejszych członków stronnictwa reformy. Pod jego przewodnictwem nowemi zaszczytami obdarzony stan miejski wystąpił z dziękczynieniem uroczystém przed króla. Audyencya udzieloną została, sto karet zatoczyło się na podwórza zamkowe; po stosownéj mowie mieszczanie przypuszczeni zostali do ucałowania ręki królewskiéj (2). Dnia 5 Czerwca w pałacu Radziwiłłowskim dany był objad od stanu rycerskiego dla mieszczan na 300 osób; znajdowali się tu senatorowie i posłowie obok cechowych. Ucztę zaszczycił król swoją bytnością. 1—10 Sierpnia odbyło się w kościele farnym ś. Jana pierwsze zgromadzenie miejscowe miasta Warszawy, a w d. 15 Września po limicie plenipotenci miejscy zajęli miejsce w sejmie (3).

Tak więc, z pomiędzy wszystkich spraw, jakie tłumiły rozwój życia narodowego, sprawa miejska otrzymała całkowite i najpomyślniejsze rozwiązanie. Stronnictwo reformy zdołało zatrzéć zupełnie błędy dwóch stuleci. Dolało oliwy do lampy gasnącéj, jak tego chciał Kołłątaj. I skutek był wielki. Chociaż ustawa przetrwała jeden rok zaledwo, to przecięż mieszczanie przywiązali się do niéj całą duszą, a gdy nadszedł czas próby, rozwinęli energiczniejszą działal-

---

(1) Kraszewski: Polska w trzech rozbiorach II, 401, III, 32.
(2) Pamiętnik Hist. Polit. 1791, str. 366.
(3) Kraszewski: l. c. III. 32, 33, 81, 84.

ność i okazali większą gotowość do ofiar, niżli stan rycerski. Z czystego ziarna urósł plon stokrotny niemal w mgnieniu oka. Gdybyśmy wszakże chcieli postawić mieszczan polskich obok „trzeciego stanu“ francuskiego, gdybyśmy chcieli zadać takie pytanie, jakie zadał Sieyès w sławnéj broszurze: „Czém jest stan trzeci?“ nie moglibyśmy odpowiedzieć słowami francuza: „wszystkiém.“ Nasz trzeci stan pod względem żywotności i światła, nawet po dokonaniu reformy, mógł stanąć zaledwo obok stanu szlacheckiego, ale nie ponad nim.

Tadeusz Korzon.

(*Dokończenie nastąpi*).

STANOWISKO NAUKOWE CIOŁKA

(VITELLIONA)

W ŚREDNIOWIECZNÉJ OPTYCE.

Habent sua fata libelli.

Vitello czyli Vitellion, którego Ciołkiem nazywać zwykliśmy, przypuszczając, że sobie swoje polskie nazwisko, wedle średniowiecznego obyczaju, przetłómaczył na język łaciński, żył w 13 wieku i napisał znakomite w swoim czasie dzieło *de perspectiva*, przez które pozyskał sobie zaszczytne miano założyciela nowoczesnéj optyki. Dzieło to wielkiego aż do początku siedmnastego stulecia używało kredytu, dopóki się nie przekonano, sięgając do arabskich źródeł, że uczony nasz obficie z nich korzystał. Odtąd ludzie niebaczni na przysługę, jaką oddał nauce wyhodowanéj za jego sprawą, zaczęli go podejrzywać, lekceważyć, a nawet szarpać dobrą jego sławę, jak gdyby mścić się na nim chcieli za to, że niewszystko sam poodkrywał czego nauczał. Stąd poszło, że go późniéj uważać zaczęto za prostego kopistę, a nawet za niesumiennego przywłaszczyciela cudzéj literackiéj własności, pomimo że od czasu do czasu podnosiły głos w jego obronie bardzo poważne osobistości.

U nas Ciołek był zawsze wysoko stawiany, chociaż ze smutkiem wyznać należy, że go nikt nie czytał, bo ostatni z dawniejszych naszych uczonych, który się w nim rozpatrywał był chyba znakomity nasz matematyk *Brosciusz*, profesor akademii krakowskiéj w 17 wieku. *Sołtykiewicz* i *Bystrzycki*, za naszych już czasów o nim piszący, znali zaledwie nagłówki jego rozdziałów; liczni dziejopisarze naszéj literatury wprost bez bliższego badania powtarzali za nimi ich oceny

i zdania, a co gorsza najdziwaczniejsze o nim popuszczali w obieg szczegóły. Skąd naprzykład dowiedział się Sołtykiewicz, że Ciołek był Krakowianinem, a Wiszniewski, że robił doświadczenia ze światłem na górze *Lasota*, trudno rzeczywiście zrozumiéć, a trudniéj jeszcze objaśnić sobie twierdzenie tego ostatniego, jakoby tradycya o *Ciołku* miała się pomięszać w tradycye o *Twardowskim* i urość we wspólną ludową legendę.

Zauważyć należy, że do obłąkania opinii publicznéj o zasługach Ciołka przyczyniło się niemało ślepe uwielbienie jego panegirystów, którzy również bez należytéj znajomości rzeczy, idąc tylko za popędem chwalenia wszystkiego co nasze, chcieli gwałtem z uczonego systematyka i pedagoga zrobić pierwszorzędną naukową gwiazdę i postawić ją obok *Keplera*, *Newtona*, *Galileusza*, *Kopernika*, albo *Laplasa*. Dobroduszni ci wielbiciele swoją przesadą, kto wié, czy nie więcéj zaszkodzili Ciołkowi, niżeli jego najzaciętsi przeciwnicy. Dopiéro przed sześciu laty (1870) profesor *Wituski* z Poznania opuścił te błędne drogi, idąc za wnioskiem ś. p. Gąsiorowskiego, postawionym w Towarzystwie naukowém poznańskiém, ażeby się ktoś kompetentny sumiennie w dziele Vitelliona rozpatrzył. Rzecz zdawała się być prostą, a jednak niemało pociągała za sobą trudności, pomimo wielkiego ułatwienia, jaką ostatnia Vitelliona edycya, przez *Risnera* opracowana i w r. 1572 wydana, krytyce przedstawia. Rzeczywiście cierpliwość *Wituskiego* musiała być często na ciężką narażana próbę, bo chociaż do średniowiecznéj łaciny Ciołka łatwo zaprawić się można, to styl jego jest zawiły i męczący, gdyż dla braku wyrobionéj terminologii i wykrzesanych obecnie naukowych zwrotów, każdy średniowieczny pisarz musiał się powtarzać i stawać się mimowoli tém więcéj zawiłym, im więcéj się starał być jasnym. Zresztą czytanie każdego naukowego dzieła starożytnego ogromnéj po nas wymaga baczności, ażeby, zstępując z dzisiejszych naukowych wyżyn do fundamentów nauki, uchronić się od upatrywania w nich tego, czego tam nie ma, i ażeby, swém własném przekonaniem nie dopełniać oraz nie ubarwiać tekstu, w miarę naszego przychylnego, lub nieprzychylnego względem autora usposobienia. Starzy pisarze mają swój własny sposób traktowania rzeczy, nam zaś wcale nie łatwo jest czytać w ten sposób, ażebyśmy niczego nie domyślali się pomiędzy wierszami, a właśnie ów domysł często nam w innem świetle przedstawia ich przekonania. W rozprawie swojéj *Wituski* umiał jednak uniknąć tych błędów i utorował drogę każdemu, kto po nim do téj saméj zabierze się pracy. Wdzięczni mu téż bardzo jesteśmy i mamy nawet przekonanie, że dopóki nam o Ciołku nowe jakie nie przybędą fakta, to trudno będzie o jego życiu i o jego dziele

coś dokładniejszego napisać. Z tém wszystkiém nie sądzimy wcale, ażeby nam to, czego *Wituski* dokonał, miało już w zupełności wystarczać, gdyż uczony, który przez trzy wieki z górą stał przy kolébce optyki i opuścił ją wtedy dopiéro, gdy jego wychowanica w młodociane wzmogła się siły i przejść musiała w ręce innych mentorów, nie może być oceniany jak posąg, ustawiony na swéj podstawie pomiędzy czterema ścianami galeryi.

Jeżeli chcemy miéć rzeczywiste o zasługach Ciołka wyobrażenie, to trzeba nam go sobie przedstawić na tle jego własnego czasu, tchnąć w niego ducha jego epoki i powołać go do życia odpowiedniego stopniowi jéj cywilizacyi. Gdy się pokaże natenczas, że jego usiłowania przyniosły owoc, którym się ludzkość przez kilka wieków karmiła, to będziemy mieli prawo powiedziéć, że był niepospolitéj zasługi człowiekiem. Że Ciołek był nim rzeczywiście, żadnéj wątpliwości nié ma. Nie stwierdził on wprawdzie, jak *Kopernik* ruchów ziemi około słońca, nie zauważył, jak *Galwani* tańca żaby na żelaznym balkonie dotkniętéj miedzianym drucikiem, nie odkrył, jak *Newton* dla czego jabłko spada z jabłoni, nie zastanawiał się nad tém, jak młody *Watt*, dla czego pokrywa odskakuje od sagana, w którym się woda gotuje, ale za to pozbiérał pierwszy najrozmaitsze okruchy wiedzy optycznéj, porozrzucane przez wieki po greckich i arabskich księgach, i zbudował z nich gmach wspaniały, w którym myśl ludzka przez blisko cztery wieki mieszkała, gmach, którego sławny nawet *Kepler* nie śmiał jeszcze rozrzucić, lecz go tylko wyrestaurował i porozszerzał w wiekopomném swém dziele *paralipomena ad Vitellionem.* Jakim że więc był ów świat uczony i towarzyski w chwili, gdy Ciołek na nim wystąpił i jakie mógł w nim znaléść do swéj pracy składniki, jak ich szukał wśród ówczesnego chaotycznego zamętu i spożytkował, jak na kierunek późniejszego naukowego rozwoju podziałał, oto są pytania, nad którémi nam przedewszystkiém zastanowić się wypada, a za niemi dopiéro pójdzie opis samego dzieła, dziwnych jego kolei i usprawiedliwienie zarzutów, jakie uczonemu naszemu zrobiono.

Rzecz naturalna, że pan *Wituski* nie mógł sobie takich pytań stawiać, zapatrując się na Vitelliona z punktu widzenia naszéj polskiéj literatury wyłącznie. Uczony nasz był dla niéj zagadką, a *Wituski* rozwiązał ją w sposób niepozostawiający nic do życzenia, ale my chcemy pójść daléj; Ciołek bowiem nietylko do nas, lecz do całego świata naukowego należy. U nas stoi on odosobniony, tam zaś łączy się z ogólném naukowém dążeniem i świetném ogniwem spaja starożytność z nowożytnością; a jakkolwiek jest on i u nas na swoje czasy zadziwiającą osobistością, to staje się nią więcéj nierównie, gdy go na obszer-

niejszą przeniesiemy widownią, pomimo wszelkich błędów i usterek, jakie mu potomność wytknęła.

Ciołek urodził się około 1230 roku, a zatém na 150 lat blisko przed założeniem akademii krakowskiéj. Dzieło swoje napisał prawdopodobnie w Rzymie na polecenie przyjaciela swego i opiekuna brata, *Wilhelma z Morbety*, który około roku 1270 był spowiednikiem papieża Klemensa IV-go. Jemu też, jako swemu protektorowi, dzieło to przypisał, ponieważ zaś sił swoich poprzednio już był próbował na innych pracach, które do nas nie doszły, i ponieważ ta, o któréj mówimy, ogromnego wymagała zasobu wiedzy, jakiego w owych czasach nie można było nabyć tak łatwo, sądzić więc można, że gdy jéj dokonał musiał mićć lat około czterdziestu. I to téż właśnie posłużyło nam do oznaczenia mniéj więcéj daty jego urodzenia, znając datę urzędowania Morbety.

Na głównym tytule swojego dzieła autor pisze się *filius Thuringorum et Polonorum*, co nam wyraźnie dowodzi, że pochodził z rodziny niemieckiéj (Saskiéj), w Polsce już dawno osiadłéj, z nami zmięszanéj. Musiała ona zrość się z naszém społeczeństwem, skoro się chętnie i stale Vitellion do nas przyznaje, że zaś zespolenia takie nie dzieją się od razu, lecz powstają dopiéro ze zlania się krwi kilku pokoleń, nie możemy więc żadną miarą zgodzić się na domysł *Jodoka Willichiusa*, który twierdzi, że Vitellio pochodzi z tych turyngczyków, których z Niemiec sprowadzono w celu exploatowania nowo odkrytéj kopalni soli za *Bolesława Wstydliwego* w okolicach Krakowa. Najprzód samo odkrycie soli za sprawą królowéj *Kunegundy*, żony Bolesława, o które tu idzie, jest bajką, gdyż sól pod Krakowem daleko wcześniéj już wydobywano, a powtóre nie było potrzeby umyślnie górników niemieckich sprowadzać do Polski, gdyż my wówczas od Niemców staliśmy wyżéj w górnictwie, jak o tém *Łabęcki* nam świadczy. Nakoniec legenda o Kunegundzie odnosi się do czasu, w którym Ciołek musiał już żyć oddawna. Co zaś spowodowało przesiedlenie się przodków naszego autora do Polski, trudno jest oznaczyć, lecz emigracya niemiecka do nas była w owym czasie tak upowszechnioną i kraj cały tak bliski zniemczenia, że o pojedynczy przypadek nie wiele idzie. Czemu się tylko dziwić wypada, to chyba temu, że Ciołek, mając prawo na panującym niemal wówczas opiérać się żywiole, nie zapomina o swojém polskiém pochodzeniu. Dowodzi to wyraźnie, że rodzina jego była w Polsce zagnieździona na dobre, i temu też przypisać należy, że się nie podpisuje wprost *Turingo-Polonus*, ale filius Turingorum et Polonorum. Odwoływanie się do pochodzenia (filius) znamienuje także słowiański obyczaj, chociaż mógł go również przejąć od arabów w Hiszpanii, bo wszakże *Alhazen*, którego

naukowe losy ściśle z naszym Ciołkiem związały, pisze się także *Alhasen* syn *Alhaizena*. Zresztą co się Vitelliona dotyczé, to ten mógł miéć inny jeszcze powód obwieszczania swéj polskiéj narodowości, żył on bowiem we Włoszech, ocierał się bardzo blisko o dwór papieski, a było to podczas walk Hohenstaufów ze stolicą apostolską oraz Gwelfów z Gibelinami, wśród których germanizm w Rzymie nie wiele pewno popłacał. Ciołkowi mogło być więc bardzo na rękę przyznawanie się do swéj polskiéj ojczyzny, zwłaszcza że ta z powodu w owym właśnie czasie przypadającéj kanonizacyi Świętego Stanisława, któréj uczony nasz nie mógł być obcym, oraz wśród rodzących się zamiarów papieskiego nad Polską protektoriatu, na siebie baczną zwracała uwagę.

Miejsce urodzenia Ciołka w Polsce nie jest nam znane, wiémy tylko dokładnie, że leżało pod 50 stopniem szerokości geograficznéj: traktując bowiem o tém w swojéj księdze dziesiątéj (prop. 74), mówi nam wyraźnie—*in nostra terra, scilicet poloniae, habitabili, qua circe 50 graduum latitudinis posita*. Odnosiło by się to zatém do pasa ze wschodu od Sandomiérza, idącego przez Kraków aż po za Wrocław na zachód, gdyż ten wówczas do Polski jeszcze należał. Lecz w którym miejscu owa miejscowość się znajdowała wyśledzić nam niepodobna. Mówiąc wprawdzie o swoich obserwacyach wspomina o *Borku*, a *Sołtykiewicz* i *Wiszniewski*, obaj krakowiacy, odnosili to do wioseczki pod Krakowem, noszącéj dotąd owo nazwisko. Lecz tu wyraźne zaszła gruba pomyłka, gdyż ów folwark *Borek*, o którym nam Vitellion wspomina, znajdował się wyraźnie pod Wrocławiem a kto wié nawet, czy to nie był tylko zwyczajny lasek miejski z karczemką, zwykłe miejsce przechadzek po polsku *Borkiem* nazwane.

W księdze IV prop. 28, Ciołek, mówiąc o małych przedmiotach bliskich, które nam niekiedy większemi się być zdają od przedmiotów dużych a odległych, wyraża się w sposób następujący: „Przy niezwykłém oświetleniu, gdy w nocy lub o zmroku światło jest wątpliwe, jeżeli widzimy człowieka, a zarazem las lub ścianę oddaloną za nim, gdy nie można już rozeznać odległości dzielącéj ich od siebie, chociaż ta może być znaczna, to zdawać się nam może, że las i człowiek tuż przy sobie stoją. Jeżeli wtedy promień, idący od głowy człowieka, dotyka także i wierzchołku lasu, to las i człowiek wydadzą nam się jednako wysokiemi, gdyż pod jednym kątem będą widzianemi; a nawet człowiek może się okazać wyższym od lasu, jeżeli promień od jego głowy idący nad wierzch lasu przechodzi. Coś podobnego widziéć się zdarza pod miastem *Wrocławiem*, przy gaju, należącym do folwarku *Borek*. Ludzie o zmierzchu wydają się tam jak gdyby od owego wysokiego lasu byli wyższymi, a widziano na-

wet wilka pomiędzy drzewami a polskim obozem, tak wysokiego jak las. To tylko zdarza się o zmroku.“ Ustęp ten, na który właśnie powołuje się Wiszniewski, świadczy nam dowodnie, że o *Borku* pod Krakowem wcale mowy nie ma, i omyłkę szanownego historyka naszéj literatury tém tylko można objaśnić, że ufając *Sołtykiewiczowi* sam Ciołka nie czytał.

Co się jego łacińskiego nazwiska dotyczé, to takowe bywało dwojakie, Vitello albo Vitellion. Jest ono wyraźnie przetłómaczonem na język łaciński z nazwiska prawdziwego, według ówczesnego, między uczonymi zwyczaju, który długo jeszcze potém panował. Wszakże *Klonowicz* przezwał się Acernusem, *Długosz* Longinem, *Słoiński* Statoriuszem, *Descartes* Cartesiusem i t. d. Była to rzecz prosta, łacina bowiem była ogólnym piśmienniczym językiem, myślano po łacinie, a więc i przezywano się po rzymsku. Autor nasz nazwał się zapewne *Vitellius*, bo tak się téż nazywała można u nas rodzina *Ciołków*, a przez pobyt we Włoszech nazwa zmieniła się na Vitellio, jak *Claudius* na Claudio, *Ascanius* na Ascanio i t. p. Ale czy pierwotnie nazywał się Ciołkiem, jak go dziś nazywamy, na to brak nam wszelkich dowodów. Mógł się nazywać *Kalbem*, jeżeli z niemieckiéj pochodził rodziny, co nie ubliża wcale jego polskiéj narodowości, do któréj się poczuwa, tak jak nazwisko przybyłego do nas w owych czasach duńczyka *Dunina* nie przeszkodziło wcale do uznania jego potomstwa za naszych współobywateli.

Ludzi znakomitych imienia Ciołków było u nas wielu, a nawet spółcześnie z naszym autorem żył *Jędrzéj Ciołek*, mąż uczony, który od r. 1255 do 1260 był biskupem płockim. Pisał on się *Vitellius*, a *Korotyński* w swéj krótkiéj Ciołka biografii, w r. 1867 ogłoszonéj w „Gazecie Warszawskiéj,“ rzuca pytanie czy to nie był przypadkiem, przy schyłku życia, nasz autor, bo że i ten musiał być duchownym jest bardzo podobne do prawdy, a być bardzo może, że za swe zasługi biskupstwem został wynagrodzony, przy potężnéj u dworu Rzymskiego protekcyi.

W jaki sposób naszemu matematykowi upłynęła młodość i w jaki sposób przygotowywał się do swego świetnego zawodu nie jest nam również wiadomo, lecz możemy powziąć o tém wyobrażenie, przyglądając się bliżéj jego epoce.

Jeśli się o 600 lat z górą od dzisiejszéj daty w dziejach naszych cofniemy, to znajdziemy, że kraj nasz, rozciągający się wówczas głównie od Odry za Wisłę i od Karpat po morze Bałtyckie, stanowił ogromną puszczę, w największéj części pokrytą dziewiczym lasem, bagnami i piaszczystemi wydmami, wśród których wiło się mnóstwo rzek i strumieni z nieustalonemi jeszcze brzegami, a te były

głównemi w kraju komunikacyjnemi traktami. Kto chce o téj puszczy dokładne powziąć wyobrażenie niechaj się na obraz zapatrzy, jaki nam jéj przedstawia *Szajnocha* we wstępie swego znakomitego dzieła *Jadwiga i Jagiełło*, a obraz ten wydawać nam się pewnie będzie jeszcze posępniéj, jeżeli się myślą o półtora wieku po za Jagełłę cofniemy aż do owéj epoki, która nas tutaj zajmuje. Po téj puszczy rozsiane były zrzadka sioła, folwarki, obronne zamki, miasta i klasztory, zdala od siebie leżące i tylko z sobą połączone siecią ścieżek wydeptanych śród bagien i lasów. Kilkadziesiąt osad kmiecych, blisko siebie leżących, stanowiło małą rzecz pospolitą, którą zwano *Opolem*, rządzącą się prawem obyczajowém, mającą na czele obieralnego Opolnika, swe ławnicze sądownictwo i swą administracyą. Pomiędzy wolnemi kmieciami opolowemi zaczynały już wówczas powstawać pańskie folwarki orężnéj szlachty, z swoją poddańczą w jasyr na wojnie zabraną ludnością, które miały póżniéj zgnębić Opola, prawem mocniejszego, na rzecz szlacheckiéj Oligarchii. I w owym czasie ucisk już wielostronnie je gnębił; Opola bowiem opłacały się księciu, szlacheckim nadaniom, oraz duchowieństwu świeckiemu i klasztornemu, ciągnącemu z nich świętopietrza i dziesięciny.

Oprócz tych dwóch klas ludności istniała jeszcze i trzecia, która była w owych czasach tém samém u nas, czém są dziś żydzi, gdyż tych jeszcze nie było. Stanowili ją Niemcy ze wszech stron do nas się cisnący, gdyż ów *Drang nach Osten* dzisiejszych *Kulturtregerów* nie od dziś pochodzi. Pomiędzy sielską, folwarczną i kmiecą ludnością, osiadali tysiącami w miastach i miasteczkach obcy przybysze, za protekcyą cudzoziemskiego duchowieństwa, klasztorów i zniemczałych panów, przynosili z sobą swe prawo i swój *Vaterland* i tak się szeroko zaczynali rozsiadać, że gdyby nie szczęśliwe późniejsze krajowe zdarzenia, bylibyśmy niezawodnie temu samemu ulegli losowi, jakiemu uległy *Pomorze*, *Szląsk* i *Prussy*. Powody téj niemieckiéj immigracyi były kilkorakie. I tak na początku XIII stulecia straszne spustoszenie wywołane okropnemi morskiemi burzami w Holandyi wygnały z niéj tysiące ludzi. Wiadomo, że dzisiejsze *Zuidersee* było przedtém małém tylko śródziemném jeziorem, przez Rzymian *Flevo* nazwaném, ocean zaś przedarłszy wąski pas lądu, po którym dzisiejszy szereg wysp północnych pozostał, złączywszy się z owém jeziorem, zalał mnóstwo wsi i miast, których szczątki dotąd jeszcze w głębiach widnieją. Ludność ich rozsypała się po okolicznych krajach, a nie mogąc znaleść wyżywienia na jałowych torfach i piaskach dzisiejszych północnych Niemiec, trapionych ogniem i mieczem rozbójniczych baronów, oparła się w części aż na naszych nadwiślańskich

niwach, które ją tak samo, jak wkrótce potém żydów, gościnnie przyjęły. Stąd powstały pierwotne osady Holendrów czyli *Olendrów*, trudniące się mianowicie pasterstwem, hodowlą bydła i nabiałem, a za niemi posypały się tłumy innych niemieckich osadników. Ważnym także powodem, choć nieco późniéj, téj do nas niemieckiéj immigracyi było wyludnienie kraju, przez zjawiające się w owym czasie po raz pierwszy u nas napady Tatarów. Otwiérały one wrota cudzoziemcom znajdującym obfite, już wykarczowane i użyzniane grunta oraz siedziby pustkami stojące. — Klasztory, które w owéj epoce tak zakładano obficie, były również cudzoziemskiemi forpocztami, wysuwającemi się na naszę ziemię, około których się obca ludność zbiérała, gdyż i owo niemieckie przysłowie *aus Pohlen kann man sich was hohlen* nie jest téż także nowożytnym wymysłem. Mnichów sprowadzano z zagranicy, stawiano dla nich pałace, nadawano im grunta i przywileje, kazano im się modlić za grzechy fundatorów. Klasztory tym sposobem powstałe zaludniały się przez długi czas następnie samymi niemal cudzoziemcami, którzy naturalnie krajowców trzymali w oddali, a co gorsza, że fundacye niektórych klasztorów zastrzegały wstęp do nich samym tylko cudzoziemcom. Jeżeli we Francyi Cystersi np. ważne bardzo krajowi oddawali usługi, będąc z nim zespolonymi, to u nas do tego stopnia zależeli pole, że trzeba ich było z niektórych klasztorów rugować i czynniejszym Benedyktynom takowe oddawać. Lecz niedosyć na tém, gdyż ojcowie na swoje grunta sprowadzali bandami swych ziomków i takowe niemi obsadzali na prawie lenném. Stąd przy ich siedzibach potworzyły się cudzoziemskie osady, organizujące się po swojemu i wyjęte z pod krajowéj władzy. Klasztory we Francyi i w Niemczech były zgromadzeniem ludzi światłych i pracowitych, pragnących usunąć się od świata i żyć dla wiary, oświaty i dobroczynności, były koniecznym wynikiem stosunków społecznych i wytwarzały się pod naciskiem ciągłych wojen i opłakanych spraw politycznych; u nas zaś były to steki zagranicznych próżniaków, niczém niepołączonych z naszą społecznością, żyjących jéj kosztem i nawet pracujących na jéj szkodę, a stosunek ten trwał na nieszczęście przez większą połowę czasów piastowskich, i dopiéro późniéj się zmienił, z rozwojem ogólnéj inteligencyi, gdy duchowieństwo narodowe zyskało przewagę i szlachta w klasztorach zaczęła szukać przytułku.

Miasta nasze niezaludnione były jeszcze, jak później, żydami, ale owe steki handlu i przemysłu były wyłącznie wówczas niemieckie. Ludność krajowa, stosunkowo za szczupła do obszaru ziemi, znajdowała w polowaniu, rybołóstwie, pszczelnictwie i powoli dźwigającém się rolnictwie dostateczne pożywienie i nie potrzebowała

się do miejskiego kunsztu uciekać. Zostawiała go zatém przybyszom, którzy się w swoich rozpanoszali siedzibach na zasadach Magdeburskiego prawa, usuwając się ile tylko się dało z pod panowania władzy krajowéj. Przeciwieństwo między wsią a miastem, wszędzie gdzieindziéj z powodu zatrudnień i sposobu życia uderzające, u nas było jeszcze większe z powodu narodowości, a temu cudzoziemskiemu miast naszych zakrojowi zawdzięczamy zapewne, że one nigdy nie rozwinęły się u nas do stopnia poważnego politycznego czynnika, na przekor temu, co wszędzie na zachodzie Europy się stało. I nasz téż Ciołek był prawdopodobnie mieszczaninem, a właśnie dla tego sądzimy, że nieświeżéj daty, gdyż się do naszéj chociaż w połowie przyznawał narodowości.

Żywioł niemiecki, protegowany i wielkiego w kraju używający kredytu, tak był już w owym czasie żywioł krajowy oskrzydlił i zgnębił, iż trzeba było niemałego do ziemi rodzinnéj przywiązania, ażeby się do niéj poczuwać. Przywiązanie takowe wysysa się tylko z piersi matki i utwierdza się w sercu przez młodociane wrażenia. Matką naszego uczonego musiała być Polka, a jego młodość musiała być taką, jak *Chopina* lub *Pola*, do których się ani francuzi, ani niemcy przyznać nie mogą.

Pragnąc głębiéj jeszcze wniknąć w położenie Ciołka, musimy zwrócić uwagę na stosunek ówczesny u nas władzy duchownéj do świeckiéj, gdyż ten nietylko we wszystkie sprawy publiczne, lecz i w najprywatniejsze nawet przenikał. Ciołek urodził się podczas małoletności Bolesława Wstydliwego, w najsmutniejszéj dziejów piastowskich epoce. Było to już w 100 lat przeszło po najnieszczęśliwszym podziale kraju przez *Krzywoustego*, gdy sama tylko krakowska dzielnica trafem pozostała w całości, a trzy inne, Szląska, Wielkopolska i Mazowiecka, rozpadły się na 12 małych książtewek. Dwanaście więc niedołężnych i biédnych okruchów z wielkiego i potężnego niegdyś państwa, a każda z nich usiłowała się kosztem sąsiada wzmocnić i wzbogacić, bo nędza sięgała do tego stopnia, że niektórzy z prawnuków wielkiego pradziada żyli niemal z jałmużny, wyżebranéj u własnych poddanych, lub rozbijali na publicznych drogach, jak np. Bolesław, zwany *rogatym* czyli *rogatką*, książę Lignicy. Każdy z tych władców trzymał zgraję zbrojną przy sobie i najeżdżał swego krewniaka sąsiada o zameczek lub kawałek puszczy. Każdy wyciskał co mógł ze swego kraiku, przedawał przywileje i swoim poplecznikom rozdawał grunta, aby sobie ich pięście zaskarbić. I któż policzy owe wszystkie w owym czasie boje, napady, podstępy, spiski, zdrady i swawolne potyczki, w których po kilkuset jeźdzców zbrojną stanowiło siłę i roztrzygało o losach tronów. Niekiedy

przychodziło dawać w zastawy rozległe włości za długi, niekiedy brać w zasadzkę sąsiada, lub jakiego biskupa, i trzymać go w lochu dopóki z niego nie ściągnęło się okupu, a w sprawach takich przodawała szląska książęca szajka, nęcona przykładem niemieckich i czeskich baronów. Kto pragnie przykładu, niechaj się rozpatrzy w dziełach takiego np. niegodziwca, jakim był *Konrad*, książę mazowiecki, przezwany *diabłem*, któremu osadzenie krzyżaków Polska zawdzięcza, takiego zucha, jakim był syn jego *Mieczysław* Kujawski, lub jego braciszek *Kaźmierz*, który złupił własnego ojca z Sieradza i Łęczycy a ociemniałego wtrącił do więzienia; lub nakoniec owego *Henryka Rogatki*, chodzącego o żebraczym kiju po swych własnych włościach, co mu jednak nie przeszkadzało wcale mordować i palić dla żartu, gdy sobie podchmielił. Rzecz dziwna, że majestat panującego stał wówczas tak jeszcze wysoko, iż wolę jego na oślep wykonywano. Kto o owych ludziach oraz o ich sprawach chce powziąć wyobrażenie, niechaj się rozczyta w sporach o *Łędę* nad Wartą, o którą, jak o drugą Troję, przez lat 10 z górą toczono boje, pomimo strasznych napadów tatarskich. Jest to rzeczywiście przedmiot do powieści, w którym zapamiętałość, cynizm, wpół dziki egoizm i zaślepienie wszelkie pomijają względy i w całéj nagości przedstawiają moralne upośledzenie przodujących klas w narodzie owego czasu. Rzadko bardzo badacz spotka się tutaj z przykładami cnoty, godności osobistéj i rzeczywistéj bogobojności, ale za to, jakby jaskrawe sprzeciwieństwo, występuje na scenę ascetyzm, uchodzący za świętobliwość, i rozpaczliwa skrucha za zbrodnie z obawy na pośmiertne katusze. Takich ludzi odzianych we włosiennicę zwano pobożnemi, a nawet takich, jak np. *Henryk* Wrocłaski, który ową bogobojność uwydatnił przez to, iż wyrzekał się towarzystwa swojéj żony Ś-téj Jadwigi, że zaparł się noszenia klejnotów i bogatych strojów, że zapuścił brodę i chodził w płóciennym chałacie. *Przemysław* Wielkopolski zaparł się za grzechy miodu i łaźni, ale za to pijał wino i piwo, w czasie postu chodził we włosiennicy i po nocach śpiéwał godzinki. Odsunięcie się Bolesława Wstydliwego od małżeńskiego łoża miało być także nie małą przed Bogiem zasługą, ale na skandal, jaki spowodowało, nikt nie uważał. Włosiennica, pielgrzymki do miejsc cudownych boso i ze sznurem u szyi, otarcie się o święte relikwie, a wreszcie ufundowanie klasztoru dla cudzoziemskich mnichów, uwalniało sumienie od wszelkich wyrzutów, a potępionego przywracało do czci i nawet ściągało nań błogosławieństwo. Kobiéty posuwały pobożność aż do kanonicznéj świątobliwości, stąd owa znaczna ilość świętych niewiast, jakiemi szczyci się piastowska rodzina, a przyznać należy, że ich wpływ najsilniejszym był może ha-

mulcem rozkiełznania ówczesnych pojęć i obyczajów. Były to może jedyne anioły, wśród owéj książęcych opryszków zgrai, i najdzielniejsze owego smutnego czasu moralne czynniki.

Jedyną silnie uorganizowaną ówczesną władzę stanowiło duchowieństwo. Długi czas po, przyjściu chrześciańskiéj religii było ono prawie wyłącznie cudzoziemskiém, a głównie Czeskiém, późniéj dopiéro do episkopatu zaczęli wchodzić krajowcy ze szlachty, ogromnie już w ówczas zniemczałéj za przykładem panujących książąt. Duchowieństwo ówczesne nie wiązało się wcale narodowością, było wyłącznie sługą kościoła i od jego głowy otrzymywało natchnienia. Że zaś było panem ogromnych włości, któremi bez udziału władzy książęcéj rządziło, a włości te były jeszcze nadaniami klasztornemi zwiększone, że pobiérało dziesięciny i święto-pietrza i władało klątwą kościelną, trzymającą w rygorze wszelkie nieposłuszeństwo, władza przeto jego była ogromną. Za wielkich Bolesławów była ona jeszcze przyzwoicie przez władzę świecką zrównoważona, znakomici bowiem ci monarchowie umieli godzić powagę swego majestatu z należną czcią dla kościoła, ale po nieszczęśliwym podziale *Krzywoustego*, z postępowym upadkiem tronu, władza pastorału wzmagała się stopniowo. W epoce dzieciństwa naszego Ciołka rzeczy doszły już były niemal do ostateczności i w niejednéj dyecezyi było czasem po trzech znikczemniałych i zbiedniałych książąt, ciągle kłucących się z duchowieństwem, to o podatki, to o włości, a zwady te kończyły się najczęściéj z jednéj strony najazdem, a z drugiéj—wyklęciem. Że w takim rzeczy porządku, znacznie podupaść musiał wpływ moralny biskupów, jako stróżów moralnego porządku, samo się przez się rozumié. Na klątwę odpowiadano schwytaniem Arcypasterza i osadzeniem go w jakim warownym zamku, dopóki się nie okupił, a ten znów, szukając po uwolnieniu się z więzów odwetu, skazywał winowajcę na podróż boso, z powrozem na szyi, do stolicy biskupiéj w celu uzyskania odpustu. Była to kara kościelna bardzo wówczas rozpowszechniona, a jeżeli przed 100 z górą laty cesarz *Henryk IV* musiał przedzierać się zimą przez Alpy piechotą i potém trzy dni boso, we włosiennicy, stać przy bramie w *Canossa* zanim się papież *Grzegorz VII* pozwolił przebłagać, to obecnie gdy władza świecka w samém nawet Cesarstwie była zdeptaną, chude polskie książątka, bardzo zresztą często zasługujące na duchowną chłostę, znosić ją często musieli. Arcybiskup Gnieźnieński był ówczas rzeczywistym kraju całego władcą, a jakiego używali kredytu jego podwładni biskupi najlepszym dowodem sprawa *Bolesława Śmiałego* wyklętego przez *Stanisława Szczepanowskiega*, złożenie z tronu *Mieczysława Starego* przez *Gedeona*, biskupa krakowskiego, oraz

nikczemne matactwa jego następcy *Pawła* z Przemankowa, które, kto wié, czy nie więcéj były dla kraju opłakanemi, od współczesnych najazdów tatarskich. Lecz najsmutniejszym wynikiem klerykalnych wpływów było zwabienie około tego czasu Krzyżaków za sprawą owego *Konrada diabła*. Potwór ten, zamordowawszy swego wojewodę *Krystyna* i kanclerza *Czaplę*, którego za namową swéj żony *Aspazyi* z grobu jeszcze wywlec i na pal wbić kazał, gdy się już sam nie mógł od najazdów pruskiego pogaństwa obronić, za sprawą duchowieństwa rzucił się w objęcia zakonu, wśród nieustannych zdrad i knowań przeciw własnemu synowi, a mianowicie przeciw małoletniemu *Bolesławowi Wstydliwemu*, o którego opiekę wraz z owym świętym *Henrykiem Brodatym* walczył o lepsze siłą i podstępem. Gdy zakon krzyżaków po ukończeniu wojen krzyżowych stracił racyą bytu, a chcąc go utrzymać potrzeba było poszukać mu innego zajęcia, korzystając z zaślepienia mazowieckiego intryganta, Cesarz i Papież poszli tą razą ręka w rękę z sobą i ulokowali nad Bałtykiem mnichów wojaków. Każdy spodziéwał się mieć w nich wygodne dla swych widoków narzędzie, gdy tymczasem ów zbiór niemieckich awanturników pomyślał o sobie i ciężko zaważył na losach kraju, który mu swoje gościnne otworzył progi. W czasie, który nas tu obchodzi, Ojcowie—żołnierze występowali jeszcze jako poczynający, byli bardzo skromni i dla tego tylko o nich wspominamy, że nam to nasze współczesne z Rzymem stosunki rozświeca, gdyż się tam niebawem z naszym Vitellionem znajdziemy.

Zapatrując się na ten szkic ogólny ówczesnych spraw krajowych, znajdujemy w nim rozkiełznanie wszystkich stosunków. Na dole walkę wolnego Opola z niewolnictwem i feudalizmem, walkę protegowanego niemieckiego przybysza z elementem swojskim; w wyższych zaś rządzących sferach widzimy bezwstyd i zepsucie, powleczone modnym zagranicznym obyczajem, znikczemnienie a nawet spodlenie i dziwną mięszaninę ascetyzmu z rozpustą. Nakoniec walkę władzy świeckiéj z władzą duchowną, jak gdyby wśród tych chaotycznych ruchów nie było żadnego poczucia towarzyskiego porządku, a nawet, jak mówi *Szajnocha*, harmonii w ludzkich umysłach. Lecz tego wszystkiego nie było dość jeszcze, gdyż przybywają tu nadto zewnętrzne udręczenia, z zachodu germańskie zachcianki w celu zagrabienia kraju, a ze wschodu częste napady Tatarów, Litwy, Rusi i Jadzwierzy.

Od wieków zachodni sąsiedzi nasi wyrobili w sobie to przekonanie, że narody sławiańskie dla ich muszą żyć wygody, a nawet winne im miejsca ustąpić, gdy im w domu będzie za ciasno. Przekonanie takie trwa dotąd jeszcze, a w czasach, o których mówimy, było

żywszém nierównie, zwłaszcza, że zostało poparte instniejącém powodzeniem, a kto wié nawet, czy zaborcza germańska polityka nie byłaby doprowadziła Polski do zupełnéj zagłady, gdyby interes papieski nie był jaskrawo wystąpił przeciw intrygom Cesarzy i dziejowa opatrzność nie była nam zesłała kilku znakomitych mężów, do podźwignięcia z toni ostatkiem goniącego narodu.

Tłoczenie się germanizmu na wschód jest cechą charakteryzującą wszystkie nasze polityczne z zachodem stosunki, nie mamy téż potrzeby rozpisywać się o tém; nadmienić jednak wypada, że w czasie, o którym mówimy, nader pomyślna do wszelkich działań w tym kierunku nadawała się pora. Nieszczęsny podział kraju, dokonany przed 100 przeszło laty przez *Krzywoustego*, w samym, zaraz początku był brzemiennym burzami. Najstarszy z jego synów, *Władysław* II ożeniony z *Agnieszką*, siostrą *Konrada III* Cesarza, zaraz po śmierci ojca wygnał swych braci z ich dzielnic, a gdy lud oburzony stanął w ich obronie *Barbarossa*, upominając się za krewniakami, najechał Polskę, pokonał *Bolesława Kędzierzawego*, zmusił go do hołdu i do odstąpienia trzem synom Władysława, Szląska, który na trzy rozdzielono księstwa. Odtąd wpływy niemieckie rozsiadły się szeroko w tym kraju. Piastowie Szląscy trzymali się początkowo Polski, ale potém zniemczywszy się przez familijne związki zaludnili niemieckim napływem kraj, niszczony przez nieustanne domowe niesnaski. Przez odpadnięcie Szląska utraciliśmy cały wpływ na słowiańszczyznę zachodnią między Odrą i Elbą, na którą rzucili się Niemcy, jak na łatwą zdobycz, a w Dobrzyńskiéj ziemi nad Wisłą osadzili Krzyżaków. Współcześnie z nimi osadzono w Inflantach zakon *kawalerów mieczowych*, a oba zakony po za naszemi plecami rzucały fundamenty pod nowe państwo, mające nas w przyszłości oskrzydlić i odciąć od morza. Tak stały rzeczy w latach młodości Ciołka. Niemczyzna do któréj on się przyznaje wkradała się do Polski wszystkiemi porami, przez miasta jéj główne ogniska, z całym swoim przyborem rzemieślniczych cechów i swém prawem miejskiém, które czyniło je prawniczo-zależnemi od najwyższego sądu w Magdeburgu rezydującego; przez klasztory i duchowieństwo, fundujące coraz nowe i coraz liczniejsze w swych dobrach niemieckie osady; przez dwory otaczające się liczną zagraniczną zgrają i szukające z niemieckiemi dworami skojarzeń; przez dworski niemiecki obyczaj a nakoniec przez cywilizacyą, która o tyle o ile się wyrabiała zewnątrz kraju naszego, w ów czas dochodziła do nas niemieckim prądem. Najwybitniejszymi przedstawicielami tego kierunku byli właśnie książęta Szlązcy, których powoływały kilkakrotnie do tronu historyczne losy, a byli nimi za czasów, o których mówimy, *Henryk* brodaty i jego żona

Ś-ta Jadwiga, później *Henryk probus* (*der milde Fürst*), poeta niemiecki, który już nawet po polsku nie umiał, *Władysław Czeski* smutnéj pamięci itp. Dla czego Ś-ta Jadwiga, która była księżniczką niemiecką, panowała w zniemczałym już Wrocławiu i główną była niemców Orędowniczką, za patronkę korony polskiéj została uznaną, trudno rzeczywiście pojąć. Szczęściem tylko, że wspominając o niéj nie mamy nigdy na myśli owéj ascetycznéj mniszki, zamkniętéj przez lat 30 w niemieckim klasztorze w *Freibergu*, lecz naszę cnotliwą pełnéj poświęcenia i wdzięku młodą królowę, która umiała zrobić ofiarę ze swej miłości i swego życia, oddając swą rękę staremu i półdzikiemu Jagielle, i właśnie nas z owych wybawiła szponów, w jakie wtrącała nas święta, ale nie dla nas, jéj imienniczka.—*Bolesław* Wstydliwy, panujący właśnie za czasów naszego *Ciołka*, był wychowańcem *Henryka* Brodatego i Ś-téj *Jadwigi* i cała jego młodość upłynęła na krwawych sporach o opiekę nad nim między dwoma jego opiekunami, *Henrykiem* i *Konradem* Mazowieckim, z których pierwszy, jakby legendowo anielski, a drugi diabelski przedstawiał charakter. W skutek tych kolei rzeczy wpływy niemieckie w Polsce tak się rozwielmożniły pod 50° szerokości geograficznéj, iż samemu Vitellionowi mogło przyjść nie łatwo zdeterminowanie czém był rzeczywiście, Polakiem czy Niemcem, i za złe poczytać mu niepodobna, że chociaż na naszéj urodzony ziemi synem się Turyngczyków i Polaków nazywa.

Do wszystkich klęsk i nieszczęść, jakie otaczały kolebkę naszego Vitelliona i w młodości go prześladowały, przyczynić się mógł również niemało przestrach, spowodowany przez trzęsienia ziemi, należące u nas do nadzwyczajnych rzadkości przez głodowe lata, i rozliczne długo ponawiające się meteoryczne klęski, które wiek ów zabobonny za bezpośredni objaw gniewu Bożego uważał. Stąd téż powstało mnóstwo pokutników przebiegających bandami po kraju, obnażonych do pasa i biczujących się publicznie, śpiewając pobożne litanie. Bandy takie, także ze Szląska przybywające i zwiększone mnóstwem miejscowych awanturników, dopuszczały się najokropniejszych nadużyć, tak że miasto Kraków, pomimo ich wrzekoméj świątobliwości, musiało z nich przemocą swe mury oczyszczać. Największą jednak klęską były ówczesne napady tatarskie, po raz pierwszy wówczas zjawiające się u nas. Nieznany ten naród, który miał odtąd peryodycznie u nas prawie co lat 20 swemi napadami pustoszyć, rozrodziwszy się na płaskowzgórzach środkowéj Azyi, pod wodzą strasznéj pamięci *Gingishana* ruszył na zachód, zajął brzegi Wołgi, zawojował Ruś całą, korzystając z niemocy kraju również, jak nasz, rozdzielonego między potomków *Włodzimierzowych*, i dwoma poto-

kami jakby gorejącéj lawy zalał Polskę i Węgry. Nie pomógł nic bohatérski opór pod Lignicą syna Ś-téj Jadwigi, *Henryka*, pomimo, że go swém życiem przepłacił; dzicz spustoszyła kraj cały i cofnęła się wtedy dopiéro, gdy już nic było co niszczyć, nabrawszy łupu i niewolnika do syta. W lat 20 póżniéj czerń pojawiła się znowu, zdobyła i splądrowała Sandomiérz, w pień wycięła jego mieszkańców, zabrała i spaliła Kraków, ale to działo się w r. 1260, gdy już prawdopodobnie nasz *Ciołek* był w Rzymie.

Ponieważ każdy człowiek jest dzieckiem swojego czasu, staraliśmy się przeto skréślić pokrótce obraz owych lat 20, w których się nasz uczony mógł wychować, ażeby okazać jakie wpływy otaczały umysł młodzieńca i w jaki sposób mogły go usposobić do jego dalszych przeznaczeń. Otóż przyznać wypada, że wpływy te były jak najniefortunniejsze i wprost prawie przeciwne rozwojowi wszelkiego naukowego polotu, w takim nawet razie gdyby społeczeństwo ówczesne nasze większe stokrotnie posiadało zasoby wiedzy, jakiemi rzeczywiście rozporządzało. Zauważyć musimy, że Ciołek w swojém pomnikowém dziele przedstawia nam się bardzo poważnie i zdradza umysł trzeźwy, głęboki i bardzo wyrobiony przez uprzednią naukową pracę. Na swoje czasy był on znakomitym matematykiem, musiał znać, oprócz języków polskiego i niemieckiego, dokładnie arabski i łaciński a może i grecki. Nie wyrażał się wprawdzie po Cycerońsku, znać w nim jednak ogładę, łatwość, spokój i wielką logiczność w przedstawianiu rzeczy. Mógł on wprawdzie bardzo młodo kraj nasz opuścić i wykształcić się we Włoszech, lecz zawsze przecięż musiał z niego coś wynieść, co odpowiadało jego przyszłym życia kolejom. Wychowanie publiczne stało u nas wówczas na bardzo niskim stopniu. Były wprawdzie tu i owdzie szkoły przy klasztorach i parafiach, przy katedrach biskupich, coś nakształt seminaryów duchownych, lecz tam oprócz kuchennéj łaciny i pierwszych zasad teologii, prawie niczego nie uczono więcéj, a i tym nawet trudno się było systematycznie oddawać wśród ciężkich ówczesnych przygód krajowych. W trzynastém stuleciu poczynał się wprawdzie pewien ruch naukowy we Francyi i Włoszech, istniał już bowiem Uniwersytet w Paryżu, w Bolonii, a chociaż pierwszy prawie wyłącznie zatrudniał się naukami teologicznemi, a drugi prawnemi, to jednak matematyką, astronomią i naukami przyrodniczemi (artes) poczynano się już zajmować, jakkolwiek takowe nie stanowiły jeszcze samodzielnych odrębności, lecz były splątane z filozofią, ową ogólną wiedzy, w starożytności i w średnich wiekach, skarbnicą. Owóż przy ówczesnych naszych związkach z Rzymem, za przewodnictwem duchowieństwa wprost zależnego od Stolicy Apostolskiéj, oraz przy

stosunkach z Francyą przez Cystersów i Benedyktynów u nas osiedlonych, a mających także główne swe klasztory, mogły do nas okruchy świeckiéj wiedzy się dostawać i w niejednéj głowie kiełkować. Tym sposobem uwaga Ciołka mogła być zwrócona na przyrodnicze fakta, które go zaciekawiły, kładąc mu zajmujące do rozwiązania zagadki. Wszakże to, co zmysłem obserwacyjnym zowiemy, nie jest wcale późniejszych lat owocem, lecz nabywa się niemal w dzieciństwie; z tym darem trzeba się niemal urodzić, a jeżeli go w Ciołku późniejsza poniekąd przygłuszyła nauka, to kiełkował on w nim bezwątpienia na naszéj ziemi, jak tego dowodzi owo powyżéj zacytowane postrzeżenie pod Borkiem. Idąc za granicę, szedł on już za wytkniętym sobie instynktowym kierunkiem, tak jak niejeden, który w dzieciństwie węglem na ścianie rysował, nie widzi potém niczego na obczyźnie innego prócz sztuki i powraca jako artysta do domowéj zagrody.

Wystawiam sobie Ciołka jako słabowitego młodzieńca o rzeźkim polocie umysłu, niemającego ochoty ani do wojaczki, ani do dworowania pięknym paniom i rozpustnym ówczesnym pankom, ani do rzemiosła lub kramu czy to w Krakowie, czy téż we Wrocławiu. Rodzice przepowiadali mu zapewne, że nic z niego nie będzie, gdy chodził zadumany po polach, przypatrując się jak słońce wschodzi, jak gwiazdy zapadają pod poziom, jak księżyc w pełni ogromny na horyzoncie przy zenicie maleje, jak się tęcza różnobarwnie po niebie roztacza, jak się lasy przeglądają w stojących wodach, jak się nogi człowieka wydają krzywemi, gdy w nią po kolana wejdzie i wszystkie te sobie miarkował dziwy. Na artystę w zarodku wszystko to byłoby podziałało inaczéj, ale w umyśle z matematycznym zakrojem, musiało zrodzić się pytanie, co to wszystko znaczy? Gdyby Ciołek nie od tego był zaczął, gdyby go nie była zaciekawiła tych i tym podobnych zjawisk przyczyna, gdyby jaki stary pargamin w samotnéj klasztornéj celi był najprzód zwrócił jego uwagę, to byłby przez pryzmat *Aristotelesa* bożemu przypatrywał się światu jak to wszyscy wówczas i przez trzy wieki potém jeszcze robili, własnym oczom nie wierząc. Że Ciołek był następnie duchownym, bardzo jest prawdopobne, gdyż najprzód dla ludzi nauki nie było wówczas innego stanowiska na świecie, a potém, że jego bliskie stosunki z *Morbeką*, spowiednikiem papieskim, zdają się głośno za tém przemawiać. Jako młodzieniec bystry, pracowity i zapewne już więcéj wykształcony od swych rówienników mógł łatwo być używany jako sekretarz i posłannik w stosunkach, między duchownymi dygnitarzami, a wszedłszy raz na tę drogę mógł łatwo do Włoch się dostać, zwłaszcza że w owym czasie toczyła się negocyacya niesłychanéj dla ducho-

wieństwa naszego wagi o kanonizacyą Ś-go Stanisława, która jak wiadomo, w r. 1248 przyszła do skutku.

Ohydne zabójstwo biskupa przy ołtarzu na Skałce, popełnione przed 168 latami przez rozwścieczonego słusznemi napomnieniami *Bolesława Śmiałego*, opłakane na społeczeństwo nasze ściągnęło następstwa i kamieniem ciężyło na sumieniu narodu. Klątwa przez *Grzegorza VII* była rzucona nietylko na samego przestępcę, lecz i na całe społeczeństwo nasze i pociągnęła za sobą utratę godności królewskiéj, która i tak już przez Rzym była zakwestyonowaną z powodu, że ją *Chrobremu* nadał Cesarz, a nie Papież. Naprożno następnie synowiec *Śmiałego*, Krzywousty, dzielnością swego oręża dawny blask świeckiéj władzy przywrócił, bo jakby pod wpływem owego nad krajem ciążącego przekleństwa, wszelkie jego usiłowania przez podział na raz zmarniały, gruntując na dwa wieki nierząd, który nas nad brzegiem przepaści postawił. Że ogólném ówczesném zdaniem wszystkie te klęski przypisywano morderstwu *Stanisława*, łatwo tedy pojąć można, że i władza duchowna umiała z tego przekonania korzystać, nie mniéj da się zrozumiéć. Lecz były tu jeszcze inne okoliczności wielkiéj politycznéj wagi, a te kanonizacyą, o którą oddawna już się upominano na pierwszym niejako planie stawiały.

Pomnijmy, że właśnie jesteśmy w téj dziejowéj chwili, w któréj władza Papieska, zgnębiwszy Hohenstaufów w osobie *Fryderyka II* Cesarza, upokorzyła Niemcy i rzuciła je w bezrząd i nieład, równy prawie temu jaki u nas panował. Rzecz tedy jasna, że chcąc wyjść raz przecięż z najsmutniejszego położenia, w którém społeczność nasza od lat 200 jęczała, potrzeba było skorzystać z upadku czychającego na naszę zatratę nieprzyjaciela i przychylność sobie zwycięzcy zaskarbić, opiérając się silniéj jeszcze, jak dotąd, na duchownéj władzy. Było to rzeczą zdrowéj polityki i śmiało twierdzić można wbrew twierdzeniu niektórych naszych historycznych doktryn, że duchowieństwo ówczesne dobrze zasłużyło się krajowi, podnosząc gorliwie sprawę kanonizacyi, która zawiązywała dalsze z Rzymem stosunki. Wszakże opiérając się na nich, *Przemysław* przywrócił zaraz potém królestwo, a *Łokietek* z rozszarpanych dzielnic odbudował całość państwa i postawił ją jako wał nieprzeparty, którego ani *Drang nach Osten*, ani napady tatarskie przełamać nie mogły.

Jak tylko Bolesław Wstydliwy załatwił się ze swymi opiekunami, zajął się zaraz gorliwie tą sprawą. Ze współudziałem biskupa Krakowskiego *Prandoty* wyprawiono do Rzymu z dokumentami *Jakóba ze Skaryszewa*, znanego ze swéj głębokiéj nauki w towarzystwie *Gebharda*, kanonika katedralnego, i *Bogusława*, przeora Dominikanów, z poleceniem wyłuszczenia Inocentemu IV dziejów i cudów męczen-

nika. Gdy jednak uznano w Rzymie, że dowody nie były wystarczające, Papież wyznaczył osobną w Polsce komisyą, złożoną z *Pełki*, arcybiskupa Gnieźnieńskiego, *Tomasza*, biskupa poznańskiego i z opata Tynieckiego, *Jakóba*, lecz i drugie sprawozdanie, a nawet i trzecie nie były jeszcze zadawalniającemi. Kardynał *Reginold* okazał się najbardziéj spornym, lecz gdy dopiéro ujęto kardynała *Gaetano* i ten dał poznać, że potrzeba, ażeby Ś-ty *Stanisław* nowy jaki cud zrobił, dla pojednania zdań sprzecznych, zmiarkowali posłani o co chodziło i świadoma głównego bodźca spraw ludzkich przebiegłość ojca *Jakóba*, jak twierdzi *Szajnocha*, umiała złotym kluczem serca niedowiarków otworzyć. Cała ta sprawa wymagała ciągłych porozumień ze Stolicą Apostolską i ciągłego wysełania posłów, a stąd porównywając daty wnosićby można, że one mogły z wyjazdem naszego Ciołka do Włoch mieć pośredni, lub bezpośredni stosunek. Jakie były jego w tym czasie koleje nie wiémy, gdyż zjawia nam on się dopiéro w okolicach Padwy, o któréj w dziele swojém kilkakrotnie wspomina. Możnaby mniemać, że zwabiony urokiem dopiéro co założonego wówczas (1222) padewskiego uniwersytetu, przez *Cesarza Fryderyka II*, gdzie z początku zaraz zaczęto wykładać wszystkie nauk gałęzie, Ciołek był jednym z pierwszych jego wychowańców. Że w Padwie dłuższy czas przebywał dowodzi nam to, że lubi o niéj wspominać, odnosząc do jéj okolic przypadkowo pochwytane postrzeżenia swoje. I tak np. mówi w księdze X. prop. 69, że w *Padwie* widział nie jednę, nie dwie, ale cztery naraz *tęcze*. W Grocie zwanéj *Cubalus*, pomiędzy *Padwą* a *Witerbem*, płytko zalanéj wodą, widział, że dolne części przedmiotów w niéj zanurzonych wydawały mu się grubsze od ich części po nad wodą stérczących (K. X. p. 42). W innym znów miejscu opowiada, że przy miejscu gdzie się kąpano, zwanym *Scopuli* pod *Witerbem*, u wodospadu, widział tęczę i wzmiankuje, że właśnie tego rodzaju spostrzeżenia rozbudziły w nim upodobanie do przedmiotu, którym się zajmuje *(in quarum intuitu et mirabili transmutatione formarum primum nos amor hujus studii allexit)*.

Około r. 1265 znajdujemy już Ciołka w Rzymie, przy boku braciszka *O. Wilhelma z Morbeki*, spowiednika Papieża Klemensa IV. Z całego tonu dedykacyi, gdyż Ciołek pracę swoję *Morbecie* przypisał, widać wyraźnie, że był on dla niego opiekunem i protektorem, i że ich bliższe z sobą łączyły stosunki.—*Morbeka* był sam matematykiem i napisał dzieło o geometryi, którego rękopis *Risner* miał pod ręką, a mógł bardzo łatwo z *Ciołkiem* się poznać przez Polaków wówczas w Rzymie często goszczących, np. przez *Baszkona*, syna Mikołaja z Zawichosta, kanonika katedry Poznańskiéj, który w owym czasie

kilkakrotnie do Rzymu był posełany, a może być i przez *Marcina Polaka* Dominikanina, niezadługo potém spowiednika Klemensa V. Ciołek pracował dużo po różnych bibliotekach, do których przystęp wówczas wcale nie był łatwy i pisał kilka traktatów treści astronomicznéj i fizycznéj, o których wspomina, jako to: *De ordine rerum*, *De scientia motuum celestium*, *De philosophia naturali*, lecz Morbeta nadał ściślejszy jego działalności kierunek i zażądał od niego, ażeby napisał dzieło o optyce, to jest, ażeby zebrał i w jednéj książce systematycznie ułożył wszystko, co dotąd o tym przedmiocie wiedziano, inaczéj bowiem zadania takiego niepodobna jest zrozumiéć.

„Żądałeś, mówi Vitellio w przedmowie do swojego dzieła, ażebym się podjął ciężaru ulubionéj twéj pracy i tym zajął się przedmiotem, którego dotąd nie znam, lecz ja będę we wszystkiém rozkazom twoim posłuszny i, przyjmując życzenia twoje za rozkaz, odkładam dzieło, które pisać zamierzyłem (de ordine entium), na czas późniejszy.“ Zdaje się, że tych kilka wyrazów tłómaczy rzecz całą niesłychanie jasno, i trudno jest pojąć, jakim sposobem krytyka mogła je prześlepić. Z obcego polecenia nie robi się odkryć, ani też na nowe tory nie wprowadza się nauki, o tém pewnie wiedzieli już uczeni nawet w XIII wieku. Chodzić tu więc mogło jedynie, jak powiedziałem, o zebranie wszystkich szczegółów, stanowiących ówczesną wiedzę w dziedzinie *optyki* czyli *perspektywy*, gdyż ją tak nazywano, i uporządkowanie ich według pojęcia ówczesnego czasu. *Morbeta* sam nie mógł się tém trudnić, polecił to więc człowiekowi pod każdym względem najodpowiedniejszemu, który mu zapewne swemi dowiódł rozmowami, że go perspektywa mocno zajmowała, i kilka samodzielnych zrobił w niéj postrzeżeń. Jakkolwiek przedmiot, o którym miał nasz uczony pisać, nie był mu zupełnie obcy, czuł jednak, że mu wypadnie wiele się jeszcze nauczyć zanim do swego dzieła przystąpi. I o cóż mu ostatecznie chodziło? oto o napisanie podręcznika *(compendium)* optyki, któryby był dokładnym obrazem osiągniętego już stanu wiedzy w téj gałęzi nauki i mógł posłużyć za fundament do dalszego jéj rozwoju. Jakim że więc prawem można zarzucać Ciołkowi, że pożyczał od innych, a nawet brał żywcem to, co inni przed nim zrobili? wszakże i my tak samo zupełnie postępujemy, kiedy piszemy *podręcznik* jakiejbądź nauki. Zarzucają mu, że nie przytaczał *Alhazana*, od którego zaczerpnął najwięcéj. A czyż my w podręcznikach naszych przytaczamy zawsze skąd co bierzemy, chociaż w dziewietnastym żyjemy wieku? Pokażę wam podręczników wiele w każdéj niemal nauce, w których nie znajdziecie zacytowanego ani jednego nazwiska. A zresztą gdzież na to dowód, że Ciołek miał porządny egzemplarz Alhazana pod ręką, do którego mógł się odnieść; kto wié, czy

niejednego nie dowiedział się z ustnego obcowania ze znanymi sobie uczonymi, którzy wówczas cały swój zasób wiedzy czerpali ze szkół arabskich, albo téż, być może, że miał pod ręką rękopis bez tytułu, lub tylko luźne jego kartki. Jeżeli w kilka wieków późniéj *Ramus* z kilku defektowych Alhazana rękopisów skleił jeden cały, jak o tém powiémy późniéj, to kto wié, czy Ciołek także z podobnych nie czerpał ułamków, o których mógł nawet nie wiedzieć kto był ich autorem.

Nie mamy więc prawa miotać na niego kamieniem, ani też mu zarzucać, że to, co pisał, już było dawniéj znajome, i że on to tylko poprzestawiał i opowiedział inaczéj. Taki zarzut, który na nieszczęście w opinii publicznéj się przyjął i ciągle jest powtarzany, dowodzi najzupełniejszéj nieznajomości stanowiska Ciołka w obec nauki, którą się trudnił, i w obec czasu, w którym się nią trudnił. Jego wielką zasługę stanowi stworzenie naukowéj całości; szczegóły do niéj czerpał skąd mógł; lecz ona sama do niego należy. On ducha swego wlał w cały optyczny materyał, a jeżeli znawcy tacy, jak *Risner*, sądzą, że on jest twórcą nowoczesnéj optyki (jako nauki), to im najzupełniéj słuszność przypisać należy. Wszakże nie jest się botanikiem, ani zoologiem, chociażby się tysiące znało roślin i zwierząt, lecz zostaje się nim dopiéro przez ich usystematyzowanie i pojęcie roślinnego, lub zwierzęcego świata. Nie jest ten jeszcze architektem, kto przygotowywa budowlany materyał lub kunsztownie ociosuje kamienie, a każde naukowe dzieło jest właśnie budowlą i każde dokonywa się wedle potrzeb i wymagalności swojego czasu. Jeżeli Ciołka chcemy ocenić, to właśnie ów czas i owe wymagalności uwzględnić nam należy, bo inaczéj w taki sam byśmy błąd popaść musieli, jak gdybyśmy chcieli z punktu widzenia greckiego klasycyzmu zapatrywać się na gotyckie katedry.

Pragnąc poznać Ciołka jako pierwszego architekta optyki, musimy najprzód zbadać jak się to w jego epoce zapatrywano na ową naukę oraz jakiemi dysponowano materyałami, a dopiéro potém będziemy w możności oznaczyć jakość i stopień jego zasługi. Jeżeli się wówczas pokaże, że zaszczytnie swojego dokonał dzieła, a jednak szarpać go będziemy za to, że do swojéj gotyckiéj budowy użył niejednego odłamku z starogreckiéj świątyni, lub arabskiego meczetu, nie położywszy na niém pieczątki, świadczącéj o jego pochodzeniu, to rzeczywiście szukać będziemy chyba przyczepki, jaką Francuzi *une querelle d'allemand* nazywać zwykli.

Są pewne okresy w Historyi, które najtrafniéj porównać by można z biegiem zégara, gdy ten stawać zaczyna. Wiek XI stanowi właśnie w dziejach ludzkości takową epokę, i rozpatrując się w jego szczegó-

łach zdawać ci się będzie, że wszystko co dawne więdnie i obumiéra, i że nowe za to żywioły zaczynają kiełkować i coraz silniéj na dziejową występować widownią, jak gdyby dziejowéj Opatrzności ręka na nowo chciała zégar życia ludzkości nakręcić. Państwo Rzymskie upadło, lecz na jego gruzach ze zmięszania tubylców z azyatyckiemi hordami powstały nowe uspołecznienia, nowe grupy państw i państewek pragnących sobie wywalczyć stałe siedziby, lub rozszerzyć te, które już wywalczyli ze szkodą sąsiada. Nastąpił nowy Europy podział, pierwotny zamęt, kierowany popędem mrygającéj w sercu ludzkiém idei porządku, zaczął przybiérać zwolna utrwalone formy, i powoli zaczęły się z niego wysnuwać czynniki przyszłéj Europejskiéj społeczności, mające się kiedyś po długich lat szeregu w jeden zespoić organizm. W epoce Ciołka praca ta już w znacznéj części została dokonaną. Atomy rozbitego państwa zgromadziły się już miejscami w organiczne masy, a z nich tu i owdzie zaczęły już się rozwijać organiczne przyrządy i wszystko zaczęło już wyglądać na jakąś organiczną całość, mającą istnieć jednolitém życiem, lecz owo ciało, a raczéj cielsko, chaotycznie drgające, należało wyższym natchnąć duchem, właściwym szlachetnéj naturze człowieczéj i popchnąć je ku odpowiedniemu owéj naturze działaniu. Głównym ku temu czynnikiem było chrześciaństwo, od lat już przeszło tysiąca pasujące się tu z dzikim w ludzkości popędem. Praca jakiéj już dokonało była ogromną, bo uszlachetnienie zwierzęcia przechodzić musiało przez szereg pokoleń, a chcąc zrobić chrześciańską społeczność, trzeba było najprzód stworzyć chrześcianina i przedewszystkiém wykształcić ludzi, którzyby temu ciężkiemu podołali zadaniu, gdyż i oni także z tego samego zlepieni byli materyału, który następnie mieli przeistaczać. Reformę trzeba było zacząć od siebie samych i reformatorów w jedno połączyć ciało, mające jednę wolę i jedno dążenie. Tym sposobem powstał katolicki kościół i jego hierarchia, a obok władzy świeckiéj musiała koniecznie stanąć władza duchowna. Wprawdzie rozdwojenia takiego są bardzo liczne w starożytności przykłady, lecz władza duchowna nigdy dotąd do tak ogromnéj nie dochodziła potęgi, jaką zawładnęli papiéże, i nie dziwota, bo téż nigdy tak ogromnego przed sobą nie miała zadania. Za czasów Ciołka, wszystko po jéj znajdowało się stronie: rozum, świętość, męczeństwo, tradycya, bogactwo i silna, przez Grzegorza VII zaprowadzona kościoła organizacya. Papież był powszechnym w całéj zachodniéj Europie władcą i panem sumienia zarówno panujących jak ludów. Jego władza za pośrednictwem hierarchicznego duchowieństwa przenikała aż do najgłębszych zakątków wówczas znanego świata. Cały interes moralny społeczeństwa

w jego skupiał się ręku. On rozdawał i strącał z głów korony, a naprzeciw jego jednolitéj i potężnéj władzy stała ciżba świeckich ciągle zwaśnionych monarchów, których on był cenzorem i sędzią, z Bożéj łaski rozdając im panowanie. Najcelniejsi z nich wówczas Cesarze Niemieccy, tak pyszni i lekceważący nas Słowian, w imię mocy swéj pięści, musieli się także przed papieżami korzyć, łamano bowiem prędzéj czy późniéj ich opór, ile razy podnosili głowy. Stolicą téj władzy był Rzym, odzyskujący swoję odwieczną nad światem przewagę, gdzie jakby w sercu ludzkościześrodkowały się wówczas po raz już wtóry wszystkie dążności. Jeżeli się do niego przeniesiemy myślą w chwili gdy z nim przebywał Ciołek, znajdziemy go na szczycie swéj nowéj potęgi. Było to już wtedy przy schyłku wojen krzyżowych, w kilkanaście lat po owém świetném ziemi świętéj podbiciu przez wyklętego cesarza *Fryderyka II-go*, gdy sam musiał na grobie *Chrystusa* włożyć sobie na głowę jerozolimską koronę, gdyż mu żaden z biskupów podać jéj się nie ważył, i gdy opuszczony potém w skutků ciążącego nań wyklęcia przez duchowieństwo i rycerzy krzyżowych musiał oddać owoc swych krwawych trudów na łup niewiernych, spiesząc na obronę swych własnych interesów w domu zagrożonych przez głowę kościoła. Vitellio musiał być w Rzymie podczas krwawych zapasów między Gwelfami i Gibelinami, pomiędzy owym Cesarzem Fryderykiem, rycerzem, poetą i filozofem, wychowańcem Inocentego III, Cesarzem Niemieckim, a jednak więcéj Włochem a nawet Arabem, niżeli Niemcem, a Inocentym IV-m, który go wyklął powtórnie a nakoniec tronu pozbawił. Musiało to być pomiędzy dwoma nieszczęśliwemi krzyżowemi wojnami *Ludwika świętego*, z których pierwsza skończyła się porażką Francuzów w Egipcie, a druga śmiercią króla w Tunetańskiéj Barbaryi.

Wszystkie te sprawy silnym w odwieczném mieście musiały odbijać się echem wśród społeczeństwa bezpośrednio niemi zainteresowanego. Dalekie na wschód wyprawy, orazześrodkowanie w stolicy wszystkiego, co wówczas bliżéj dotykało świata, musiały także na nie same silny wpływ wywiérać, zwłaszcza, że wszystkie stosunki ubiegłego stulecia niesłychanéj uległy zmianie. Narody zwarły się silniéj przez wspólne zamorskie wyprawy i ugrupowały się według swego naturalnego powinowactwa, poznały się lepiéj i wewnętrzna ich organizacya postąpiła niezmiernie na gruncie militarnego feudalizmu. Miasta zaludniły się i rozrosły, wyszły z pod władzy książąt, stały się centrami handlu, przemysłu i oświaty, a zagrażając nietylko świeckiéj władzy swoją niepodległością, lecz i duchownéj swą wolnomyślnością, srogie na siebie ściągnęły burze, których skutkiem były między sobą ku wspólnéj obronie poczynione sojusze, czyli *ligi*, np. Liga Lom-

bardzka, szwabska, frankońska, hanzeatycka i inne. Stan trzeci zaczynał śmiało podnosić głowę, a za nim i reformacya religijna, reprezentowana głównie przez Albingensów, prześladowanych mieczem i ogniem. Władza papiéżów wzmogła się téż niesłychanie; biskupi wyrośli do miary udzielnych książąt, klasztory zasypały świat cały, a święta Inkwizycya zaczęła już rozpościérać swe sieci i palić kacerzy na stosach. Jednakże stosunek prawny zaczynał już tu i owdzie zastępować pierwiastkową przemoc i obyczaje zaczynały się nietylko okrzesywać, lecz i wygładzać. Dowodem tego jest zupełna zmiana w stosunku legalnym, moralnym i towarzyskim kobiéty, oraz rycerskie średniowieczne uszlachetnienie i ugrzecznienie, które późniéj dopiéro, wpadłszy w śmieszną przesadę, mogło Cerwantesowi posłużyć do jego genialnéj parodyi. Za postępem uobyczajenia poszła zaraz sztuka. *Edvin von Steinbach* zaczął właśnie w tym czasie budować swoję Strasburgską katedrę, a domorosły poeta, starożytnych nieświadomy wzorów (Trubadur, Menestrel, Minesenger, Wajdelota) szeroko nucił po świecie swe miłosne pieśni i dobre nowiny. Wojny krzyżowe rozwinęły żeglugę i handel, uprościły i wytknęły drogi komunikacyjne lądowe i wodne, wyniosły doświadczenie, ośmieliły człowieka do zapatrywania się na rzeczy swojemi własnemi oczyma i otworzyły zarazem skarby starogreckiéj wiedzy. Ponieważ zaś ostatnia ta okoliczność bardzo blisko dotyka naszego przedmiotu, musimy przeto głębiéj nad nią się zastanowić.

Nie ma wątpliwości, że cala starożytna naukowość była prawie wyłącznem dziełem Greków. Rzymianie bowiem, pomimo swéj całéj politycznéj wielkości, bardzo podrzędną w niéj odgrywają rolę. Sami uczyli się od Greków, ich oczami zapatrywali się na rzeczy, i nie umieli nawet należycie ocenić znaczenia nauki. Wszakże nieraz z rozkazu władzy wypędzano z miasta filozofów i retorów, którzy jednak wówczas, będąc prawie wyłącznie reprezentantami bezwzględnéj wiedzy, przynosili do Rzymu szczupłe jéj okruchy. Wielcy rzymscy świata zdobywcy byli materyalistami najczystszéj wody i, nakształt dzisiejszych naszych pozytywistów, uważali za ideologa każdego, kto daléj umysłem sięgał po za praktyczne nauki dążenie. Geometrya o tyle ich interesowała, o ile służyła do pomiarów i rozdziału gruntów, astronomia o tyle, o ile na niéj polegało urządzenie kalendarza, w którym to właśnie celu *Juljusz Cezar* sam się jéj poświęcał. *Vitruvius* napisał sławne o budownictwie dzieło, *Frontinus*, o wodociągach w Rzymie, w którém niezaprzeczenie przebija naukowo-praktyczne wykształcenie, ale wielka Rzeczpospolita, ani téż wielkie Cesarstwo, nie wydało ani jednego znakomitego filozofa, matematyka, astronoma i ani jednego wielkiego artysty. Na do-

wód do jakiego stopnia dochodziła niewiadomość nawet u ludzi wysoko wówczas wykształconych, posłuży sam *Pliniusz* młodszy, który opisując obelisk, postawiony przez Cesarza Augusta na placu Marsowym, ażeby jego cień wskazywał południe, mówi, że cień ten od pewnego czasu zboczył i między możliwemi przyczynami tego zjawiska przytacza zboczenie w obiegu słońca.

W starożytnéj Grecyi, przeciwnie, nauki zabłysły niezwykłym światłem. Szkoła *Platona*, a następnie szkoła *Aleksandryjska* oddały im ogromne usługi i rzuciły dla nich niewzruszone podstawy. Wielką téż niezaprzeczenie było myślą *Ptolomeuszów* utworzyć dla nich stały przytułek po śmierci Aleksandra Wielkiego, a przyznać należy, że z pomiędzy licznych gałęzi nauk, które tam uprawiano największa dla nauk ścisłych wypłynęła korzyść. *Euklides*, *Aristarchus*, *Archimedes*, *Eratostenes*, *Apollonius*, *Hipparch*, *Ptolomeusz*, *Diaphantes*, oto niezaprzeczenie wielkie gwiazdy na horyzoncie świetnéj wiedzy naszéj, gwiazdy, które na wieki będą jasném przyświecały światłem. Wszakże geometryi *Euklidesa* dotąd się jeszcze w szkołach uczymy, a Diaphantes długo będzie jeszcze zdumiéwał swą głębokością matematyków. Ponieważ astronomia jest bezwątpienia nauką, budzącą najsilniéj ludzką ciekawość, a więc do niéj mianowicie odnosiły się usiłowania wielu aleksandryjskich uczonych, że zaś astronomia nie może się obejść bez geometryi, arytmetyki, algebry, mechaniki i optyki, musiała więc pociągnąć za sobą ich rozwój i około siebie je ugrupować. Do tych postępów szczodrość Ptolomeuszów była niewyczerpaną pomocą, dostarczając im materyalnych środków. Ztąd téż owa sławna biblioteka aleksandryjska, która miała posiadać 400.000 zwojów, oraz ów ruch niesłychany pedagogiczny i wydawniczy, jakiego stolica Egiptu była bezprzykładnym wówczas obrazem. Wyrzucamy ze zgrozą Arabom, że tę bibliotekę spalili, lecz zapominamy o tém, że ją już przed nimi kilkakrotnie niszczono. Wszakże spaloną została przez legię *Juliusza Cezara*, po wzięciu Aleksandryi szturmem, i dopiéro *Antoniusz* i *Kleopatra* potrafili powetować straty przez zakup biblioteki w Pergamie; powtórnie spalili ją chrześcianie pod przewództwem biskupa *Teofila*, z powodu, że była pomieszczoną w świątyni Serapisa, gdy żarliwy *Teodozjusz Wielki* kazał burzyć w państwie pogańskie świątynie. Jeżeli w 300 lat późniéj spalił ją po raz trzeci *Omar*, to przynajmniéj z tego co z niéj zostało umieli doskonale późniejsi Arabowie korzystać i uratować skarb wiedzy, przez Greków nagromadzony. Kalifowie Bagdadu, wchodząc w ślady Ptolomeuszów, odziedziczyli po nich opiekę nad naukami. *Harun-al-Raschid* i jego syn *Abdula-Almanazor*, około roku 800 panujący, zasłużyli sobie na nieskończoną potomności wdzięczność, gromadząc

i ochraniając od zguby starożytne księgi, a ten ostatni swój do nauki zapał do tego posunął stopnia, że zwyciężywszy Michała Cesarza Wschodniego kazał sobie książkami zapłacić koszta wojenne.

Po zawojowaniu przez Arabów Hiszpanii otworzył się nowy dla nauk przytułek, gdyż Kalifowie téj nowéj zdobyczy zaczęli jakby walczyć o lepsze ze swymi plemiennikami, na drugim niemal końcu ówczas znanego świata. Pozakładano biblioteki, obserwatorya i liczne szkoły. Powstały dwie akademie, w Kordowie i Grenadzie, znakomitemi obsadzone profesorami, w których wszystkie wykładano gałęzie wiedzy, chociaż nauki ścisłe, a mianowicie astronomia, głównie na siebie zdawały się ściągać uwagę. Słowem, uczoność w owych czasach była niemal wyłącznie w ręku Arabów, i to do tego stopnia, że gdy *Alfons* Arcykatolicki, król Kastylii, wielki astronomii lubownik (o którym to historyk *Maryana* powiedział, że stracił z oczów ziemię, gdyż się za gwiazdami uganiał po niebie) właśnie z czasów naszego Ciołka (w r. 1240) zwołał do Tolledo najznakomitszych astronomów, w celu obliczenia nowych tablic astronomicznych, noszących dotąd jego nazwisko, to stawili się na zaproszenie sami tylko Arabowie i Żydzi, a o chrześciańskich uczonych nie ma nigdzie wzmianki. Jakkolwiek wrzały ciągle mordercze boje z jednéj strony między kalifami Bagdadu i Egiptu a krzyżowcami, a z drugiéj strony—między Hiszpanami i Kalifami Kordowy, to jednak wiedza naukowa przesiąkła obficie do chrześciańskiego obozu. Dziesiąte i jedenaste stulecie były u nas jeszcze wiekami głębokiéj ciemnoty, lecz skoro w dwunastym, a mianowicie w trzynastym jutrzenka oświaty zaczęła się podnosić, Arabowie stali się dla naszéj Europy tém samém, prawie czém był niegdyś Egipt dla starożytnéj Grecyi. Ich wpływ zaczął się już objawiać przed krzyżowemi wojnami.

Najbardziéj uderzającym tego dowodem był słynny *Gerbert* w XI wieku żyjący, i wyniesiony na stolicę Apostolską pod imieniem Sylwestra II. Był on wychowańcem klasztoru Benedyktynów we Flavii, na którego czele stał wówczas *Abbon*, matematyk i astronom znany w historyi nauki. Największą jednak jego zasługą było, że w swoim klasztorze założył pewien rodzaj nowicyatu, który się wkrótce odznaczył jako wyższa szkoła zakonu Benedyktynów, jedynych prawie w owym czasie czcicieli ścisłéj nauki. *Gerbert*, rodem z Owernii, był jednym z najpilniejszych jéj wychowańców, a przytém bardzo zręcznym mechanikiem, gdyż zbudował w *Reims* hydrauliczne organy, które jeszcze za czasów *Vitelliona* podziw ogólny wzbudzały. Otóż młody ów benedyktyn, nauczywszy się wszystkiego co umieli jego przełożeni, zapragnął iść daléj i, pozyskawszy pozwolenie zakonu, udał się do szkół arabskich w Hiszpanii i tam wkrótce swoją

nauką zasłynął. Pisał potém wiele o astronomii i matematyce i taki obudził podziw, że go miano za czarownika, w przekonaniu, że trzeba było chyba piekłu zaprzedać duszę, ażeby się tak wiele nauczyć. Ówcześni wzmiankują, że termin jego kontraktu z diabłem o duszę już był właśnie wychodził, i że gdyby nie był papieżem, to by go był spotkał los Twardowskiego a szczęściem było tylko, że jeszcze zawczasu żałował za grzechy.

Rozpatrując się w rozlicznych usiłowaniach naukowych Arabów i oddając wszelką sprawiedliwość ich usiłowaniu, przyznać jednak musimy, że im brak było twórczości i samodzielnego polotu, jaki w wysokim stopniu przedstawiają nam Grecy. Ale za to jest w nich mrówcza skrzętność w zbiéraniu i gromadzeniu materyałów, choć często bez wyboru i bez wartości. W formie odznacza ich drobiazgowość, zawiłość, gadatliwość, brak ostrego ujęcia przedmiotu, a przytém troskliwa dążność wyczerpania każdego przedmiotu. Ich naukowe dzieła nie są wcale wspaniałemi pomnikami starodawnéj Grecyi, ale raczéj ulami zapełnionemi zmurszałemi i pokrzywionemi plastrami miodu rozmaitéj wartości. Wyraźnie w ich zakroju umysłu przebija coś orientalnego, podobnego niemal do dzisiejszéj chińszczyzny. Z jednéj strony jest ogromna pracowitość, chęć wiedzy i naśladownictwo, a z drugiéj—brak systematyczności w ogólném rzeczy objęciu. Po Arabach nie został nam też ani żaden ważny wynalazek, ani żadna myśl wielka, ani jakiekolwiek w nauce początkowanie, byli oni tylko ogniwem, łączącém stary świat naukowy z nowym, byli naszymi nauczycielami, za co im wprawdzie ogromna należy się wdzięczność, lecz do rzeczywistego postępu wiedzy sami przyczynili się niewiele. Z razu przez tłómaczenie na syryjski i arabski język przyswoili sobie wszystko, co po staréj pozostało Grecyi, potém zaś przerabiali, rozwijali, komentowali, tu i owdzie dopełniali własnym pomysłem, ale ośmiowiekowe ich usiłowania nie doprowadziły ich ani do żadnego ogólniejszego systematu, ani do własnéj naukowéj teoryi. Astronomia Arabów była to sobie wprost astronomią Ptolomeusza, geometrya—geometryą Euklidesa, arytmetyka, dla któréj rzeczywiście nieco zrobili—rozwinięciem arytmetyki indyjskiéj, filozofia—filozofią Platona i Aristotelesa, Alchemia—dalszemi próbami Aleksandryjskiéj szkoły a medycyna—starodawną medycyną Rzymską Celsa i Gellena. A jednak to, co u nich się przechowało z obszaru wiedzy, miało niesłychaną wagę i było niemal opatrznościowém, bo w Europejskiém społeczeństwie, okrom rzeczy arabskich, nie było prawie nic wcale, a to, co się tu i owdzie jeszcze po rozbiciu państwa Rzymskiego zostało, było tak skąpe i niedostępne, iż żywić nie mogło ludzkiego umysłu. Język arabski w XII i XIII w. był przeto językiem uczonym, w zakré-

się nauk ścisłych przeważnym, gdyż nauki teologiczne i prawne posługiwały się wyłącznie łaciną. W obu uniwersytetach, przez Fryderyka II założonych w *Padwie* i w *Neapolu*, wykładano po łacinie prawo rzymskie, lecz matematyka, astronomia i medycyna, wykładana mianowicie w Szkole *Salermitańskiej*, bez arabszczyzny obejść się nie mogły. Tłómaczenia arabskie dzieł greckich były wówczas jedynie upowszechnione, bo po grecku nikt prawie nie umiał. Greckie zabytki tłómaczono z arabskiego lub syryjskiego na język łaciński, a niektóre greckie traktaty tą tylko wyłącznie do nas dostały się drogą i w oryginale dotąd jeszcze nie są odszukane. Oryginalne greckie rękopisy rozpowszechniły się dopiéro w Europie zachodniéj przy końcu XV wieku, gdy po upadku Konstantynopola inteligencya grecka na zachodzie zaczęła sobie szukać przytułku. Wojny krzyżowe, a nawet blisko w 100 lat późniéj usadowienie się Franków w Bizancium na rozpowszechnienie elementu greckiego w Zachodniéj Europie żadnego prawie nie wywarły wpływu.

Ciołek musiał znać przeto dobrze język arabski, tak, jak go znał współcześnie z nim żyjący w Anglii *Roger Bacon*, który także pisał o *perspektywie* i z tychże samych co i nasz rodak zaczerpywał źródeł. W jego epoce żyli dwaj głośni nauki świeckiéj protektorowie, o których już wspomnieliśmy powyżéj, Fryderyk II Cesarz Niemiecki, Alfons XII król Kastylski, obaj wielcy arabów zwolennicy. Na obu dworach język arabski był bardzo rozpowszechniony, a wyklęty Cesarz, nie ufając klerykalnym wpływom, otoczył się nawet gwardyą arabską. Wpływ więc arabskiego żywiołu na Rzym musiał być niepośledni pomimo zupełnie przeciwnego prądu, jaki za sobą pociągał, a to tém więcéj jeszcze, że pamięć panowania Arabów w Sycylii i Kalabryi, nie mogła jeszcze w XI i XII wieku zupełnie popaść w zapomnienie. Wszystko to są nader ważne dla naszego przedmiotu szczegóły, dają nam bowiem poznać jakim sposobem nasz Ciołek zespolił się z arabskim optykiem *Alhazenem*, o czém wkrótce obszerniéj mówić nam wypadnie.

Rozszerzyliśmy się nieco nad powyższemi okolicznościami z téj prostéj przyczyny, że chcąc o zasługach trzynastego stulecia zawyrokować trzeba uwzględnić ówczesne położenie i stan ówczesnéj oświaty, a przedewszystkiém nie myśléć o niém po tegoczesnemu. Vitellion żył w epoce, w któréj wszelkie bezpośrednie badania i samodzielny sąd o rzeczach były duchowi czasu przeciwne i stawali się nawet niebezpiecznemi, ściągając podejrzenie czarodziejstwa i herezyi. Przykładu niedaleko nam szukać, widzieliśmy co o papiéżu *Inocentym II* myślano, a współczesny Ciołkowi, *Roger Bakon*, prześladowany za takie właśnie przewinienia, całe niemal swe życie jako

więzień w klasztorze przesiedział. Bez silnego poparcia swego wpływowego protektora z *Morbety*, Ciołek by pewnie ze swego nie mógł się wywiązać zadania, boć przecię i samo zdobycie sobie źródeł naukowych, któremi się posługiwał, musiało być trudném i prawie niemożliwém, bez należytéj protekcyi. Autor nasz daje nam na każdym kroku dowody ogromnego oczytania i głębokiéj znajomości ówczesnych zasobów. Musiał to być nadto bardzo logiczny i z powijaków wznoszącego się już wówczas szkolnictwa (scholastyzmu) śmiało oswobadzający się umysł. Czytając go, nie spostrzegamy w nim wcale wad swojego czasu, nie spostrzegamy, ażeby się jak to wówczas bywało co chwila do obcych powag odnosił. Ani Aristoteles, ani greccy matematycy, ani Arabowie nie imponują mu wcale, czerpie z nich pełnemi rękami, ale po swojemu myśli i pojmuje, wszędzie wnika w przyczyny, w przypuszczenia się nie bawi, rachuje się z faktami, stoi silnie na indukcyjnéj podstawie i ani teologii, ani astrologii nie mięsza do rzeczy, co na owe czasy nie małą jest osobliwością. Porównywając go z ówczesnemi znakomitościami, właśnie z dopiéro co wspomnianym *Bakonem* lub z *Albertem Wielkim*, który musiał być jego w Padwie kolegą, ze zdziwieniem spostrzegamy, że Ciołek jest niemal uczonym późniejszego czasu. Pisząc o optyce, która w tak ścisłym zostaje związku z astronomią, zajmującą wówczas wszystkie wyższe umysły, potrąca on obowiązkowo o mnóstwo astronomicznych i meteorycznych faktów, ale nie daje się nigdzie ze swego sprowadzić tropu, a chociaż styl jego i sposób traktowania przedmiotu jest w wielu miejscach rozwlekły, co się brakiem dobitnéj i wyrobionéj terminologii aż nadto objaśnia, nie ma tam jednak arabskiéj gadaniny, ani téż mglistéj greckiéj zwięzłości, na które się sam w swojéj przedmowie uskarża. Że Ciołek znał dobrze arabski, a zapewne i grecki język, dowodzą niektóre w jego dziele miejsca, w których, nie ufając wyrażeniu greckiemu, arabskie i greckie nazwy przytacza. I tak np. między innemi, mówiąc o barwistym wieńcu naokoło słońca, księżyca lub gwiazd pierwszéj wielkości, które się okazują przy zamgloném powietrzu, mówi *quod grece dicitur, halo arabice alitali et latine corona* (Lib. X, pag. 68). Zresztą bez znajomości obu tych języków, a przynajmniéj pierwszego, niepodobna by mu było z ówczesnych źródeł korzystać, albowiem łacińskie przekłady całego szeregu greckich matematyków, wówczas istnieć jeszcze nie mogły, skoro pierwsze próby tłómaczeń tak ważnego dzieła, jakiemi są *Elementa Euklidesa*, przez *Athelarda* w Anglii (i przez *Campanusa* we Włoszech) właśnie się dopiéro do XII i XIII wieku odnoszą i to do tłómaczeń z arabskiego a nie z greckiego tekstu, gdyż ten dopiéro w r. 1505, *Zambrini* do swego nowego użył tłóma-

czenia, a pierwszy dopiéro *Grinaeus* w r. 1535, grecki oryginał w Bazylei drukiem ogłosił. W XIII więc stuleciu, gdy już nasz Ciołek pełnemi rękami czerpał z Euklidesa, łacinnicy znali go w pierwszych dopiéro zarysach, a jedynym ich w geometryi mentorem, jak twierdzi *Montuela*, była księga prawdopodobnie *Boëciusa*: *De principis geometricis*, zawarta w dziełach św. *Augustyna.*

Dr. Szokalski.

(*Dokończenie nastąpi*).

WYSTAWA
ROLNICZA I PRZEMYSŁOWA
we Lwowie r. 1877.

(Dokończenie).

Na grupie 12 obejmującéj *łowiectwo*, kończy się dział pierwszy wystawy, który był polem popisu gospodarstw większych. W tym też punkcie zamknąć musimy nasze, powierzchowne zresztą, porównania wystawy warszawskiéj i lwowskiéj, pieczęcią zaś niech będą następne cyfry:

	Liczba wystawców, w *Warszawie:*	we *Lwowie:*
Nabiał	19	26
Nawozy	13	11
Maszyny rolnicze	46	36 (¹)
Owoce i ogrodowizny	28	40
Pszczoły i jedwabnictwo	30	22
Leśnictwo	19	41
Łowiectwo	—	2
Rybołówstwo	—	6
Opisy gospodarstw i rachunkowość, tudzież inżynierya wiejska	27	8 (²)

---

(1) Wystawców maszyn było w Warszawie ogółem 200, we Lwowie 79; cyfry zaś które wyżéj podałem opracowują wyłącznie krajowe fabryki.

(2) Zwracam uwagę, że u nas znajdowały się tylko dwa opisy gospodarstw wielkich, a trzy małych, podczas gdy we Lwowie tylko dwaj wielcy posiadacze przedstawili księgi.

Bacznego czytelnika uderzyły zapewne małe liczby wystawców machin i narzędzi rolniczych podane przezemnie, gdy tymczasem urzędowe katalogi obejmują ich nierównie więcéj. Istotnie wszystkich wystawców machin było u nas 200, we Lwowie 79, poważyłem się jednak z obu tych cyfr wyłączyć firmy obce, a zacytować tylko krajowe. Sama ta jednak okoliczność, że do Warszawy zgłosiło się 154 cudzoziemców, a do Lwowa tylko 43, świadczy poniekąd, że fabrykanci zagraniczni więcéj jakoś mieli ufności do naszych, niż do galicyjskich gospodarzy, którzy w ogóle cieszą się opinią zacofanych.

Reasumując to, co powiedzieliśmy o wystawie gospodarstw większych we Lwowie i Warszawie, wypada, że:

1) Płody ziemne miały więcéj wystawców i odmian we Lwowie, aniżeli u nas, co (o ile wystawa służyć może za sprawdzian) wskazywałoby, że rolnictwo czyli uprawa roślin gospodarskich stoi w Galicyi wyżéj, aniżeli u nas. Nie zapominajmy jednak, że prowincya ta odznacza się wielką rozmaitością gleby i zjawisk klimatycznych, dzięki czemu posiada ona okolice, w których siać można tylko owies, obok takich, w których wybornie kukurudza dojrzéwa.

2) Leśna wystawa galicyjska nie mniéj stanowczo pobiła naszą, co przypisać należy najprzód warunkom topograficznym (góry) i klimatycznym, a powtóre temu, że kiedy lasy w królestwie stanowią dziś najwyżéj 22%, w Galicyi zajmują 28% przestrzeni ogólnéj. Jest ich zatém stosunkowo więcéj i mogą się prezentować piękniéj: znaczne bowiem obszary leśne znajdują się w rękach magnatów.

3) Gdy jednak chodzi o hodowlą bydla i maszyny rolnicze, a co więcéj o opisy gospodarstw, rachunkowość i inżynieryą wiejską, wówczas przewaga stanowczo znajduje się po stronie naszéj. Lecz wiadomo, że spotęgowana hodowla bydła i użytek machin świadczą o wyższym rozwoju gospodarstw. Zdawałoby się więc, że o ile Galicya (wschodnia) przewyższa królestwo tém, co zależy od łaski natury, o tyle znowu my przewyższamy ją tém, co jest dziełem wiedzy i pracy.

Takie uwagi nasunęło nam porównanie obu wystaw, i dziwna rzecz, że do pewnego stopnia zgadzają się one ze zdawkowemi opiniami, kursującemi u nas o stosunkach galicyjskich. Strzeżmy się jednak złudzeń i uwielbienia siebie samych!.... Jakkolwiek bowiem jest prawdopodobne, że gospodarze galicyjscy w naszém położeniu zrobiliby mniéj, gospodarze zaś nasi w ich położeniu zrobiliby bez porównania więcéj, z tém wszystkiem może to być prawdą tylko w chwili obecnéj. Niezawodne symptomata wskazują, że pod skorupą dzisiejszego pokolenia galicyjskiego, leżą i dojrzéwają nasiona bogatéj

przyszłości, gdy u nas pod dzisiejszym, jeszcze jako tako trzymającym się tynkiem, kiełkuje bodaj złe, które oby tylko dojrzéć nie miało czasu! Tam miejsce ubóstwa zajmie wkrótce dostatek, miejsce ciemnoty,w następném już pokoleniu oświata, tam do walki z panującym od wieków obskurantyzmem zabiéra się myśl postępowa, choć jeszcze nieśmiała i słaba.

Grupy: 13, 14 i 15 obejmowały okazy gospodarstw włościańskich. Przedstawiono 17 gatunków roślin, 8 koni i 3 sztuki bydła rogatego. Ze statków gospodarskich: wozy, pługi, brony, kamień do żarn, taczki, widły, kołowrotek i motek do zwijania przędzy. Zdaje się, że i przed stu laty taką samą można było wystawę narzędzi okazać.

Ciekawszą nierównie połowę stanowili sami wystawcy, włościanie, występujący bądź pojedynczo, bądź zbiorowo, jako członkowie swoich wsi, gmin a nawet powiatu. Pewna téż ich liczba zgromadziła się pod znakami: Rawsko-Cieszanowskiego oddziału towarzystwa gospodarczego galicyjskiego i towarzystwa zaliczkowego i przemysłowego w Samborzu.

W grupie 16, jednéj z najbardziéj interesujących, bo przedstawiającéj wyroby przemysłu domowego, naturalnie włościańskiego, przyjęło udział 93 wystawców, popisujących się bądź pojedynczo, bądź zbiorowo. Znajdujemy tam między wystawcami sukienników z Rakszawy, kilka wsi, trzy szkoły rękodzielnicze wiejskie, parę towarzystw i t. d. W Galicyi ten rodzaj przemysłu jest jeżeli nie rozwinięty, to przynajmniéj dość upowszechniony; są bowiem wsi, których cała ludność bawi się płóciennictwem, sukiennictwem, szewctwem, garbarstwem, stolarstwem, ślusarstwem i wieloma innemi specyalnościami.

Na nieszczęście jednak ludzie ci nie mają ochoty do popisywania się owocami swoich trudów, a nawet okazują do tego dziwny wstręt. To téż zasługa urządzenia wystawy z téj grupy przedmiotów spada głównie na hr. Włodzimierza Dzieduszyckiego, który upodobał sobie rzemieślniczą pracę ludu, a ze wszystkich jéj dziedzin najwięcéj podobno garncarstwo. Cześć mu za poczciwe chęci i zabiegi, o ile wiémy bowiem, silnie walczyć musiał z uprzedzeniami swoich protegowanych, którzy ukrywali warsztaty i wyroby przed okiem filantropa tak, jak przed zwykłym sekwestratorem, lub komornikiem.

Zaiste! między pychą krakowską i naiwnością prostaczków uderzająca zachodzi analogia.

Czytelnik łatwo domyśli się, że materyałami, którym twórczość kmiecych synów piękne lub użyteczne nadawała formy, były: len, konopie, słoma, sitowie, łozina, drzewo, glina, skóra i włos zwierzęcy. Przedmioty zaś jakie z nich wyrobione zostały podzielić można na następne klasy:

1) *Sprzęty i statki domowe*: półkoszki do wozów, skrzynie, wanienki, łyżki, łopaty, sita, warsztat tkacki, sierpy, grzebienie i tym podobne. Były tu i meble gięte i plecione: kanapy, krzesła, stoliki, ale rzeczy tych nie używają włościanie. Są one artykułem kupna dla możnych i bodaj czy nie ozdobą całéj klasy.

2) *Materyały surowe*, jak: skóry, skórki farbowane i wełna.

3) *Oleje i makuchy*, wyprodukowane sposobami domowemi.

4) *Tkaniny*: rogóżki, płótna, sukna, dywany, ręczniki, firanki, drelichy, wory, koce.

5) *Ubiory*: opończe, kożuchy, burki, czapki, czepce, kapelusze słomkowe; rękawice, pończochy i buty. Z téj klasy kapelusze słomkowe były wcale ładne, oryginalnością zaś odznaczały się buty i uprząż z szuwaru, napojone asfaltem a obmyślane przez p. Cypryana Ciepanowskiego. Zachodzi tylko kwestya, czy w wyrobach tych trwałość odpowié użytéj na nie pracy:

6) *Garncarstwo*, a więc dzbany, garnki i misy, między któremi wiele odznaczało się dziwacznemi formami (np. gliniane flasze w formie pierścienia) lub ogromem. Mnie rzeczy te wcale nie zachwyciły, smutnie téż wyglądają one przy wyrobach szkoły garncarskiéj w Kołomyi, któréj naczynia są ładne, a dwa wazoniki do bukietów ozdobione płaskorzeźbami, medaliony i ornamenta zdradzają nawet początki artystycznego kierunku w nauczaniu.

7) *Koszykarstwo*. Wyroby włościańskie z łoziny lub korzeni są nie złe, natomiast okazy szkoły koszykarskiéj w Krakowie można nazwać świetnemi. Prócz koszów grubszego i delikatniejszego wyrobu, uczniowie tego zakładu fabrykują jeszcze wykwintne cacka, a mianowicie: koszyczki w formie kaczek, ryb, rogów obfitości. To téż roboty szkoły zyskały uznanie zagranicą, niemcy zaś kupują je w Krakowie i sprzedają następnie po całéj Europie, jako dzieła własne.

Inny zakład, a mianowicie: szkoła ludowa w Wiązownicy, nadesłała kanapę, fotel i kosz na kwiaty, również sposobem koszykarskim wykonane. Jeszcze inna nareszcie instytucya: dom karny w Krakowie, okazała koszyki robione przez więźniów z kolorowego

papiéru. Aby dać pojęcie o rękodzielnictwie więziennéni, o tém, co człowiek dokonać może z nudów, wspomnę, że mały koszyczek na bilety wizytowe składa się z 12.000 dudek papierowych, mających około 1 milimetra średnicy i 2 milimetry wysokości!

8) *Snycerstwo*. Tu popisywali się ludzie dorośli i uczniowie szkół snycerskich; okazano fajki, toporki góralskie, flasze, przyciski, kałamarze, pudełeczka, noże do rozcinania papiéru i t. d. Szkoła w Rymanowie popisała się bardzo, szkoła w Zakopaném—mniéj, nadesłała bowiem zabawki (konie, dziki i t. d.), wyrobione nieosobliwie, a drogie.

Z innych rzeczy znajdujących się w téj grupie zasługiwały na uwagę: perełki szklane i korale gipsowe, przedstawione przez D-ra Rybickiego z Rzeszowa, odznaczające się podobieństwem do korali prawdziwych i taniością. Skandalicznym szczegółem między wyrobami przemysłu domowego był piec kaflowy z poczwarnemi figurami u szczytu i szkaradniejszemi od nich rysunkami na kaflach z napisem: „Ten Piec Robył Bazyli Szostopalski 1877 r.“ Szostopalscy stanowią rodzinę, która od kilku pokoleń tworzy kafle i piece, a która przez ten czas nie zdążyła wyuczyć się najelementarniejszych zasad rysunku.

Wrażenie ogólne, jakie wynieśliśmy z pawilonu mieszczącego tę grupę przedmiotów, łatwo odgadnąć. Wszystkie wyroby włościańskie noszą na sobie cechę bardzo dawnych czasów, epoki prawie kopalnéj; rysunek, czy to na tkaninach, czy kaflach, czy flaszach i garnkach, jest haniebny, formy grube i niewykończone. Okazy nadesłane przez szkoły uwidoczniają jakiś smak estetyczny, postęp, jest więc nadzieja, że gdy wśród ludności rękodzielniczéj pozakładane zostaną odpowiednie instytucye naukowe, wówczas i praca włościan na nową, lepszą wejdzie drogę. Szkoda tylko, że pomimo wielkiéj liczby gałęzi specyalnych, uprawianych przez wieśniaków, dotychczas tylko koszykarstwo, snycerstwo i garncarstwo, otrzymały nieco naukowy kierunek, ślusarstwo, stolarstwo, bednarstwo, krawiectwo, tkactwo, szewctwo i mnóstwo innych gwałtownie wymagają nauczycieli i szkół fachowych.

W grupie 17 (*górnictwo*) przyjęło udział 64 krajowych wystawców; przedmioty zaś należące do niéj można rozklasyfikować w następny sposób:

1) *Minerały i skamieniałości*, jak węgiel kamienny i brunatny, nafta, wosk ziemny, asfalt, torf; kamienie młyńskie, piaskowce,

kwarcyty, granity i t. d.; wapno, gips, alabaster, glina ogniotrwała; sól, siarka, cynk i ołów.

W téj klasie, prócz olbrzymich brył piaskowca, gipsu, kwarcytu, świadczących o ofiarności wystawców, którzy za transport dużo zapłacić musieli, zasługiwały jeszcze na uwagę przedmioty następujące. Zbiór budowlanych kamieni krajowych, na których przylepione były kartki z wyszczególnieniem nazwy kamienia, miejsca z którego został wydobyty i użytku. Dalej zbiorki naukowe, obejmujące po 60 okazów minerałów, głównie krajowych; układał je p. Józef Haios, urzędnik z górnictwa, Rada szkolna zaś uznała je za pożyteczne przy nauczaniu. Zbiorek taki kosztuje na miejscu 18 złreń. Po trzecie dyrekcya skarbu nadesłała z Wieliczki wielką ilość soli kamiennéj i warzonki, kryształy soli i zbiór okazów geognostycznych z Wieliczki.

Najświetniéj jednak wystąpili nafciarze, bo zbiorowo i we własnym pawilonie. Kto chciał, ten mógł się zapoznać ze sposobami wydobywania nafty, z narzędziami używanemi do tego, a wreszcie z samemi produktami, ułożonemi wcale systematycznie przez głośnego u nas, a bardziéj jeszcze zagranicą chemika, D-ra Juliana Grabowskiego. Widzieliśmy tam naftę czarną, jak smołę (ropa), obok czystéj, jak łza, bezkształtne i brzydkie bryły wosku ziemnego nieoczyszczonego, obok brył oczyszczonych, które kolorem przypominają żółty lub biały wosk pszczelny. Asfalt, parafina, benzyna i t. p., przedstawione w różnych stopniach przeróbki, zajmowały także wcale poczesne miejsca. Była to wystawa nie tylko popisowa, ale i nauczająca.

Studnie naftowe istnieją w 200 miejscowościach, wzdłuż podgórza karpackiego. Eksploatacya nafty na większą skalę zaczęła się w r. 1850, pokryła ziemię mnóstwem dziur bardzo często jałowych, wielu wzbogaciła, lecz i wielu zrujnowała. Rozwija się ona potężnie, lecz nienaukowo i nieporządnie; może być jednak, iż obecna wystawa i konferencye nafciarzy przyczynią się do zaprowadzenia reformy.

Kilka rodzajów skamieniałości roślinnych i zwierzęcych nie przedstawiały nic szczególnego, przynajmniéj dla profanów.

2) *Modele i narzędzia.* Ignacy Chylewski, fabrykant machin w Tarnowie, i eksploatator nafty, p. Klobasa z Bóbrki, przedstawili bądź zbiory narzędzi, bądź sposób wydobywania ropy. Zasługuje na uwagę okoliczność, że bodaj czy nie wszystkie przyrządy te noszą nazwiska czysto polskie, naturalnie skutkiem tego, że przemysł nafciany w polskich znajduje się rękach. Dyrekcya kopalni węgla w Ja-

worznie okazała wózki używane w kopalniach. Z Wieliczki nadesłano narzędzia górnicze, model warzelni, wind do spuszczania robotników, telegrafu łączącego windy i maszynę do wiercenia dziur. Wreszcie między okazami gipsu, marmurów i kamieni, były wyroby, jak pomniki, stoły gipsowe i t. p.

3) *Karty.* P. Ciepanowski Cypryan przedstawił geognostyczną kartę 12-o milowéj przestrzeni między Lwowem i Rudą Różaniecką, gdzie znajdować się mają cenne produkta kopalne. Kopalnia węgla w Jaworznie nadesłała plan sytuacyjny i profile, tudzież rysunki budynków i przyrządów. Ciekawe niezmiernie były mapy kopalni wielickiéj z lat 1643, 1709 i nowsze. Zarząd górniczy w Lwoszowicach nadesłał przekrój geologiczny własnéj kopalni siarki.

Koronę jednak téj klasy stanowiły karty, nadesłane przez stowarzyszenie „Ognisko“ polskich akademików w Wiedniu. Przedstawili oni 12 tablic, obejmujących liczbową i graficzną statystykę rozwoju kopalni galicyjskich między 1852 i 1876 rokiem. Znajdują się tam: podwójne obrazy produkcyi soli, siarki, żelaza lanego i kutego, cynku, węgla czarnego i brunatnego; majątek stowarzyszeń gwareckich, daniny i koncesye górnicze, stan robotników i nieszczęśliwe wypadki, a wreszcie, ogólna wartość pieniężna produkcyi górniczéj, hutniczéj i salinarnéj.

Praca to na pozór łatwa, istnieją bowiem obfite materyały urzędowe, na których oprzéć ją można; dotychczas jednak Galicya nie posiadała tak pełnego obrazu swoich bogactw i stosunków kopalnianych. Z tego powodu, uważalibyśmy za bardzo właściwe, aby dzieło to, ze stosownemi objaśnieniami i w formacie przystępnym, znalazło się na półkach księgarskich.

Ale jest tu jeszcze i druga strona kwestyi. Galicya posiada trzy wyższe zakłady naukowe, każdy z nich ma swoje stowarzyszenie, czytelnią, wydaje baliki, prawi oracye, prowadzi obszerne korespondencye dyplomatyczne z innemi. Otóż zachodzi kwestya: dla czego żaden z zakładów tych nie wystąpił choćby tak skromnie, jak „Ognisko?“ Czyżby nauka, chęć przysłużenia się krajowi jakiemiś pożytecznemi informacyami, nie entuzyazmowały uczącéj się młodzieży galicyjskiéj?

Jeżeli wolno nam głos zabrać w podobnéj sprawie, to nie możemy ukryć, że studenci wyższych zakładów naukowych w Galicyi przykre robią wrażenie i zdają się nie zasługiwać na nazwę młodzieży poważnéj. W dziale naukowym, prócz obowiązkowych prac akademii technicznéj, nie znaleźliśmy nic, coby zdradzało zamiłowanie do samodzielnych trudów. W chwili gdy biedne szkoły ele-

mentarne, gdy gimnazya i szkoły realne śpieszyły na wyścigi, aby okazać społeczeństwu, że nie napróżno wydaje na utrzymanie ich pieniądze, aby wlać otuchę w serca myślących o przyszłosci obywateli, w téj saméj chwili zakłady naukowe wyższe zaprezentowały tylko swoje nieuctwo i niedojrzałość.

Niech sądu naszego nikt nie uważa za zbyt surowy: wróciwszy bowiem z wystawy, dowiedzieliśmy się o tém, co mogą zrobić więźniowie, niewidomi, obłąkani i siéroty, ale po dziś dzień domyśléć się nie możemy do czego zdolni są różni akademicy galicyjscy.

W grupie 18: *przemysł chemiczny*, wystąpiło 36 krajowych wystawców. Okazano: oleje, pokosty, kleje, krochmal, atrament, mydło, kosmetyki i wonności, środki dezinfekcyjne, wody mineralne, napoje gazowe, zapałki, farby, balsamy, soki (?!) i materyały apteczne.

Z wystawców zasługuje na wzmiankę p. Jakób Piepes, aptekarz lwowski, za okazanie kilku rodzajów apteczek: domowéj, podróżnéj i kieszonkowéj. Druga z nich, to jest podróżna, przydaćby się mogła lekarzom, którzy zwykle, prócz narzędzi chirurgicznych, nic z sobą nie wożą. Sądzimy jednak, że domową apteczkę, mniéj wprawdzie wykwintną, ale znacznie tańszą, każdy oddalony od miasta sam może sobie urządzić według wskazówek lekarskich.

Fabrykanci zapałek, nie kontentując się okazaniem przebiegu fabrykacyi i materyałów przy niéj używanych, wystawili jeszcze obrazy z różnokolorowych zapałek. Świadczy to o ich dobrych chęciach i wielkiéj rozmaitości farb, lecz smutne rzuca światło na ich estetyczne instynkta, które właśnie zamanifestować mieli zamiar.

Zdrojowiska krajowe mieściły się w pawilonie własnym, każde zaś z nich wystawiło wodę do picia, ług i szlam. Brały udział: Iwonicz, Krynica, Lubień, Rabka, Szczawnica, Truskawiec i Żegiestów; z Królestwa, na wezwanie komisyi, tylko najdaléj położony Ciechocinek odpowiedział nadesłaniem okazów, Busk zaś i Solec nie chciały się fatygować. Prócz środków leczniczych, Iwonicz nadesłał model zbiornika wody i wannę, Żegiestów—graficzny obraz chemicznéj analizy swojéj wody. Broszurki, sprawozdania, widoki okolic i popiersia ludzi zasłużonych w obec zdrojowisk uzupełniały tę wcale przyzwoitą i nauczającą wystawę, któréj urządzeniem kierował sławny chemik Dr. Radziszewski.

Grupa 19: *środki pożywienia*, wystawców 56. Okazano: różne gatunki kaszy i mąki (np. jęczmienna, grochowa, kukurydzana)

mniéj nawet znane u nas. Daléj pieczywo, trunki, cukry, cykoryą, konserwy, buliony i pasztety, wędliny i chmiel prasowany.

Trzeba przyznać Galicyi, że posiada wódki dobre i w bardzo wielu gatunkach, co nawet odbija się, podobno dość wyraźnie na obyczajach mieszkańców. Prócz wódek i likierów, mają jeszcze tak zwane *rosolisy*, niby to likiery, lecz mniéj ponętnego smaku.

Piwa było dużo, najładniéj jednak wystąpił p. Jan Goetz z systematycznie ułożonemi okazami materyałów do fabrykacyi używanych. Prócz tego wystawił obrazy browarów przed stu, przed pięćdziesięciu laty i współczesnych, daléj manipulacyą w tych fabrykach, a w końcu dzieła, traktujące o piwowarstwie, drukowane przed 200,100 i 50 laty, nie pomijając współczesnych.

P. Hoff Bogdan z Krakowa przedstawił oryginalną metodę konserwowania, czyszczenia i uszlachetniania wina, co do pewnego stopnia mogłoby pesymistom przypomnieć wesele w Kanie Galilejskiéj, na którém przecię wprost uszlachetniono wodę. Cukiernicy lwowscy również wystąpili z ładnemi okazami, między któremi zauważyliśmy czekoladową grupę z pewnego rysunku Grottgera, co jednak ani sztuki nie posunęło bardzo naprzód, ani mogło ucieszyć artystę, gdyby żył.

Grupa 20: *tkaniny i odzież*, wystawców 67. Były tu: płótna, sukna, obrusy, tkaniny wełniane, bielizna, pościel, a nadto wyroby krawców, szewców, kapeluszników, powroźników, magazynów damskich i salonów fryzyerskich.

Wszystkie te przedmioty były bardzo ładne, obówie odznaczało się rozmaitością form i nieznanym u nas systemem przymocowywania podeszew. P. Franciszek Mozer, krawiec lwowski, zdumiewał widzów garniturem męskim bez szwu (!), a fryzyerzy prócz obowiązkowych peruk wystawili jeszcze dzieła wkraczające w sferę sztuk nadobnych. Napatrzywszy się na „zamek Czorsztyński“ wybudowany z włosów, na „krajobrazy z różnokolorowych włosów damskich,“ na pugilaresy itp. rzeczy z włosów, człowiek stracił już ochotę do obejrzenia lwowskiéj wystawy sztuk pięknych. Kraj, w którym cukiernicy i fryzyerzy chorują na artystów, musi być bardzo w sztuce posunięty.

W téj grupie lwowski zakład karny przedstawił wyroby szewckie, krawieckie, tkackie i powroźnicze, zaś szpital chorych umysłowo—słomianki i jakiś bukiet z chleba.

Grupa 21: *skóry i wyroby ze skór*, wystawców 27. Okazywano wyroby garbarskie i białoskórnicze, futra niekiedy dość rzadkie

i kosztowne, uprząż, siodła, czapki, walizy, tudzież przedmioty rękawicznicze w połączeniu z bandażami na wszystkie części ciała, a nawet gotowemi nogami. Rymarstwo zwyczajne i t. zw. galanteryjne popisało się wcale dobrze, chociaż i inne specyalności nie mniéj zasługują na pochwałę.

Grupa 22: *wyroby metalowe*, wystawców 47. Były: kłódki, zamki, gwoździe i okucia; narzędzia wykonawcze, jak noże, siekiéry, łopaty, świdry itp.; wyroby blacharskie, mosiężnictwo i dzwony; statki kuchenne z blachy miedzianéj i żelaznéj; jubilerstwo; wyroby kowalskie większe, jak osie, sztaby itd.; sikawki i przyrządy dla straży ogniowéj, broń palna, kotlarstwo, wagi, kuchnie i piecyki żelazne przenośne.

Najpiękniejsze okazy pochodzą z fabryki Arcyksięcia Albrechta; szczególniéj zaś odlewy ozdobne, jak stoły, piece, krzesła, kraty, odznaczały się bogactwem rysunku i delikatnością wyrobu. Kuchnie przenośne żelazne p. Szyszkowskiego zasługują téż na wzmiankę, jak również ozdobne wyroby p. Piecha z Sanoka i p. Goettlichera z Drohobyczy. Obaj wystawili naczynia kościelne, jak monstrancye, krzyże, kielichy, kadzielnice z mosiędzu lub chińskiego srébra, może niezawsze szczęśliwie wykończone, lecz odznaczające się bogactwem i rozmaitością form. W każdym razie okazy p. Piecha były ładniejsze.

Zakład karny dla mężczyzn we Lwowie okazał wyroby kowalskie, ślusarskie i blacharskie. Blacharstwo budowlano-ornamentacyjne reprezentował p. Bratkowski, który przed pawilonem głównym wystawił śliczny ganeczek blaszany z dachem.

Grupa 23: *wyroby z drzewa*, wystawców 84. Pierwsze miejsce zarówno ze względu na liczbę, jak i wykończenie okazów należy się stolarzom. W wyliczenia i kilkowyrazowe opisy sprzętów, widzianych i podziwianych przez nas, nie możemy się wdawać, praca ta bowiem nie miałaby celu; dość będzie, jeżeli powiemy, że zarówno styl mebli, jak i rzeźby jakiemi je ozdobiono były wyborne. Jako prześliczna, choć drobna osobliwość, zwracała uwagę szkatułka p. Piekarskiego, wyłożona kawałkami kolorowego drzewa, perłowéj macicy i paru metalów. Niemało zachwycano się téż garniturem mebli p. Bieleckiego (2 łóżka, 2 szafy, szafka nocna i umywalnia), które zbudowane z drzewa gruszkowego miały pozór hebanowych. Znaczną część pawilonu zajmowały meble gięte pp. Kohnów, wcale ładne i po wiele razy nagradzane; środek sali zajmowały fortepiany, jeden p. Fr. Woronieckiego z Jasła i dwa p. Marka. Posadzki, drzwi

i futryny do okien, sufity karétowe, kopyta i sztyfty amerykańskie do butów, olbrzymie klatki a właściwie ptaszarnie i wyroby bednarskie, ołtarzyki rzeźbione, obrazy mozajkowe i płaskorzeźby drewniane lub korkowe (!), a wreszcie już na dworze stojące, olbrzymie kufy do piwa uzupełniały tę grupę. Ciekawy, choć nieco w kącie ukryty, był warsztat snycerski prof. Łaszkiewicza i Sambora. Czytelnicy znają zapewne owe ażurowe desenie, rzeźbione z płaskich deszczułek, za pomocą cieniutkiéj ręcznéj piłki. Otóż p. Ł. piłeczkę owę osadza w mechanizmie przymocowanym do stołu i poruszanym nogą, skutkiem czego, robotnik ma obie ręce wolne, łatwiéj kierować może deszczułką, a tém samém ładniejsze wyrabiać rysunki.

W téj grupie wychowańcy lwowskiego instytutu ociemniałych wystawili swoje wyroby koszykarskie, wcale dobre. Wreszcie hr. Drohojowski z Krukienic okazał w pawilonie własnym drewniane, składane sprzęty, a mianowicie: krzesła, fotele i stoły, bardzo praktyczne, obok tego zaś—eleganckie sztachetki kratowe różnych form.

Nadmienimy w końcu, że sprzęty spółki stolarzy lwowskich niemało przyczyniły się do ozdobienia téj grupy. Najlepszém jednak dla pracy stowarzyszenia świadectwem jest ta okoliczność, że posiadają one we Lwowie jednę z najładniejszych kamienic.

Grupa 24: wyroby z *kamienia*, *gliny i szkła*. Tu należały dobrze a nawet ozdobnie budowane piece kaflowe, cegły pełne i puste, dreny, dachówki.—fajans, cement, naturalnie szkło i wyroby z terrakoty, tudzież z kamienia. Wiele z okazów szklanych i fajansowych odznaczało się wykończeniem, jakkolwiek zresztą rzeczy podobne łatwo widzieć można w sklepach. Słup salonowy z labradoru, wystawiony przez p. Schimsera, stanowił bodaj czy nie największą osobliwość, wraz z okazami cegieł ułożonych w grupy architektoniczne, przez dwie spółki: galicyjską i lwowską. Wystawców było 31.

Z grupy 25: *wyroby drobiazgowe*, wspomnimy o zegarze w formie kościoła i chińskiéj wieżyczce, wyrobionych przez p. Czechowskiego z kości słoniowéj. Do téj grupy zapisał się p. Jan Faust Morawianin z bižuteryami, jak brosze, kolczyki, szpilki, robionemi z kory brzozowéj i korka w formie owadów, albo roślin. Rzeczy te ładne, tanie i oryginalne znajdowały mnóstwo nabywców, a przeszczepione nawet na grunt warszawski, nie jednemu biedakowi mogłyby dać uczciwy zarobek.

Grupa 26: *papiér i wyroby z papiéru*, wystawców 22. Introligatorstwo, a szczególniéj galanteryjne odznaczyło się. Papiéru było dosyć; najwięcéj jednak zwracał uwagę arkusz tektury z fabryki

p. Seklera w Krakowie, na którym to arkuszu, dla udowodnienia jego wytrzymałości, zawieszono ciężar 100 funtowy.

Grupa 27: *sztuka graficzna i rysunki zastosowane do celów przemysłowych.* Przedstawiono: przyrządy drukarskie, jak czcionki, stereotypy, klisze, odlewy z drzeworytów i tym podobne produkcye drukarskie, a więc książki i broszury,—fotografie, heljominatury, litografie, malowidła na kamieniu, pieczęcie i narzędzia rytownicze, wreszcie projekta ornamentów.

O fotografiach powiedzieć można, że są ładne, choć określenie to niezawsze dałoby się zastosować do przedstawionych na nich osób. Drukarnia ludowa wystawiła kilkanaście broszur i książek naturalnie dla ludu; między dziełkami, obok pedagogiki i Ustawodawstwa, zauważyłem broszurę o „Giełdzie i czynnościach giełdowych," tudzież książkę, p. t. Filozofia i jéj znaczenie, która nie musi się chyba cieszyć wielkim pokupem. Do osobliwości graficznych należą niewątpliwie rysunki p. Oleszkiewicza, wykonane tuszem na aksamitnéj poduszce!..

Najwspanialszym jednak okazem było potężne album p. Salba, litografa z Krakowa. Znajdujemy tam rysunki wykonywane w zakładzie z zakrésu najrozmaitszych gałęzi wiedzy i sztuki, a więc matematyki, zoologii, botaniki, mineralogii, mechaniki, anatomii, architektury, inżynieryi i t. d. Jeden rzut oka na ten zbiór szacowny wskazuje, że w Galicyi wychodzi bez porównania więcéj publikacyj naukowych, aniżeli u nas,—czemu zresztą dziwić się nie można.

Grupa 28: *maszyny i przyrządy przewozowe.* Pomiędzy mnóstwem wózków, sani, powozików i karet, ładnych i drogich, które przynajmniéj z wierzchu nie ustępują podobnym wyrobom warszawskim, szczegół oryginalny stanowią: sanie p. Maksymowicza, odznaczające się tém, że przy koźle mają korbę, zapomocą któréj furman może je w jednéj chwili zamienić z kutych na niekute. W téj też grupie pomieszczono w katalogu: pompy, maszynę do cięcia papiérowych pudełek na zapałki, maszynę do robienia gwoździ z drutu i maszyny do szycia p. Kraszewskiego z Warszawy. Widzowie oddawali tym ostatnim wielkie pochwały.

Grupa 29: *instrumenta naukowe.* Tu należały: zegary zwykłe i chronometry astronomiczne, narzędzia chirurgiczne, instrumenta miernicze i fizyczne. Najciekawszemi były niewątpliwie machiny graficzne znakomitego matematyka profesora Wawrzyńca Żmurki. Jedna z tych machin służyła do kreślenia elipsy, odniesionéj do dwu jakichkolwiek osi sprzężonych, inna kreśliła hiperbolę, inna cyklojdę, a jeszcze inna parabolę odniesioną do jakiejkolwiek stycznéj i cięciwy. Przyrządy te, niewątpliwie obmyślane świetnie i najzupełniéj

oryginalne, wydają nam się może zbyt złożonemi, czego wprawdzie uniknąć niepodobna, lecz co stanowić będzie przeszkodę do ich upowszechnienia się.

Między przyrządami téj grupy wiele zostało obmyślonych, lub poprawionych przez miejscową inteligencyą. Między niemi znajdujemy przyrząd mikrometryczny dra Fabiana. Kątomiar p. H. Strzeleckiego, przyrząd mierniczy, pozwalający nawet profanom zdéjmować plany p. Janowskiego, przyrząd do rysowania linij wskazujących bicie tętna, poprawiony przez dra Wielmana i kilka innych. Nie możemy sądzić o ile narzędzia te są praktyczne, w każdym razie jednak chlubnie świadczą o samodzielności ich autorów. Tu także p. Śliwiński okazał wybudowane przez niego organy.

Grupa 30: *budownictwo i inżynierya cywilna*, wystawców 14. Są tu po większéj części plany domów, kościołów, szkół wiejskich, fabryk, pałaców i pieców. Droga Lwowska Czerniowiecka przedstawiła modele, odlewy i rysunki przedmiotów w warsztatach jéj wykonywanych, statystykę ruchu i plan komunikacyi telegraficznéj w całéj Europie. P. Szybka Jan okazał drewniany model lwowskiego ratusza, który, mówiąc nawiasowo, przypomina wielką pułapkę na szczury. P. Jaegerman wystąpił z planem regulacyi rzeki i kanalizacyi miasta, zaś p. Leitner Adolf okazał nowy przyrząd do czyszczenia kominów. W instrumencie tym (jeżeli mnie pamięć nie zwodzi) miejsce giętkiéj i pękatéj brzozowéj miotły, zastępują sprężyny z grubego drutu. W końcu p. Ciepanowski Cypryan przedstawił maty ogniotrwałe i takież pokrycia na dachy, wraz z machiną do wyrabiania ich. Materyałami ogniotrwałemi są tu: piasek, glina i wapno; próba zaś robiona z owemi pokryciami wypadła pomyślnie. P. Ciepanowski dotknął bardzo ważnéj kwestyi, bo zmniejszenia szans pożaru dla budowli wiejskich i miejskich ze względu na dachy; byłoby pożądane, aby kto inny znowu, lub p. C. zrobił to samo dla ścian drewnianych. O ile nam wiadomo, nauka zna wiele sposobów uczynienia drzewa niepalném, chodzi więc obecnie o wybranie z pośród nich takiego, który w danych warunkach miejscowych okazałby się najtańszym.

W grupie 31: *praca kobiét*, przyjęło udział 99 wystawczyń, począwszy od dam z najwyższéj arystokracyi miejscowéj, a skończywszy na ociemniałych i penitentkach zakładu karnego.

Cechę tych wyrobów stanowi cierpliwość, zręczność i gust, słowem praca, wobec któréj materyał, choćby najkosztowniejszy, traci znaczenie, najprostszy zaś nabiéra go. W okazach tych, obok złotych nitek, jedwabiu, aksamitu i włóczki, spotykamy papiér i bibułkę, którym nadano formę kwiatów, cienkie nici lniane, które splątano

w prześliczne koronki, rybie łuski ułożone w estetyczne formy na poduszce aksamitnéj, kwiaty ze skóry, mozajki z różnokolorowych patyczków i mnóstwo innych.

Najpraktyczniejszy dział wyrobów kobiécych, to jest: krawiectwo damskie, bieliznę i roboty pończoszkowe, przedstawiło stowarzyszenie pracy kobiét, między okazami którego znajdujemy nieomal wszystkie typy ręcznéj działalności kobiecéj, począwszy od *jaśków* i chustek, a skończywszy na dywanach, koronkach, inkrustowanych stolikach i przyborach kościelnych. W tym oddziale zasługuje na wzmiankę pani Łukaszewiczowa, za nadésłanie bardzo ładnych koronek, wyrobionych przez włościanki w szkole, znajdującéj się pod jéj kierunkiem. Również wielką ilość wyrobów nadésłał zakład sierocy Ś-téj Teresy, w którym dzieci uczą się szycia, haftu, koronkarstwa, robót szydełkowych i t. d. Kobiécy zakład karny we Lwowie, odznaczający się tém, że w nim funkcyą dozorców pełnią zakonnice, prócz ornatów i komży, okazał jeszcze rękawiczki i wyroby tkackie.

Pani Krzysztofowiczowa z Kornicza nadésłała okazy tkackie, począwszy od włókna i przędzy lnianéj, skończywszy na płótnie, ręcznikach, bieliźnie stołowéj i dymie lnianéj własnego wyrobu. Pani Kwiling okazała wstążki jedwabne na domowym warsztacie tkane. Koronki i wachlarze pani Kozłowieckiéj i panny Stelcer są prześliczne.

Damy arystokratyczne głównie wystąpiły z ubiorami kościelnemi; niektóre z nich, szczególniéj ozdobione haftem wypukłym wejdą zapewne kiedyś do kościelnych skarbców, jako niepospolite dzieła gustu. Między wyrobami włościanek, obok czepców i pasów, widzieliśmy wspomniane już koronki i hafty czerwoną nitką na płótnie. Jeden z nich, przedstawiający kontur Matki Boskiéj, odznacza się nawet artyzmem.

Do osobliwości téż należy dywan pani Strzyżowskiéj (odsiecz Wiednia), w którym twarze i ręce są olejno malowane, konie zaś, broń i ubiory szyte różnokolorowemi włóczkami wypukło. Panie, Sarnecka i Stadnicka, okazały stoliki pokryte własnoręcznemi malowidłami; wyroby jednak drugiéj z tych pań odznaczają się pięknością. Z pomiędzy wszystkich przecięż malowideł pierwsze miejsce należy się obrazom, wykonanym na porcelanie przez pannę Prusinowską. Są to roboty, odznaczające się wśród całéj grupy.

Przy oddziale kobiét ociemniałych widz staje zdumiony. Biédaczki te nietylko szyją wybornie, ale nawet robią włóczkowe różnokolorowe kapy i siatki tak delikatne, duże i pełne zawikłanych

rysunków, że wykonanie ich przyniosłoby zaszczyt nawet najlepiéj widzącym. Niezwalczona cierpliwość, trudne do pojęcia skupienie uwagi, czułość dotyku i nieustanne rachowanie oczek zastępują im wzrok. Sądzimy jednak, że może nie należałoby wymagać, a nawet pozwalać ociemniałym na wykonywanie prac podobnych, które za dużo pochłaniają władz duchowych. Człowiek, któryby z zamkniętemi oczyma zrobił podobną kapę czy chustkę, wzbudziłby niezawodnie słuszny podziw, lecz jednocześnie ścieśniłby swój horyzont umysłowy do kilkuset oczek różnych form, skombinowanych kilkudziesięcioma sposobami.

Wystawa pracy kobiecéj zajęła cały pawilon; słusznie należał się on 99 pracowitym i zapewne pięknym galicyankom, z których przecięż ani jedna nie okazała nam wzoru książki do prowadzenia rachunków domowych. Czyżby szanownym wystawczyniom haft ornatów zabrał tyle czasu, że go już nic na gospodarstwo domowe nie zostało?

O grupie 32, którą nie wiém dla czego odróżniono od 33, obejmującéj dział *wychowania i nauki*, to tylko można powiedzieć, że w niéj figurowały okazy austryackiego muzeum „dla sztuki i przemysłu.“ Z pomiędzy okazów tych na szczególną uwagę zasługiwały wyborne odlewy gipsowe, przedstawiające posągi mistrzów starożytnych, ornamenta, naczynia ozdobne i inne.

Grupa wychowania i nauki rozdzielona na trzy części: szkolnictwo, wydawnictwo i statystykę, stanowi kulminacyjny punkt wystawy. Oglądający ją przyznać musi, że jakkolwiek w społeczném życiu Galicyi wiele może być stron wadliwych, kraj ten jednak ma przyszłość, bo ma szkoły porządne. Nie każda wprawdzie z instytucyj tych posiada wszelkie potrzebne jéj środki, nie we wszystkich być może wykłady dosięgają jednakowo wysokiego poziomu, w ogólnym przecięż systemie naukowym widać zrozumienie kierunku, jaki szkołom nadać wypada i postęp w metodzie nauczania.

Kiedyindziéj wrócimy jeszcze do przedmiotu tego, aby zapoznać z nim dokładniéj czytelników; dziś ograniczymy się na wystawie.

Wystawa szkolna z natury rzeczy rozpada się na dwie części: pomoce i środki naukowe, jakich szkoła uczniom dostarcza, i prace samych uczniów.

Przedewszystkiém zwrócono uwagę na to, aby w Galicyi pobudować jak najwięcéj budynków szkolnych, skutkiem czego z 6000 osad tylko 900 nie posiada jeszcze szkół ludowych, w każdém zaś

prawie mieście powiatowém znajduje się piękny gmach dla szkoły miejskiéj. Dążność ta odbiła się i na wystawie, między okazami któréj znajdują się ławki szkolne pp. Gawła, Rybackiego, gimnazyum akademickiego i urzędu budowniczego we Lwowie,—tablice tychże pp. Gawła i Rybackiego,—przyrząd szwedzki do przechowywania map nadesłany przez radę szkolną wadowicką, tudzież plany budynków szkolnych z ogrodami przedstawione przez p. Maziarskiego ze Złotnik, rady szkolne bialską, jarosławską i inne.

W szkołach galicyjskich panuje system nauki poglądowéj: nauczyciel nie ma prawa zadawać uczniowi z książki *stąd dotąd*, jak się to praktykowało dawniéj,—ale każde nowe pojęcie musi objaśnić za pomocą odpowiednich przedmiotów i przyrządów. Otóż rzeczy te okazane na wystawie, podzielić się dadzą na grupy następne.

a) *Geografia i kosmografia*. Tu należą licznie prezentowane globusy, z których najgodniejszym uwagi był d-ra Żulińskiego. Globus ten posiada ruchomy poziom i rozmaite linie, jak oś, równoleżniki, południki, linią wierzchołkową i inne. Dopiéro patrząc na ten okaz, nauczyciele staréj daty przekonać się mogą jakich niepodobieństw wymagali od dzieci żądając od nich, aby nauczyły się z książki wstępnych geograficznych pojęć. X. Głodkiewicz z Miżyńca przedstawił *teluryum* drewniane i tanie, dla szkół wiejskich. Jest to narzędzie służące do okazania dziecku biegu planet (ziemi, marsa) na około słońca, a księżyca na około ziemi. Oryginalność przyrządu, którego zbudowaniu zacny kapłan wiele lat życia poświęcił, stanowi między innemi to, że księżyc obiega drogę nachyloną i do ekliptyki i do równika ziemskiego. Tenże sam autor przedstawił wieczny kalendarz mechaniczny.

Oprócz wielkiéj liczby map rysowanych w ogóle bardzo dobrze, zasługują na wzmiankę mapy wypukłe, z gipsu, jak np. Włoch i Grecyi, okazana przez gimnazyum w Bochnii, tudzież Galicyi, wykonana przez p. Sokalskiego, i okolic Przemyśla. P. Gulin ze złoczewa nadésłał rysowane mapy paru powiatów. na których oznaczył łąki, lasy, pola orne, młyny, poczty, fabryki, pasieki i t. d.

b) *Matematyka*. Do téj kategoryi należą: *liczydło* ułamkowe d-ra Żulińskiego; milion i setka na płótnie, nadésłane przez seminaryum nauczycielskie w Tarnopolu; model uzmysławiający rysunek perspektywiczny, nadésłany przez szkołę realną w Krakowie, a wreszcie przyrządy do uzmysłowienia twierdzeń geometrycznych ze szkoły realnéj w Tarnopolu.

c) *Zbiory z historyi naturalnéj*, jak np. modele krystalograficzne, zbiór roślin i chrząszczy, pochodzące ze szkoły realnéj w Brodach,

zbiory rady szkolnéj w Kołomyi, motyle i owady nadésłane przez rad. szkol. wadowicką, tablice paleontologiczne i anatomiczne seminaryum naucz. żeńsk. we Lwowie, zielniki i t. p.

d) Przedmioty służące *do objaśnienia wyrazów* czytanych w książkach. W tym dziale odznaczył się p. Antoni Gajela, nauczyciel z Wadowic, przedstawiając model wzorowéj chaty, ze wszelkiemi narzędziami i statkami gospodarstwa wiejskiego, zbiór różnych gatunków roli i nawozu, tudzież kolekcyą 130-tu nasion. Każdy z tych zbiorów zamknięty jest w słoju podzielonym na kilka kondygnacyj, które znowu dzielą się na małe komóreczki. Dziecko, aby poznać nasiona czy nawozy, nie potrzebuje otwiérać słojów, ale tylko obejrzéć je ze wszystkich stron.

P. Wojciech Wujcik z Tarnowa nadésłał zbiorek w formie kasetki, podzielonéj na 20 przegródek. W jednéj są ryciny, odnoszące się do historyi i geografii, w drugiéj parę przedmiotów i rysunków z zakrésu fizyki, w 3-éj, 4-éj, 5-éj okazy z historyi naturalnéj, w 6-éj zielnik, w 7-éj materyały używane w przemyśle tkackim, jak np. jedwab, len, konopie, bawełna, daléj idą nasiona, narzędzia rolnicze, szkło, minerały i t. p. Zbiorek ten odpowiada najzupełniéj wyrazom, znajdującym się w książce do czytania na klasę trzecią.

Nierównie obszerniejszym jest *gabinet technologiczny* szkoły w Stanisławowie, właściwie szafa podzielona na 17 półek. Na pięciu pierwszych mieszczą się produkta roślinne, następną zajmują produkta zwierzęce, ośm po niéj idących—mineralne. Najniższą zapełniają modele narzędzi gospodarskich.

e) *Starożytności.* Uczniom, czytającym dawnych autorów, nauczyciel objaśnia starożytne narzędzia i budowle bądź za pomocą rysunków, bądź modeli. Z przedmiotów tych gimnazyum niższe w Bochni nadésłało modele piramidy i obelisku, gimnazyum zaś w Rzeczowie—model teatru greckiego, tarany, kusze i t. p. Wyobrażam sobie, że przy podobnych objaśnieniach łacina, greczyzna, zadawane naturalnie w porcyach umiarkowanych, muszą być łatwiejszemi do przełknięcia.

Przechodzimy do prac uczniów. Największą liczbę okazów z téj kategoryi stanowiły kajeta z wypracowaniami stylistycznemi, lub zwykłą kaligrafią. Najciekawsze jednak z nich były ćwiczenia piśmienne, stylistyczne i rachunkowe *szkoły sług*, choćby dlatego, że podobna instytucya u nas nie istnieje!

Drugie miejsce zajmują rysunki geometryczne, ornamentacyjne i techniczne, a także portrety i krajobrazy. Podziwiać doprawdy i uwielbiać należy to upowszechnienie się rysunków we wszystkich szkołach, począwszy od ludowych i froeblowskich, skończywszy na

realnych, przemysłowych i lwowskiéj akademii technicznéj. Nauka jednakże kształtowania form nie ogranicza się na tém; gdy bowiem dzieci w szkółkach froeblowskich wyrabiają różne przedmioty z papiéru, patyczków i gliny, uczniowie szkół realnych i technicy wyrabiają jeszcze modele, medaliony i popiérsia z gipsu. Doprawdy, że patrząc na całe szeregi tych rysunków i modeli, myślałem, że jestem na jakiejś wystawie sztuk pięknych, nie zaś na skromnym popisie uczniów, którzy wcale nie uważają się za genialnych artystów.

Prócz tego znajdujemy jeszcze trzy rodzaje modelów: 1-o bryły geometryczne z gipsu, nitek i papiéru; 2-o powierzchnie krzywe, jak parabolojda, hiperbolojda, powierzchnia śrubowa i t. p.; 3-o modele machin, budynków i przyrządów, gdzie należą model młyna poruszanego za pomocą spadku piasku, magla angielskiego, maszyny parowéj, kafara, maszynki uzmysławiającéj przenoszenie ruchu za pośrednictwem systemu kół, co wszystko nadésłała szkoła realna z Brodów. Akademia techniczna przedstawiła różne rodzaje spojeń, inny jakiś zakład model mostu.

Dodajmy do tego drobne wyroby szkół żeńskich, jak szycie, hafty, cerowanie, kwiaty, instrumenta używane w szkołach do wykładu fizyki i kilka narzędzi obmyślanych dla użytku uczniów przez d-ra Żulińskiego, jak przyrząd uzmysławiający układ gam, przyrząd do kreślenia kół i elipsy na tablicy i inne, a mieć będziemy najogólniejszy szkic téj wystawy, na którą składały się rady szkolne i pojedyncze instytucye naukowe. Wystawa ta nie jest zapewne dokładnym obrazem prac i środków szkolnych, uzdolnienia uczniów i pilności nauczycieli, wyda jednakże najszybsze i najpraktyczniejsze rezultaty. Galicya bowiem, oprócz seminaryów nauczycielskich, posiada towarzystwo pedagogiczne, które bardzo często odbywa sesye i tym sposobem wytwarza zbawienne współzawodnictwo między kierownikami młodego pokolenia. Podwyższona działalność sprawia to, że żadne ważniejsze ulepszenie, dokonane w jednéj szkole, nie przejdzie bez odbicia się w innych; ona téż niewątpliwie przyczyni się do tego, że obecna wystawa lwowska, ze wszystkich gałęzi pracy, które w niéj udział wzięły, najsilniéj oddziała na rozwój szkolnictwa.

Drugą część téj grupy stanowiły *wydawnictwa*, w czém przyjęło udział 18 wystawców miejscowych, firmy Gebethnera i Wolffa, tudzież Ungra z Królestwa i Żupańskiego z Poznania.

Zakrój na tę wystawę był imponujący, wezwani bowiem przez komitet pp. Gubrynowicz i Schmidt rozesłali na wszystkie strony świata odezwy, zapraszające do udziału wszystkich wydawców polskich.

Każdy z nich miał nadesłać po jednym egzemplarzu dzieł jego nakładem drukowanych, redakcye pism zaś—roczniki z pięciu lat ostatnich i spisy dawniejszych. Z tak bogatego materyału miał być utworzony katalog i rozdawany zwiédzającym bezpłatnie. Zbyteczném byłoby nadmieniać, że zamiar ten nie przyszedł do skutku, ponieważ większość wezwanych uznała za pożyteczne nie odpowiadać na listy.

O saméj wystawie trudno coś powiedziéć; na oko była ona piękna i obfita, obéjmowała zaś głównie następujące gałęzie: Rolnictwo, Leśnictwo, Myśliwstwo, Budownictwo, Technologią, Mechanikę, Ogrodnictwo, Pszczelnictwo, Weterynaryą i chów zwierząt.

Aby dać czytelnikowi choć przybliżony obraz stanu naszéj literatury w zakrésie tych specyalności, przytoczę cyfry dzieł wydrukowanych między 1857 i 1877 rokiem, a pomieszczonych w katalogu Gubrynowicza i Schmidta.

	Dziel.
Budownictwo, mechanika, technologia .	86
Gospodarstwo wiejskie	177
Leśnictwo i myśliwstwo . , ...	34
Ogrodnictwo i sadownictwo	30
Pszczelnictwo i jedwabnictwo	25
Leczenie i chów zwierząt	75
Gospodarstwo domowe, kucharstwo . .	31
Pisma peryodyczne gospodarskie . . .	12
	470.

Z zestawienia tego wypadłoby, że rocznie ukazuje się w języku naszym około 21 dzieł fachowych i to po większéj części tłómaczonych. Cyfra ta jest niewątpliwie zbyt małą, lecz choćbyśmy ją nawet i potroili, to jeszcze świadczyć będzie o niesłychaném ubóstwie literatury nauczającéj.

Ciekawy, choć smutny szczegół stanowi okoliczność, że kiedy w wymienionym katalogu naliczyłem 23 dziełek traktujących o kucharstwie, to z zakrésu mechaniki teoretycznéj i praktycznéj znalazłem ich tylko 19. Pokazuje się, że idealizm nasz długo jeszcze skutecznie walczyć może z pozytywizmem, tém skuteczniéj, że opiéra się na żołądku! Ostatni dział téj grupy tworzyła *statystyka*, z którą wystąpiło 6 wystawców. P. Tadeusz Romanowicz przedstawił graficzne tabele: 1-o cen mięsa, 2-o cen zboża, 3-o fluktuacyą miesięczną cen w okrésach dziesięcioletnich. Wszystko to odnosiło się do rynku lwowskiego i obéjmowało okrés czasu od 1805 do 1876 roku.

Krakowskie Towarzystwo wzajemnych ubezpieczeń, prócz mapy, okazującéj organizacyą towarzystwa, wystawiło jeszcze, w ozdobnéj szafce, spis członków zarządu i delegatów, dochody i wypłaty uskutecznione za pogorzele i gradobicia, sumy zwrócone, a wreszcie stan kasy zaliczkowéj i oszczędności, dopóki takowe znajdowały się pod jego kierunkiem. Z tablic tych dowiadujemy się między innemi, że w r. 1861 wpływy wynosiły 277.000 zł. reń., wynagrodzenia 82.000 zł. reń. zwroty członkom 54.000 zł. reń., w roku zaś 1876 składki przyniosły 1.700.000 zł. reń., na wynagrodzenia wydano 912.000 zł. reń., a członkom zwrócono (część bowiem zysków osiągniętych przez towarzystwo zwraca się uczestnikom) 307.000 złotych reń. w cyfrach okrągłych. Kapitał rezerwowy w roku ostatnim wynosił milion zł. reń.

P. Steffel Franciszek przedstawił, niemieckie wprawdzie, lecz ładne tablice statystyczne Austro-Węgier, w których stosunki wyznaniowe, narodowościowe, gospodarcze i ekonomiczne pojedyńczych krajów monarchii przedstawione były za pomocą prostokątów, odpowiadających odnośnym cyfrom i umieszczonych na wspólnéj podstawie. O téj metodzie przedstawiania wyników statystycznych pisał już w „Ateneum“ p. Erazm Piltz (Przegląd ruchu społecznego, zesz. X, 1876).

Związek stowarzyszeń zarobkowych i gospodarczych okazał tablice, przedstawiające stan stowarzyszeń zaliczkowych w Galicyi, co do których mamy następne cyfry. W roku 1877 kraj ten posiadał 74 towarzystw zaliczkowych i kredytowych, które liczyły 43.627 członków. Wkłady wynosiły $1\frac{1}{2}$ miliona guldenów, pożyczek udzielono 11 milionów guld., cały zaś obrót kapitałów wynosił 35 mil. gul., W r. 1875 członków było 36.157, wkładów 1, 2 mili. gul., pożyczki wynosiły 7 mil. gul., całkowity zaś obrót kasowy $21\frac{1}{2}$ mil. gul. Procenta pobierano od 9% do 13%.

Wspaniałe karty statystyczne okazał wydział krajowy. W tablicach tych przedstawiono metodami najmiléj przemawiającemi do oka, bo graficznemi: a) Przestrzenie uprawiane pod rozmaite płody rolnicze; b) zbiory z morga; c) ilość szynków, produkcyą piwa i wódki, chów koni; d) udział miast, tudzież mniejszéj i większéj własności w podatkach; e) konsumcyą mięsa i tytoniu; f) ilość szkół i promocyj; g) stosunek wójtów piśmiennych do ogółu wójtów i t. d.

W końcu wypada wspomnieć o niewielkiéj tablicy, pomieszczonéj w pawilonie płodów rolniczych, pod tytułem: Tablica poglądowa na rezultaty gospodarstwa, obejmującego 360 morgów gruntu ornego i 50 morgów łąk, a położonego w okolicy Krakowa.

Cyfry wysiewów i zbiorów podane są od r. 1837 do 1876, dochody i wydatki od 1854 do 1876. Oto te z nich, które wynotować zdążyłem.

	Rok.	Wysiano.	Zebrano.	Plon.
Pszenica	1837	86 kor.	437	5,1
	1845	— „	—	4,3
	1874	— „	—	18,3
	1876	45 „	548	12,
Żyto .	1837	49 „	308	6,3
	1876	31 „	355	11,4
Jęczmień	1837	— „	—	6
	1876	— „	—	15
Owies .	1837	— „	—	7
	1876	— „	—	10,8
Groch .	1837	— „	—	9,6
	1876	— „	—	4,6
Ziemniaki	1837	— „	—	5
	1876	— „	—	6,3
Pasza	1837	zebrano 1.160 centnarów		
	1876	„ 2.960 „		
Buraki	1837	„ 160 „		
	1876	„ 3.670 „		

Z cyfr, które przytoczyłem, widać, że w wymienionym okrésie czasu plony wszystkich roślin z wyjątkiem grochu powiększyły się stanowczo. W szeregu lat istnieją pewne wahania, mimo to jednak dążność do wzrostu objawia się stale, co naturalnie przypisać można tylko staranniejszéj uprawie.

Nie mniéj ciekawe są cyfry następne:

Rok	Dochody	Wydatki	Zysk
1854	5.633 złr.	5.033	600
1876	10.154 „	5.720	4.433

Widzimy więc, że dochody, a z niemi zyski powiększyły się znakomicie, podczas gdy wydatki wzrosły stosunkowo bardzo nieznacznie. Zwracam uwagę, że i wzrost zysków pomimo wahań był bardzo stały.

Weźmy ostatnią grupę cyfr.

Rok.	Podatki.	Pensya oficyalistów.	Pensya czeladzi.	Najem robotników.
1854	738 zł. reń.	206	496	1.506
1873	1.078 „	—	—	—
1876	728 „	436	604	1.768

W roku 1873 podatki były największe, zresztą wahania ich nie są wielkie. Sumy wypłacane służbie i najemnikom wzrastały nadzwyczaj prawidłowo. Uderzającym jednak jest stosunek sum płaconych robotnikom do czystych zysków. Wniosek ogólny (jeżeli wyprowadzić go wolno na podstawie jednego faktu) jest ten, że jak wszędzie, tak i w Galicyi, kto miał rozum i umiał się pilnować, doszedł do znakomitych dochodów, i że narzekanie na biedę tak pospolite w tamtych stronach, kto wié, czy nie może służyć za dowód lenistwa i nieumiejętności.

Na zamknięcie tego działu niech mi wolno będzie wyrazić życzenie, aby wydawcy lwowscy postarali się o upowszechnienie wszystkich tablic statystycznych, jakie się znajdowały na wystawie; będzie to bowiem ważny krok do poznania kraju, który mało jest wprawdzie zbadanym, ale jeszcze mniéj znanym, przedewszystkiém jego mieszkańcom.

Tak tedy dopłynęliśmy do brzegu. Czytelnik niech mi wybaczy styl oschły, lub niezawsze wymotywowane sądy, a wreszcie opuszczenia przedmiotów ważniejszych, jeżeli wypadek taki miał miejsce. Co do mnie, kończę życzeniem, abyśmy po najdłuższém życiu, mogli kiedy zobaczyć w Warszawie choć taką wystawę szkolną i aby krajoznawstwo nasze zostało wzbogacone choć takiemi statystycznemi tablicami, jakie widziałem we Lwowie.

Wystawę lwowską zwiedziło ogółem 142.925 osób za biletami płatnemi, nie licząc samych wystawców, sprawozdawców i innych, którzy posiadali bilety bezpłatne. Łatwo pojąć, że podobne nagromadzenie osób z różnych okolic kraju i różnych specyalności musiało przyczynić się do wywołania narad i konferencyj. Istotnie miały one miejsce, urządzali je zaś rolnicy, przemysłowcy i nafciarze. Oddzielnéj wzmianki nie robimy o nich, lecz przy okazyi zakomunikujemy czytelnikom treść ważniejszych rozpraw lub postanowień.

Aleksander Głowacki.

KRYTYKA.

Karol Vogt. Listy o fizyologii. Przekład D-ra *Konrada Dolrskiego.* Z 110 drzeworytami w texcie. Nakładem tłómacza. Warszawa 1877.

Przed trzydziestu kilku laty Vogt otrzymał wezwanie od pewnego wielkiego dziennika niemieckiego, aby napisał szereg listów o fizyologii, które miały być umieszczone w fejletonie tegoż dziennika. Wywiązując się z tego zadania, napisał pojedyncze artykuły, składające dzieło, którego tytuł powyżéj podaliśmy. „Okoliczność, mówi Vogt w przedmowie, odnosząca się do powstania téj książki, wykazuje zarazem cel, jaki sobie założyłem. Nie chodziło mi o napisanie wyczerpującego podręcznika; pragnąłem tylko w szerokich zarysach skreślić fakta i bezpośrednio płynące z nich wnioski, w ten sposób, by mnie ogół publiczności mógł zrozumieć. Nie chciałem przygotowywać mych czytelników za pomocą wstępów podających określenia i oderwane pojęcia; według mego planu, należało im przedstawić bezpośrednie fakta i spostrzeżenia, wytłómaczyć im pytania, które sobie postawić należy, jak również metody, do których uciekać się trzeba, by odpowiedź zadawalniającą otrzymać. Nie mogłem przypuszczać, że osoby, dla których piszę, posiadają te wiadomości z anatomii, których słuchacz medycyny nabyć musi, zanim do nauki fizyologii przystąpi. Należało więc robić obszerne wycieczki na pole anatomii i mikroskopii, konieczne dla wyłożenia głównych czynności organizmu.“ Słowa te są najlepszą charakterystyką ogólną dzieła; dodamy tylko, że Vogt bardzo dobrze wywiązał się ze swego zadania. Oceniła to publika niemiecka, gdyż w Niemczech możliwe były cztery wydania téj książki, (osiemset kilkadziesiąt stron obejmującéj), a liczne tłómaczenia na inne języki europejskie cieszą się również uznaniem klas wykształconych.

Vogt jest jednym z badaczy samodzielnych; prace jego na polu geologii i zoologii zyskały mu bardzo poważne stanowisko w świecie naukowym. Wyróżnia się on przytém z pomiędzy uczonych dość rzadkim talentem zrozumiałego i zajmującego przemawiania do publiczności. Listy o fizyologii, listy o zoologii oraz wykłady o człowieku, są wystarczającym na to dowodem. Zalety te powinnyby mu zjednać taki szacunek u publiczności, jakim się cieszy u uczonych i postawić go po za obrębem napaści ludzi, niemających nic wspólnego z naukami przyrodniczemi. Tymczasem stało się przeciwnie. Vogt miał nieszczęście być republikaninem i zwolennikiem zupełnéj, niczém niekrępowanéj swobody w badaniach naukowych i ściągnął tém na się tysiączne ataki ludzi, wyprowadzających na własną rękę wnioski, do których Vogt według ich logiki powinien był dojść.

Wyraźny motyw do tego dały poglądy filozoficzne, wplecione w niektóre prace Vogta. Długo przechodziły one bez zwrócenia na siebie uwagi i dopiéro z powodu ogólnéj walki na polu pojęć filozoficznych, która się wszczęła w Niemczech przed paru dziesiątkami lat, wydobyte zostały z pomiędzy poglądów fizyologicznych i wystawione nietyle na rozbiór krytyczny, co byłoby zupełnie słusznem, ile na obelgi ze strony konserwatystów, i Vogt wkrótce powiększył zastęp ludzi, których uznano za koryfeuszów fałszywéj wiedzy.

Nie tu miejsce na rozbiór filozofii Vogta. Powiémy tylko, że zawiéra zbyt śmiałe hipotezy, na które nie może się zgodzić wiedza pozytywna, ale téż kto umie myśléć, ten i niejedno zdrowe ziarno w niéj znajdzie, pomimo, a może i dla tego, że odbiega od dyalektycznéj metody filozofii idealistów niemieckich. Jednakże, chociaż nie jest ona czystym odblaskiem prawdy, to jednak okoliczność ta nie wpływa bynajmniéj na zmniejszenie wartości przyrodniczych wykładów Vogta, bo czyż jest jaka inna filozofia, jakaś inna książka, którąby tylko szczerą prawdę zawiérała, któréjby dalsze postępy wiedzy nie zmodyfikowały? Trzymając się przeciwnéj zasady, nie należałoby nic czytać i kontentować się tylko wiedzą dziecka i prostaka, lub co najwyżéj jakiemi tylko pojedynczemi, niczém niepołączonemi obserwacyami naukowemi, o których nas zmysły, bez pozostawienia żadnéj wątpliwości, przekonywają.

Niektórzy także uważają za wadę „Listów o fizyologii“ pomieszczenie rozdziału o płci, zapładnianiu i historyi rozwoju osobnika. Są oni zdania, które Goethe wyraził w dwuwierszu cytowanym przez Vogta:

Nie należy w obec niewinnych uszu mówić o rzeczach,
Bez których jednak niewinne serca nie będą mogły się obyć.

Lecz mnie się zdaje, że należałoby się już raz pozbyć téj przyzwoitéj obłudy, bo poważne obznajmienie się z budową organizmu i jego funkcyami, nie może psuć zasad moralnéj młodzieży, a dowiedzioną jest rzeczą, że niewinne serca kala najczęściéj zły przykład, czytanie niektórych zbyt plastycznych romansów, bardzo często teatr i rozmowy w salonach, nigdy zaś nauka. Ona tak samo, jak posągi greckie, nie denerwuje organizmu, bo myśl w sfery poważne unosi.

Rozdział więc ten nie powinien uchodzić za wadliwą stronę dzieła i owszem stanowi jego zaletę, bo jakażby to była fizyologia, któraby na jednę z najważniejszych i najpospolitszych funkcyj organizmu zapuściła zasłonę? Powtarzam raz jeszcze: czas byłby pozbyć się obłudy, z którą, szczególniéj osobom idealnym, wcale nie jest do twarzy.

Z zupełną więc stanowczością możemy zalecić czytanie téj książki osobom wykształconym dojrzałym, oraz młodzieży, która jest godna patentu maturitatis, dla młodszéj książka pozostanie bez pożytku. Tłómaczowi zaś, który nie wahał się łożyć pracy i nakładu na przyswojenie naszemu językowi, jednéj z najlepszych popularnych fizyologii, uważamy za sprawiedliwe wyrazić niniejszém podziękowanie za dobry przekład i piękną a tanią edycyą.

Przy małym u nas pokupie dzieł poważnych, niechaj przynajmniéj uznanie zasługi będzie nagrodą tłómacza za trudy i koszta.

B. R.

Początki języka polskiego. *Książka do czytania, ułożona podług stopniowego rozwoju pojęć, mowy i gramatyki, przez Władysława Nowickiego, Magistra Nauk Hist. Fil.* z 14 drzeworytami, w 8-ce mniejszéj, str. 207. Warszawa. 1877 r.

Książka ta składa się z dwóch części i z uwag dla wychowawców.

Część I-a, przeznaczona do czytania, dyktandy, rozbioru i ćwiczeń (od str. 3—37), zaczyna się od zdań nierozwiniętych, które w dalszym ciągu stopniowo się rozwijają przez poboczne części, najprzód przez dodanie jednego dopełniacza w rozmaitych przypadkach, następnie dwóch dopełniaczy, nakoniec rozmaitych określników.

Słowem, znajdujemy tu wszystkie główniejsze formy rozwinięcia zdania pojedynczego, wyłożone w sposób systematyczny, a tém samém jasny i zrozumiały. Daléj idą różne grupy zdań głównych w logiczném następstwie.

Część II-a (od str. 41—172) obejmująca *urywki ciągłéj treści*, bez porównania obszerniejsza od pierwszéj, zapoznaje dziecko ze wszystkiém, co je otacza i tłómaczy mu ważniejsze okoliczności w jego życiu. Po tém następują powiastki, umoralniające dziecko, Dobór tych powiastek dobry z małym bardzo wyjątkiem; trudno nam naprzykład zrozumiéć, co na dnie „Elementarza“ lub „Złodziejów“ spoczywa.

Po kilkunastu tych powiastkach mieszczą się szczęśliwie dobrane i bardzo uproszczone w formie wierszyki; po wierszykach następują zagadki, które traktowane metodycznie, są nowością, a nowością bardzo ważną i godną naśladowania. Cóż to za niespodzianka dla dzieci, kiedy przy końcu lekcyi, po strudzeniu ich umysłu choćby najprzystępniejszą nauką języka, rzuci im się parę takich zagadek, wtenczas dało im się doraźną nagrodę za mozoły szkolne. Zagadki, umiejętnie dobrane, są dopełnieniem nauki o rzeczach; tam dziecko widzi przedmiot, daje mu nazwę, odnosi go do właściwéj kategoryi, tutaj ma definicyą, a domyślać się musi przedmiotu. Prawda, że pomieszczone tu zagadki nie wystarczają ani liczbą, ani zaciekawieniem; ceni się jednak bardzo zwrócenie uwagi na ten trafny i nader praktyczny czynnik w nauczaniu dziatwy.

Dotąd jest jakby połowa części II-éj. Teraz następuje *opowiadanie o Józiu i Zosi*, stanowiące 30 paragrafów, obszernością swą odpowiadających psychicznym warunkom dzieci.

W nauce téj poglądowéj opisana jest wycieczka dzieci z miasta na wieś i poznanie się tych dzieci z jéj osobliwościami.

Zdaje się, że pierwszą myśl téj pracy powziął autor po przeczytaniu „Pierwszych nauk“ Miss Edgeworth, chociaż opracowanie jego jest najzupełniéj oryginalne i ścisłe, a nawet poczerpnąć tam można wiele wskazówek, odnoszących się do początkowego nauczania.

Poglądowy sposób tłómaczenia dzieciom pojęć oderwanych, jak roztropność, łakomstwo, zgoda, niezgoda, przez odpowiednio przystosowane powiastki, godzien jest naśladowania; sposób użyty przez autora uważamy za całkiem nowy w naszéj metodyce.

Daléj idą nieco trudniejsze wierszyki, po których następuje śliczny dyalog ojca z synem o obecności Boga, przerobiony z Hofmanowéj i powiastka fantastyczna „Jędruś śpioszek“ z Andersena. Kończą książkę zagadki i łamigłówki.

Zdania pedagogów, co do świata fantastycznego, są podzielone. Jedna jest jednakowoż rzecz, na którą się skrajny nawet materyalista zgodzić musi, mianowicie, że marzenia senne są rzeczywi-

stym objawem ducha, z tego względu opowiadania fantazyjne przez sen wprowadzone dadzą się pogodzić choćby z najzimniejszym racyonalizmem w rozwijaniu dziecka. Powiastka Andersena „Jędruś śpioszek,“ na śnie oparta, wytrzyma krytykę każdego pedagoga, a przecięż w książce p. Nowickiego nie licuje ona z całym nastrojem. Być może, że autor chciał dać ulgę umysłowi dziecięcia, po długiém obserwowaniu zjawisk zewnętrznych, po systematycznym obrachunku z tego wszystkiego, co do pojęcia dzieci się dostaje; być może, że autor przeznaczył tę powiastkę dla rekreacyjnéj lektury dziecka.

Do książki niniejszéj dodane są obszerne *Uwagi dla wychowawców*. Przyzwyczailiśmy się czytać takie objaśnienia na czele książki, tém więcéj, że one o układzie pracy, o następstwie rzeczy i o sposobie jéj użycia w praktyce uprzedzają. Stądto i książkę samę, dopiéro po przeczytaniu tych uwag, ocenić bliżéj możemy. Uwagi te składają się z trzech części (1-a jak zająć dziecko, 2-a jak uczyć początków języka, 3-a jaki jest układ podanéj książki), są bardzo cenne, jako trafne i zdrowe rady dla zajmujących się wychowaniem dzieci. Jest tu rozwinięty cały sposób postępowania z dziećmi przy rozwijaniu ich pojęć. Słusznie bardzo autor twierdzi, że nauka czytania winna iść w parze z rozwojem pojęć dziecka, gdyż w tym tylko razie nauka ta przestanie być dla niego męczarnią. Czytanie ma u autora daleko obszerniejsze znaczenie, niżeli to zwykle rozumiemy. To czytanie, które dziecku daje elementarz, nie jest jeszcze właściwém czytaniem. Autor twierdzi, że wtenczas dopiéro, kiedy dziecko może przenosić wyrazy drukowane z książki do swego pojęcia, zaczyna się owo prawdziwe czytanie. Rozwijanie pojęć, nazwanie każdéj rzeczy otaczającéj, słowem ciągłe żywienie i wzmacnianie umysłu dziecka jest zadaniem początkowéj jego nauki, jest właśnie nauką rzeczy, z którą równocześnie i czytanie, to jest rozumienie tego, co *stoi w książce* postępuje. Dobrze czytać, to znaczy być tak przysposobionym, aby żaden wyraz w książce nie był nam obcym, żadna myśl za trudną.

Celem rozwinięcia, czyta się z dziećmi odpowiednie ustępy, objaśnia się je, daje się pytania, robi ćwiczenia ustne, piśmienne, rozbiór logiczny i gramatyczny, naturalnie o tyle, o ile siły dzieci na to pozwalają. Autor chciałby, aby gdy nauczyciel przeczyta, przerobi i przerozumuje z dziećmi jego książkę, droga do gramatyki stała się już dla nich otworem. Rozumiémy o co idzie autorowi, żal mu i nam żal téj dziatwy, którą formułkami gramatycznemi męczą. Nie gramatyki, nie pytań i odpowiedzi o głoskach i zgłoskach, o przyimkach i zaimkach, o spójnikach i wykrzykni-

kach, ale nauki języka, bogactwa wyrazów i samodzielnego panowania nad wyrazami przynajmniéj, jeżeli nie nad zwrotami mowy, na początek od dziecka żądamy.

W ten sposób pojęta nauka czytania i języka może się dopiéro w zupełności nazwać nauką, odpowiedzieć wymaganiom dzieci i nie czynić ujmy pedagogom.

Co się tycze składniowéj części téj książki, to przedewszystkiém zaznaczyć musimy szerzéj jeden szczegół, na który uwagę specyalistów zwracamy.

Użycie imiesłowów w zdaniu zawsze nabawiało kłopotu pedagogów, a mitręgi uczniów. Pan Nowicki rzecz tę (podług naszego zdania) znakomicie uprościł. W zdaniu np. takiém: Mania łkając płakała, ten imiesłów nieodmienny łkając uważa po prostu za określenie przysłówkowe, porówn. § 23. Imiesłowy zaś odmienne uważa za określenia przymiotne, porów. § 19 (na to naprowadza już p. Boczyliński w swéj gramatyce).

W zdaniach bezosobowych p. Nowicki odróżnia: 1) wyrażenia bezosobowe, np. trzeba, można; 2) słowa trzecio-osobowe, np. grzmi, błyska się; 3) tryb bezoosobowy, np. to się wié, zawiadomiono mnie.

Podział pobocznych części zdania przez pana N., na określające i dopełniające, co pominął Małecki, z wielu względów uważamy za potrzebne. Tabliczce na str. 200 podanéj przez autora, a wykazującéj ów podział pobocznych części zdania, to tylko zarzucić można, że dla większego ułatwienia trzeba było dopowiedzenie nazwać określeniem rzeczowném, a przedmiot dopełnieniem rzeczowném. Takim sposobem jeszcze więcéj uprościłyby się te dwie kategorye, gdzie w samym już terminie części zdania byłoby powiedziane czy to jest wyraz określający, czy dopełniający, i tak: określenie przymiotne, przysłówkowe, przyimkowe i określenie rzeczowne (zamiast dawnego dopowiedzenia). Jak znowuż: dopełnienie przedmiotu (zamiast dawnego przedmiotu), dopełnienie przyimkowe, bezokoliczne i dopełniacz.

Podział zdań autora jest trafny i racyonalny. Wiemy np., że pierwsze nasze odezwanie się do kogoś zawsze prawie jest w formie pytania, na co znowu otrzymujemy odpowiedź, która może być twierdzącą lub przeczącą. Otóż z téj genezy wypływa tu podział zdań przedewszystkiém na pytające, twierdzące i przeczące. Dwa te ostatnie następują także w formie wyrzutniowéj, to jest, że nie powtarzają przedmiotu lub orzeczenia, albo obu zarówno, jako w pytaniu już wyrażonych. Następstwo innych grup ma również swoję racyonalną podstawę.

Wyróżniamy zdania wzajemnie się uzupełniające (porównawcze — jak.... tak, współrzędne — kto.. ten, i warunkowe — gdyby.... toby), które dotychczas przyczyniały kłopotu nauczycielom i najniesłuszniéj zaliczane były do okrésów.

Zdania poboczne odnośnie do charakteru, jaki przybiérają względem zdania głównego, dzieli autor na *zależne*, konieczne do dopełnienia zdania głównego (odpowiadają one wyrazom dopełniającym, Rozdz. VIII); na poboczne *określające*, niekonieczne do dopełnienia zdania głównego (odpowiadają one wyrazom określającym, Rozdz. IX). Ten podział zdań pobocznych jest w związku ze składnią łacińską i nie pominął tego Muczkowski.

Nie chcąc utrudzać łaskawych czytelników zbytnią drobiazgowością, poprzestaniemy na kilku ogólnych uwagach.

Spotykaliśmy w książkach dla dzieci ustopniowanie treści, ale takiego ustopniowania formy, takiego przejścia od najprostszéj formy myśli do coraz swobodniejszych, a w końcu do artystycznych zwrotów mowy, nigdzie dotąd nie spotkaliśmy. Autor zna bogactwo naszego języka, kiedy potrafi z taką swobodą rozporządzać się jego materyałem. Autor zna naturę i potrzeby dzieci, kiedy umié zrozumiale do nich przemówić, wprowadzając je kolejno w coraz większą rozmaitość mowy naszéj.

Kładziemy nacisk na tę stylową stronę książki, zwracamy uwagę specyalistów na tę pierwszą pod tym względem pracę, która jako przejście od mowy potocznéj do języka literackiego jest znakomitym nabytkiem w szkolnictwie naszém.

Może ktoś zarzucić jakąś drobną niedokładność w obrobieniu szczegółów, ale w obec oryginalnego opracowania całéj książki niedokładności znikają, tém więcéj, że przy drugiém wydaniu, które (o ile wnosić możemy z pewnych danych) wkrótce nastąpi, łatwo usunąć się dadzą.

Feliks Witkowski.

Dodatek do artykułu „O napisie Króla Mezy“ *w poszycie Sierpniowym Ateneum.*

Płyta bazaltu czarnego, na któréj wyryty jest napis Króla Mezy, znajduje się w Paryżu w nowo otwartéj sali Muzeum Luvru, zwanéj Palestyńską. W wydanym w roku zeszłym katalogu zamieszczonych w téj części muzeum pomników, pan Antoni Heron de Villefosse (*Notice des Monuments provenant de la Palestine et conservés au Musée du Louvre. Paris* 1876) podaje text napisu, tak jak on ostatecznie przez znanego orientalistę p. Renan został odczytany, i tło-

maczenie onego, sporządzone przez p. Clermont-Ganneau w ostatniéj jego pracy nad pomnikiem, ogłoszonéj w r. 1875, w *Revue critique*: *La stèle de Meza.* Ponieważ tłómaczenie to w kilku miejscach więcéj jest pełne i, jak się zdaje, nosi na sobie piętno większéj zgodności z myślą oryginału, przeto przełożyliśmy je i uważamy za rzecz słuszną przesłać „Ateneum,“ jako skromny dodatek do pięknéj pracy p. Radlińskiego. Nadmieniamy, że zachowujemy tłómaczenie p. Radlińskiego i zmieniamy tylko miejsca nowo odgadnione, lub sprostowane.

1. Ja co jestem Meza, syn Kamosgada, król Moabu, Daj bonita. Ojciec mój panował nad Moabem lat trzydzieści i ja panowałem po ojcu moim. I ja wzniosłem ten ołtarz Kamosowi w Karha... ponieważ on mnie wybawił od wszystkich najezdców i dozwolił mi patrzéć z pogardą na moich nieprzyjaciół.

2. Omri był królem Izraela i ciemiężył Moab czas długi, gdyż Kamos był rozgniewany na swoję ziemię. I nastąpił po nim syn jego, i rzekł on także „Będę ciemiężył Moab w dni moje, będę mu przewodził, i poniżę go i jego dom.“

3. I Izrael został zrujnowany, zrujnowany na wieki. Omri opanował ziemię Me-deba i w niéj przebywał i syn jego, i syn jego żył lat czterdzieści, i Kamos go w dni moje zgubił.

4. Wówczas zbudowałem Baal-Meon i tam zrobiłem.... i zbudowałem Kiriataim.

5. I ludzie z (*pokolenia*) Gad mieszkali w ziemi Atarot od niepamiętnych czasów i król Izraelski zbudował dla siebie miasto Atarot. I napadłem na miasto i wziąłem je i wymordowałem cały lud miasta na widowisko Kamosowi i (ludowi) Moab i uprowadziłem ztamtąd Ariela Dawida (?) i włóczyłem go po ziemi przed obliczem Kamosa w Keriot i przeniosłem tam ludzi z Saron i ludzi z Maharut (?).

6. I rzekł Kamos do mnie „Idź, weź Neba od Izraela.“ I poszedłem nocą i zdobywałem miasto od pokazania się jutrzenki do południa i zdobyłem je i wymordowałem wszystko, mianowicie siedm tysięcy (mężczyzn), i niewiasty (i dziewice) i niewolników, których poświęciłem Astar-Kamosowi, i zabrałem ztamtąd naczynia Jehowy i włóczyłem je po ziemi przed obliczem Kamosa.

7. I król Izraelski zbudował Jahas i tam mieszkał, gdy wojował ze mną. I Kamos go przepędził z przed swego oblicza, wziąłem z Moabu wszystkiego dwustu ludzi, kazałem im opanować Jahas i wziąłem je dla przyłączenia do Daibon.

8. Ja to zbudowałem Karha, ogrodzenie z drzewa (*mur des forêts*) i mur.... Ja wybudowałem jego bramy i ja wzniosłem jego wieże. Ja zbudowałem Pałac Królewski i ja wystawiłem więzienia... w środku miasta.

9. I nie było cystern we środku miasta, w Karha, i rzekłem do całego ludu: „niech każden robi cysternę w swoim domu." I ja to kazałem wykopać wodociąg dla Karha (przez niewolników) Izraela.

10. I ja zbudowałem.... Bet-Diblaitaim, i Bet-Baal-Meon, i wzniosłem tam.... ziemi. I Horonaim, gdzie mieszkał.... I Kamos rzekł do mnie „Zejdź i napadniéj na Horonaim".... Kamos.... w dni moje.... roku......

K.

KRONIKA NAUKOWA.

Wulkanizm jako zjawisko kosmiczne.

Niedawno podaliśmy czytelnikom wiadomość o hypotezie Falba, dziś skreślimy pokrótce treść ogłoszonéj w Sprawozdaniach posiedzeń Akademii Wiedeńskiéj hypotezy Tschermaka. Obie te hypotezy nie wyłączają się nawzajem, i owszem, mogą być połączone, gdyż podnosząc różne zjawiska do godności głównéj przyczyny wybuchów wulkanicznych, w połączeniu zyskują na wielostronności. Że zaś zjawisko wulkanizmu jest prawdopodobnie bardzo zawikłane, więc hypoteza na podobném połączeniu nic nie straci.

Każda hypoteza jest ciekawą i pouczającą z tego względu, że uwydatnia i kładzie wielki nacisk na szczegóły, przez inne hypotezy mało uwzględniane, dla krytycznego więc umysłu przedstawia nadzwyczaj cenny materyał. Hypoteza Tschermaka nie stanowi w tym względzie wyjątku, a nadto, zaciekawia rozległością zakrésu, gdyż autor kładzie wielki nacisk na powszechność wulkanizmu, na istnienie jego na ciałach niebieskich.

Punktem wyjścia dla Tschermaka były meteoryty. Badając ich wewnętrzną budowę Tschermak doszedł do wniosku, że zostały wyrzucone z małych planet, będących w stadyum gwałtownéj czynności wulkanicznéj i wskutek tego rozsypujących się w gruzy, całkowicie lub częściowo. Jeśli ten wniosek rozciągniemy i do innych ciał niebieskich, to wiele zjawisk przedstawi się nam w jaśniejszém świetle. A przemawiają za podobném rozciągnięciem wniosku tego liczne fakta. Góry na księżycu, lejkowatemi kraterami uwieńczone, są uważane przez selenografów za wulkaniczne; protuberancye zaś, czyli wyskoki słoneczne, dowodzą że czynność wulkaniczna w całéj pełni na słońcu istnieje. Nadto, nagłe pojawianie się nowych gwiazd, i do-

konany na świetle ostatniéj nowéj gwiazdy u Łabędzia rozbiór widmowy skłaniają nas do przyjęcia, że i na gwiazdach stałych wybuchy ognistych mas mają miejsce. Nie znając żadnéj zasady do przypuszczenia odmiennych spraw na rozmaitych ciałach niebieskich i owszem mogąc się oprzéć na podstawie wybranéj przez spektroskop tożsamości materyi w wszechświecie widzialnym, powinniśmy przyjąć, według zdania Tschermaka, iż wulkanizm jest objawem kosmicznym, wspólnym wszystkim ciałom niebieskim.

Ogólna więc teorya wulkanizmu nie powinna się przywiązywać do warunków, istniejących tylko na naszéj ziemi, lecz zgadzać się z faktami, o których wiémy z fizyki innych ciał niebieskich. Chcąc taką ogólną teoryą postawić, Tschermark krytykuje wszystkie dotychczasowe hypotezy, a szczególniéj zwraca się przeciwko najbardziéj rozpowszechnionéj, że wybuchy wulkaniczne są wywoływane przez wodę, która wniknąwszy we wnętrze ziemi zamienia się na parę i roztopione masy przez szczeliny w górę wyrzuca. Jako jeden z ważniejszych powodów odrzucenia téj hypotezy, Tschermark podaje okoliczność, że jeżeli wulkanizm ma być zjawiskiem kosmiczném, to nie należy go czynić zależném od współdziałania warunków nieistniejących na wielu innych ciałach niebieskich. Nadto, Tschermak uważa tę hypotezę za niedostateczną z tego powodu, że przyjęcie saméj tylko wody i temperatury za czynniki wulkaniczne, ani tłómaczy nam wcale chemicznych różnic gazów i par, wydobywających się przy rozmaitych wybuchach wulkanów na ziemi, a mianowicie nie tłómaczy nam wcale wywiązywania się kwasu solnego, siarkowego, siarkowodoru, kwasu węglanego, węglowodoru itp.

Skrytykowawszy i odrzuciwszy inne hypotezy przyjmowane przez niektórych geologów, Tschermak bierze pod uwagę pogląd stary, ale mało dotychczas rozwijany, któremu przypisuje najwięcéj prawdopodobieństwa i możności wytłómaczenia wulkanizmu, jako zjawiska kosmicznego. Według tego poglądu, znanego już z gruba w starożytności, lecz dopiéro w r. 1842 przez Angelota obszerniéj rozwiniętego, roztopione wnętrze ziemi krzepnąc wydziela z siebie substancye gazowe lub parowe, które w niém były zawarte, a które uwolniwszy się przez szczeliny sprawiają wybuchy. Samemu Angelotowi teorya ta wydała się niezupełną, gdyż sądził, że mała ilość roztopionego wnętrza ziemi, krzepnąca corocznie, nie wystarcza do wydzielenia całéj ilości gazów, wydobywających się przez ten czas z pod skorupy ziemskiéj. Tschermak jednak twierdzi, że zarzut ten jest nieuzasadnionym, niepotrzebnie ograniczającym znaczenie teoryi. Jeśli bowiem przyjmiemy, powiada, że z całéj ilości ciepła, którą ziemia corocznie przez oziębianie się traci, połowa pochodzi wprost

od ogniopłynnego wnętrza ziemi, druga zaś połowa od jéj części krzepnącéj przez ciąg roku, to możemy przyjąć na zasadzie liczb podanych przez Poissona, że ilość roztopionéj masy krzepnącéj corocznie wynosi mniéj więcéj 100 kilometrów sześciennych. Taka zaś ilość, jak obserwacye okazują, może wydać masę gazów i par, przewyższającą 50 razy swą objętością, objętość materyi krzepnącéj. Taka zaś ilość może zasilać 20.000 wylotów wulkanicznych działających przez cały rok bardzo gwałtownie.

Skład chemiczny emanacyj wulkanicznych jest według Tschermaka wskazówką, że w roztopioném wnętrzu ziemi istnieją, jako zabsorbowane, pierwiastki gazowe, jak wodor, tlen, azot, chlor, a nadto wielkie ilości węgla i siarki. Gazy te znajdują się także w meteorytach, choć w innym składzie i stosunku, aniżeli w wyziewach wulkanicznych. Okoliczność ta przemawia za powyższą hypotezą, jeżeli weźmiemy pod uwagę, że różnica w składzie i stosunku gazów może ztąd pochodzić, że w meteorytach pozostały te gazy i w takich ilościach które mogą w skrzepłych masach powstać, a więc naturalnie muszą się różnić składem i stosunkiem od gazów, z roztopionych jeszcze mas wydzielających się.

Sposób, w jaki odbywa się wywiązywanie się par i gazów pod powierzchnią ziemi, przedstawia Tschermak jak następuje. W skutek powolnego krzepnięcia masy ogniopłynnéj wydzielają się substancye, które przy zmniejszoném ciśnieniu mogą przejść w stan lotny. W skutek nierównego rozdziału substancyj zabsorbowanych, wskutek prądów itd. następuje nieprawidłowość w wydzielaniu tych substancyj, a ztąd (?) często nagłe wywiązywanie się owych substancyj. Ponieważ jedyne wyjście pozostaje im przez szczeliny w ziemi, zagrodzone nadto lawą, więc wtłaczają się z lawą w szczeliny i dążą ku powierzchni ziemi.

Postawiliśmy znak zapytania przy *ztąd*. Nic dziwnego, że nie pojmujemy tego procesu, albowiem sam autor nie umié go sobie jasno przedstawić. Sam przyznaje, że „trudno powiedzieć jak sobie należy wyobrazić wędrówkę owych materyj przy wysokiéj temperaturze i przy nadzwyczaj wielkiem ciśnieniu,“ ale jasną jest rzeczą, dodaje, „że roztopiona masa, taka jak lawa, będąc przesyconą parami i otrzymując coraz nowy dowóz gazów, musi się w końcu wyburzyć i rozpylić.“

Gazy więc prące ku górze stanowią źródło siły, materyałem zaś jest lawa, powstała z działania przegrzanéj pary na otaczające skały.

Największą zaletą téj hypotezy jest to, że się daje bez żadnych modyfikacyj i dopełnień zastosować i do innych ciał niebieskich, gdyż

jest w najzupełniejszéj zgodzie z hypotezą Laplace'a, a nawet poniekąd wynika z téj ostatniéj.

Jeżeli ciała niebieskie powstały przez zgęszczenie się ciał pierwotnie gazowych, to musiała być chwila, kiedy część ich skropliła się i była w zetknięciu z pozostałemi gazami i parami. Że zaś ciecze, nawet przy wysokich temperaturach, posiadają zdolność absorbcyjną, więc powiększająca się coraz bardziéj kula ciekła pochłonęła znaczną ilość gazów, odpowiednią do temperatury, wysokiego ciśnienia atmosferycznego i całkowitéj ilości gazu otaczającego masę płynną.

Przy wysokiéj temperaturze ciała niebieskiego w tém stadyum będącego, pierwiastki chemiczne nie mogły wejść z sobą w związki, a więc ciecz najprzód powstała składała się przeważnie z metali trudniéj lotnych, w których wszystkie inne pierwiastki, które mogą być zabsorbowane przy téj temperaturze, były rozpuszczone.

Skoro w rozżarzonéj kuli płynnéj nastąpiły, w skutek jéj oziębiania się, prądy i w ogóle ruchy a nadto, skoro nastąpiło skrzepnięcie, gazy i pary musiały się z wnętrza wywiązywać, cisnąć na skrzepłą skorupę i wywoływać wybuchy, jeżeli ciśnienie atmosfery z zewnątrz było znacznie mniejsze w stosunku do wewnętrznego. Dostawszy się do zewnętrzniejszych warstw chłodniejszych, lub oziębiwszy się w skutek rozszerzenia, gazy, będące dotąd w dyssocyacyi, t. j. niemogące wejść z sobą w związek chemiczny, przyjmują warunki, w których się połączenie ich staje możliwém i tworzą proste związki chemiczne. Że zaś przy podobnych sprawach, odbywających się w mięszaninach gazów, następuje często eksplozya (np. wodór z tlenem), więc też eksplozye musiały mieć miejsce w ciałach niebieskich, blisko lub na powierzchni ciała, stosownie do okoliczności przy których się akt połączenia odbywał.

Zjawiska więc wybuchowe na słońcu uważać można za konieczne następstwo jego powstania ze zgęszczenia się takich ciał, jakie się na ziemi znajdują.

Zwróćmy teraz uwagę na historyą bardzo małych ciał niebieskich, powstających tak jak wielkie, z skupienia się i zgęszczenia części pierwotnéj mgławicy. Po utworzeniu się ogniopłynnego wrzącego jądra, musi następnie w skutek dalszego oziębiania się powstać skorupa żuzlowa. Pod nią i wśród niéj rozwinie się bardzo silna działalność wybuchowa, gdyż na małém ciele postęp oziębiania się musi być bardzo szybki, a ztąd wywiązywanie się zabsorbowanych gazów stosunkowo nader obfite. Z silnym wypływem gazów współdziałać tu będą eksplozye, wynikłe z połączenia się pierwiastków gazowych, dotąd w stanie dyssocyacyi będących. Dwa te źródła

zniszczenia będą druzgotały skorupę, odrzucały ją w przestrzeń, a ponieważ siła przyciągająca małego ciała niebieskiego nie może być wielką, więc kanciaste odłamki skorupy mogą się łatwo dostać po za sferę jego działania i krążyć w postaci gruzu w przestrzeni, po własnéj swojéj orbicie, z któréj zbaczają i spadają na inne ciało niebieskie, gdy im droga obok téj orbity przypadnie w takiém oddaleniu, że przyciąganie ciała większego przemoże atrakcyą, trzymającą gruzy w orbicie. Wtedy to następuje grad meteorytów na większe ciało niebieskie. Oczéwiście, w skutek ciągłego odrywania się części skrzepłych od małego ciała niebieskiego, masa jego musi się coraz bardziéj zmniejszać, a nawet przy odpowiednich warunkach gwiazda taka może zupełnie zniknąć, rozsypawszy się na drobne odłamki.

W końcu Tschermak zwraca uwagę na to, że stan powierzchni księżyca zgadza się zupełnie z hypotezą samodzielnego wywiązywania się gazów z wnętrza ciał niebieskich. Według niego, bardzo trafnie przyrównał R. Hooke kratery księżyca do pierścieniowych zagłębień na powierzchni sproszkowanego gipsu, ogrzéwanego na blasze, w skutek czego wypędzana przez ciepło z gipsu para wodna sprawia na jego powierzchni małe wybuchy. Analogia tém jest większą, że są zasady pozwalające przypuszczać, iż powierzchnia księżyca, nigdy z powodu braku atmosfery i wody, wiatrem ani strumieniami niewygładzona, jest utworzona z masy lekkiéj, może nawet proszkowatéj.

Przemawia za tém głównie okoliczność następująca według Tschermaka:

Z hypotezy Laplace'a wypada, że księżyc utworzył się z masy pierścienia otaczającego pierwotnie ziemię. Jeśli przyjmiemy, że ciała układały się w pewnych jeszcze kulach planet porządkiem swych ciężarów właściwych, t. j. że środki kul zajęły pierwiastki cięższe, to przyjdziemy do wniosku, że księżyc uformował się z mas lżejszych, aniżeli ziemia. Wniosek ten jest zgodny z średnią gęstością księżyca, równą mniej więcéj gęstości bazaltu. Księżyc więc niewiele mógł dostać od ziemi ciężkiego metalu, główna zaś jego masa składa się z takich ciał, jak nasze skały wybuchowe, a przy powierzchni posiada ciała jeszcze lżejsze, takie, jak chlorek sodu i magnezya, siarczany tych metali itp. Ciała te silnie przyciągają parę wodną, więc mogły pochłonąć resztkę wody, która się wydobywała na powierzchnią księżyca w skutek wybuchów wulkanicznych. Zmiany zarysów powierzchni księżyca, które w ostatnich czasach często były obserwowane oraz to, co oddawna wiémy o tym satelicie, bardzo przemawiają za prawdopodobieństwem téj hypotezy.

W ogóle z przypuszczeniami Tschermaka bardzo się zgadzają fakta obserwowane; jednakże przyczyny, które podaje, jako obracające się w sferach faktów niedobrze poznanych, nie można uważać za wystarczające. Pomimo więc składności całéj téj teoryi, należy ją przyjmować ze wszelkiemi zastrzeżeniami.

Wpływ gliceryny na fermentacyą.

Pan Immanuel Munk odkrył nadzwyczaj ciekawą własność gliceryny. Jeżeli do roztworu cukru mlécznego dodamy trochę séra i węglanu sodu tak, aby reakcya była wyraźnie alkaliczną, to już po dwunastu godzinach tworzy się w tym płynie kwas mléczny; jeśli zaś do płynu tego dodamy równą ilość gliceryny, to nawet po 21 dniach (jak wypadło z doświadczenia Munka), nie następuje ani mléczna, ani masłowa fermentacya. W razie użycia małych ilości gliceryny, fermentacya nie jest zatamowaną całkowicie, ale bardzo się opóźnia.

Gliceryna wstrzymuje także bardzo energicznie samodzielną fermentacyą mléka. Dodana do niego w ilości jednéj piątéj jego wagi sprawia, że mléko, przy 15—20° temperatury, kwaśnieje dopiéro ósmego lub dziesiątego dnia; nawet dodatek 2—2½% gliceryny znacznie wpływa na opóźnienie fermentacyi mléka. W większej zaś ilości, wynoszącéj połowę lub jedną trzecią wagi mléka, gliceryna opóźnia kwaśnienie mléka od 6 do 7 tygodni, choć temperatura nie jest niższą od 15—20°. Przy wyższych temperaturach, a więc przy wzmożonéj sile fermentacyjnéj, potrzeba zawsze stosunkowo znaczniejszéj ilości gliceryny.

Podobnież gliceryna wstrzymuje alkoholową fermentacyą wodanów węgla. Roztwór cukru, zawiérający świeże drożdże, nawet po dwóch dniach nie wywiązuje kwasu węglanego, jeśli dodamy do niego równą ilość gliceryny. Wreszcie gliceryna opóźnia nawet energiczny proces rozpadania się amygdaliny pod wpływem emulsyny, oraz diastatyczny wpływ śliny brzusznéj na mączkę. Z powodu téj ostatniéj własności przypuścić nam należy, że gliceryny nie będzie można używać do konserwowania mléka i t. p. płynów, gdyż, opóźniając rozkład pokarmów w kanale pokarmowym, wpływałaby szkodliwie na zdrowie.

Wytłómaczenie jednego z „cudów“ historycznych.

Voltaire w swém „*Essai sur les moeurs des nations*“ podaje fakt następujący. Na kilka dni przed świętym Bartłomiejem, książę Na-

varry, który został poźniéj Henrykiem IV, książe Henryk de Guise, zwany „le Balafré,“ i książę d'Alençon, będąc w Luwrze i grając w kości, zobaczyli nagle na nich plamy krwiste. Przestraszeni tym widokiem przerwali partyą. W fakcie tym chciano widzieć cud. Voltaire jednak, który bynajmniéj do łatwowiernych nie należał, tłómaczył go w sposób naturalny. Sądził on, że przyczyną tego zjawiska było poprostu padanie promieni słonecznych dość nachylonych na czarne punkta kości. Według Chavreul'a, który się zajął rozwiązaniem téj kwestyi, Voltaire omylił się co do właściwéj przyczyny tego zjawiska, gdyż nie leżała ona w insolacyi czarnych punktów kości, lecz była skutkiem insolacyi oczu grających. To tłómaczenie podał już Beguelin, akademik berliński, w r. 1770 z powodu faktu analogicznego. Czytając gazetę na przechadzce, gdy słońce pochyliło się ku poziomowi i padało na jego powieki, zobaczył w kolorze czerwonym litery, które, jak powiada, były zasłonięte przed promieniami słońca.

Pogląd swój na to zjawisko oparł Chevreul na dwóch głównych doświadczeniach.

1-o Siada na krześle w ten sposób, aby na prawe oko padały promienie słoneczne pod kątem 20—25 stopni, lewe zaś zamyka się. Na stół, oświecony światłem rozproszoném, pokryty papiérem szarym, kładzie się dwa pióra kurze, jedno czarne drugie białe, odległość ich od oczu wynosi 60 do 80 centymetrów. Chorągiewki piór odbijają największą możliwie ilość światła oświecającego je. Mniéj więcéj po dwóch minutach insolacyi, widzimy okiem prawém pióro czarne w kolorze *czerwonym* a białe wydaje się *szmaragdowo-zielonėm*. Po kilku sekundach pióro czarne, zdające się być czerwoném, otrzymuje *rąbek zielony*, a pióro białe, szmaragdowo zielone, *rąbek różowy*.

2-o Zamknąwszy oko prawe insolowane i otworzywszy lewe, które pozostało świeżém, widzi się tylko pióro czarne i białe.

Widoczną więc jest rzeczą, że zjawisko to zależy od stanu, w jakim się oko znajduje. Beguelin miał zupełną słuszność.

Węzeł łączący rośliny ze zwierzętami.

„*Czułość w dwóch królestwach istot żyjących.*“

Pod tym tytułem słynny uczony Klaudyusz Bernard miał mowę improwizowaną na zjezdzie uczonych francuskich w Clermont-Ferrand. Szerokość i śmiałość pomysłów w niéj zawartych, ważność kwestyi z nowego punktu widzenia traktowanéj, oraz uznanie, które

się stało jéj udziałem, skłaniają nas do podania ogólnego zarysu jéj treści.

Zadaniem téj przemowy było udowodnienie, że czułość, ten konieczny warunek, ta nieodstępna cecha życia zwierzęcego, jest także właściwa roślinom.

Zbyt hazardowna hypoteza, napozór. Idąc za biegiem myśli Kl. Bernarda spostrzeżemy, iż nie jest pozbawiona podstawy naukowéj.

Kl. Bernard zestawia trzy objawy: *czułość świadomą*, *czułość nieświadomą* i *wrażliwość*. Według niego są to trzy stopniowane wyrazy jednéj i téj saméj własności, czułość, która jest właściwą wszystkim istotom organicznym, od najniższéj rośliny aż do najwyższego zwierzęcia i która jest wyraźną wskazówką jedności funkcyonalnéj całego tego łańcucha.

Przyjmując to, uczony nasz rozszerza bardzo pojęcie określone przez filozofów. Przyjmują oni w ogóle tylko *czułość świadomą*, tę, która nam mówi o naszém *ja*. Przyjemność i ból są według nich modyfikacyami psychicznemi, wywoływanemi przez bodźce zewnętrzne. Lecz określenie podobne może się stosować do samego tylko człowieka, gdyż suponuje koniecznie świadomość; po za człowiekiem nic równego temu objawowi znaléść nie można, określenie więc to po za nim nie ma już żadnego znaczenia.

Z natury rzeczy wynika, że fizyologowie muszą z innego stanowiska patrzéć na ten objaw. Nie mogą oni poprzestać na saméj tylko definicyi, czują konieczność objektywnego zbadania objawu, w wszelkich formach, w jakich się okazuje. Z obserwacyj ich wynika, że w chwili, kiedy pewien czynnik modyfikacyjny działa na człowieka, to nie wywołuje on wyłącznie tylko przyjemności lub bólu, nie działa wyłącznie tylko na duszę; wpływa on także na ciało, wywołuje reakcye odmienne od psychicznych, reakcye somatyczne, które nie tylko że nie są częścią podrzędną zjawiska, ale owszem stanowią jego element zasadniczy, trwały, pozostający po innych reakcyach nawet u człowieka, a jedynie dostrzegalny u niższych zwierząt.

Dla fizyologa wyraz czułość oznacza objaw daleko konkretniejszy. Czułość jest to *zbiór zmian wszelkiéj natury*, *wywołanych u istot żyjących przez bodźca*, a lepiéj jeszcze zdolność odpowiadania temi zmianami na prowokacyą bodźców. Gdy oko, ucho lub brodawki skóry ulegną działaniu czynników fizycznych, jako to drgań światła, dźwięku, ciepła albo też dotknięcia, to ulegają pewnéj zmianie fizyologicznéj, którą fizyolog nazywa czułością bez względu na to czy wrażenie dojdzie, czy nie dojdzie do świadomości. Muzyk,

według wyrażenia Kl. Bernarda, który machinalnie w roztargnieniu odgrywa ustęp z nut, zupełnie bez świadomości otrzymuje wrażenia światła i oddziaływa prawie w ten sam sposób na objawy psychiczne, jak gdyby działał przy zupełnie rozbudzonéj uwadze. Podobnież rzecz się ma, gdy pokarmy dostaną się do żołądka i zaczną drażnić wyściełającą go błonę śluzową: błona różowieje i pokrywa się szczególną wydzieliną. Jestto doskonały przykład reakcyi, która nie dochodzi do naszéj świadomości. Toż samo dzieje się z sercem, które oddziaływa na bodźce, choć my o tém bezpośrednio przedtém nie wiémy; toż samo ma miejsce i ze wszystkiemi ruchami organicznemi, niepoddanemi naszéj świadomości i woli.

We wszystkich tych przykładach zmiennym jest sposób oddziaływania, lecz sama własność oddziaływania jest stałą, wspólną wszystkim przypadkom. Nie mówiąc już o systemie nerwowym, własność oddziaływania, w zasadzie wszędzie identyczna, jest atrybutem wszystkich tkanek, wszelkich elementów anatomicznych organizmu. Własność tę tkanek zwierzęcych nazywali fizyologowie od Hallera i Glissona drażliwością (irritabilitas).

Kl. Bernard uważa czułość za jednę z własności podstawowych wszystkich pierwiastków organicznych, wszelkiéj komórki żyjącéj. Gdy się objawia w jednym elemencie odosobnionym (komórce), w takim razie nie ma do usług żadnego oddzielnego aparatu nerwowego; gdy jest bardziéj skomplikowaném wyrażeniem różnych elementów, tkanek lub organów, to posługuje się więcéj lub mniéj skomplikowanym przyrządem nerwowym, zależnie od natury objawów. Wreszcie, gdy czułość okazuje nam się jako reakcya całego organizmu, wtedy staje się świadomą w człowieku i u wyższych organizmów.

Patrząc więc z punktu objektywnego, mamy przed sobą wszystkie stopnie i wszelkie formy czułości od ślepéj reakcyi tkanki aż do czułości świadoméj: fakt świadomości, który komplikuje tu czułość, zależy po prostu od téj okoliczności, że podrażnienie doniesione zostało do mózgu będącego *sensorium commune*. Nie powinno więc ono wpływać na definicyą czułości jako własności powszechnéj, zbadanéj przez obserwacyą, i możemy powiedzieć, że czułość jest własnością oddziaływania, w sposób dający się ocenić, na pobudkę zewnętrzną.

Wszystkie powyższe formy czułości stanowią ciągły łańcuch i są w zasadzie identyczne. Wspólności ich natury i podstawowéj identyczności dowodzi według Kl. Bernarda jednakowy skutek działania środków znieczulających oraz identyczność okoliczności, zachodzących przy usuwaniu tych skutków.

Z tego punktu widzenia czułość wydawać nam się będzie najcharakterystyczniejszą i najpowszechniejszą właściwością życia: możemy powiedzieć, iż wszystko, co żyje, czuje i może być znieczuloném; wszystko zaś to, co nie czuje, nie żyje i nie może być znieczulonem.

Wypada więc ztąd, że czułość albo drażliwość powinna być właściwą także roślinom, w przeciwnym zaś razie uogólnienie powyższe byłoby nieuzasadnioném.

Lecz płonną jest obawa zarzutu podobnego, albowiem rośliny według Kl. Bernarda posiadają czułość, tak jak wszystkie istoty żyjące.

Wiadomo oddawna, że niektóre rośliny oddziaływają na dotknięcie: czułek np. zamyka swe liście, gdy się go dotknie ręką. Podobnie zachowują się i inne rośliny.

Ponieważ fakt ten uważany był za zupełnie wyjątkowy, więc Kl. Bernard postarał się go uogólnić. Uogólnienie to możliwém się stało w skutek odkrycia prawdziwego odczynnika na życie i czułość, za pomocą którego wszędzie można rozpoznać z największą stanowczością ich istnienie. Odczynnikiem tym jest czynnik znieczulający, eter lub chloroform. Ciała te, jak wiadomo, używane są w chirurgii dla uśpienia czułości świadoméj, a zadaniem ich jest usunięcie bólu towarzyszącego téj czułości. Pary eteru lub chloroformu przechodzą z płuc do krwi, a krew przeprowadza je do mózgu: w skutek tego jaźń usypia, a z nią czułość świadoma.

U ludzi, wpływ czynnika znieczulającego doprowadza się do tego tylko stopnia, aby nastąpiło uśpienie, wyższego bowiem stopnia znieczulenia nie potrzeba. Jeśli jednak eteryzować będziemy żaby, poddając je działaniu coraz to nowych ilości par eteru, to po uśpieniu czułości świadoméj spostrzeżemy postępowe gaśnięcie wszystkich objawów czułości nieświadoméj w kiszkach i gruczołach i wreszcie zobaczymy, że zniknie drażliwość mięśni i nadzwyczaj żywe ruchy rzęs migawkowych, właściwych np. błonie śluzowéj dróg oddechowych.

Działanie więc eteru lub chloroformu nie ogranicza się na nerwach; gdy ilość tych środków jest dostateczna działają w podobny sposób, tłumiąc własność oddziaływania, we wszelkich tkankach, bez względu na ich naturę i formę. Różnice zaś, jakie w tym względzie zachodzą, są proporcyonalne do różnic natężenia tych rozmaitych oddziaływań, albo do stopnia ich prędkości.

Tego samego rodzaju różnice oddzielają rośliny od zwierząt, różnice co do stopnia; eter lub chloroform wywołuje u roślin wpływ

identyczny z tym, któryśmy widzieli u zwierząt. Jeśli poddamy wpływowi par eteru, lub chloroformu, liści czułka, to już nie będzie się stulał, gdy go dotykać będziemy, już nie będzie czułym na dotknięcie ręki.

Fakt ten dawniéj już skonstatowany doprowadził Kl. Bernarda do wniosku, że podobny skutek da się wywołać i na innych organach roślinnych, oraz odnośnie do innych funkcyj roślin, podobnie jak od znieczulenia mózgu u zwierząt można przejść do uśpienia wszelkich innych tkanek, w których ma siedlisko czułość nieświadoma.

Oto doświadczenia, które ten wniosek sprawdziły. Jeśli umieścimy ziarnko rzeżuchy na gąbce napojonéj wodą, to już nazajutrz zacznie kiełkować i wypuści rostek i korzonek. Jeśli jednak doświadczenie to powtórzymy pod dzwonem szklanym, w którym się znajdują pary eteru, to ziarno pozostanie nieczynném, jakkolwiek ma do rozporządzenia wodę, tlen powietrza, światło i ciepło: nie czuje już ono pobudzeń od przedmiotów otaczających. Myliłby się jednak ten, ktoby sądził, że eter zabił już ziarnko, lub że zdezorganizował jeden z najważniejszych jego organów; bynajmniéj, jest ono tylko uśpionêm. Można się o tém łatwo przekonać, podniósłszy klosz i wypuściwszy pary eteru: ziarnko ocknie się ze snu i już nazajutrz zacznie kiełkować. Toż samo powtórzyć można z jajkiem kurzém; gdy je umieścimy w odpowiedniéj temperaturze w atmosferze eteru, to się nie zalęgnie.

Podobny będzie rezultat odnośnie do innéj funkcyi roślinnéj, polegającéj na pochłanianiu z powietrza kwasu węglanego a wydzielaniu tlenu.

Wiadomo, że sprawa ta odbywa się za pośrednictwem liści czy to wystawionych na powietrze, czy téż pogrążonych w wodzie.

Przygotujmy najprzód wodę eteryzowaną, lub chloroformowaną. W tym celu kłóćmy w butelce wodę z eterem lub chloroformem i następnie odlejmy wodę z pod zebranego na jéj powierzchni eteru, lub z nad osiadłego na dnie chloroformu. Wlawszy tę wodę w odpowiednie naczynie, włóżmy w nią roślinę wodną i nakryjmy dzwonem szklanym. Za pomocą odpowiednich środków spostrzeżemy, że nie pochłania już ona kwasu węglanego i nie wydziela tlenu. Jednakże nie przestaje być zieloną i nie okazuje śladów choroby. Nadto właściwe oddychanie roślinne, dokonywane na podobieństwo roślin, t. j. pochłanianie tlenu, a wydychanie kwasu węglanego,— funkcya na pozór wyłączająca poprzednią, trwa daléj, tak jakby roślina była w zwykłych warunkach.

Oddychanie więc roślin, mówiąc mimochodem, tak długo zapoznawane, występuje tu przed nami w całéj swéj czystości, albowiem nie jest już maskowane przez czynność jednoczesną, a wprost przeciwną, asymilacyą węgla i wydzielanie tlenu.

Dla przekonania się, że roślina nie umarła, tylko zasnęła, przenieśmy ją do czystéj wody. Wkrótce okaże się, że pod wpływem światła dziennego roślina znowu poczyna asymilować kwas węglany a wydzielać tlen.

Inny dowód mamy na fermentach organizowanych. Fermentacya alkoholowa soku winnego, lub brzeczki piwnéj, jest wywoływana, jak wiadomo, przez małe grzybki mikroskopijne, zwane drożdżami winnemi lub piwnemi. Rośliny te rozkładają cukier, znajdujący się w płynach powyższych wskutek swéj funkcyi żywienia się i rozmnażania. Pod tym wpływem cukier rozpada się na alkohol, pozostający w płynie, i kwas węglany, który ulatuje w atmosferę.

Otóż, jeżeli umieścimy drożdże piwne i substancyą zawierającą cukier, w odpowiednim aparacie, do którego naleliśmy wody eteryzowanéj, to fermentacya nie nastąpi. Drożdże zasnęły niejako i nie czują pobudzenia ze strony cukru, który im ma służyć za pożywienie. Lecz wydobywszy drożdże z tego płynu, przepłókawszy je na filtrze i włożywszy w inny płyn ocukrzony, którego eter nie uczynił usypiającym, spostrzeżemy, że wzbudzają doskonale fermentacyą, że nie zamarły.

Interesujący jednak fakt stał się z cukrem, którysmy wprowadzili do wody eteryzowanéj wraz z drożdżami.

Włożyliśmy cukier trzcinowy, a znajdujemy teraz gronowy, który posiada wprawdzie takiż sam skład procentowy, ale inne ugrupowanie cząsteczkowe. Przemiana ta, dobrze zbadana przez chemików i znana oddawna, spowodowaną została przez ferment nieorganizowany, towarzyszący drożdżom, fermentowi grzybkowemu organizowanemu. Grzybek ten nie jest zdolny do asymilowania cukru trzcinowego i wywiéra swe działanie tylko na cukier gronowy. Do téj przemiany przygotowawczéj ma on przy sobie ferment pomocniczy nieorganizowany, ferment inwersyjny, rozpuszczalny w wodzie, a więc nie będący istotą żyjącą, rośliną, lecz związkiem chemicznym. Ta jego natura wyjaśnia nam okoliczność: dla czego dokonał swego dzieła inwersyi pomimo wpływu eteru. Nie będąc bowiem organizowanym i nie posiadając czułości, nie mógł zostać uśpionym działaniem eteru, wprawiającego tylko istoty żyjące w stan odrętwienia.

Wykrywszy tym sposobem wspólną w zasadzie zwierzętom i roślinom czułość, za pomocą środków anestetycznych, Kl. Bernard szu-

ka materyalnéj jéj podstawy, substancyi wspólnéj wszystkim istotom żyjącym, w któréj ta czułość ma siedlisko. Siedliska tego niedaleko trzeba szukać. Wiadomo powszechnie, iż wszelkie tkanki organiczne, roślinne czy zwierzęce, składają się z komórek mikroskopijnych, będących prawdziwém siedliskiém życia i elementarnych zjawisk życiowych. W komórce tkwią wszystkie własności, które się objawiają w tkankach, będących poprostu tylko zbiorem tych osobników komórkowych.

Otóż właśnie w tych komórkach jest także siedlisko czułości. Znajduje się w nich substancya proteinowa, protoplazma, będąca sama w sobie istotą organizmu, żyjącą, sprowadzoną do najprostszéj postaci, i zarazem materyą, która służy wszystkim roślinom i zwierzętom za podstawę ustroju, zacząwszy od bezkształtnych ameb, bakteryj, wymoczków aż do najwyższych zwierząt. Ta „fizyczna podstawa życia“, jak ją nazwał Huxley, jest konkretném podścieliskiem czułości powszechnéj.

Komórka zawierająca protoplazmę, będąca przezroczystym pęcherzykiem, traci swą przezroczystość pod wpływem eteru; staje się matową jak karafka z zimną wodą wniesiona do ciepłego pokoju, na któréj się osadza para wodna; późniéj gdy działanie eteru przejdzie, protoplazma znowu staje się przezroczystą i płynną, tak niejako, jak para wodna na szkle, która przechodzi wreszcie w stan kropel i, ulatniając się, powraca karafce przezroczystość. Czułość wraz z przezroczystością znowu się pojawia. Można więc przyjąć, że w téj pierwotnéj substancyi protoplazmicznéj ma siedlisko drażliwość, czyli zaczątkowa czułość istot.

Jakkolwiek jedność protoplazmy jest podstawą jedności dwóch królestw organicznych, dając im, oprócz innych wspólnych zjawisk życia, jeden substrat czułości, to jednak nie idzie za tém, aby objawy czułości były w jedném i drugiém królestwie zupełnie równe sobie. I owszem z powodu różnicy budowy organizmów i sposobu życia muszą być różne, tak jak różnemi są i inne podstawowe objawy życiowe, podobne zresztą w zasadzie.

W końcu Kl. Bernard, zostawiając to co powiedział, wyrzekł, iż czułość jest poniekąd osią, na około któréj całe życie się obraca, że jest wielkim objawem zaczątkowym, od którego pochodzą wszystkie inne, tak w szeregu fizyologicznym, jak i w szeregu intelektualnym i moralnym. Zaznaczywszy ten wniosek nie rozwijał go daléj, może dla tego, że przechodzi już w sferę filozofii.

Niepodobna odmówić téj hypotezie wielkiéj trafności i cechy naukowéj; nic dziwnego, głosi ją Kl. Bernard. Są to dopiéro początki,

tak jak w ogóle bywa w kwestyach zasadniczych, dążących do wykazania szeroko sięgającéj jedności. Ale bądź co bądź ta, hypoteza znakomitego Francuza jest ziarnem, które zapewne znajdzie przyjazny grunt w wielu umysłach, usiłujących zgodnie z charakterem naukowym naszego wieku sprowadzić ogół, lub większą część objawów, do jednéj zasady, jednego źródła. Nieprędko to się uda, w obszerniejszém i szczuplejszém znaczeniu tego wyrazu, ale nic wielkiego prędko nie powstało.

Bronisław Rejchman.

KRONIKA MIESIĘCZNA.

Od kilku tygodni ukształcone klasy mieszkańców Warszawy oglądają „Pochodnie Nerona.“ Jakkolwiek rubryka niniejsza najmniéj podobno zajmowała się dziełami sztuki i zniechęcała do siebie jéj kapłanów, tym razem jednak odstąpimy od dotychczasowego systemu. Powody są bardzo liczne. Najprzód, na co się wszyscy zgodzą, wystawa nasza nie miała jeszcze obrazu równie obfitego w szczegóły i równie wykończonego. Powtóre, w historyi nietylko naszéj, lecz i powszechnéj sztuki nie wiele znajduje się dzieł, któreby posiadały treść równie obszerną i duszy widza narzucały tyle głębokich pytań. W końcu dla tego postanowiliśmy więcéj miejsca poświęcić „Pochodniom Nerona,“ że niezaprzeczony geniusz ich autora posiada szczególny, a dla komentatorów niezmiernie szacowny charakter. Oto—dzieło Siemiradzkiego nie chwyta od razu za serce, w pierwszéj chwili nie daje nawet punktu oparcia wyobraźni, lecz w dziwny sposób obudza działalność myśli. Dopiéro, gdy opanujemy szczegóły, zbadamy fizyognomie osób, zestawimy je z treścią obrazu, pomyślawszy nieco o historyi, dopiéro wówczas ukazuje się oczom duszy jedna z najstraszliwszych tragedyj, jakie kiedykolwiek rozegrały się na scenie tego świata. Wtedy także Siemiradzki artysta ustępuje miejsca Siemiradzkiemu psychologowi i historyozofowi, a jego piękne kreacye stają się hieroglyfami, z po za których wyzierają posępne prawdy przeszłości i groźne ostrzeżenia dla przyszłości. Do uczuć widza Siemiradzki przemawia nie za pośrednictwem nerwów, lecz—rozumu.

Jaka była pierwotna intencya malarza, czy istotnie chciał on na obrazie swym przedstawić „światło, które wśród ciemności świe-

ci"? i czy w tém znaczeniu w jakiém pojęli go sprawozdawcy w ogóle, nic nas to nie obchodzi. Dzieła olbrzymie mają tę właściwość, że każdy może tłómaczyć je na swój sposób, więc i my skorzystamy z przysługującego nam prawa. Ponieważ jednak ogół sądzi, że główną myślą *Pochodni* jest walka pogaństwa z chrystyanizmem i do zadania tego przywiązuje bardzo nieokréślone znaczenie, dla porozumienia się więc, opuścimy na chwilę dziedzinę sztuki.

Grupy społeczne, zwane państwami, przedstawiają w najogólniejszych zarysach podobieństwo do żyjących organizmów. Jak organizmy, wykluwają się one z drobnych zawiązków, rosną kosztem podobnych do siebie bytów, zmieniają się pod wpływem warunków zewnętrznych, a wreszcie giną bądź z powodu przegranéj w walce z silniejszemi, bądź dla tego, że nie posiadały zdolności przystosowania się do nowych warunków zewnętrznych. Narody, to jest materyał stanowiący państwa, dla tego są bez porównania trwalszémi, że każdy z nich jest tylko jakąś odmianą rodzaju ludzkiego, dla którego po dziś dzień jeszcze ostatnia nie wybiła godzina; chociaż zdarza się zresztą, że plemiona mniéj liczne ulegają wytępieniu, a nawet niektóre rasy wprost wymiérają z powodu niemożności przystosowania się do otaczających warunków.

Podobnie jak w pierwotnéj komórce roślinnéj, czy zwierzęcéj, tkwi już zdolność rozwinięcia się w takie a nie inne formy, tak samo w zawiązku państwa, tkwią pewne dążności czyli idee, które w całéj jego historyi objawiają się z niepokonaną konsekwencyą. Dążności te pod wpływem otoczenia ulegają modyfikacyom, w miarę dłuższego życia grupują się w pewien sposób; jedne z nich panują nad innemi, słabną, wzmacniają się, lub pochłaniają inne, w każdym jednak razie istnieją. W chwili, gdy idee zasadnicze skutkiem nadmiernéj przewagi nad innemi poczynają już walczyć z prawem naturalnéj harmonii, gdy pod ich wpływem dzierżąca władzę mniejszość zużywa się, a zdrowa większość nie zasila jéj nowemi sokami i obojętnieje dla niéj, w takiéj chwili zaczyna się upadek państwa, któremu zazwyczaj silne otoczenie ostateczny kres kładzie.

Naczelną ideę w państwie rzymskiém stanowiły: podboje. Ponieważ nawet tygrys nie jest strasznym za młodu, więc i idee zaborcze objawiały się początkowo w bardzo majestatycznych formach. Któż nie podziwiał Mucyusza Scewoli dobrowolnie kładącego w ogień rękę? Brutusa, który za nieposłuszeństwo własnych synów ściąć rozkazał? Owych wreszcie rzymskich matron, które wiadomość o śmierci męża lub dzieci na placu boju przyjmowały z uśmiechem? A ten że Cyncynat, rolnik-dyktator, a ów potężny senat i karne pospólstwo,

nie sąż to rzeczy, nad któremi zastanawiamy się z wysokiém upodobaniem?

Podbój miał też stronę praktyczną; pozwolił on Rzymianom, którzy prócz rolnictwa, administracyi i strategii nic więcéj nie wyprodukowali, używać bogactw całego świata. Nadszedł czas, że u stóp wiecznego miasta Grecya złożyła swoję sztukę, naukę i filozofią; Afryka—kość słoniową, lwy i pszenicę; Hiszpania—srébro; Galia i Germania—żołnierzy i gladyatorów; Egipt—czarnoksiężników; Azya—przepych i sztukę rozpusty, wszyscy zresztą—niewolników. Jednocześnie zajęcia obywateli rzymskich poczęły się mocno specyalizować, rolnicy wykształcili się na wybornych agronomów, lecz zostali przy swoich kawałkach ziemi tylko rolnikami, urzędnicy zaś wyrośli już na wielkorządców i dyplomatów, a żołnierze na wodzów. Wszelka wiedza, wszystkie zdobycze i władza przeszły w ręce prawników i żołnierzy, a w końcu tylko tych ostatnich. Między ludem i klasą panującą wytworzyła się przepaść, w miejsce stanu średniego, któryby je mógł połączyć. Lud ćwiczył muskuły w pracy fizycznéj, zaniedbując ducha, arystokracya dogadzała zmysłom z uszczerbkiem reszty władz istoty ludzkiéj. Naturalnie, że wśród klasy téj musiało się wytworzyć pokolenie w najwyższym stopniu zużyte, w którém duch prawie zamarł, a zmysły drgały tylko pod wpływem najsilniejszych wrażeń.

I otóż w tém dogorywającém, fizycznie osłabioném pokoleniu, znajdujemy pewne nici moralne, łączące je z przeszłością. Był w niém despotyzm naczelnych wodzów i służalstwo oficerów. Żyłka Brutusa, który zabił synów, ocknęła się w matko- i bratobójcy Neronie. Cała ludność karna, pozbawiona wszelkiéj samodzielności i wyczekująca pensyi, lub zboża od cezara, przypominała żołnierzy. Bohatérskie matrony rzeczypospolitéj odźwierciadlały się w potworny sposób w zimnych i okrutnych damach z czasów cesarstwa, Mucyusz Scewola i Horacyusz Kokles byli nasieniem, z którego w najpóźniejszym rozwoju wykwitli gladyatorowie i apatyczni samobójcy.

Idea podbojów, zużywszy najwierniejszą sobie klasę, arystokracyą, zobojętniała dla tłumów tak, że potrzeba było utrzymywać najemne armie barbarzyńców, a jednocześnie materyalny znak téj idei—armia, spotężniała tak, że chcący zostać cezarem od niéj musieli trony kupować, prawie przez licytacyą, słowem, pomimo bogactw, pałaców, wodociągów, łaźni, szpitali, szkół, ochron, mody, kosmetyków, wybornych komunikacyj, poczt, kodeksu i mnóstwa innych cywilizacyjnych pozorów, w państwie rzymskiém było zupełnie źle, a śmierć już zbliżała się do granic.

Taką to epokę za tło swego obrazu wybrał Siemiradzki w „Pochodniach Nerona.“ Nie wykazał on wcale walki chrześciaństwa z pogaństwem, ale raczéj zepsucie arystokracyi rzymskiéj, a zarazem przyczyny, dla których państwo musiało być zjedzone przez sąsiadów, jego zaś idea naczelna ustąpić miejsca innéj. A dla czego musiała ustąpić? Dla tego, że nie ogarniała ona z równą siłą wszystkich państwowych pierwiastków, wytworzyła dwie klasy różne, jak dwa gatunki, i w dodatku przepaliła nerwy, wyssała krew i wysuszyła ducha swoich kapłanów.

Jeden z tysiącznych wypadków, charakteryzujących wartość ówczesnéj arystokracyi, który posłużył za temat Siemiradzkiemu, był następny. W czasie największych szałów Nerona, z czternastu dzielnic Rzymu, dziesięć skutkiem rozmyślnego podpalenia upadło w gruzy. Głos publiczny oskarżał cezara o zbrodnią i tłumy szemrać poczęły, choć zniżono im cenę zboża, a pozbawionych dachu lokowano w cesarskich ogrodach i pałacach. Prosta przyzwoitość i rozsądek nakazywały znaléść i ukarać jakichkolwiek bądź winowajców, wybór zaś padł na chrześcian, którzy głosząc zasady równouprawnienia i wolności, stali się „nienawistnymi rodzajowi ludzkiemu.“ Aresztowano tedy wielu, a niektórych przywiązywano do słupów i w ogrodach cesarskich żywcem palono. Świadkami widowisk tych byli pierwszéj linii: Neron i jego świta, lecz i z pospólstwa puszczano każdego, kto był ciekawy i łaskaw.

Na ogromnym, 80 łokci kwadratowych zajmującym obrazie, chrześcianom dostało się niewiele miejsca, resztę zapełniła publiczność. Pomiędzy stoma z górą osobami, właściwego plebsu jest nie wiele: garstka nierządnic, paru grajków, gladyator i, zdaje się, błazen, oto wszyscy. Inni widzowie, oprócz murzynów, katów i żołdaków, są to już senatorowie, złota młodzież i damy wielkiego świata. Ściśle rzeczy biorąc nie potrzebował Siemiradzki przedstawiać masy pospólstwa, z którego rekrutowali się zarówno oprawcy i żołnierze, jak gladyatorowie i męczennicy. Pospólstwo żyje do dziś dnia i takie było w grodzie Nerona, jak i za naszych czasów w wielkich miastach. W Paryżu naprzykład na każdéj egzekucyi publicznéj zbiérały się tłumy ludu; jedni ubolewali nad skazanym, inni rozmawiali o swoich interesach, a jeszcze inni w obec majestatu śmierci błaznowali, ilustrując starą jak świat prawdę, że między mnóstwem ciemnych prostaków, znajdują się źli, dobrzy i obojętni.

Tragiczności więc „Pochodni Nerona“ nie stanowi to, że ktoś z plebsu przyszedł się gapić na męczarnie, lecz to, że jedynymi prawie widzami byli reprezentanci najwyższéj arystokracyi. Wszakże ludzie ci, tak samo jak my dzisiaj, czytali filozofią i poezyą, kupowali

obrazy i posągi, złoto i drogie kamienie składali u stóp artystek, rozprawiali o rzeczach publicznych i potrzebie poświęcenia, mieli układ salonowy, posługiwali się tylko greckim językiem, zakładali szkoły, muzea i ochrony. Wszystko to są fakta, o których nas pierwsza lepsza historya przekona. Czémże się więc ówczesna zgnilizna różniła od dzisiejszego zdrowia? Oto strasznem wyniszczeniem fizycznem, brakiem uczuć głębszych i wiary w jakąś ideę, pogardą dla tłumów, niedającym się wypowiedzieć egoizmem i podłém służalstwem. Dzisiejsza godność osobista, szczera solidarność nawet z maluczkimi, współczucie dla obcéj niedoli, gotowość do ofiar na rzecz ogólną, w owéj epoce już całkiem nie istniały!

Zobaczmy, jak się też zachowują panowie rzymscy w obec męczarni kilkunastu ludzi, na co dziś nie patrzyłby z zimną krwią żaden porządny człowiek. Trzéj rozmawiają o jakichś bardzo ważnych i ciekawych sprawach, o ile wnosić można z wyrazu oczu i zdumionéj twarzy jednego z nich, który nie często dziwił się w życiu. Dwaj inni upatrują kogoś w tłumie, zupełnie tak, jakby się znajdowali w loży pierwszego piętra na nieciekawém widowisku. Jeden umizga się do damy nadludzko pięknéj, inny patrzy na męczenników z wyrazem pychy i zimnego okrucieństwa. Jeszcze inny, znaglony widać przez towarzyszącą mu heterę, spogląda w kierunku słupów, lecz ponieważ zbyt jest leniwym, aby odwrócić samę głowę, łączy więc małą ciekawość z wielkim sybarytyzmem i rozwala się na szerokiéj poręczy schodów.

Kobiéty są znacznie lepsze. Na twarzach wielu z nich maluje się litość, przynajmniéj w tym stopniu, jak gdyby patrzyły na śmierć topionych szczurów. Hetery są zajęte i nieco strwożone, a stojąca na ganku dama wielkiego świata, prócz płochéj, lecz niepospolitéj ciekawości, nie zdradza żadnych innych uczuć. Reszta bawi się w najlepsze: pije, tańcuje, lub przy dźwiękach fletów tarza się obnażona po zimnéj posadzce.

Wśród téj jednostajnéj kałuży ludzi płaskich i skutkiem niezmiernego wyniszczenia okrutnych, wśród powodzi przepięknych ciał, okrywających nędzne dusze, widać kilka wyróżniających się, a przynajmniéj wybitniejszych indywidualności. Pyszny jest młody kostera, silnie odurzony winem! Trzyma puhar w jednéj ręce, kubek z kośćmi w drugiéj, na głowie ma wieniec z róż, na piersiach pijaną nierządnicę, a u boku chciwego i łysego filuta. Domyślasz się, że złoty młodzian gra o ostatniego obola i że, gdy z drżącéj jego ręki kości na tablicę upadną, chytry staruszek dopuści się oszustwa.

Trzy tylko postaci, niby trzy promienie słońca, jaśnieją wśród tych tumanów. Pierwszą jest młodziutka, siedząca pod platformą dziewica, która na widok wzniesionéj pochodni kata nie płacze, bo wszystkie jéj łzy zbiegły się już do serca, lecz prawie omdlewa z żalu. Drugą jest kobiéta z gminu, sąsiadka gladyatora, którą los rzucił na stopnie schodów cezara, a nieszczęście przygniotło. Jest to obraz duszy ludzkiéj, którą smutek skamienił; katusze chrześcian nie wywołują w niéj żadnego nowego wrażenia, są one bowiem tylko jedną więcéj kroplą goryczy, jakiemi przeznaczenie wypełniło czarę jéj życia.

Jednym z kulminacyjnych punktów twórczości Siemiradzkiego jest gladyator, wtłoczony pomiędzy ścianę domu i kolumnę wodociągu. Z wyrazem nieopisanéj boleści, człowiek ten wlepił oczy w „Pochodnie“ i załamał bezsilne na dziś ręce. Sam jeden zdrowy wśród tego szpitala zdenerwowanych, jedyne serce ludzkie wśród gnijącego mięsa, jedyny z widzów, którego węzeł tajemnéj sympatyi łączy ze skazanymi. Alboż i on nie jest aktorem krwawych widowisk, alboż i nim nie pogardzają wszyscy, alboż z cyrkowéj areny, podobnie jak tamci ze szczytu swoich słupów, nie widział téj apatycznie nieczułéj i nielitościwéj arystokracyi? Alboż wreszcie jego prosta i szlachetna dusza, nie jest ową skwarami Rzymu spieczoną ziemią, która z utyskiwaniem oczekuje rosy niebieskiéj? Już doszły go wieści o ludziach przepowiadających miłość nawet ku gladyatorom. Szukał ich gdzie mógł, po wszystkich teatrach, łaźniach, domach publicznych i szynkowniach, lecz znalazł tu dopiéro, gdzie śmierć ponieść mieli za pocieszanie takich, jak on nędzarzy!

Równolegle do pałacowego frontu, wbito w ziemię trzynaście pali, ozdobionych girlandami kwiatów i dźwigających na sobie apostołów nowéj idei. Spowici, jak niemowlęta, w rogoże nasycone smołą, spętani siecią powrozów, oczekiwali przyjścia Nerona. Gdyby artysta zapalił jeden z tych słupów, oblał scenę krwią płomieni i zamroczył ją ciężkim dymem smoły i ludzkiego ciała, wówczas wstrząsnąłby nerwami widzów. Nie uczynił tego, lecz natomiast ukazał nam męczarnią w stopniu najwyższym.

Psychologiczną prawdę: „gorszém od saméj śmierci jest oczekiwanie śmierci,“ malarz wyczerpał do dna. Być skrępowanym, zgniecionym, nie módz załamać rąk nad własną niedolą, ani obetrzéć łzy, która pali oblicze. Ze swéj ponuréj wysokości widziéć kipiące i hałaśliwe życie, wówczas, gdy całe jestestwo nasze daremnie wysila się choć na odrobinę pełnego boleści ruchu. Wznosić głowę po to, aby ostatni raz ujrzéć skrawek zachodzącego słońca, lub spuściwszy ją czuć gorąco tych samych płomieni, które nas

zwolna strawią. Choćby od śmierci żądać skrócenia mąk, a jednocześnie z trwogą przysłuchiwać się skrzypieniu przystawianych drabin i pryskaniu gorejącej pochodni, która dotychczasowe męki uzupełni największą... A gdzież jest ten, który w ostatniéj chwili miał nas potężném osłonić skrzydłem, gdzież ci bliźni, którym byliśmy obowiązani czynić dobrze, a którzy nas opuścili? Jestże prawdziwą wiara, któréj w ofierze składamy życie, a któréj nieprzyjaciele tak wielką wywiérają nad nami przemoc?

Ból, trwoga, błyskawice zwątpienia, czyż nie stanowią najsroższych w świecie katuszy?

Pomimo to, niektórzy sprawozdawcy w przedśmiertném osłupieniu skazanego starca umieli dopatrzéć wyraz tryumfu, a pełen wstrętu i rozpaczy ruch dziewicy, któréj młodość nie może pogodzić się z nieuniknionym losem, wytłómaczyli, jako pożegnanie nacechowane szacunkiem i miłością rodzinną.

Wszakże męczennicy są ludźmi, a boleść i zwątpienie są rzeczą ludzką, wszakże sam Chrystus śmierci się lękał, za cóż więc tym nieszczęśliwym w tak opłakanéj pozycyi, mamy narzucać chęć i siły do manifestowania naszych familijno-mieszczańskich instynktów.

Na platformie ukazał się Neron. Ośmiu murzynów wniesło złocistą lektykę. Teraz dopiéro przekonać się możemy, że dziedziniec ten nie jest stajnią rozpusty, ale świątynią. Lektyka pełni funkcyą ołtarza, bardzo trafnie pomieszczonego między dwoma potężnemi kadzielnicami, cezar jest bogiem, a jego najświeższa kochanka—towarzyszką. Obowiązki kapłanów asystentów pełnią: murzyni, żołdacy i wciskający się między nich patrycyusze; urząd celebranta dostał się katom i pewnemu dygnitarzowi, który daje im znak czerwoną płachtą. W całéj postawie szczęśliwego wybrańca widać, że rozumié i ocenia zaszczytne stanowisko; gdy się dobrze sprawi, może mu jutro władca pozwoli czuwać przy swém łożu. Urząd to wprawdzie bezpłatny, ale z jakiemiż honorami połączony! Jak miło mu będzie powiedzieć kiedyś w towarzystwie dobrze wychowanych osób, że jednego dnia miał szczęście dawać hasło do egzekucyi chrześcian, a drugiego wypędzał muchy z sypialni cezara i pięknéj jego przyjaciółki!

Imię Nerona jest tak popularne w naszych czasach, że dziś noszą je prawie wszystkie psy nieco złośliwsze, historyi więc czynów téj niepospolitéj figury nie potrzebujemy powtarzać. Był on dzieckiem wieku i dziedzicem zbrodniczych instynktów. Jego ojciec cieszył się reputacyą skończonego łotra i jeszcze przed przyjściem na świat syna powiedział, że: „ze mnie i Agrypiny tylko potwór narodzić się może.“ Najlepszą stronę matki stanowiło to, że czując wraz z wie-

loma innemi matronami bezświadomy wstręt do zużytych patrycyuszów pragnęła uszlachetnić ród swój za pomocą zdrowéj krwi żołdaków i wyzwoleńców.

Wykluwszy się na takiéj gałązce, młody pączek Neron, do dwunastego roku życia zostawał pod kierunkiem dwu mistrzów: tancerza i fryzyera. Późniéj miał innych, a w ich liczbie filozofa Senekę, który wśród ciszy swego gabinetu gardził marnościami świata, a w gwarze życiowym podobno nawet lichwą się bawił i zebrał dość pokaźną fortunkę.

Przez pierwsze pięć lat piastowania władzy Neron był dobrém chłopięciem, boczył się nawet gdy mu wyrok śmierci podpisywać wypadło. Okoliczność ta w zestawieniu z późniejszemi okrucieństwami dziwi niektórych, choć jest prostym wynikiem dziedziczności (atawizm) i prawa rozwoju. Dalsi przodkowie Nerona byli zapewne ludźmi dobrymi, co się téż w pierwszéj epoce jego rządów uwydatniło, bliżsi byli łotrami, więc i on nim został nieco później. Owczesne pokolenia dojrzéwały i kształciły się szybko: kiedy bowiem Tyberyusz zabijał ludzi tylko z powodu zemsty, lub obawy, to już Kaligula i Neron mordowali dla przyjemności, dla zaspokojenia głodu wrażeń. Przyjąć bowiem należy za rzecz pewną, że okrutnik jest przed wszystkiém człowiekiem zużytym, którego stępiałe nerwy silnych potrzebują pobudek. A jak osoba dotknięta częściową kataraktą, szuka niespokojnie przygasłemi oczyma najjaskrawszych świateł, tak i Neron dla krzepnących nerwów i wapniejącego mózgu szukał ekscytacyj w morderstwach. Młodzianowi temu, w którym ród umiérał, nie wystarcza już pokojowy piesek a nawet brytan, hoduje więc tygrysa i z nim przebiega miasto.

Neron Siemiradzkiego jest takim. Prawą ręką trzyma na łańcuchu tygrysicę, na lewéj oparł brodę i patrzy na konwulsye przytrokowanéj do pala dziewicy z uśmiechem, w którym znać łagodną dumę, ciche zadowolenie, jakiś odcień słodkiéj pobłażliwości, słowem, wszystkie te półtony uczucia dobrego ojca, który przyglądając się harcom małego synka marzy rozkosznie.

A teraz, zrozumiawszy wyraz oblicza, przypatrzcie się oku, w którém błyska resztka duszy tyrana. Wlepił on je w męczenicę i pojąc się jéj szamotaniem zdaje się myśléć. Piękna jesteś tak, żebym cię z satysfakcyą uściskał, sprobuję jednak zobaczyć, jak będziesz wyglądała, kiedy cię ogień strawi, żeby téż choć nie zbyt prędko....

Jeżeli każdy, a więc i podły duch wyżłabiać musi właściwe sobie cechy na obliczu ludzkiém, jeżeli fizyognomia uważana w stosunku do otoczenia pozwala wnosić coś o charakterze człowieka,

w takim razie Neron Siemiradzkiego, w chwili gdy patrzy na „Świeczniki“ jest Neronem dziejowym, tym Neronem, który dla wzbudzenia w sobie uczucia małéj przyjemności potrzebował widoku niezmiernych katuszy. Niektórzy sprawozdawcy utrzymują przeciwnie, a w takim razie pytam ich, jak sądzą: coby zrobił ten Neron siedzący w lektyce, gdyby mu ktoś potężniejszy od niego powywracał „Pochodnie,“ rozpędził katów i uwolnił chrześcian? Oto, rozpłakałby się ze złości, a także dla tego, że mu zepsuto rozrywkę, jemu, który pomimo całéj władzy tak mało doświadczył ich w życiu!..

Naszém zdaniem, fizyognomia Nerona stanowi niezbity dowód olbrzymiego gieniusza artysty, w którym natchnienie i głęboka znajomość natury ludzkiéj stopiły się w jeden śpiż nieocenionéj wartości.

Streszczeniem znikczemniałéj arystokracyi, która gniotąc trzy części świata, sama chyliła głowę pod zbroczone stopy Nerona, uosobieniem przyczyn upadku państwa rzymskiego, a zarazem środkiem ciężkości nielitościwego tłumu widzów, jest pewien starzec z wieńcem na głowie, umieszczony prawie tuż pod siedzeniem pana. Jest to trzecia wielka kreacya na obrazie. Domyślać się można, że przed chwilą starzec ten biesiadował przy stole cezara, lecz po uczcie znalazł się gdzieś tak daleko wśród pospolitego tłumu, jakby go kto potężnem kopnięciem zrzucił ze schodów na dziedziniec. Prędkość zużyła się na pokonanie różnego rodzaju oporów i otóż senator rzymski stanął jak pień...

Na twarzy jego, okrytéj symbolem pożytecznéj obywatelskiéj działalności, bo wysypką, nie maluje się nic złego. Kiedyś mógł to być nawet dobry człeczyna, tylko rozłajdaczył się z przeproszeniem i skutkiem tego zidyociał. Gdyby mu twarz zasłonić, miałby postawę wcale pańską, co już przypisać należy czystemu automatyzmowi. Zresztą nie patrzy on na nic, niczego nie słucha, nie myśli i nie wié o niczém. Gdyby tłum, który go otacza, porwany wichrem nieziemskim, począł mu krążyć około uwieńczonéj głowy, gdyby w tym tańcu piekielnym Neron zajął miejsce gladyatora, gladyator zluzował starca na słupie, a starzec zasiadł w cesarskiéj lektyce, gdyby następnie sam Neron poszedł na pal, a gladyator na tron, ów z założonemi rękoma przeciętny patrycyusz rzymski nie dziwiłby się, ani gorszył. Jedynym, bardzo zresztą mętnym procesem psychicznym, jaki odbywa się w nim w téj chwili, jest uczucie lekkich nudności, zwykły skutek przejedzenia i przepicia.

Tak więc, w obec wszechwładnego cezara, w obec potężnych senatorów, którzy mogli gubić narody, w obec pięknych kobiet,

z których każda jednym uśmiechem mogła kupować życia ludzkie, trzynaście ofiar znalazło się w położeniu człowieka, którego głazy i ziemia przywaliły w jakiéjś opuszczonéj okolicy. Nic ich nie uratuje, żadna siła nie zmieni ich losu, ponieważ władca pożąda krwi, a otaczający go nie gardzą podobnemi widowiskami, są dla nich obojętni, lub nie wiedzą nawet o samych sobie. Lecz nie! znajduje się tu indywidualność, któréj jeden kaprys mógłby uwolnić chrześcian, a w każdym razie poprawić i uszlachetnić historyą rzymską, oto: tygrysica. Gdyby jęk którego z męczenników rozdrażnił ją, gdyby wszechmocną łapą starła z ludzkości plamę nazywającą się Neronem, wóz dziejów wjechałby może na inne tory. Któż wié czy wówczas po Neronie nastąpiłby cały szereg znanych cezarów i wypadków? Może między tymi, których wypleniły szaleństwa kochanka Poppei, znalazłby się człowiek, zdolny do wypalenia raka trapiącego państwo i wskazania współczesnym nowéj drogi? W taki to sposób dóle i niedole schorzałych społeczeństw robią się zależnemi od ślepych sił przyrody nie o wiele rozumniejszéj od nich tygrysiéj łapy!

Na marmurowéj kolumnie, o kilka łokci od świętych słupów, kwiatami i ofiarami uwieńczonych, stoi skrzydlaty sfinks, niby granica między starym i nowym światem. Z jednéj strony najpotężniejsi, z drugiéj najnieszczęśliwsi, z jednéj strony młodość, piękność, szalona wesołość, z drugiéj śmierć i cierpienie. Kto zwycięży?

Jak na tę chwilę, nie ma wątpliwości. Apostołowie zginą, wiatr popioły ich jak klątwę rzuci na zhańbione głowy patrycyuszów, ale idea zostanie.

Dla czego?.. zdają się pytać wiecznie rozwarte oczy sfinksa. Dla tego, że chrystyanizm był w owéj epoce religią biednych, pogardzonych, deptanych, ale zdrowych i licznych, jak piasek w morzu. On nędzarzom obiecywał niebo, a nieużytym bogaczom piekłem groził. On kazał nie lękać się braku najpierwszych potrzeb do życia, co w oczach możnych stanowiło największą hańbę. On rzewne błogosławieństwa zlewał na przestraszonych i pokornych, on wiernym swoim dawał niewidzialnego i miłosiernego władcę, a znękanym bojownikom ukazywał potężne rezerwy zastępów niebieskich. Na szept jego tajemniczych modłów pierzchał sen śmierci łańcuchy opadały z niewolników. Na miejscu cesarstwa rzymskiego, w którém każde ciało i każdy duch wtłaczano w jednakową formę, stawiał królestwo boże, w którém wybieralni dostojnicy myli uznojone nogi ludu.

Idea, którą gardzili wielcy, lecz którą kochali maluczcy, streszczała w sobie najsłuszniejsze zasady, ogarniała każdą istotę ludz-

ką, mogła więc oprzéć się na najtrwalszym państwowym elemencie; a ponieważ na nim się oparła, więc miała niespożytą siłę. Że zaś niewoli przeciwstawiła swobodę, kastom—równość, ślepemu posłuszeństwu—miłość, więc też do końca świata trwać będzie. W twardym powrozie dziejowym, który krępował ludzkość, pojawiła się nić, łącząca ziemię z niebem; można ją zamotać lub ukryć, ale nie zerwać.

Wiadomo, że państwo rzymskie nie rychło upadło, że wszystkie szczątki jego rumowisk weszły w skład gmachów następnych, że idea syna człowieczego nie zwyciężyła od razu. Żelazne przecięż sito czasu, rok za rokiem, wiek za wiekiem, oddziela rzeczy znikome i niesprawiedliwe, od tego co jest słuszne, a tém samém posiada warunki trwałego bytu.

W międzygwiazdowéj przestrzeni są miejsca, do których odbita od ziemi fala światła ośmnaście wieków płynąć musi. Patrząc na Pochodnie Nerona zdaje ci się, żeś właśnie stanął w takim punkcie, do którego dobiegają echa dawno minionych wydarzeń. Widzisz złowrogie drzewa Neronowego ogrodu, upadek zdobywców świata, a na twarzy gladyatora ludzkie współczucie i boleść. Kryształowy łuk wody spada jak wówczas na płyty zbiornika, dymy kadzielnic pogańskim poświęconych bogom tarzają się po ścianach pałacu i wyciągnięta ręka stojącéj nad lektyką Nerona bogini zwycięztwa zdaje się wskazywać tyumf jakiejś odległéj przyszłości, nowym ideom i nieznanym narodom. Każda z tych figur powtarza ci na swój sposób, że to co jest złe samo się strawi, że zużyci muszą ustąpić zdrowym i świeżym, że choć apostołowie i pokolenia giną, sprawiedliwe idee zostają i bujny plon wydadzą, jak ziarna owéj pszenicy, która w trumnie mumii egipskiéj przespała czterdzieści wieków.

* * *

Nie wydobywszy się jeszcze z powijaków niemowlęcych, droga żelazna Nadwiślańska doczekała się niepochlebnego rozgłosu. W pierwszym dniu otwarcia ruchu, na torze jéj pękł resor börsigowskiéj lokomotywy; nie długo potém ktoś około Rejowca położył kamień na szynach; ostatecznie między Dorohuskiem i Chełmem wykoleił się pociąg; dziesięć osób czy więcéj uległo skaleczeniom, publiczność przestraszyła się na dobre, a rząd podobno wydelegował komisyą do powtórnego, nadzwyczajnego zrewidowania drogi. Wypadki te ogół widzi w czarnych kolorach, czarniejszych może niż należy, co ztąd pochodzi, że jeszcze w czasie budowy stawiano drodze złe prognostyki, a gdy zarząd, z pobudek zresztą rozsą-

dnych zaprowadził apteczki na stacyach, poczęto mówić: nic dziwnego, będą ranni, więc przydadzą się i apteki!

Za zepsucie się lokomotywy i podłożenie zawady na szynach zarząd odpowiadać nie może. Ostatnie wykolejenie się także nie powinno być wyłącznie na kark jego składane, zdarzyło się bowiem wśród okoliczności wyjątkowych. Droga w tém miejscu biegnie nasypem wzniesionym na moczarach; że zaś w owéj epoce spadły ulewne deszcze, że prócz tego przechodziło dziennie po 14 pociągów z wojskiem, nie dziw więc, że nowy nasyp osiadł się i spowodował katastrofę.

Ale do wypadku tego wchodzi trzeci jeszcze czynnik: zła budowa. Tam, gdzie są moczary, robi się nasypy staranniéj niż na gruncie twardym, a i w czasie ruchu baczniejszą na wątpliwy kawałek zwraca się uwagę. Ta zatém część winy stanowczo spada na zarząd, którego jedyną zaletą w obecnych okolicznościach stanowi to, że się nie wypiéra, a pociechą znowu może być to, że ma nader liczne towarzystwo współwinnych.

Fundamentem, na którym oparły się wszystkie późniejsze nadużycia i nieszczęścia był niesłychany w dziejach wielkich przedsiębierstw projekt, aby kolej powstała z funduszów małych kapitalistów. Istotnie mali kapitaliści rzucili się z ferworem do kupowania akcyj, lecz w tym jedynie celu, aby na każdéj coś zarobić, za sińce, wyczekiwanie pod edrzwiami kasy i tym podobne słodycze faktorskiego żywota. W gruncie rzeczy po za zgrają drobnych kondotierów ukrywali się, zresztą dość jawnie, bogaci bankierzy, którzy nietylko przyjąć musieli bardzo niskie koszta budowy, ale jeszcze w księgach wydatków utworzyć niebywałą rubrykę na akcyonaryuszów. Do téj ekstraordynaryjnéj pozycyi przybyła druga, obejmująca procenty za wypożyczenie ogromnych kapitałów, które wyjechały, posiedziały parę dni i wróciły tą samą drogą.

Na tém zakończył się pierwszy akt, drugi bowiem wypełniła walka między pp. B. i K. Pan K. miał większą część akcyj, więc stał się głównym przedsiębiorcą, p. B. miał poważną mniejszość, więc starał się wszelkiemi siłami bruździć. Strony zamiast zgodnie uwolnić się od wzajemnych kosztów i podzielić choć skromnym zyskiem, ukazały światu nową edycyą zatargów gwelfowsko-gibelinowskich. Sesye techniczne zamieniły się na jakieś parlamentarne walki, w których rzecznicy wrogich obozów zarzynali się o niesłychanie specyalne i subtelne kwestye, w obec publiki, która ledwie, że o mnożeniu miała jakie takie pojęcie. Posypały się sprawozdania, zarzuty, felietony, procesy, a tymczasem każde postanowienie przechodzić musiało przez dwie sesye, w kilku tygodniowych odstępach.

W końcu mniejszość ucichła, złożywszy poprzednio w obec własnego społeczeństwa dowody wielkiéj niekarności. Patrząc na to, człowiek zapytywał ze strachem: jakby wyglądał kraj, w którym dwie, tak zaciekłe partye, miałyby rozstrzygać o sprawach ważniejszéj natury?

Opinia publiczna słusznie zatém obawiała się o losy pasażerów drogi Nadwiślańskiéj, skoro w zawiązku jéj podobne tkwiły pierwiastki. Brak sygnałów elektrycznych i ów nasyp, który nie wytrzymał cięższéj próby, są owocami tamtego ziarna. Dziś partya zwycięzka za nieprzyzwoitości te zapłaci i bardzo słusznie,—oddając jednak co się komu należy, nie wypada téż i o zwyciężonych zapominać.

Nie na tém przecięż kończy się długi szereg winowajców. Drobni przedsiębiercy, ta prawdziwa plaga każdéj większéj budowy, odegrali tu właściwe sobie role. O sumieniach ich nie ma co mówić, ponieważ ludzie tacy przychodzą już na świat bez podobnego balastu, a natomiast z głębokiemi kieszeniami.

Mogliż oni dbać o los jakichś podróżnych, mogliż lękać się wyrządzenia krzywdy ludziom nieznanym i obojętnym, skoro w obrzydliwy sposób eksploatowali najbliższych sobie robotników? W okolicach, przez które kolej przechodzi, szacherki wielu przedsiębierców dziesiątéj i jedynastéj klasy, czy gatunku, stały się już materyałem legendowym i nie wspominalibyśmy nawet o nich, gdyby nie świeży wypadek.

W rezultacie, nie należy wyłącznéj składać odpowiedzialności na zarząd obecny. Na grzbiet jego spadają już cięgi fizyczne, na które nie sam przecię pracował,—niechże więc inni choć moralną cząstkę zechcą przyjąć na siebie. Powtóre, nie należy zbytecznie przerażać się wypadkami, jakie dotychczas miały miejsce, przesadny bowiem popłoch może najniepotrzebniéj wskrzesić instytucyą karetek pocztowych, która niech z Bogiem odpoczywa! Potrzecie, zarząd, nie polegając na kontroli komisyi rewizyjnéj, sam powinienby się surowiéj kontrolować: obecność bowiem poprzedniéj komisyi nie przyczyniła się do wzmocnienia nasypu.

Ponieważ słychać już, że mają być zaprowadzone na téj linii sygnały elektryczne, oczéwiście więc zarząd bierze się nie na żarty do poprawienia usterek. Jak na dziś zatém publiczność jednéj tylko rzeczy domagać się ma prawo: téj mianowicie, aby na wszelkich łukach (np. pod Iwangrodem), na wysokich nasypach (między Nowo-Aleksandryą i Lublinem) i na moczarach, maszynista prowadzący pociąg jechał noga za nogą. Wykolejenie na równéj drodze kończy

się zazwyczaj strachem, lub szybko znikającemi sińcami, lecz dopiéro na wielkich nasypach powoduje straszne nieszczęścia.

W dniu 10 października r. b. w sali warszawskiego magistratu, odbyła się narada właścicieli fabryk i starszych cechów rzemieślniczych, w przedmiocie polepszenia bytu robotników. Życie naszego miejskiego robotnika nie jest godne zazdrości: pracuje on ciężko, jada niezawsze dobrze, mieszka zazwyczaj nędznie na strychach lub w suterynach. Najgorsze jest jednak to, że każda choroba zmusza go do zaciągania długów i staje się pierwszym szczeblem nędzy, starość albo kalectwo zwykle popychają go do żebractwa, a śmierć gubi rodzinę, która nietylko traci środek istnienia, ale jeszcze na pogrzeb wydaje piéniądze.

Przyczyny tych nieszczęść tkwią w samych robotnikach, lecz źródłem ich są warunki społeczne. Robotnik pije, trwoni czas wolny w knajpach, rodzinę lekceważy, o przyszłość nie dba, bo też nikt nie myślał o rozbudzeniu jego władz intelektualnych, nikt go nie wychował, nie uczył ekonomii, nie dbał o to, aby zachęcić do robienia oszczędności. W Anglii, której ludność o jaką setkę lat, jeżeli nie więcéj, wyprzedza naszę, każdy urząd pocztowy jest kasą oszczędności; oszczędzać uczą się dzieci w szkole, a nawet znajdują się tak dobrzy ludzie, że po szynkowniach chodzą z puszkami i zachęcają pijących, aby jakiś grosz na potrzeby jutra odłożyli. U nas dzieje się przeciwnie. Kasa oszczędności jest jak honor — owa: „przepaścista skała, na którą ani wejść bez trudu, ani zejść bez niebezpieczeństw nie można,“ trudno z niéj wydobyć piéniądze, trudno złożyć, nikt i nic nie zachęca, bo nawet procent jest nie wielki.

Zgromadzeni w ratuszu, pod prezydencyą p. Raua, który pierwszy (za inicyatywą p. Loewensteina) robotnikom swoim ułatwił ciężką pracę odkładania grosza, naradzali się tylko nad sposobami utworzenia kasy oszczędności dla rzemieślników. Stanowcze uchwały w téj kwestyi jeszcze nie zapadły, wzięto się dopiéro do obrobienia materyałów i napisania ustawy, pora jest zatém robić właściwe uwagi.

Otóż „Gazeta Polska“ w sprawie téj dotyka dwu punktów. Według niéj, jednym z powodów odstręczających od robienia oszczędności jest mały procent we właściwéj kasie, drugim—niestała wartość waluty. Istotnie obradujący winniby o tém pomyśléć: z jakiéj bowiem racyi rzemieślnik pobiérać ma 4% lub 5% od kapitału, za który sam płaci 10%, 12% a niekiedy znacznie więcéj? Powtóre, gwałtowny upadek waluty równie niekorzystnie oddziaływa, jeżeli (jak rachuje G. P.) człowiek, który przez długi czas uzbiérał 100 rs., przekonywa się w końcu, że ma ich tylko 70.

Celem usunięcia pierwszéj niedogodności, należałoby w ustawie zrobić co do procentów zastrzeżenie i w kasie zniżać je lub podwyższać w miarę okoliczności. Nastręcza się tutaj pewna niewygoda przy obliczaniu procentów składanych, no ale to znowu nie jest rzecz wielka, istnieją bowiem tablice, odpowiadające różnym stopom; gdyby zaś jakiéj zabrakło, to utworzyć ją nie jest niepodobieństwem. Z walutą rzecz się ma znacznie gorzéj, lecz na usunięcie téj niedogodności, jak do dziś dnia, mamy tylko dwa środki: odkładać złoto i odbiérać w złocie, albo wysyłać oszczędności do banku angielskiego. Jedno i drugie niepraktyczne, a drugie zniżałoby nasze oszczędności nawet w najlepszych czasach.

Najpraktyczniejszą jednak nowością byłoby zwiększenie liczby kas i środków zachęcających do robienia oszczędności.

Niech mnie Bóg broni, ażebym miał w téj chwili na myśli szkoły lub poczty, pierwsze bowiem nie mogą zajmować się tak poziomemi sprawami, a drugie nie mają czasu. Radzibyśmy jednak widzieć filie kasy oszczędności w każdéj większéj fabryce, w biurach, w muzeum i innych dających moralną gwarancyą instytucyach. Pożytecznêm by téż było, aby znaleźli się filantropowie, którzy byliby gotowi dla idei dobra powszechnego chodzić z puszkami i książeczkami po miejscach zebrań publicznych i tam zachęcać do odkładania, choćby 10 groszy na raz. Myślę, że w łonie Tow. Dobroczynności są ludzie usposobieni do tego rodzaju obywatelskich usług i poważam się mniemać, że „Komitet Zabaw“ z wielkim dla kraju pożytkiem mógłby w tym kierunku zużytkować swój czas i dobre chęci. Nastały dziś panowie, tak twarde czasy, że nie o zabawy, ale o oszczędności troszczyćby się nam należało!

Z niemałą przyjemnością zauważaliśmy, że Szanowny Prezydent naszego miasta, w niektórych sprawach ogół obchodzących, odwołuje się do opinii i poparcia obywateli. Otóż sądzimy, że jedną z takich kwestyj, którą tylko zbiorowe siły z widokami niejakiego powodzenia rozstrzygnąćby mogły, są rozszerzające się w zatrważający sposób kradzieże. Faktem jest, że nowe sądy, które z bardzo chwalebnych pobudek wymagają stanowczych dowodów występku, uzuchwaliły nieco osoby, mające pociąg do nadużyć, w obec których zmniejszona liczebnie policya staje się prawie bezsilną. Są okolice miasta, kędy samotny przechodzień oprócz własnego, dość zresztą niewyraźnego cienia nic i nikogo na ulicach nie spotyka; trafia się zaś i tak, że ktoś spotkany wzamian za chwilową satysfakcyą pozbawia go paletota i zégarka, a nawet całéj garderoby!

Zmniejszenie policyi miało niewątpliwie na celu przyzwyczaić nieco do samodzielności mieszkańców, którzy tak byli rozpieszczeni, że

poczęli uważać cyrkuł za jedyną deskę ocalenia we wszelkich życiowych kłopotach. Oglądano się nań wówczas, gdy chléb zdrożał, gdy lokalów brakło, gdy nieczystości zatruwały powietrze, a nawet gdy deszcz zbyt długo padał i naturalnie najniesłuszniéj.

Obecnie, z pociechą wyznajemy, że przesąd ten i nieuzasadnione pretensye znakomicie osłabły, co jest dobre, lecz zarazem kradzieże wzrosły—co jest złe. Wyplenić w zupełności tego zielska nie można, przerzedzić jednak godziłoby się. Zebrani obywatele mogliby przeznaczyć jakiś fundusz na utrzymanie stróżów nocnych i nawet osobiście kontrolować czy dobrze służbę spełniają. Zresztą możeby się w jakiejś systematycznéj pogawędce znalazły szczęśliwsze projekta.

Rzucamy tę myśl w przekonaniu, że szerszy udział publiczności jest tu niezbędnym. Mówię: szerszy, dotychczasowy bowiem współudział, polegający na tém, że pewna część stałych, czy niestałych obywateli kradła, a druga donosiła o tém wszystkiém gazetom, wydaje się być najzupełniéj nieodpowiadającym zasadzie bezpieczeństwa.

Aleksander Głowacki.

OMYŁKI DRUKU

dostrzeżone w Zeszycie 10.

Str. 158 w. 10 od góry, zamiast *zwanéj* czytaj *tak zwanéj*.
Str. 158 w. 10 od dołu, zamiast *zarządzona* czytaj *zarządzana*.
Str. 179 w. 12 od góry, zamiast *monofiniczną* czytaj *monofoniczną*.

Wydawca, **W. Spasowicz**. — Redaktor, **J. Trejdosiewicz**.